

Daniel Holbe

MONETA
ŚW. PIOTRA

thriller



Holbe Daniel

Moneta św. Piotra

Świeżo upieczona doktor historii Marlena Schönberg odbiera dziwny telefon. Nieznajomy mężczyzna twierdzi, że ma informacje na temat pewnej relikwii i że mogą one wstrząsnąć Watykanem. Marlena postanawia go odwiedzić. Okazuje się, że siedzi on w więzieniu w Marsylii podejrzany o zamordowanie swego ojca. Marlena wraz z adwokatem podejrzanego rozpoczyna śledztwo. Tajemniczą relikwią okazuje się moneta świętego Piotra – znak rozpoznawczy prawdziwego papieża. Pierwszy, na szczęście nieudany, napad na Marlenę utwierdza ją w przekonaniu, że trafiła na właściwy trop. Tymczasem kolejny nieznajomy, który przedstawia się jako wysłannik Stolicy Apostolskiej, oferuje jej swą pomoc. Od Marsylii, przez Awinion, po Rzym trwają pełne napięcia poszukiwania zaginionej relikwii.



PROLOG

W trzydziestym pierwszym roku naszej ery po wielogodzinnym biczowaniu i w otoczeniu wzburzonego motłochu zmarł na krzyżu Jezus z Nazaretu. Wkrótce potem jeden z jego uczniów, Judasz Iskariota, dręczony wyrzutami sumienia i pogardą dla siebie, wybrał śmierć samobójczą.

Także innym apostołom przypadł w udziale równie tragiczny los: Jakub (Starszy) - ścięty w Jerozolimie w roku 43, Mateusz - ścięty w Syrii około roku 46, Bartłomiej - obdarty ze skóry w Armenii w roku 51, Jakub (Młodszy) - ukamienowany w Jerozolimie w roku 62,

Maciej (następca Judasza Iskarioty) - ukamienowany w Jerozolimie w roku 63,

Szymon Piotr i Paweł z Tarsu - pierwszy ukrzyżowany głową w dół, a drugi ścięty w Rzymie w roku 64,

Andrzej - ukrzyżowany w Patras, w Grecji, około roku 65,

Juda Tadeusz i jego towarzysz Szymon - przepiłowani w Babilonie około roku 68,

Tomasz - przebity włóczniami w Madras, w Indiach, w roku 72.

Według przekazów dwukrotnie usiłowano zamordować także ostatniego z apostołów, Jana. Po raz pierwszy próbowano go otruć w Efezie, kiedy odmówił złożenia ofiary w świątyni Artemidy. Po raz drugi usiłowano zadać mu męczeńską śmierć w kotle z wrzącym olejem.

W rzeczywistości ewangelista zmarł śmiercią naturalną w Efezie, w mocno podeszłym wieku. Jako jedyny apostoł i świadek tamtych wydarzeń przeżył pierwsze stulecie naszej ery.

WSTĘP

Rzym, 64 rok naszej ery

Spośród czternastu dzielnic Rzymu tylko cztery nie padły ofiarą niszczących płomieni. Miasto, którego widok niegdyś wywierał niezatarte wrażenie, było obecnie morzem ruin i zgliszczy. Krążyli wśród nich chorzy i zagłodzeni ludzie. 2 osiedli dla ubogich, zbudowanych z lekkiego drewna, nie pozostało nic prócz popiołu o gorzkawym zapachu. Senatorowie prędko doszli do wniosku, że należy jak najszybciej znaleźć winnego tego strasznego pożaru.

Wkrótce cesarz Neron głośno wyraził to, co już wielu wcześniej przeczuwało: „To chrześcijanie ściągnęli na nas nieszczęście”.

Nie minęło wiele czasu, jak pretorianie zagnali do więzień znaczną liczbę przerażonych ludzi. Setki chrześcijan poniosły śmierć w ogrodach cesarza. Zasytych w owcze skóry rzucano na pożarcie dzikim zwierzętom lub palono jako żywe pochodnie, mające oświetlać cesarskie ogrody.

- Gdzie jest ten, którego nazywacie swoim panem?
- Który z was rozkazał podpalić Rzym?
- Wymieńcie imię waszego przywódcy! - tak brzmiały pytania i żądania oprawców.

Mimo niewypowiedzianych mąk nieprędko uzyskali odpowiedź. Długo trwało, nim jeden z umierających, przywiązany do pala głową w dół, wykrzyczał imię człowieka, którego Jezus niegdyś nazwał Piotrem. Twarz torturowanego nabiegła krwią, oczy wyszły z orbit; okazano mu więc łaskę i zakończono jego męki za pomocą pchnięcia mieczem.

Gdy wkrótce potem uwięziono Pawła z Tarsu i jego współbrata, Szymona Piotra, ci nie stawiali oporu. Po raz ostatni wymienili między sobą ukradkowe spojrzenia. Zanim odarto ich z odzienia, Piotr wyciągnął najcenniejszy skarb, jaki posiadał.

„Nie dostaną jej” - pomyślał, wkładając do ust metalowy krążek. Choć jego przełknięcie sprawiło mu ból, wkrótce przedmiot ześliznął się w dół przełyku.

Żołnierze powlekli ich ku ogrodom cezara. Po drodze schwytali kolejne dwa tuziny nieszczęśników. Nie było im dane przeżyć tej nocy, lecz żaden z nich nie narzekał na okrutny los. Kiedy Szymona przybijano do krzyża, rozciągając go głową w dół, kilka kroków dalej Pawła - obywatela rzymskiego - uśmiercono przez ścięcie głowy.

Umierali w milczeniu; Paweł natychmiast, Piotr długo, w męce. Lecz obydwaj zakończyli życie w przekonaniu, że to, co najcenniejsze, nie przepadło.

CZEŚĆ PIERWSZA

Najpierw uwięziono znanych ludzi, następnie na podstawie ich doniesień jeszcze wielu następnych. Nie oskarżono ich wprost o podpalenie, lecz ogólnie o nienawiść do ludzi. Skazanych na śmierć wykorzystano w widowisku. Owinięto ich w zwierzęce skóry i wydano psom, żeby ich rozszarpały. Innych przybito do krzyży albo podpalono, żeby płonęli jako pochodnie po zapadnięciu ciemności.

Tacyt

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Awinion, czasy współczesne

Do końca upalnego dnia czerwca pozostało zaledwie parę godzin. Zachodzące słońce stało nisko nad horyzontem. Ciepłe, pomarańczowe promienie oświetlały dachy starego miasta. Wzniesione z jasnego wapienia, mury papieskiej rezydencji lśniły złocistym blaskiem. Powietrze unoszące się pomiędzy domami pachniało ziołami i olejkiem lawendowym.

Oślepiiony nagłą zmianą oświetlenia, Piotr Garnier zacisnął powieki. Za chłodnymi, wysokimi murami i w krętych korytarzach papieskiego pałacu było znacznie ciemniej. Zdecydował się go odwiedzić na krótko przed zamknięciem. Jako miejscowy znał go doskonale od najwcześniejszych lat szkolnych. Lecz dopiero po intensywnych studiach i własnych badaniach mógł z czystym sumieniem powiedzieć, że poznał każdy zakamarek pałacu.

Piotr Garnier poczuł się w tej chwili niemal tak potężny, jak zapewne niegdyś panujący tu książęta Kościoła¹. Równocześnie dręczył go niepokój. Dos-

¹ W 1309 roku Awinion, w Prowansji nad Rodanem, stał się siedzibą papieża. Główną przyczyną opuszczenia Rzymu przez dostojników kościelnych była ich bezsilność wobec dynastycznych wojen we Włoszech, a głównie w Rzymie, oraz uleganie rosnącemu wpływowi króla francuskiego. Tzw. „awi-

konale zdawał sobie sprawę ze znaczenia informacji, które posiadał. Szybkim krokiem skręcił w lewo, w opadającą w dół boczną uliczkę. Mury, otaczające kompleks budowli, z każdym jego krokiem w dół robiły wrażenie wyższych. Wkrótce owionął go chłód.

Z ciemnego zaułka wychynęła niepostrzeżenie jakaś postać. Rozliczne place starego miasta otaczały uliczne kawiarenki, przez cały rok pełne turystów. Lecz wąski zaułek, wybrukowany „kocimi łbami”, którym podążali Piotr i jego prześladowca, był niemal bezludny. Gdzieś w oknie przeciągał się kot, gdzie indziej zaszczekał pies. Minęła ich jedynie zgarbiona staruszka z ciężką torbą zakupów. Jej kroki ucichły za najbliższym rogiem. Potem znów zapadła cisza.

Należało zaatakować z tyłu, upozorować napad rabunkowy, tak żeby zmylić trop policji. Narzędziem zbrodni była najzwyczajniejsza nylonowa pończocha. Zabójca zamierzał błyskawicznie wyciągnąć ponad głowę ofiary swoje ręce, w których trzymał rozciągniętą pończochę, lecz w ostatnim momencie Piotr Garnier wyczuł niebezpieczeństwo. Odwrócił głowę. Dwie silne dłonie zacisnęły się na jego szyi. Bez skutku walczył o haust powietrza. Ostatnią rzeczą, którą zobaczył, były zimne oczy napastnika. Znał tę twarz. Przerażony, bezgłośnie wyszeptał:

- To ty? Dlaczego właśnie ty?

„awiniońską niewolę papieża” zakończył Grzegorz XI, przenosząc w 1377 roku stolicę papieską z powrotem do Rzymu. Mimo to awiniońscy kardynałowie nadal wybierali własnych papieża, zwanych od tej pory „antypapieżami”. Awinion pozostał stolicą papieża do 1408 roku. Okres ten nosi też nazwę „wielkiej schizmy zachodniej”.

Potem stracił przytomność, a jego bezwładne ciało uderzyło głucho o twarde kamienie bruku.

Fryburg Bryzgowijski, kilka dni później

Marlena Schönberg otworzyła drzwi swego mieszkania na przedmieściu. Piękna pogoda w ostatnich dniach maja wiele obiecywała, lecz od dwóch tygodni kobieta codziennie marzyła, gdy rano opuszczała dom. Ledwie włożyła dżinsową kurtkę do szafy, usłyszała miękki odgłos łapek swego współmieszkańca. Zmęczona i spięta, z utęsknieniem wyczekiwała końca tygodnia. Cieszyła ją perspektywa spokojnego odpoczynku przy nowej powieści. Szczerze mówiąc, nieco inaczej wyobrażała sobie swoje życie, zarówno zawodowe, jak i prywatne. A zaczęło się ono bardzo obiecująco.

Swe prawdziwe powołanie odnalazła po dwóch latach poszukiwań. W ten delikatny sposób określała nieukończone studia na wydziale ekonomiki przemysłu. Przerwała je, owładnięta wewnętrzną potrzebą zgłębiania historii i dziejów kultury. Wtedy jeszcze mieszkała w Ratzbonie. Choć jej rodzice mieli nadzieję, że kiedyś powróci do Berlina, została na południu kraju.

Studia historyczne we Fryburgu wreszcie otworzyły przed nią nowe perspektywy. Niemniej jej zainteresowanie archeologią można było wciąż określać jako czysto teoretyczne. Bez żalu pozostawiła innym męczące podróże do odległych zakątków świata. Fascynowały ją natomiast dzieła niemieckich historyków na tematy filozoficzne i teologiczne. W miarę trwania studiów zgłębiała je z coraz większą pasją, konsekwentnie podążając wybraną drogą. Spędziła jeden semestr w Anglii, później

jeszcze jeden w Rzymie. Ojciec był bardzo szczęśliwy, gdy wreszcie uzyskała tytuł magistra. Matka omal nie pękła z dumy, gdy równo przed rokiem opublikowano rozprawę doktorską jej córki.

Później jednak świeżo upieczona pani doktor utknęła w dość nudnym archiwum średniej wielkości muzeum. Kilka lat wcześniej zdeponowano w nim pokaźną liczbę średniowiecznych prac, głównie o tematyce teologicznej i medycznej. W pierwszych tygodniach Marlenę pasjonowało przeglądanie i katalogowanie starych ksiąg. Szybko ją jednak znudziły, gdy odkryła, że są to pisma mało znanych autorów, nieprzedstawiające większej wartości naukowej. Czytając kolejne, odnosiła wrażenie, że już je wcześniej widziała. Wkrótce straciła nadzieję na jakieś ważniejsze odkrycie, na upragnioną sensację.

Tuż przed Bożym Narodzeniem zerwanie z Marcinem, z którym mieszkała od kilku lat, przepełniło czarę goryczy.

Brian, dorodny, biało-rudy kocur, obejrzał torbę z zakupami. Zawsze dostawał świeży posiłek zaraz po powrocie swej pani. Lecz tym razem Marlena nie dopełniła codziennego rytuału. Ku rozczarowaniu zwierzaka, pospiesznie postawiła torbę na kuchennym blacie i ruszyła w kierunku telefonu. Gdy weszła do przedpokoju, spostrzegła, że na ekraniku automatycznej sekretarki widnieją cztery wiadomości. Odkąd Marcin zabrał ostatnią parę skarpetek i ostatnią książkę, telefon milczał. Jej rodzice nie uznawali rozmów z automatem.

W czasie gdy kot z szelestem usiłował rozwinąć kawałek sera z folii, Marlena z rosnącym rozczarowaniem wysłuchiwała informacji, że wystarczy wybrać podany numer, by przy odrobinie szczęścia wygrać nowe porsche cabrio. Zniechęcona, już mia-

ła odejść od automatycznej sekretarki, gdy usłyszała trzaski.

- *Madame Schönberg...* - długo wymawiane, nosowe *e* zdradzało pochodzenie telefonistki - Czy odbierze pani rozmowę z Francji?

Przemknęło jej przez głowę, że ktoś usiłował uzyskać połączenie na koszt odbiorcy.

Zaraz potem ktoś z drugiej strony odłożył słuchawkę. Marlena odniosła wrażenie, że telefonistka fałszywie zinterpretowała usłyszany tekst. Kolejną wiadomością był bowiem jedynie odgłos odkładanej słuchawki. Wyglądało na to, że rozmówca po raz drugi spróbował szczęścia. Zaciekawiona Marlena nacisnęła guzik, odtwarzający następne nagranie. Tym razem usłyszała męski głos:

- Pani Schönberg, proszę wybaczyć, że przeszkadzam. Nie zna mnie pani. Przeczytałem pani rozprawę doktorską i mam nadzieję, że zechce mi pani pomóc w osobistej sprawie. Proszę do mnie oddzwonić - powiedział nieznajomy, po czym podał numer telefonu. - Tutaj mówi się również po angielsku. Proszę po prostu spytać o Roberta Garniera -dodał na koniec.

Po wieczornej przekąsce zadowolony Brian wyciągnął się u stóp opiekunki. Ponieważ pracownicy muzeum żywili się w kantynie firmy ubezpieczeniowej z naprzeciwka, Marlena rzadko jadała w domu kolacje. Tego dnia kocurowi przypadły dwie kanapki z tuńczykiem. Opłaciło mu się czekać.

Zanim młoda pani doktor podniosła słuchawkę, zastanawiała się, kto czeka na połączenie po drugiej stronie. Ale istniał tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać: wykręcić podany numer. Zgarnęła z czoła długie, kasztanowe włosy. Zawsze gdy rozmyślała, nawijała sobie pasemko na palec - aż do

końca. Brian nierzadko uznawał to za zaproszenie do zabawy i usiłował schwytać kosmyk. Lecz teraz żadne atrakcje na świecie nie byłyby w stanie ruszyć go z miejsca u stóp Marleny.

Dopiero po pięciu dzwonek szept i szcęk zdradziły, że ktoś po drugiej stronie linii zdecydował się przyjąć rozmowę.

- Dobry wieczór. Tu więzienie Les Baumettes w Marsylii. Przy telefonie komisarz Mitron.

Połączyła się z najcięższym zakładem karnym we Francji.

*Remoulins, 20 kilometrów na zachód od Awinionu,
27 października 1923*

Tego roku jesień była niezwykle ciepła. Przez cały miesiąc ani razu się nie ochłodziło, ani razu nie spadł deszcz. Dlatego winnice wydały obfity plon. Wiktor Garnier zebrał najlepsze winogrona w całym stuleciu. Niebawem skosztuje pierwszego w tym roku wina. Już wiedział, że wyprodukuje doskonały rocznik. Mimo zaawansowanego wieku i znacznego majątku, wielki obszarnik nie stronił ani od codziennej pracy, ani od wyjazdów. Wręcz przeciwnie: szukał kontaktu ze swymi pracownikami i cieszył się powszechną sympatią. Zwano go *maitre Yignernon*, panem winnic z Remoulins. Przy czym większa część jego majątku leżała w granicach sąsiedniej gminy, gdzie też wytłaczał sok z winogron. Jego dom od niepamiętnych czasów stał jednak w małej miejscowości nad rzeką Gardon. Wiktor Garnier był związany całym sercem zarówno z nią, jak i z całą swą małą ojczyzną.

Nowy dzień dopiero wstawał. Jeszcze nie zapał pierwszy kogut. Łąki pokrywała poranna rosa. Fio-

letowe smugi na horyzoncie zapowiadały malowniczy wschód słońca. Lecz sielskie widoki nie cieszyły Pawła, młodego parobka Wiktora Garniera. Wręcz przeciwnie: przypominały mu, po co przemierza o tak wczesnej godzinie - na zlecenie swego pana - trzykilometrową trasę do sąsiedniego majątku, i to ubrany w swój najlepszy garnitur. Ubiegłej soboty stary właściciel winnicy naubliżał przy świadkach, na rynku, swemu sąsiadowi i najgorszemu wrogowi - Albertowi Duchontowi. W rezultacie doszło do rękoczynów. Wyprowadzony z równowagi Albert podbił oko Wiktorowi swym słynnym prawym sierpowym. Dopiero siedmiu silnych mężczyzn rozdzieliło walczących. W niedzielę Wiktor Garnier oglądał księdza w kościele jednym tylko okiem. Za to wszyscy obecni widzieli jego paskudny siniec. W okolicy tego rodzaju wieści rozchodziły się lotem błyskawicy. Pobity właściciel winnicy nie darował zniewagi.

Najstarsi mieszkańcy Remoulins twierdzili, że nienawiść pomiędzy Garnierami i Duchontami tliła się już od wielu pokoleń. Na temat jej przyczyn snuto rozmaite przypuszczenia. W każdym razie Paweł wiedział znacznie więcej niż pozostali mieszkańcy wioski. Niemniej wolałby dać sobie uciąć język, niż zdradzić sekret. Otóż Helena, pomoc kuchenna Garnierów, kilka tygodni temu wyznała mu w czasie ich miłosnej schadzki, że podsłuchiwała rozmowę, w której wspomniano historię z zamierzonych czasów. Podobno kilkadziesiąt lat temu pradziadek Duchontów bezprawnie zagarnął - i to w niejasnych okolicznościach - dwa zagony winorośli, należące do rodziny Garnierów. Gdyby przynajmniej na przywłaszczonej ziemi pielęgnował drogocenne szczepy, pokrzywdzeni pewnie wybaczyliby mu za-

bór mienia. Lecz on wyciął je w pień i obsadził zagarnięte grunty szpalerami drzew owocowych. *Pecbe* zamiast *grenacbe* - likier brzoskwiniowy zamiast czerwonego wina - niewybaczalny grzech! Podobno istniała gdzieś dokumentacja tego odwiecznego sporu. Niestety, Helena nie dowiedziała się niczego więcej. Kucharka przyłapała ją bowiem na podsłuchiwaniu pod drzwiami i zdzieliła w ucho.

Rzeka Gardon, w skrócie zwana Gard, niosła swe wody przez cały rok z Cevennen przez Remoulins i wpadała do Rodanu. Majątek Garnierów leżał dalej, z tyłu, od strony Uzes, podczas gdy ziemie Duchontów graniczyły niemal bezpośrednio z Remoulins. Najkrótsza do nich droga wiodła po części wzdłuż rzeki. Dlatego Paweł wiedział, że od najbliższego zakrętu będzie miał już niedaleko do celu. Nawiasem mówiąc, nakłonienie Heleny, by poprosiła ochmistrzynię o przygotowanie mu niedzielnego garnituru już na sobotę, a właściwie na poprzedzający ją wieczór, kosztowało go sporo wysiłku. Ostatecznie przekonał ją bukiet dorodnych kwiatów.

Mademoiselle Dafne, stara ochmistrzyni Garnierów, nie znała litości. Nie uznawała też żadnych odstępstw od codziennej rutyny. Nie tolerowała zmian w planie dnia nawet w uzasadnionych czy wyjątkowych przypadkach. Helena chodziła więc koło niej na paluszkach i przymilała się, jak tylko umiała. W końcu udobruchała Dafne na tyle, że ta wyczyściła ubranie Pawła, świeżo wykrochmalila koszulę i oddała jej bez słowa. Młodzi doskonale zdawali sobie sprawę, że w najbliższych dniach lepiej będzie schodzić starej pannie z drogi. Nie ulegało wątpliwości, że jeśli znajdzie jakikolwiek powód, to para dostanie solidną burę.

Paweł nie pojmował, czemu właśnie jemu, zwykłemu parobkowi, pan powierzył rolę sekundanta. Najbardziej przeszkadzał mu warunek dochowania tajemnicy. Nawet najbliższa rodzina Wiktora Garniera miała zostać poinformowana o wszystkim dopiero po fakcie. Antoniemu, swemu jedyjnemu synowi, Wiktor przesłał wiadomość w zalakowanej kopercie przez umyślnego posłańca. Młodzieniec studiował w Awinionie. Oczywiście, Paweł nie potrafił zachować w sekrecie przed Heleną sensacyjnej wiadomości. Zresztą nawet nie próbował. Przewidywał, że w nowej roli urośnie w jej oczach do rangi bohatera. A pewnego dnia on sam zostanie posiadaczem kawałka ziemi, zacznie uprawiać winorośl i tłoczyć własne wino. Wtedy uczyni z Heleny gospodynię całą gębą. Na razie jednak należało wystąpić w obronie honoru starego *Maitre*.

Chociaż reguły drobiazgowo określały przebieg konfrontacji, starzy rywale o nie nie dbali. Wszędzie na świecie pojedynki powoli wychodziły z mody, lecz stronom konfliktu właśnie ten sposób odpowiadał najbardziej. Żądza zemsty nakazała im wyrównać także stare porachunki. Dawnymi czasy miał już ponoć miejsce jakiś pojedynek między ich rodzinami, na szpady, lecz nikt nie potrafił o nim powiedzieć niczego konkretnego.

Żadna postronna osoba nie знаła przyczyn ich wzajemnej wrogości. A teraz nawet swego osobistego lekarza Wiktor Garnier poinformował o planowanym pojedynku z najwyższą niechęcią. Wydał mu też następujące polecenie:

- Jeśli los zrządzi, że nie przeżyję tego dnia, utrzymaj mnie w przytomności tak długo, bym zdążył przekazać synowi moje ostatnie przesłanie. Nie

potrzebuję nic więcej prócz jasnego umysłu i kilku minut życia.

Albert Duchont wyznaczył na sekundanta swego syna, szesnastoletniego Marcina. Ponieważ jedynego lekarza we wsi zamówił wcześniej Garnier, Duchont nie pozwolił sobie sprzątnąć sprzed nosa miejscowego proboszcza. Oczywiście ksiądz z oburzeniem tłumaczył, że dwaj panowie łamią Boskie przykazania, lecz gdyby oszczędzono mu udziału w gorszącym spektaklu, doznałby gorzkiego rozczarowania. Tam gdzie czyhała śmierć, nie powinno zabraknąć osoby duchownej.

I oto po najchłodniejszym z możliwych uściśnięciu rąk, dwaj starsi panowie odwrócili się do siebie plecami. Ponieważ Duchont został wyzwany na pojedynek, przysługiwało mu prawo wyboru broni. Zdecydował się na pistolety, przede wszystkim z sentymentu do swego ukochanego cacka: kawaleryjskiego pistoletu, okrytego chwałą w ostatniej kampanii wojennej. Jego właściciel widział i Rosję, i Niemcy. Tylko cudem powrócił do ojczyzny. Drugi powód był bardziej prosty, wręcz prozaiczny: pan Duchont nie czuł się już na siłach walczyć białą bronią.

Polana, wąski, długi pas nieuprawianej ziemi, leżała pomiędzy majątkami zwaśnionych rodów. Ugór należał niegdyś do spornego obszaru. Gdzieś wśród traw znajdowały się fundamenty budowli, którą wznosił jeden z przodków Garnierów. Jednak Albert Duchont zdołał przed paroma laty obalić skargę rodziny rywala. W ramach rewanżu dostarczył drewna na pokrycie ratusza nowym dachem. Jego rodzina zawsze przodowała w wyszukiwaniu kruczków prawnych, przydatnych w zdobywaniu

nowych gruntów, co bardzo bolało ich przeciwników. Jednak nawet opanowanie całego terytorium Francji nie zrównoważyłoby w sercach obu starców tego, co od niepamiętnych czasów należało do ich rodzin. Ale wydarzenia tego ranka mogły przechylić szalę w całkiem inną stronę.

Fryburg, czasy współczesne

- Ależ Leno, czy rzeczywiście musisz cokolwiek komukolwiek udowadniać? Chyba co najwyżej sobie samej.

Telefoniczne rozmowy z matką bywały wyczerpujące. Mimo że Marlena wcześniej wyprowadziła się z domu rodziców, wciąż traktowali ją jak dziecko.

- Och, mamó! Przecież Marsylia to nie koniec świata - zaprotestowała.

- Racja, tyle że jedziesz do groźnego przestępcy.

Po tych słowach matka zrobiła przerwę dla nabrania oddechu przed wygłoszeniem kolejnego monologu. Marlena wykorzystała okazję, żeby wpaść jej w słowo:

- Robert Garnier siedzi tylko w areszcie śledczym. I nic nie przemawia przeciwko niemu prócz paru słabych poszlak. Sprawdziłam to w Internecie.

Nie przekonała matki.

- Dlaczego akurat ty musisz mu pomagać? Czy w Marsylii brakuje adwokatów?

- Nie o to chodzi. Pan Garnier jest przekonany, że zamordowanie jego ojca ma związek z rodzinną historią, a ta z kolei z dziejami Kościoła w Awinionie.

- Aha, teraz rozumiem. A więc wystarczył jeden telefon od nieznajomego i jakaś niejasna teoria,

byś wszystko porzuciła i podążyła całkiem nieznanym tropem.

- Jesienią kończy się mój kontrakt z muzeum, a jeszcze nie brałam urlopu w tym roku. W Berlinie czekają na moją decyzję, czy przyjmę posadę wykładowcy. Czemu nie skorzystać z okazji, by wyrobić sobie dystans do ich propozycji i w spokoju przemyśleć całą sprawę?

Marlena wspomniała o ofercie ze stolicy na przynętę. Jej dziadek należał przed wojną do czołowych wykładowców stołecznego uniwersytetu. Później jednak zwinął żagle i wyemigrował do Anglii. Tam urodził się ojciec Marleny. Na początku lat sześćdziesiątych rodzina powróciła do Niemiec, podobno wskutek nalegań babci Elżbiety, która dopiero wtedy poznała swoją wnuczkę. Dziadek Anton nie miał tyle szczęścia. Niespełna rok po powrocie zmarł na zapalenie płuc. Zostawił po sobie bolesną pustkę. Marlena w skrytości ducha wolałaby stracić ojca matki, zgorzkniałego ponuraka, który nigdy nie odżałował utraconego raju, owej Tysiącletniej Rzeszy, której w sercu pozostał wierny. Nie mówiono na ten temat, lecz prawdopodobnie w czasie wojny robił okropne rzeczy.

Marlena odpędziła wspomnienia. Oczywiście, uważała berliński okres swego życia za szczęśliwy, lecz ponieważ wychowała się w rodzinie doktorów i profesorów, uznała, że powinna sama utorować sobie drogę do kariery. Dlatego właśnie tak szybko zrobiła doktorat. Potrzebowała tytułu naukowego, by wyjść z cienia sławnych przodków. W końcu osiągnęła zamierzony cel.

- Posłuchaj, mamusiu. Wylatuję tam dopiero w poniedziałek. Zarezerwowałam sobie lot z Berlina. Chętnie bym was wcześniej odwiedziła, mię-

dzy innymi po to, by trochę poszperać w książkach.

- Czekamy z utęsknieniem. Jak przyjedziesz, pogadamy dłużej o wszystkim.

Propozycja brzmiała kusząco. Marlena uznała, że warto z niej skorzystać. O ile jej matka zaakceptuje fakt, że w żadnym wypadku nie zmieni zdania w kwestii planowanej podróży, to czekał ją wspaniały weekend.

ROZDZIAŁ DRUGI

Remoulins, 27 października 1923

Wiktor Garnier popatrzył na północ. Odszedł przepisowe dziesięć kroków w kierunku swych włości. Jeśli polegnie, to za to, co jego rodzina osiągnęła pracą wielu pokoleń. Podobne myśli mknęły przez głowę Alberta Duchonta, gdy zajmował swoją pozycję. Popatrzył na swoją posiadłość. Dostrzegł wstęgę dymu z komina swego domu, ukrytego za najbliższym wzgórzem. Czy tam usłyszą strzały?

Osiem, dziewięć, dziesięć.

Obydwaj mężczyźni równocześnie obrócili górną połowę ciała. Prawe ręce, w których trzymali odbezpieczoną broń, błyskawicznie przecięły powietrze. *Maitre* dokończył obrót w lewo, by możliwie precyzyjnie namierzyć przeciwnika. Zanim zdążył nacisnąć spust, tamten szybkim ruchem również skreślił biodra - ale w prawo i strzelił, ledwie dostrzegając kątem oka Garniera. Zaraz po pierwszym wystrzale zahuczał drugi. Nim kula właściciela winnicy rozerwała szyję Alberta Duchonta, ten zobaczył, jak jego śmiertelny wróg zwija się z bólu, z wykrzywioną cierpieniem twarzą. Jego szybki, ryzykowny manewr przyniósł pożądany skutek. Wprawdzie kosztował go życie, lecz wy-

glądało na to, że przeciwnik również nie przeżyje.

Obydwaj mężczyźni upadli na trawę. Sekundanci skoczyli ku leżącym i wyjęli im broń z rąk. W ślad za nimi pospieszyli lekarz i ksiądz.

Krwawe porachunki, zwłaszcza takie z dwiema śmiertelnymi ofiarami, nie należały w Remoulins do codziennych widoków. Dotychczas obowiązki doktora Renarda na ogół ograniczały się do odbierania ciężkich porodów i leczenia przewlekłych infekcji. Udzielał pomocy zarówno ludziom, jak i zwierzętom. I skrycie marzył, by - choć od dawna tego nie robił - wyjąć komuś kulę pomiędzy żeber. Ukłąkł przy swoim starym przyjacielu. Na czoło Wiktora Garniera wystąpił zimny pot.

- Doktorze! - wystękał. - Chyba nie pozwolisz mi umrzeć tu, na zimnej trawie, na łące Duchontów?

- Nic ci nie mogę obiecać przyjacielu, póki nie sprawdzę, gdzie utkwiała kula.

Po tych słowach Renard wyjął brzytwę i rozciął koszulę rannego. Gdy odchylał na boki przesiąkniętą krwią tkaninę, Wiktor skulił się i jęknął. Płytki oddech i kaszel nie wróżyły nic dobrego. Rzeczywiście, wyglądało na to, że kula trafiła pomiędzy żebra. Nie utknęła jednak pomiędzy nimi, lecz dotarła aż do płuc. Doktor Renard ujął dłoń starszego mężczyzny i zajrzał mu głęboko w oczy. Zanim zdążył otworzyć usta, Garnier zrozumiał go bez słów.

- Teraz wszystko zależy od ciebie, doktorze - wydyszał resztką sił. - Musisz wszystko opowiedzieć synowi.

Renard skinął głową. Wiedział, o co chodzi. Tę wiedzę przekazywano sobie z ust do ust, z ojca na syna. Od pięciuset lat.

Gdy ranny wydał ostatnie tchnienie, doktor wstał. Długo patrzył na Wiktora Garniera III, wielkiego obszarnika, króla winnic. Teraz skulony na ziemi, śmiertelnie raniony przez martwego już Alberta Duchonta, nagle przestał sprawiać imponujące wrażenie.

Kiedy lekarz w końcu odwrócił wzrok, wymamrotał:

- Bardzo mi przykro, przyjacielu.

Cale ciało siwego ogiera rasy Camargue parowało potem w zimnym, porannym powietrzu. Antoni jechał na skróty przez pola i bezdroża tak szybko, jak tylko mógł. Mimo to przybył za późno. Pojął, że nie zdążył na czas, kiedy usłyszał dwa strzały; jeden zaraz po drugim. Przeszedł go dreszcz. Nawet koń zadrżał.

Ostatni odcinek drogi Antoni przebył na piechotę przez sięgającą kolan trawę. Gdyby nie wysokie buty do konnej jazdy, poranna rosa przemoczyłaby mu spodnie już po pierwszych krokach. Za starymi platanami zobaczył Pawła. Tamten również go dostrzegł i coś krzyknął. Jego silny zazwyczaj głos teraz drżał.

- Witaj, Pawle! - Antoni zdjął prawą rękawicę i wyciągnął rękę na powitanie. - Co tu się dzieje?

- Twój ojciec właśnie pojedykował się z Duchontem. I zabił go, to pewne. Tyle, że nic na tym nie zyskał. On chyba również odniósł śmiertelną ranę. Jest przy nim lekarz. Bardzo mi przykro.

Antoni już wcześniej dostrzegł doktora Renarda. Nie widział tylko, przy kim klęczał. Poza nim i synem Duchonta, którego nie zaszczycił ani jednym spojrzeniem, zastał na miejscu proboszcza. Ksiądz Foulland stał znacznie dalej, przy drugich zwłokach.

„O ile ten drań rzeczywiście nie żyje” - pomyślał Antoni, podchodząc do lekarza.

Doktor Renard wyciągnął rękę na powitanie.

- Bardzo mi przykro, panie Garnier. Nic więcej nie mogłem zrobić dla pańskiego ojca.

Berlin, czasy współczesne

Weekend minął Marlenie jeszcze przyjemniej niż przewidywała, lecz z większymi trudnościami niż się spodziewała. O ile ona sama uważała pracę w muzeum za wyjątkowo nudną, o tyle rodzice najchętniej by ją tam widzieli. Nie przekonała do swoich racji ani matki, ani ojca. Obydwoje otwarcie wyrazili swe obiekcje. Karol Schönberg, syn znanego badacza starożytności, Antona Schönberga, zawsze wolał pracować w miejscu zamieszkania. Opublikował kilka prac na temat Karolingów, które zrobiły wielkie wrażenie na jego europejskich kolegach. Marlena natomiast zajmowała się kwestią powiązań pomiędzy świeckimi władcami i papieżem. Od początku swej pracy naukowej badała konflikt interesów pomiędzy „boskimi” cesarzami jako następcami rzymskich cesarów i papieżami. Śledziła strategię, jakie Kościół stosował w tamtych epokach, by umocnić swą władzę. Marzyła, by opracować poczet papieży w bezpośrednim powiązaniu z ich świeckimi odpowiednikami - cesarzami. Jeszcze bardziej pociągała ją możliwość przebadania dziejów awiniońskiego okresu papieństwa.

- Właściwie w jaki sposób znalazł cię ten Garnier? - spytał ojciec.

Marlena uśmiechnęła się z dumą.

- Być może dlatego, że niedawno opublikowałam interesującą go pracę. Wystarczy wpisać odpowiednie hasło w wyszukiwarkę.

- A zatem dla niego szperasz w archiwach, podczas gdy on siedzi w więzieniu?

- W zasadzie tak. Pan Garnier nie chce wzbudzać sensacji. Jego adwokat twierdzi, że w obecnej chwili nikomu nie może zaufać. Dlatego wybór padł na osobę, która nie pochodzi z Francji.

- To znaczy na ciebie.

Marlena zaczęła tracić cierpliwość. Rozmowy z ojcem zawsze nasuwały jej skojarzenia z przesłuchaniami Inkwizycji.

- Nie utrudniajcie mi zadania! - zaprotestowała w końcu. - Wyraziłam tylko zgodę na przeprowadzenie badań historycznych na zlecenie więźnia. Liczy na to, że ich wynik pozwoli znaleźć motyw zabójstwa jego ojca. Obowiązek wykrycia zabójcy będzie już spoczywał na policji. Za moją pracę dostanę godziwe wynagrodzenie. Poza tym wolno mi po pierwszym z nim spotkaniu odmówić przyjęcia zlecenia.

Watykan

W pochmurne przedpołudnie kardynał Montanelli z ciężkim westchnieniem wyjrzał przez okno na huczące Wieczne Miasto. Przewidywał, że lato będzie parne.

- *Monsignore*, rozmowa! - zaanonsował jego sekretarz przez wewnętrzny telefon.

Mimo że urządzenie zniekształcało głos, słysząc w nim było lęk anonsującego przed zapalczywym szefem. Podwładny nie ważył się przekroczyć ciężkich, dębowych drzwi, dzielących przedpokój od gabinetu dostojnika.

Kardynał podniósł słuchawkę. Tym razem nie warknął do niej, jak zwykle, lecz przemówił spokojnie:

- Tak, słucham?

- Przepraszam, że przeszkadzam, *monsignore*, ale mam pilną wiadomość.

- Leopold? - wykrzyknął zdumiony Montanelli. - Myślałem, że uczestniczysz w pielgrzymce do Prowansji. Co się stało?

Rozmówca wypowiedział kilka zwięzłych zdań.

Po zakończeniu rozmowy Montanelli, nadal zadziwiająco spokojny, poprosił o połączenie przez wewnętrzny aparat. Gdy tylko je uzyskał, oznajmił:

- Prawdopodobnie mamy kłopoty na południu Francji. Konkretnie w Awinionie.

Po drugiej stronie ktoś ciężko westchnął. Jak zwykle - z Watykanu nie mógł się spodziewać niczego dobrego.

Marsylia

Gdy samolot z lekkim szarpnięciem opadł na pas startowy lotniska Aeroport de Marseille Provence, Marlena poczuła, że uchodzi z niej napięcie. Uwielbiała latać. Największą przyjemność odczuwała, gdy maszyna nabierała prędkości po starcie, ale lądowanie też lubiła.

Po nieskończone długim oczekiwaniu na odbiór bagaży załadowała je na wózek i udała się ku wyjściu, by wezwać taksówkę. Zarezerwowała sobie miejsce w hotelu w centrum miasta. Zamierzała też wynająć auto. Najpierw jednak musiała ocenić, czy i na jak długo tu zostanie.

Po opuszczeniu terminalu stwierdziła, że jak na początek lata dzień jest całkiem przyjemny - choć nie za gorący, to znacznie cieplejszy niż w jej ojczyźnie. Zanim wybrała taksówkę z długiego szeregu, spoza jednej z kolumn, przy wejściu, wysunął

się jakiś człowiek i ruszył w jej kierunku. Miał cerę południowca i wspaniałą sylwetkę. Zagadnął ją niepokojąco niskim głosem:

- *Docteur* Schönberg?

Nie rozpoznała po akcencie, czy zawrócił się do niej po francusku, niemiecku czy angielsku?

- Tak, to ja - odpowiedziała niepewnie w ojczystym języku.

Obcy uśmiechnął się.

- Przybyłem tu na zlecenie Roberta Garniera - oznajmił poprawnie po niemiecku. - Proszę mi dać bagaż. Zawiozę panią do miasta. A jutro przyjadę do pani hotelu, żeby zabrać panią do więzienia.

Zanim Marlena zdążyła otworzyć usta, zdjął z wózka jej walizkę. Ruszył pomiędzy parkującymi taksówkami w kierunku ciemnoszarego renault. Szybkimi ruchami załadował jej dobytek do bagażnika i otworzył drzwi po stronie pasażera.

- Do którego hotelu panią zawieźć?

- Do Mistrala, w pobliżu portu.

Kilka minut później samochód podążył w kierunku śródmieścia.

Remoulins, październik 1923

W domu panowała ciężka, przygnębiająca cisza. Pan nie żył. Jego przeciwnik również. Rodzinom pozostała jedynie żałoba. Zaraz po dotarciu na miejsce pojedynku, Antoni wysłał Pawła z powrotem do dworu. Na młodego parobka spadł obowiązek przyniesienia domownikom tragicznej wiadomości, bo to jego stary Garnier wybrał na sekundanta. Gdy w końcu Antoni, wraz z lekarzem, przybył do majątku, przyjęła ich pogrążona w cichej rozpaczce pani domu i lamentująca służba.

Wiktor Garnier został pochowany trzy dni później, dzień po pogrzebie swego odwiecznego wroga. Ponieważ Duchont poniósł śmierć o minutę wcześniej, przysługiwało mu pierwszeństwo. Odprawiono dwa osobne nabożeństwa i wyprawiono dwie osobne stypy. Celowo wybrano dwa różne terminy, ponieważ uczestniczyli w nich przeważnie ci sami goście.

U Garnierów w gabinecie na piętrze panowały ciemności. Przez wpółotwarte drzwi wpadało słabe światło. Za oknem szarówka ustępowała już ciemnościom nocy. Antoni zapalał jedną świecę po drugiej. W końcu pięć płomyków oświetliło pomieszczenie. Jego ojciec często siadywał z fajką za biurkiem w świetle pięcioramiennego, srebrnego świecznika.

W dniu twoich dwudziestych piątych urodzin przekażę ci nasz rodzinny sekret.

Jakże często w dzieciństwie słyszał to zdanie! Ojciec zabierał go do swego gabinetu, huśtał na kolanie i wspominał dawne czasy. Za każdym razem, gdy oczy starego hodowcy winorośli błyszcząły dziwnym blaskiem, wpatrzone gdzieś w niezmierzoną dal, Antoni uświadamiał sobie, jak wiele znaczyło dla niego owo tajemnicze przesłanie. I oto teraz, po swoich dwudziestych czwartych urodzinach, nagle został sam, nieświadomy jego treści. Ale zapewne ojciec jeszcze przed pojedyńkiem zostawił mu jakieś wskazówki - i to niewątpliwie gdzieś tu, w swoim gabinecie.

Antoni wstał. Przeszedł wzdłuż regałów z książkami, pogrążony w rozmyślaniach. W dzieciństwie surowo zabroniono mu wchodzić tu bez dozoru. Od czasu do czasu ojciec pozwalał tylko, żeby dotrzymał mu towarzystwa, ale sam nie mógł prze-

kroczyć progu gabinetu. Raz, chyba w dniu siódmym czy ósmym urodzin, spróbował schować się za zasłoną. Do dziś lepiej pamięta otrzymane od ojca tęgie lanie niż wyborny tort czekoladowy, jaki *mademoiselle* Dafne zawsze piekła na jego urodziny.

W zadumie podszedł z powrotem do biurka i otworzył obydwie górne szuflady. Wykonany na indywidualne zamówienie sekretarzyk posiadał ich cztery - po każdej stronie oraz odchylany blat. Dzięki tej pomysłowej konstrukcji można było ustawić pulpit ukośnie. Na samym dole, po każdej stronie, znajdowała się otwarta półeczka. Szuflady wypełniały papiery. Po chwili wahania Antoni wyciągnął zawartość szuflad na blat sekretarzyka.

Po dziesięciu minutach stwierdził, że nie znajdzie tu nic prócz rachunków, zamówień i kwitów.

ROZDZIAŁ TRZECI

Hotel Mistral w Marsylii, czasy współczesne

„Trzy gwiazdki we Francji nie zawsze odpowiadają przyjętym w Niemczech standardom”. Rzeczywistość potwierdziła i teraz słusność spostrzeżenia Karola Schönberga. Marlena już we wczesnej młodości zauważyła, że mądre przewidywania jej ojca niestety sprawdzają się o wiele za często. W zasadzie nie miała zastrzeżeń co do warunków zakwaterowania. Natomiast stan budynku pozostawiał wiele do życzenia. Niekorzystne jego położenie: pomiędzy dwiema głównymi arteriami komunikacyjnymi, do reszty zniweczyło pozytywne wrażenie, jakie odniosła po obejrzeniu zdjęć reklamowych na internetowym portalu. Dostała pokój na drugim piętrze w tylnej części budynku. Mogła tam wygodnie dojechać windą. Nie było tam jednak żadnego barku. Za to klimatyzacja charczała z wysiłku, by powstrzymać napływ dusznego powietrza z zewnątrz.

Mężczyzna, który przywiózł ją do hotelu, przedstawił się jako Karol. Nazwiska nie uznał za stosowne wymienić. Twierdził, że jako zaufany rodziny Garnier zajmuje się sprawami Roberta Garniera podczas jego nieobecności. Jego zdaniem Robert nie powinien siedzieć. Padł ofiarą ohydneho oszczerstwa. Przedstawiciele prawa wkrótce to zrozumieją.

Tyle to Marlena wiedziała i bez niego. Niecierpliwie czekała, kiedy dowie się czegoś więcej. Karol dał jej jasno do zrozumienia, że na dalsze informacje musi poczekać do następnego dnia. Wtedy młody Garnier osobiście przedstawi jej swoją historię.

Marlena od dzieciństwa uwielbiała południową Francję. Już teraz postanowiła, że jeśli opowieść Roberta otworzy przed nią perspektywę intrygujących poszukiwań, przyjmie jego zlecenie i zajmie się sprawą.

Remoulins, styczeń 1924

Kilka dni po Nowym Roku trochę poprószyło. Opady śniegu w tym rejonie należały do rzadkości, niemal wzbudzały sensację. We wszystkich ogródkach i na podwórkach rozbrzmiewał wesoły śmiech dzieci. Lecz ich radość nie rozproszyła smutku obydwu starych rodów. Zarówno Duchontowie, jak i Garnierowie świętowali Boże Narodzenie bez swoich patriarchów. Na mszę założyli czarne ubrania. Ani jedna, ani druga strona podczas uroczystości nie zaszczyciła swoich wrogów choćby jednym spojrzeniem.

Dziesięć dni po pogrzebie Antoni Garnier odwiedził pierworodnego syna Duchontów. Zaproponował mu coś w rodzaju traktatu pokojowego. Jego główne punkty to zakaz otwartego okazywania wrogości i dalszego snucia intryg. Obie strony powinny tak organizować różne przedsięwzięcia oraz uprawiać wszelkiego rodzaju aktywność społeczną, aby nie stwarzało to konieczności nawiązywania wspólnych kontaktów. Począwszy od udziału w nabożeństwach i lokalnych uroczystościach, a skończywszy na współpracy w gminnych gre-

miach, wszystko miało podlegać nowym, bardzo ścisłym regułom. Dotyczyło to również wytyczonych granic obu posiadłości. W głosowaniach zaś,

o ile Garnierowie i Duchontowie zajmowaliby przeciwstawne stanowiska, obydwaj głosy byłyby liczone jako wstrzymujące się. Cała okolica odetchnęła z ulgą, gdy Duchontowie przystali na proponowany układ. I obydwie strony go przestrzegały.

- Jak często będziemy jeszcze musieli przez to przechodzić?

Doktor Renard westchnął. Wsparł głowę o oparcie fotela. Była długa, ponura styczniowa noc. Kominiek słabo oświetlał gabinet. Od dnia śmierci ojca, Antoni Garnier odbył wiele spotkań z lekarzem

i innymi zaufanymi osobami.

- Przykro mi, ale nie mam wyboru - wyjaśnił Antoni.

Starał się nadać głosowi uprzejme i spokojne brzmienie. W rzeczywistości z najwyższą niechęcią przedstawiał swą prośbę lekarzowi jako zrozpaczony petent.

- Proszę się rozejrzeć, przejść wśród regałów z książkami i spróbować cokolwiek sobie przypomnieć. W panu jedyna nadzieja. Gdybym widział inne rozwiązanie, nie należałbym.

Doktor pokręcił głową. Oczywiście rozumiał zrozpaczonego młodzieńca. Syn starego Garniera martwił się o swoje dziedzictwo; mniej o materialny jego wymiar, a bardziej o rodową tradycję. Stary właściciel winnicy miał tylko jednego syna. Dlatego właśnie jemu powinien przekazać rodzinny sekret. Kiedyś lekarz sam wtajemniczył swego potomka w ważne rodzinne sprawy w dniu jego dwudziestych piątych urodzin. Kula Duchonta przerwała ży-

cie Garniera przed tym terminem, dlatego młody Antoni rozpaczliwie szukał śladów przekazu rodzinnego.

Nikt nie rozumiał tych spraw lepiej niż doktor, ponieważ znał sekret tego rodu. Postanowił jednak, że Antoni nigdy nie będzie należał do kolejnego kręgu wtajemniczonych.

Marsylia, czasy współczesne

Marlena wyszła z zaparowanej kabiny prysznicowej. Odkąd ścięła krótko włosy, pozostawało jej rano więcej wolnego czasu. Wykorzystywała go zwykle na dłuższą kąpiel. Lecz teraz musiała się pospieszyć. Śniadanie już czekało. Później miała zobaczyć swego tajemniczego zleceniodawcę.

Klimatyzacja utrzymywała w pokoju przyjemną temperaturę. Za to na zewnątrz czerwcowe słońce paliło silniej niż dzień wcześniej. Właśnie takie lata we Francji pamiętała Marlena.

Karol czekał już na nią przed hotelem, jakby pozostawał wyłącznie do jej dyspozycji przez okrągłą dobę. Wybrała miejsce obok, choć wskazał jej tylne drzwi. Kiedy włączył się do ruchu na pełnej pojeździe ulicy, uznała za stosowne zadać mu parę pytań:

- Jest pan adwokatem i pośrednikiem mojego zleceniodawcy. Czy to pan polecił mnie panu Garnierowi?

Karol nie odrywał wzroku od jezdni.

- Robert panią wskazał. Ja tylko odnalazłem panią w Internecie.

- Od czego zaczniemy pracę po wizycie u pańskiego klienta?

Karol nabrał powietrza w płuca.

- Nie chcę być nieuprzejmy, *madame*, ale proszę cierpliwie poczekać na spotkanie z Robertem. On odpowie na pani pytania. Nie chciałbym go uprzedzać. Rozumie pani?

Marlena skinęła głową.

- Ale po widzeniu z nim nie będę tolerować podobnych wymówek.

- Zgoda.

Karol uśmiechnął się niezobowiązująco. Znów skoncentrował się na prowadzeniu samochodu. Obydwoje zamilkli. Dziesięć minut później skręcili w drogę dojazdową do ogromnego kompleksu więziennego. Karol towarzyszył jej przy kontroli osobistej, paszportowej i przy pouczeniu prawnym. Po przejściu przez niezliczone drzwi i korytarze monitorowane przez kamery, zajął miejsce w małej poczekalni. Wskazał stalowe drzwi na końcu kwadratowego pomieszczenia.

- Za nimi czeka na panią Robert. Chce rozmawiać tylko z panią, na osobności.

Villeneuve-les-Avignon, tydzień wcześniej

Robert Garnier stąpał po miękkiej, dobrze uprawionej grządce przy ścianie domu. Uchylone okno znajdowało się pomiędzy dwoma występami muru. Robert mógł dosięgnąć jego gzymsu niemal z poziomu ziemi. Zresztą duże kamienie, z których zbudowano dom, dawały wystarczające oparcie dla stóp. Po kilku zwinnych ruchach dotarł do celu.

Odblokował okno, ostrożnie odchylił je do wewnątrz, po czym wśliznął się tak cicho, jak to było możliwe, do ciemnego pomieszczenia. Odczuwał równocześnie lęk i ulgę, że bez problemu osiągnął cel. Nie bardzo sobie wyobrażał, jak stąd wyjdzie.

Przemierzył wysoki pokój, prawdopodobnie w rodzaju salonu, po czym opuścił go przez leżące naprzeciwko drzwi. Po obu stronach rozciągała się galeria, prowadząca po każdej stronie ku kręconym schodom na parter. Robert zostawił sobie minutę na obejrzenie okazałej sieni wejściowej. Właściciele posiadali imponujący majątek. Przed setkami lat, w czasach słynnej schizmy w Kościele Zachodu, luksusową willę zamieszkiwały wybitne osobistości.

Zmobilizował siłę woli, by ruszyć dalej. Według uzyskanych przez niego informacji następne drzwi, po prawej, powinny prowadzić do gabinetu i biblioteki. Kilka sekund później nacisnął klamkę. Wbrew jego obawom wysokie, podwójne drzwi nie zaskrzypiały. Otworzył je równie bezszelestnie, jak wcześniej okno.

Zaskoczył go wystrój wnętrza. Oczekiwał, że wkroczy do gabinetu pełnego wysokich regałów na książki. Tymczasem w tylnej części pomieszczenia, pomiędzy dwoma dużymi oknami, zastał tylko biurko. Naprzeciwko niego stały dwa krzesła dla gości, w kącie narożna sofa i niski stolik, w sam raz na herbatę i ciastka. Drugą połowę pokoju łączyły z parterem kręte schody. Dopiero tu, przy ścianach klatki schodowej, stały regały sięgające od podłogi parteru do sufitu piętra. Przestrzeń, do której można było dotrzeć z góry, również wypełniały rzędy regałów. Robert nie potrafił ocenić, ile zgromadzono w nich książek. Gdzieś za niezliczonymi ich grzbietami była ukryta informacja, której poszukiwał.

Zapalił latarkę, ostrożnie osłonił ją dłonią od góry. Skierował strumień światła na pierwszy rząd książek. Jeszcze przed rozpoczęciem poszukiwań musiał poznać klucz układania księgozbioru. Książki o tema-

tyce historycznej można przecież układać w różnej kolejności: według pochodzenia, epoki, tytułów lub autorów.

Przeczytał pierwsze napisy na grzbietach. Dopiero podczas przeglądania zawartości drugiego regału trafił na tytuły, które mogły doprowadzić go do celu poszukiwań: „Papiestwo w Awinionie”, „Architektura papieskich rezydencji”, „Genealogia francuskich książąt Kościoła”. Gdzieś tu powinien znaleźć poszukiwane opracowanie. Niestety, wyglądało na to, że właściciel zgromadził zgoła wszystko, co było publikowane na ten temat. Nie pozostało mu nic innego, jak przeglądać kolejne tytuły: „Królowie i papieże Francji”, „Templariusze, katarzy² i hugenoci³”. Nagle usłyszał jakiś szmer. Zamarł w bezruchu. Gdzieś w głębi domu ktoś się poruszał. Robert wiedział, że służba tu nie mieszka, a właściciele przebywają poza Awinionem. Lecz najwyraźniej nie był tu sam. Zimny pot zrosił mu czoło. Zgasił latarkę i przemknął pod oknami w stronę biurka. Wystarczył mu jeden rzut oka przez szybę, żeby stwierdzić, że nie ma możliwości ucieczki. Na schodach zadudniły kroki. Ktoś wchodził na górę.

² Katarzy („czyści”) - sekta, powstała w XI w. w południowej Francji. W życiu codziennym katarzy ograniczali swe potrzeby do minimum: nie jedli mięsa, byli wrogo nastawieni do małżeństwa i prokreacji (ponieważ uważali, że przedłuża uwięzienie ducha w ciele). Ich wiara opierała się na manichejskiej idei dwóch przeciwstawnych pierwiastków: dobra i zła, światła i ciemności, ducha i materii.

³ Hugenoci - wyznawcy kalwinizmu we Francji w XVI--XVIII w. W 1562 r. wybuchła wojna domowa, w czasie której doszło do wielu rzezi hugenotów. Największej dokonano w noc świętego Bartłomieja w 1572 r.

Robert gorzko pożałował, że nie zamknął za sobą drzwi do biblioteki. Teraz najchętniej założyłby czapkę niewidkę.

Marsylia, czasy współczesne

Drzwi przy otwieraniu i zamykaniu wydawały metaliczny jęk. Marlena stanęła przed stołem długości ośmiu metrów, który dzielił pomieszczenie na pół. Pośrodku zamocowano szybę z pancernego szkła, a po obu stronach po pięć krzeseł. Jej towarzysz, starszy strażnik z siwymi włosami i okazałym brzuchem, zajął miejsce na ławce przy drzwiach. Na jedynym krześle za szkłem siedział mężczyzna. Wyglądał na młodszego niż sobie wyobrażała. Mimo że nosił błękitno-szary, więzienny uniform, odniosła wrażenie, że nie jest to jego właściwe miejsce. Usiadła naprzeciwko i skinęła mu przyjaźnie głową.

- Dzień dobry, *madame* Schönberg. Serdecznie dziękuję za wizytę.

- Dzień dobry. To dla mnie żaden kłopot. Zaintrygowała mnie pańska oferta. Chciałabym poznać szczegóły.

- Chętnie je pani przybliżę. Zakładam, że Karol niewiele pani opowiedział.

Marlena skinęła głową. Pod czujnym okiem strażników, rozmowa przez grubą szybę przebiegała w przytłaczającej atmosferze.

- Proszę mi wybaczyć tę małowówność - ciągnął Robert. - To moja wina. Chciałem osobiście panią poinformować. Jeśli pani pozwoli, najpierw powiem parę słów o sobie. Potem proszę zadawać mi pytania. Niestety, nie mamy wiele czasu. Dlatego poprosiłem o kolejne widzenie - jutro.

- W porządku. Nie traćmy czasu.

Robert Garnier najpierw opowiedział o swym ojcu. Później przedstawił rodzinną historię. Na koniec przeszedł do powiązań z awiniońskimi książętami Kościoła. Podejrzywał, że jego ojciec w trakcie najnowszych badań natrafił na jakieś informacje o doniosłym znaczeniu. Nie wiedział jednak, na jakie. Przypuszczał, że właśnie w związku z nimi jego rodzic został zamordowany. O popełnienie tej zbrodni oskarżono Roberta. Ledwie przeszedł do sprawy włamania, którego rzeczywiście dokonał, wartownik odchrząknął znacząco i wstał z ławki.

- Obawiam się, że nasz czas dobiegł końca - westchnął młody Garnier i również wstał. - Proszę poprosić Karola o wycinki prasowe z ubiegłego tygodnia. Przygotował je w specjalnej kopercie. Mam nadzieję, że jutro się zobaczymy.

Marlena skinęła głową z serdecznym uśmiechem.

- Przyjdę. W końcu muszę przecież zadać panu kilka pytań.

- Bardzo dziękuję. Do widzenia! Odprowadziła dwóch mężczyzn wzrokiem, póki

nie znikli za stalowymi drzwiami. Wtedy ona również opuściła pomieszczenie, zadowolona, że wraca na świeże powietrze. Pozostało jeszcze wiele do wyjaśnienia. Miała nadzieję, że adwokat Roberta będzie teraz bardziej rozmowny.

Kwadrans później Karol zapalił silnik samochodu. Zaraz potem obrócił się ku Marlenie i wręczył jej niepodpisaną kopertę.

- Proszę wybaczyć moją dotychczasową małomówność. Robert zamknął mi usta. Pragnął osobi-

cie udzielić pani wyjaśnień. W środku znajdzie pani kilka wycinków z prasy, zarówno na temat zabójstwa, jak i włamania. - Bardzo dziękuję.

Niewzłocznie otworzyła kopertę i wyciągnęła wycinki z artykułów w „Midi Libre”, najbardziej popularnej regionalnej gazety:

Awinion. Podczas włamania do dwóch willi na przedmieściu wartościowe elementy wyposażenia uległy uszkodzeniu lub zniszczeniu. Liczne książki o wartości antykwarycznej, cenna porcelana i zabytkowe meble zostały zniszczone przez włamywaczy. Sprawcy znikli bez śladu. Podejrzewa się, że przestępstwa dokonali młodociani wandale.

Awinion. Policja doniosła nam, że przypuszczalny sprawca włamań do dwóch willi został zatrzymany wczoraj po południu. Podczas aresztowania bronił się tak zaciekle, że poranił dwóch funkcjonariuszy. Jednego z nich przewieziono do szpitala z ciężkimi ranami kłutymi. Zatrzymany nie odniósł się bezpośrednio do stawianych mu zarzutów. Stanowczo zaprzeczył jednak, jakoby zaatakował policjantów. Twierdzi, że zastawiono na niego pułapkę. Wyniki badań w laboratorium medycyny sądowej wykazały ponad wszelką wątpliwość jego obecność w miejscach obydwu przestępstw.

Awinion. Adwokat podejrzanego o dokonanie dwóch włamań dopiero teraz zajął stanowisko wobec zarzutów. Twierdzi, że media i miejscowe elity uknuły spisek. Jego klient czuje się bezsilny. Z kolei znany psycholog stwierdził u zatrzymanego brak równowagi psychicznej ze skłonnością do gwałtownych czynów.

Marlena wsunęła wycinki z powrotem do koperty. Popatrzyła w zadumie na mijane domy przedmieścia. Po chwili zwróciła wzrok na Karola.

- Odnoszę wrażenie, że prasa przywiązuje do tego wydarzenia dużą wagę. Może zresztą się mylę.

- Nie. Ma pani rację. Właśnie dlatego wręczyłem pani te artykuły dopiero po widzeniu. Opinia publiczna bagatelizuje zbrodnię na ojcu Roberta, widząc w niej zwykły mord na tle rabunkowym. Natomiast włamanie przedstawia jako ciężkie przestępstwo. Prasa sugeruje, że Robert został uwięziony jako przypuszczalny włamywacz. Zatrzymano go jednak jako podejrzanego o zabójstwo. Moim zdaniem wygląda to na starannie przemyślaną intrygę, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

Marlena wzięła do ręki następną kartkę. Z ociąganiem popatrzyła na fotografię zaatakowanego funkcjonariusza. Zlanego krwią, prowadzono go do karetki. Zdjęcia nie opublikowano w gazetach, lecz najwyraźniej rozpowszechniono w sieci. Internetowy portal informacyjny nie zostawił na Robercie suchej nitki. Podano nawet jego nazwisko. Obydwa przypadki, ojca i syna, zabójstwa i włamania, połączono w jedną całość. Najwyraźniej autor nie wątpił, że istnieje między nimi ścisłe powiązanie.

- Widzę tu wiele niejasności - orzekła Marlena, kiedy skończyła czytać. - Tylko jak mogę wam pomóc?

- Czy nie ma pani nic przeciwko temu, żebyśmy poszli coś zjeść? Udzieliłbym pani wyjaśnień w restauracji. Sądzę, że Robertowi odpowiadałoby takie rozwiązanie - odparł Karol.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Cieszę się, że postanowiła pani zostać - tymi słowy pożegnał Marlenę Karol poprzedniego wieczora.

Po tym, co usłyszała, podjęcie decyzji przyszło jej bez trudu. Robert Garnier nie miał żadnego wyraźnego powodu, żeby zabić ojca. Dokonał wprawdzie włamania, ale zdaniem Karola nie miał innego wyjścia. Zanim został zatrzymany, sam rozpoczął prywatne śledztwo, które miała kontynuować Marlena. Istniał pewien ślad z przeszłości. Karol obiecał, że porozmawiają o nim za kilka minut.

Zanim Marlena została wpuszczona do przygnębiającej rozmównicy, musiała przejść przez te same procedury, co poprzedniego dnia. Adwokat znów czekał na nią przed drzwiami. Znów wyszedł po nią ponury strażnik. Tym razem brakowało tylko Roberta Garniera. Marlena wyobraziła sobie, że prowadzą go przez długie, wąskie korytarze i poddają drobiazgowemu przeszukaniu. Trzydzieści lat wcześniej w tych pomieszczeniach wykonano ostatni wyrok śmierci. Wreszcie otworzyły się stalowe drzwi. Robert wszedł do sali. Człowiek, który go eskortował, skinął głową pilnującemu wartownikowi. Garnier zajął miejsce za szybą.

- Witam, *madame* Schönberg. Proszę wybaczyć spóźnienie. Zatrzymano mnie. Jestem tu bardzo popularną osobą - dodał z niewesołym uśmiechem.

Marlena nie podjęła tematu. Nie mogła pozwolić, by rozmowa zeszła na boczny tor.. Miała sporo istotnych rzeczy do omówienia.

- Dzień dobry. Już słyszałam, że prokurator złożył panu wizytę. To, co o panu opowiadają i piszą, wystarczyłoby, by uznać pana za wroga publicznego numer jeden.

- Wierzy im pani?

- Raczej nie. Pański adwokat odpowiedział wczoraj na kilka moich pytań. Jestem gotowa panu pomóc. Muszę jednak wiedzieć, na czym konkretnie polega moje zadanie.

Robert Garnier rozpogodził się.

- Miło mi to słyszeć. Możemy zacząć natychmiast!

Marlena wcześniej przygotowała sobie kilka pytań. Nabrała w płuca powietrza, próbując zapomnieć o przygnębiającej atmosferze więzienia.

- Na początek proszę mi powiedzieć, komu mogłoby zależeć, by ściągnąć na pana kłopoty?

Robert ciężko westchnął.

- Dobre pytanie. Niestety, nie tak łatwo na nie odpowiedzieć. Pozwolę sobie opowiedzieć wszystko po kolei. Obiecuję, że zostawię dość czasu na kolejne pytania.

Remoulins, październik 1973

„Niemał sto lat. Imponujący wiek”. Doktor Fryderyk Renard od dwóch lat spędzał większość czasu w pozycji leżącej, lecz wciąż stanowczo odmawiał przeniesienia do domu spokojnej. - Jestem na to za stary - odpowiadał każdemu, kto odważył się zasugerować mu tego rodzaju rozwiązanie.

Prawdę mówiąc, mógłby sobie pozwolić na taki luksus. Przetrwał bez szwanku zarówno kryzys końca lat dwudziestych, jak i dwie wojny światowe. Prawdopodobnie w tym czasie musiał zgromadzić znaczny kapitał, choć - jak najstarsi mieszkańcy twierdzili - nie pochodził z zamożnej rodziny.

Ksiądz Bricolet spędzał w ciągu tygodnia więcej czasu przy jego łożu, niż sędziwy doktor w najlepszych latach poświęcił na wizyty w kościele. Staruszek nie zdradzał objawów demencji. Tylko jego ciało odmawiało posłuszeństwa. Renard chciał już umrzeć. Takie życzenie wyraził przed rokiem. Modlili się więc obaj kilkakrotnie w ciągu tygodnia i palili świece. Stary doktor już dwukrotnie wysyłał służbę domową i pielęgniarki po księdza, żeby udzielił mu ostatniego namaszczenia. Niepotrzebnie jednak wszczywał fałszywy alarm. Po prostu jego czas jeszcze nie nadszedł. Im dłużej myślał, czemu śmierć nie chce przyjść, tym bardziej uświadamiał sobie, dlaczego ona zwleka z zabraniem go z tego świata.

Pozostała mu bowiem jeszcze jedna sprawa do załatwienia, zanim odejdzie na zawsze.

Antoni Garnier siedział przy stole w jadalni, gdy ksiądz Bricolet złożył mu niespodziewaną wizytę. Nie widzieli się od miesięcy, ponieważ Garnier nie uczęszczał regularnie do kościoła. Zaglądał tam tylko podczas tradycyjnych świąt kościelnych. Osobistego kontaktu z duchownym również nie szukał.

Dawniej rzadko kiedy opuszczał mszę. Jednak po pamiętnych wydarzeniach sprzed pięćdziesięciu lat, Garnierowie przestali uczestniczyć w życiu publicznym. Zaś Duchontowie po wojnie opuścili Remoulins, gdy spadkobierca rodzinnego majątku nie wró-

cil z frontu. Ślad po nim zaginął. Podobno część klanu mieszkała w Awinionie. Kto raz wyjechał z Remoulins, już tu nie wracał.

- Proszę wybaczyć to późne najście, *monsieur* Garnier - zagadnął duchowny.

- Proszę usiąść - mruknął Antoni. - Czy jadł już ksiądz kolację?

Bricolet pokręcił głową.

- Nie. Spędziłem całe popołudnie u doktora Renarda.

„Kiedy wreszcie śmierć okaże mu łaskę i go zabierze?” - dodał w myślach.

- W takim razie proszę się częstować - zachęcił Garnier. - A potem opowiedzieć mi, co słyhać u tego starego łajdaka.

Był piątek. Główne danie stanowiła gęsta zupa rybna. Podano do niej biały chleb.

- Powinniśmy wspólnie złożyć mu wizytę -oznajmił ksiądz po kilku łyżkach, jeszcze z pełnymi ustami.

- Ale dlaczego? - dopytywał się zdziwiony Garnier. Sam też nie był zbyt sprawny. Od czasu, gdy przerwał studia, by prowadzić interesy po ojcu, spędził pięćdziesiąt lat na ciężkiej pracy. Za przykładem ojca nie stronił od najcięższych zajęć.

- Doktor Renard wyraził coś w rodzaju ostatniego życzenia. Poprosił, żebym pana przyprowadził. Twierdzi, że dopiero po rozmowie z panem będzie mógł umrzeć w spokoju. Nic więcej nie wiem.

Antoni Garnier upuścił łyżkę. Jego mina zdradzała najwyższe zdumienie. Zaraz potem tak gwałtownie wstał z miejsca, że dostał zawrotów głowy. Zanim ksiądz zrozumiał, co się dzieje, rozmówca doskoczył do niego i szarpał go za ramię.

- Chodźmy, wasza wielebność! Czas nagli. Nie chciałbym przybyć za późno!

Pół godziny później doktor Fryderyk Renard zasnął z czystym sumieniem. Nie był dumny z tego, że swojego czasu pozostawił syna starego winiarza w nieświadomości. Lecz wtedy zwyciężyła chciwość. Chciał wykorzystać okazję, by samemu zyskać sławę i bogactwo. Uznał, że zarówno Garnierowie, jak i Duchontowie dość już posiadają. Niestety, owo „dziedzictwo” nic mu nie dało. Tak więc na krótko przed śmiercią przekazał dalej tajemnicę, którą przed pięćdziesięciu laty powierzył mu ojciec Antoniego Garniera.

Jeden sekret jednakże zachował dla siebie. Przemilczał, że przed trzydziestu laty przekazał już komuś posiadaną wiedzę, żeby nie przepadła na zawsze. Wtedy, w czasie wojny, również otworzył duszę w obliczu spodziewanej śmierci.

Marsylia, czasy współczesne

Robert mówił co najmniej kwadrans bez przerwy. Jego opowieść wciągnęła Marlenę. Miała wrażenie, że sama uczestniczy w tych wszystkich wydarzeniach.

- Jesienią 1923 roku mój pradziadek pojedynkował się ze swoim śmiertelnym wrogiem na pasie ugoru pomiędzy obydwoma posiadłościami. Nikt prócz nich dwóch nie znał przyczyny odwiecznej wrogości. Podobno poszło o jakieś dokumenty.

Robert zerknął na Marlenę, żeby sprawdzić, czy nadal uważnie go słucha.

- Prawdopodobnie owe - hipotetyczne i zapewne sporne - dokumenty sporządzono w zamierzonych czasach, przypuszczalnie w okresie rozłamu w Kościele zachodniego

świata. Dlatego zwróciłem się o pomoc do pani. Ja do tej pory nic nie odkryłem. Zresztą, nawet gdybym coś odnalazł, nie zrozumiałbym treści starych formuł.

Brzmiało to bardzo obiecująco. Największa schizma Zachodu stanowiła specjalność Marleny. Już sobie wyobrażała, jak szpera w Awinionie wśród starych ksiąg z okresu rozkwitu miasta. Od dawna marzyła, żeby je przejrzeć.

- Czy domyśla się pan, czego owe dokumenty mogłyby dotyczyć? - spytała.

Robert czuł, że rozbudził jej ciekawość. Uśmiechnął się.

- Nie. Mam tylko pewne przeczucie. Sądzę, że dotyczą kwestii dziedzictwa.

- Jakiego dziedzictwa?

- Przodkiem mojego rodu był Bernard Garnier... znany również pod papieskim imieniem Benedykta XIV⁴.

Villeneuve-lès-Avignon, tydzień wcześniej

Nieznajomy pokonał ciężkim krokiem ostatnie stopnie prowadzące w górę. Zbliżał się do drzwi biblioteki. Mimo że korytarz oświetlał tylko mdły blask księżycy i odbłask dalekiej ulicznej latarni, prawdopodobnie zdążył już zauważyć półotwarte drzwi. Jeszcze parę kroków i wejdzie do środka.

Robert Garnier rozejrzał się w poszukiwaniu kryjówki. Jego spojrzenie powędrowało od narożnej sofy, przez biurko, ku regałom z książkami, przed

⁴ Historyczny Benedykt XIV (Prospero Lambertini) był papieżem w latach 1740-1758.

którymi stał przed chwilą. Nagle przypomniał sobie o schodach. Przypuszczał, że intruz zacznie szukać pomiędzy regałami. Kręcone schody stanowiły dla Roberta jedyną drogę ucieczki. Miał nadzieję, że na parterze nie przebywają inni ludzie.

Ledwie postawił stopę na podłodze, deski głośno zaskrzypiały. Przeszedł go dreszcz strachu, ale nie przystanął. Pięć długich kroków dzieliło go od dywanu. Liczył na to, że stłumi on zdradzieckie odgłosy. Rzeczywiście, dywan pozwolił mu bezszelestnie dotrzeć do połowy pomieszczenia. Ale niestety skończył się trzy metry przed regałami. Stamtąd do kręconych schodów pozostały jeszcze co najmniej dwa kroki po skrzypiącej podłodze. W chwili, gdy - według oceny Roberta - nieznajomy docierał do drzwi, zdecydował się na skok. Uznał, że da radę. Jeśli pokona zdradliwą, drewnianą powierzchnię, tylko raz dotykając jej stopą, to zniknie tamtemu z oczu za tuzinami książek. Jak postanowił, tak zrobił. Jego cień przemknął przez pomieszczenie. Stare deski jęknęły ciszej, niż się spodziewał. Lecz on uciekał dalej, ku bezpiecznej jego zdaniem kryjówce za wysokimi regałami.

- Stać!

Ktoś zapalił światło. Dwa olbrzymie kryształowe żyrandole oświetliły pokój jaskrawym blaskiem. Odbity od niezliczonych szlifowanych kryształków, niczym od kaskady sopli, docierał w najdalsze zakątki biblioteki. Robert zastygł w bezruchu w nienaturalnej pozycji, zgięty w pół. Stał tak kilka nieskończenie długich sekund, wystawiony na spojrzenia tamtego. On również widział go dokładnie. Nie należał do służby domowej. Nosił prosty czarny kombinezon, a w ręku trzymał latarkę. Czyżby kolejny włamywacz?

Garniera szczególnie zaniepokoił przedmiot w prawej ręce nieznajomego: wycelowany weń rewolwer. Zdecydował się więc na ucieczkę. Dotarłszy do pierwszych stopni schodów, oczekiwał na huk wystrzału i świst kuli, która udaremni jego próbę ucieczki. Nieznajomy jednak nie wystrzelił, jakby nie zależało mu, żeby kogokolwiek zatrzymać. Robert nie miał czasu rozmyślać nad jego zamiarami. Musiał jak najszybciej dotrzeć do wyjścia.

U stóp schodów obejrzał się za siebie. Zanim światło na górze zgasło, zdążył dostrzec drzwi po jednej stronie i okno po drugiej. Niepewny, czy hol nie skrywa kolejnej pułapki, wybrał najprostszą drogę na zewnątrz. O ile dobrze zapamiętał układ budynku, powinien wylądować na miękkim torfie. Jeśli dopisze mu szczęście, nie wpadnie w szpaler róż. Kiedy usłyszał kroki na końcu schodów, stukł szybę w oknie, liczącą dwieście lat, i przeskoczył przez gzyms. W tym momencie rzeczywiście padł strzał. Robert wylądował miękko na ziemi. Wielkimi krokami pognął w stronę najbliższego rogu budowli. Tu już był poza zasięgiem wzroku nieznajomego.

Kilka sekund później zadźwięczał dzwonek alarmu. W tym czasie Robert wybiegał już przez bramę ogrodu w ciemne, wąskie uliczki. Gdzieś z oddali słychać było warkot silników.

Kiedy jego serce zwolniło bicie, zaczął rozważać, czy po przybyciu policji i wyłączeniu alarmu warto zaryzykować włamanie do kolejnego budynku. Miał przeczucie, że jeśli nikt mu nie przeszkodzi, następna godzina przybliży go do prawdy.

Później ujrzał niebieskie światło i usłyszał wycie syreny.

Marsylia, czasy współczesne

Pogrążona w rozmyślaniach Marlena siedziała w wytartym pluszowym fotelu w swoim pokoju hotelowym. Oceniała uzyskane dotychczas informacje jako bardzo skąpe. Stwierdziła, że niełatwo jej będzie znaleźć coś użytecznego. Na zakończenie ostatniego widzenia Robert poradził jej poszperać w bibliotece Aix-en-Provence. Stare dokumenty można było jednak obejrzeć jedynie za specjalnym zezwoleniem. Jego uzyskanie wymagało sporo czasu. Ponieważ Robert nie był naukowcem, nigdy go nie otrzymał.

Karol miał wiele spraw do załatwienia i nie dysponował wolnym czasem dla Marleny. Nie pozostało jej więc nic innego, jak oczekiwać następnego spotkania z Robertem. Skorzystała z okazji, by uporządkować myśli i przywołać w pamięci niektóre fragmenty własnej rozprawy doktorskiej. Gdyby przeszłość potwierdziła powiązania rodziny Garnier z francuskimi papieżami, byłoby to bardzo interesujące odkrycie.

Marlena wypożyczyła sportowy kabriolet, ciemnoczerwonego renault megane, i zdecydowała się na przejażdżkę wzdłuż wybrzeża. Krajowa droga Col de la Gineste, biegnąca pomiędzy autostradą a równoległym do niej skalistym brzegiem morza, doprowadziła ją do małej rybackiej wioski Cassis. Marlena zaparkowała w cienistej uliczce i ruszyła w kierunku starej osady. Poza małym, wartym zwiedzenia portem i wąską plażą, całą wieś zbudowano na stromym zboczu. Na turystę czyhały tam typowe współczesne pułapki, łącznie z kasynem. Jednak w porcie czas dawno się zatrzymał. W pobliżu

przystani, gdzie drewniane łódki kołysały się na falach, znalazła przytulną restaurację. Usiadła i zamówiła małą karafkę miejscowego czerwonego wina, biały chleb i miseczkę oliwek.

Nieopodal zajął miejsce inny samotny podróżny. Podobnie jak Marlena wybrał stolik z widokiem na port. Mógł stamtąd niepostrzeżenie obserwować Niemkę. Podziękował kelnerowi za kartę dań, nie zamówił polecanej potrawy dnia. Poprosił tylko o lekkie wino. Nie przyszedł tu jeść.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Po wypiciu podwójnego *espresso* Marlena poprosiła o rachunek. Wyjątkowo uprzejmemu kelnerowi zostawiła suty napiwek. Sięgnęła pamięcią do dawnych lat i przypomniała sobie pewną historię. Jej rodzice zaplanowali urlop właśnie w tej miejscowości. Miała wtedy szesnaście albo siedemnaście lat. Gdy przedstawili jej te plany, mocno zaprotestowała. Argumentowała żarliwie, że nie powinni ciągnąć ze sobą na wakacje prawie dorosłej panny. W końcu dali jej wybór. Mogła spędzić z nimi dwa tygodnie na południu Francji albo odwiedzić zgrzybiałą ciotkę. Mimo że druga propozycja odpowiadała jej jeszcze mniej, młoda buntowniczka nie zniosłaby porażki. W ten sposób biedna stara ciotka poniosła konsekwencje buntu nastoletniej krewnej i nadopiekuńczości jej rodziców.

Marlena uśmiechnęła się do wspomnień. Kilka metrów poniżej murów portu zaczynała się mała plaża, zakończona sto metrów dalej wysoką formacją skalną. Z obydwu stron Cassis otaczało strome, skaliste wybrzeże o malowniczej linii brzegowej. Marlena zdjęła buty i ostrożnie zanurzyła stopy w płytkich falach. Tak jak przewidywała, o tej porze roku słońce jeszcze nie zdążyło ogrzać lodowatej wody. Dostała gęsiej skórki. Kiedy jednak przywykła do zimnej wody, z przyjemnością brodziła po

drobnych otoczkach. Orzeźwiająco masowały jej stopy, gdy powracająca fala zabierała je z powrotem. Nie było wiatru, lazurowego błękitu nieba nie przesłaniała ani jedna chmurka.

Marlena dobrze wiedziała, czemu czuje tak wielki sentyment do tych stron. Teraz znalazła sobie wygodne siedzisko na osłoniętej skałce, przy końcu zatoki. Usiadła i wyciągnęła z torebki książkę: „Wybór papieża w Konstancji - demonstracja siły czy akt rozpacz?”⁵. Tą pracą wzbudziła w ubiegłym roku sporą sensację w kręgach naukowych. Prze-kartkowała jeden ze środkowych rozdziałów, by odnaleźć interesujący ją fragment: „Benedykt XIV alias Bernard Garnier”.

W tamtych czasach nie tylko szlachta płodziła spadkobierców. Nie należało do rzadkości, że następcą kościelnego dostojnika zostawał jego najbliższy krewny, a zdarzało się, że i własny syn. Ukuto nawet specjalny termin na określenie zjawiska torowania drogi kariery najbliższym członkom rodziny: nepotyzm.

Marlena przeniosła wzrok na linię horyzontu. Jej twarz rozjaśnił szelmowski uśmiech. Przy odrobinie szczęścia miała nadzieję wzbudzić w najbliższym czasie kolejną sensację.

Dwie godziny później wynajęte auto z mozołem pokonywało pod górę ostre zakręty. Marlena postanowiła wrócić znacznie lepiej utrzymaną drogą krajową. Spadzisty brzeg lokalnej szosy, prowadzą-

⁵ W latach 1414-1418 w niemieckim mieście - Konstancji, siedzibie biskupstwa, zwołano sobór w celu zakończenia schizmy zachodniej. Po ustąpieniu zwalczających się papieży, konklawe wybrało Oddona Colonę, który przybrał imię Marcina V.

cej wzdłuż wybrzeża, zabezpieczono byle jak, a po południu ruch na niej zaczynał już przybierać na sile.

Marlena jechała niespiesznie w rzędzie samochodów. Jej wzrok bezwiednie wędrował ponad lewą ręką ku ciemnoniebieskiej powierzchni morza, sięgającej aż po horyzont. Nie zwróciła uwagi na ciemną limuzynę z tyłu. Wystraszył ją dopiero zimny odblask światła reflektorów we wstecznym lusterku. Zdecydowanie za późno dostrzegła ten samochód. Jego kierowca, którego nie zdołała zobaczyć, już szykował się do wyprzedzania. Gwałtowne uderzenie odrzuciło ją do tyłu.

„On nie wyprzedzał. Staranował mnie!” - przemknęło jej przez głowę.

Masywny renault po zderzeniu nieco zwolnił. Pomiedzy nim a nadjeżdżającymi z tyłu autami pozostało sporo wolnej przestrzeni. Również samochód, który jechał przed Marleną, zdążył się oddalić. Nie miała wątpliwości, że prześladowca wkrótce znowu zaatakuje, a znikąd nie mogła oczekiwać pomocy.

Skierowała auto na środek pasa jezdni, żeby jej nie wyprzedził. Przygotowana na kolejny atak, ułożyła obie ręce na kierownicy. Renault znów zwiększył prędkość. Podjechał już niebezpiecznie blisko. Pod wpływem nagłego impulsu Marlena nacisnęła szybko, ale mocno, pedał hamulca, kiedy dzieliła ich mniej więcej długość jednego samochodu. Gdy przeciwnik odruchowo poszedł w jej ślady, dodała gazu. W ten sposób złagodziła uderzenie, które zgodnie z jej przewidywaniami wkrótce nastąpiło. Zobaczyła we wstecznym lusterku, że napastnika zarzuciło w bok, podczas gdy ona trzymała kierownicę w żelaznym uścisku. Mocno

dociskając pedał prawą stopą, błagała Niebiosa o zmiłowanie.

Wkrótce dostrzegła oznakowanie parkingu. Zmieniła bieg na niższy. Wyciskając z uszkodzonego silnika resztki mocy, zjechała w wąskie odgałęzienie drogi. Pomiedzy niskimi drzewami oliwnymi i wysmukłymi cyprysami spostrzegła trzy komplety miejsc do siedzenia. Poza tym w pobliżu toalet parkowały dwie ciężarówki i nieco dalej obtłuczone kombi.

Ponownie zerknęła we wsteczne lusterko. Jej wróg odzyskał kontrolę nad pojazdem i szybko ją doganiał. Czy dobrze zrobiła, że zjechała z szosy? W ciężarówkach nie było kierowców. Nigdzie wkoło nie widziała też ani jednego człowieka. Postanowiła włączyć klakson. W rozpaczy trzykrotnie nacisnęła środek kierownicy. Równocześnie zaczęła hamować, gotowa zaryzykować ucieczkę na piechotę. Zanim kabriolet się zatrzymał, dostrzegła kątem oka, że ciemnoniebieski samochód prześladowcy mija parking.

„Zawróci?” - zapytała sama siebie w myślach.

Wtem ktoś otworzył drzwi najbliższej ciężarówki. Podczas gdy zaspany kierowca mamrotał coś niewyraźnie, Marlena wyskoczyła z samochodu. Przemknęła pod drzewami w kierunku wzgórza i dalej w dół stromego zbocza. Dopiero po kilku minutach pozwoliła sobie przystanąć. Roztrzęsiona, padła bez tchu na kolana i z wymiotowała.

Zanim doszła do siebie, w wewnętrznej kieszeni kamizelki zadzwonił telefon komórkowy.

- *Madame* Schönberg?

Rozpoznała głos Karola, adwokata i pełnomocnika Roberta. Mimo przyspieszonego oddechu, usiłowała mówić spokojnie. Niespecjalnie jej to wyszło.

- Dobrze, że pan zadzwonił... bo ja... - załkała do aparatu.

- Mój Boże! Przecież pani ledwo mówi! Co się stało?

- Ktoś... próbował mnie zepchnąć z szosy.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Potem posypały się nieuniknione pytania:

- Kto? Dlaczego? Gdzie? Jak?

Marlena nie знаła odpowiedzi na żadne z nich. Ponownie uświadomiła sobie, jak mało wie.

- Naprawdę nie odniosła pani żadnych obrażeń?

Dopiero gdy po raz drugi powtórzyła, że nic jej nie dolega, rozmówca odetchnął z ulgą.

- Proszę zostać na miejscu. Dotrę tam za dwadzieścia minut.

Po raz pierwszy od dnia poznania Karola jego widok tak bardzo ucieszył Marlenę. Obejrzał kabriolet, spuścił dach, po czym zamienił kilka słów z obydwoma kierowcami ciężarówek. Gdy wrócili do własnych samochodów, wywiózł Marlenę z parkingu swoim autem. Podczas jazdy w milczeniu obserwował szosę.

- Dlaczego właściwie nie przyjechała policja? - spytała Marlena po chwili. - Myślałam, że ściągnie pan co najmniej pół tuzina radiowozów.

Karol pokręcił głową.

- Tylko nie to! Dobrze, że kierowcy tych dwóch ciężarówek nie zadzwonili na posterunek.

Nagle Marlena zauważyła, że adwokat jest bardzo zdenerwowany.

- Wyczuwam w panu jakiś niepokój. Czy jeszcze coś się wydarzyło?

Karol zwolnił. Skinął głową.

- Tak. Dwie godziny temu dowiedziałem się, że Robert zostanie zwolniony z więzienia z polecenia sądu. Dzisiaj!

Zaskoczył Marlenę. A jeszcze nie ochłonęła po poprzednim wstrząsie.

- Ależ to wspaniała wiadomość! - wykrzyknęła, gdy dotarła do niej jej treść. - Cieszę się, że nie muszę więcej wchodzić do tej koszmarnej celi na widzenia z pana klientem.

- Proszę posłuchać. W więzieniu Robert był pilnowany dwadzieścia cztery godziny na dobę. Stracił wolność, ale nic mu nie zagrażało. Teraz musimy się ukryć, wszyscy troje, przynajmniej na jakiś czas.

- Jak to my? Ja też?

- Niestety, tak. Wygląda na to, że obydwójcie znaleźliście się w największym niebezpieczeństwie.

Mont d'Alion, południowe Pireneje

Wzrok Luciena powędrował ku linii horyzontu. Znikała za nią polna droga, przy której siedział. Była to jedna z nieoficjalnych tras Chemin de Saint Jacques, szlaku świętego Jakuba przez Pireneje. Również dziś naliczył prawie tuzin osób, które podążały pielgrzymim szlakiem. Teraz, w szczycie sezonu, coraz większa liczba wędrujących rezygnowała z przeludnionych i znanych tras na rzecz idylli odludnych łańcuchów górskich.

Pomarszczoną, ogorzałą od wiatru i słońca twarz rozjaśnił uśmiech. Lucien przypomniał sobie grupę menadżerów, z którymi przed wielu laty spędził weekend w górskiej chacie. W tamtych czasach ludzie szukali odosobnienia na łonie natury, aby odnaleźć siebie. Dziś wybierano raczej wędrowkę do Santiago de Compostella. Jeśli okazywała się

zbyt męcząca, życzliwy przewodnik wypożyczał osła. Co bardziej pomysłowi pielgrzymi zlecają kierowcom przewożenie swojego bagażu z hotelu do hotelu, łącznie z aktówką i notebookiem.

Gdy słońce zaszło za oba wierzchołki, oświetlając strome, nagie skały czerwonym blaskiem, Lucien wstał. Ponieważ nie zapowiadano burzy, a dzikie zwierzęta nie dokonały w ubiegłych latach znaczącego spustoszenia wśród jego trzody, postanowił pozostawić swe stado na noc na pastwisku. Zawód pasterza to dziś raczej hobby dla romantyków niż poważne zajęcie. Tak przynajmniej twierdzili mieszkańcy wioski w dolinie. Poza Lucieniem i nielicznymi producentami mleka, każdy z nich uprawiał jakiś normalny zawód w mieście. Dawniej znacznie więcej osób trudniło się uprawą roli i pasterstwem. Pełnili równie ważną rolę w ówczesnej gminnej społeczności jak rybacy i rzemieślnicy.

Lucien wsiadł do landrovera i zjechał w dolinę. Tego wieczora czekało go spotkanie z dwoma ważnymi przedstawicielami pewnej wspólnoty, do której należał i on.

Jeśli przez Ax-les-Thermes nie przebiegała trasa jednego z etapów Tour de France, licząca tysiąc pięćset dusz, miejscowość była senną, pełną sielskiego uroku wioszczką, typową dla południa Francji. Kiedyś, gdy król i papież niedaleko stąd tworzyli potężną jedność, wiele się tu działo. W sąsiedniej gminie, Montaillou, znienawidzeni przez Kościół katarzy przetrwali jeszcze niemal przez sto lat po rzekomo całkowitej ich eksterminacji przez Inkwizycję. Wytropił ich i zdradził biskup, pochodzący z tej okolicy. Później zasiadł na papieskim tronie

jako Benedykt XII. Płomienie stosów nie wypaliły jednak wiary katarów.

W kamiennym dworze, przed bramami małego kurortu, szczelnie pozamykano okiennice. Tylko przez wąskie szczeliny przenikał słaby odblask płomieni kominka. Nie było tu służby, prądu i telefonu. Przed setkami lat dom należał do szlacheckiej rodziny, obecnie wymarłej. Teraz również stanowił prywatną własność. Ciężka, żelazna furtka odbierała ciekawskim turystom odwagę, by zajrzeć do środka. Tych, których nie powstrzymywał sam jej wygląd, odstraszały tabliczki ostrzegające przed złymi psami. W rzeczywistości nie trzymano żadnego. Jedynie na czas wyjątkowych posiedzeń zatrudniano jednego lub dwóch strażników. Dziś jednak trzech mężczyźni byli tu sami.

Lucien siedział najdalej od kominka. Wprawdzie tu, na górze, noce bywały zimne, lecz jako pasterz przywykł do cięższych warunków. Luc, który przemierzył najdłuższą drogę, bo z wybrzeża, łaknął ciepła. Zarabiał na życie jako rybak na Morzu Śródziemnym. Upał i wiatr niemal wygarbowały mu skórę. W przeciwieństwie do wyższego o głowę, chudego Luciena miał krągłą sylwetkę. Można było sądzić, że dawno przekroczył pięćdziesiątkę. Obaj jednak nigdy między sobą nie wymienili informacji na temat swojego wieku.

Inicjatorem dzisiejszego spotkania był trzeci z obecnych. Miał na imię Henry. Był szóstym synem biednej rodziny osiadłych rzemieślników zajmujących się ciesielstwem. Dwoje jego rodzeństwa umarło na grypę. Ojciec przeznaczył wszystkie oszczędności na jego naukę w seminarium duchownym. Jednakże po krótkim tam pobycie, w pobliżu Narbonne, Henry powrócił do wioski. Po nagłej śmierci ojca przejął

jego interesy. Wraz z dwoma braćmi prowadził odtąd solidne, rodzinne przedsiębiorstwo.

Pasterz, rybak i cieśla - niegdyś, w dalekiej przeszłości, również tak wszystko się zaczęło.

Remoulins

Piękno starych francuskich domów zawsze robiło na Marlenie wielkie wrażenie. Nierzadko dwustuletni budynek ze zwykłego kamienia przetrwał aż do czasów współczesnych w tym samym kształcie, w jakim go niegdyś wzniesiono. Siedziba rodu Garnier, choć znacznie starsza, nie stanowiła wyjątku. Oczywiście, z czasem coś powiększono, coś dobudowano, jak choćby nowoczesną tłocznię winogron. Dziedziniec był z trzech stron otwarty. Pomiedzy halami tłoczni prowadziła droga do nieco wyżej położonego dworu. Szpaler cyprysów i nisko strzyżonych drzew owocowych zapewniał mieszkańcom intymność.

- Mój pradziadek wszystko robił sam - oświadczył Robert z dumą. - I nagle zginął w tym durnym pojedynku. Dziadek, wtedy jeszcze student z głową w chmurach, musiał porzucić naukę i z dnia na dzień przejąć rodzinny interes.

- A co pan robi? - spytała Marlena odruchowo. Zważywszy na analogiczną sytuację młodego Garniera, zadała całkiem sensowne pytanie. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że być może rozdrapuje niezabliźnioną ranę. Najchętniej odgryzłaby sobie język. Robert nie wydawał się jednak dotknięty tymi słowami. Wzruszywszy tylko ramionami, powoli powędrował w kierunku domu.

- Widzi pani, już przed wielu laty podzieliliśmy obowiązki pomiędzy partnerów. Nasza rodzina na-

dal firmuje całe przedsięwzięcie i kieruje przedsiębiorstwem, lecz interesy idą całkiem dobrze i beze mnie. Już mój ojciec działał w podobny sposób. Prowadził też inne firmy.

Nagle posmutniał. Marlena postanowiła więcej go nie męczyć.

Co najmniej trzy godziny temu, w słoneczny, jasny dzień Robert Garnier wyszedł z więzienia jako wolny człowiek. Usiadł na tylnym siedzeniu auta w mocno przepoconej koszuli. Na szczęście Karol włączył klimatyzację. Robert z przerażeniem wysłuchał relacji o zamachu na Marlenę. Nieustannie dopytywał, czy nie odniosła żadnej rany, po czym zdecydował, by wynająć nowe auto.

Dopiero na parkingu, przy autostradzie, Robert i Marlena wsiedli do nowego samochodu. Upewniwszy się, że nikt ich nie śledzi, zostawili Karola samego. Adwokat miał wrócić do miasta i zrobić wszystko, żeby jak najbardziej rzucać się w oczy. Natomiast Marlena i Robert ruszyli w kierunku Remoulins. Wprawdzie wiele ryzykowali, ale mężczyzna miał parę spraw do załatwienia w rodzinnym majątku.

- Proszę tu na mnie zaczekać. Zaraz wracam. Robert wskazał Marlenie fotele w holu. Ta zamarła w bezruchu.

- Bez obawy - powiedział uspokajająco, zauważywszy jej pytające spojrzenie. - Kiedy mnie zatrzymano, Karol wysłał na urlop cały personel, aż do odwołania. Nikogo nie ma w domu.

Uśmiechnął się do młodej Niemki, po czym zniknął w ciemnym przedpokoju. Grube ściany zatrzymywały we wnętrzu chłodne, niemal zimne powietrze. Marlena drżała. Po raz pierwszy od ataku

w Cassis została sama. Przycisnęła ręce do piersi, jakby chciała powstrzymać szybkie uderzenia serca. Na chwilę zamknęła oczy. Próbowwała sobie wyobrazić własny przedpokój z sofą i mruczącym kotem, lecz ciągle słyszała groźny warkot silnika prześladowcy.

Usiłowała wyrównać oddech i uporządkować myśli. Skoro Karol nie zawiadomił policji, to sam powinien zapewnić im bezpieczeństwo. Z pewnością miał układy w mieście. Przemknęło jej przez głowę, żeby wszystko rzucić i wrócić do domu. Szybko jednak zrezygnowała z tego pomysłu. Nie zaznałaby spokoju, gdyby nie rozwiązała całej tej zagadki.

Gdy Robert wkroczył do gabinetu ojca, po plecach przeszedł mu zimny dreszcz. Nie był pewien, czy wyłącznie dlatego, że widok wnętrza wywołał wspomnienie tragicznej śmierci rodzica. Przemknęło mu przez głowę, że zabójca może nadal przebywać w pobliżu. Albo wkrótce powróci na miejsce zbrodni.

Zadrzał. Z tego, co słyszał, wynikało, że jego ojca brutalnie uduszono. A teraz w przedpokoju pozostawił młodą kobietę naukowca, która przybyła do Francji wyłącznie na jego prośbę. Nikt nie pilnuje majątku. Nikt nie wie, że tu przyjechali.

„Musimy jak najszybciej stąd zniknąć” - pomyślał.

Zanim zdążył odwrócić się ku drzwiom, ujrzał groźny cień. Tutaj jednak nie było ani kręconych schodów, ani możliwości wyskoczenia przez okno.

Nieznajomy, który bezszelestnie stanął w progu, zagroził mu jedyną drogę ucieczki.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ax-les-Thermes

- A więc znów przebywa na wolności.

Trzej mężczyźni przez chwilę w milczeniu patrzyli w ogień. Później Henry ponownie zabrał głos. Wprawdzie prasa codzienna dopiero następnego przedpołudnia doniesie o najnowszych wydarzeniach, lecz jego informatorzy wiedzieli, że Robert wyjdzie, jeszcze zanim przeszedł przez ostatnie stalowe drzwi.

Lucien, zwykle rozsądny i opanowany, zmarszczył czoło.

- Czy w ogóle może nam zaszkodzić? Przecież nawet nie wie o naszym istnieniu.

- Może nam pokrzyżować plany, to pewne -orzekł Luc.

- W końcu to jedyny spadkobierca - zauważył Henry.

Lucien skinął głową. Ojciec Roberta w ostatnich tygodniach niemal deptał im po piętach. Dlatego musieli go zlikwidować. Pytanie tylko, czy jego syn również wpadnie na ich ślad.

- Robert nic nie uzyskał. Nie zdobył drzewa genealogicznego i nigdzie go nie znajdzie, skoro istnieje jeden egzemplarz. Trudno tylko powiedzieć, jak wygląda sprawa z rysunkiem, który sporządził jego ojciec - zauważył Lucien.

- Młody Garnier musi coś przeczuwać. Nie bez powodu włamał się przecież do willi. Szkoda, że nie udało się go odizolować jeszcze na kilka tygodni - dodał Luc.

- Nie możemy go usunąć, zwłaszcza teraz, gdy ta Niemka wkroczyła na scenę. Drugie zabójstwo zwróciłoby powszechną uwagę - podsumował Henry.

Wkrótce się rozeszli. Pozostał tylko Henry. Patrzył w kominek, póki żar nie wygasł. Włączył telefon komórkowy i odbył parę rozmów. Odebrał wiadomości od kilku wspólników. Innym udzielił instrukcji. Choć nie ogłoszono oficjalnych wyborów, Henry nieformalnie został przywódcą wspólnoty, liczniejszej i potężniejszej niż postronny obserwator mógłby sądzić, patrząc na tych trzech starszych panów.

Remoulins

Robert był pewien, że intruz dobrze go widzi mimo panującego we wnętrzu półmroku, ale i tak poszukiwał po omacku jakiegokolwiek przedmiotu, który mógłby posłużyć do obrony. Gdyby miał do dyspozycji nawet niezbyt ciężkie narzędzie, zyskałby przynajmniej parę cennych sekund. Wymacał na drewnianym blacie biurka nóż do otwierania kopert, lecz szukał dalej. W końcu trafił na zimną, metalową rurkę.

- Zostaw tę lampkę w spokoju, Robercie! - zawołał męski głos.

Rozbłysło światło pod sufitem. Karol postąpił jeden długi krok do środka. Robert dostał zawrotów głowy. Na miękkich nogach dotarł do fotela za biurkiem. Opadł na niego bezwładnie. Uśmiech ulgi rozjaśnił mu twarz. Dyszał ciężko jak po długim biegu.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha - zauważył Karol.

- Co tu się dzieje? - spytał damski głos.

Kiedy Robert powoli uchylił powieki, ujrzał Marlenę. Jego przyjaciel rozmawiał z nią po cichu.

- Zniósł to wszystko gorzej, niż myślałem - orzekł.

- Nic dziwnego. Po przeczytaniu dokumentów nie zamieniłabym się z nim - stwierdziła Marlena.

- Przyniosę mu z kuchni szklanę wody. Robert chrząknął. Dopiero wtedy znów zwrócili na niego uwagę.

- Tam pomiędzy regałami jest barek - powiedział, wskazując kierunek. - Jeśli chcecie mi pomóc, zapomnijcie o wodzie. Nalejcie mi brandy.

Nie powinniśmy pozostać tu dłużej, niż to konieczne - przypomniał Karol.

Robert nadal siedział w fotelu za biurkiem. Marlena zajęła miejsce na krześle naprzeciwko. Karol usiadł na rogu stołu. Jedną nogę podwinął pod siebie, drugą wsparł o podłogę. Sprawiał wrażenie spiętego.

- Ktokolwiek za tym wszystkim stoi, będzie cię śledził. Niewykluczone, że wkrótce również tu dotrze. Gdzie do tej pory szukałeś?

- Zanim zdążyłem gdziekolwiek zajrzeć, wystraszyłeś mnie na śmierć - wytknął Robert z niewesołym uśmiechem.

Karol powoli wstał.

- Nawet jeśli ktoś przed nami tu był, nie dał rady sprawdzić każdej skrytki - z tymi słowy powoli podszedł do barku. - Jeszcze trochę koniaku? - zaproponował.

Robert pokręcił głową. Odstawił butelki i sięgnął do płytkiego zagłębienia za uchylnymi drzwiczkami. Coś zaskrzypiało w środku. Robert usunął wąską dese-

czkę i wetknął palce w niszę liczącą zaledwie kilka centymetrów szerokości. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak opisał ojciec. Wyciągnął metalowy cylinder, który niegdyś służył za etui na jedno cygaro. Po zamknięciu szafki młody Garnier dołączył do Karola i Marleny.

- *Voila!*

Podszedł do biurka, przekręcił gwint. Kiedy wysypywał zawartość cylindra na stół, poczuł ulotny, słodka wy zapach tytoniu. Staromodny klucz z metalicznym brzękiem uderzył o blat. W ślad za nim z pudełka wypadł zwinięty arkusik papieru. Marlena zastygła w bezruchu.

- Co tam jest napisane? - spytała, nie kryjąc zaciekawienia.

Robert rozłożył kartkę, nie większą niż pocztówka. Nie wyglądała na bardzo starą. Po chwili odłożył ją na biurko z pytającym spojrzeniem. Marlena i Karol wstali i pochylili się nad nią. Nie znaleźli ani jednego słowa, tylko rysunek. Niezbyt dokładny, raczej schematyczny szkic przedstawiający jakiś medal czy też okrągły amulet. Marlena nie miała bladego pojęcia, co ogląda. Jako pierwsza przerwała milczenie:

- Co to jest?

Robert z ociąganiem oderwał wzrok od szkicu, który zostawił mu ojciec. Choć dokładał wszelkich starań, żeby nad sobą zapanować, głos mu lekko drżał, kiedy udzielał wyjaśnień:

- To stara moneta. Z jej powodu mój ojciec musiał umrzeć.

Rzym, 65 rok naszej ery

Linus ciężko dysząc, szedł przez wilgotny, ciemny korytarz. Tylko on jeden pozostał przy życiu z nie-

licznej wspólnoty. Jej wszystkich przywódców kolejno spotykała okrutna śmierć. W przeciwieństwie do nich i kilku innych, którzy podówczas przepłynęli do Rzymu przez morze, Linus i większość jego braci byli rzymskimi obywatelami. Paweł również miał ten status. W ostatecznym rozrachunku niewiele mu to pomogło. Tryb życia zwyczajnego mieszkańca miasta za dnia nie stanowił wystarczającej osłony dla ich nocnych spotkań. Gęsta siatka donosicieli śledziła każdy ich krok. W końcu cały Rzym uwierzył - jak zwykle - że to chrześcijanie ponoszą odpowiedzialność za wzniesienie niszczycielskiego pożaru.

System podziemnych korytarzy, z reguły nie wyższych niż na trzy łokcie, tworzył w Rzymie największą nekropolię, jaką można sobie wyobrazić. Gdzieś w końcu trzeba było grzebać zmarłych. W minionych latach Linus i jego bracia w wierze niejednokrotnie przekonali się, że zmarli nadal przebywają tam, gdzie ich pochowano. Odór rozkładu i mroczne cienie, które widywali w ciemnościach - i to częściej, niż by sobie życzyli - nie ułatwiały im zadania. Prócz nich labirynt tych podziemnych korytarzy obrały sobie bowiem za kryjówkę różne szumowiny.

Pewnego dnia właśnie niedaleko stąd, o świcie, Linus zdjął z krzyża zwłoki Piotra, którego powieszono głową w dół. Pozbawione głowy ciało Pawła uniosło rozhisteryzowane pospólstwo, ale przynajmniej część zamordowanych braci zostanie godnie pochowana. Linus wraz z kilkoma pomocnikami znaleźli w rozgałęzionym układzie podziemnych korytarzy miejsca, gdzie mogli namaścić zmarłych, zawinąć ich w całuny i pochować. Gdy od ich pogrzebu minął rok, nadeszła pora, by wydobyć ich

kości z tymczasowego miejsca pochówku i przenieść do stałych grobowców.

Linus oburącz sprawdzał ścianę, póki nie trafił na dwie ukryte niecki. Wsunął w nie palce. Krótkim szarpnięciem odsunął kamienną płytę. Otwór, który odsłonił, przypominałby niewtajemniczonemu obserwatorowi boczne odgałęzienie korytarza. Za nim leżała grotta, w ścianach której wydrążono co najmniej tuzin podłużnych zagłębień. Choć mierzyły zaledwie pięć kroków, oferowały dość miejsca dla tych, którzy umarli za swoją wiarę. Ścianę obrobiono pobieżnie. W żadnym miejscu nie uzyskano gładkiej powierzchni. Jaskinia powstała w sposób naturalny. Mało kto wiedział o jej istnieniu. I tak też powinno pozostać.

Linus zamknął wejście od środka. Potem zapalił od swej maleńkiej lampki oliwnej drugą, większą. W jej migotliwym blasku wkroczył do jednej z katakumb, sięgającej do wysokości jego ramienia. Ciężki odór niemal uniemożliwiał oddychanie, lecz nikt nie ważyłby się obrażać zmarłych narzekaniem. Człowiek powstał z prochu. Zgodnie z naturalnym porządkiem rzeczy jego ziemską powłoka wracała po zakończeniu swej doczesnej wędrówki do ziemi. Linus odwinął z całunu kości apostoła, którego wielka podróż życia dobiegła kresu tu, w Rzymie. Ponieważ Linusowi brakowało doświadczenia, nie spieszył się. Nie chciał popełnić błędu.

Nagle coś błysnęło pomiędzy kośćmi. Linus zadrzał ze strachu. Mimo że był sam, rozejrzał się dookoła, zanim sięgnął ręką po błyszczący przedmiot. Powoli wsunął palce pomiędzy kości zeber. Dotknął chłodnego metalu. Po chwili trzymał w ręku maleńki krążek, nie szerszy od kciuka. Zanim obejrzał go dokładnie w świetle lampki, już wiedział, że to jakaś moneta. Szczególna moneta.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Remoulins, czasy współczesne

- Znikajmy stąd wreszcie! - ponaglał Karol. Robert na razie nie zamierzał wypełnić jego polecenia. Trzymał w rękach stary klucz.

- Wyjdę, gdy uznam to za stosowne - odparł. - W końcu to mój dom!

Przypominał Marlenie upartego dzieciaka, ale trochę go rozumiała. Po wielkiej rodzinie pozostała mu jedynie ta rodowa posiadłość.

- Czy domyśla się pan, do którego zamka mógłby pasować? - spytała.

Robert przebiegł w myślach wszystkie zakamarki domu. Klucz był za duży jak na kasetę z pieniędzmi. Wszystkie szuflady w gabinecie miały zupełnie inne zamknięcia. Klucze do drzwi także wyglądały inaczej. Z kolei domowe skarbonki niedawno wymieniono na nowocześniejsze, z zamkami cyfrowymi. Coś jednak jeszcze pozostało. Robert usiłował sobie przypomnieć, o czym nie pomyślał.

Wydarzenie, które teraz przyszło mu do głowy, musiało mieć miejsce wkrótce po tym, jak rozpoczął naukę w szkole. Było to najwcześniejsze i najważniejsze wspomnienie o uwielbianym dziadku. Niewiele ich zgromadził, gdyż dziadek zmarł w tym samym roku, wkrótce po Wigilii. Wcześniej wspól-

nie zgłębiali tajemnice Pont du Gard, rzymskiego akweduktu sprzed dwóch tysięcy lat. Dzielila go od dworu niewielka odległość. Wystarczył krótki marsz, by tam dojść. Dziadek tę imponującą budowle nazywał rodzinnym monumentem.

Teraz z wyliczeń Roberta wynikało, że Antoni Garnier zabrał go do starych składów piwnicznych ostatniej jesieni swego życia. W ciemnych ich zakamarkach, pośród starych metalowych rur i ogromnych węży, opowiedział mu wtedy o najdawniejszej historii winnicy. Pozwolił mu nawet wpełznąć do zbutwiałych dębowych beczek. Robert pamiętał, jak wielkie wrażenie zrobiła na nim wiadomość, że od niepamiętnych czasów i rok po roku napełniano je młodym winem.

Wtedy ubranie przesiąkło mu ciężkim, wilgotnym zapachem podziemnych korytarzy. I nadal go czuł w nozdrzach, gdy usiadł przy dziadku, by wysłuchać jego opowieści. Antoni Garnier wyjaśnił mu, że dawniej zgniatano winogrona nogami, a beczki wożono do miasta na wozach zaprzężonych w woły i konie. W papieskim pałacu wysoko ceniono wina Garnierów. Dziadek podkreślał to ze szczególną dumą. Pokazał nawet Robertowi rysunek czegoś na kształt drzewa genealogicznego, na którym widniały herby i symbole obok nieczytelnych napisów.

Nagle Robert pojął, czego i gdzie należy szukać.

- Chodźcie! Idziemy do piwnic!

Pospieszył z powrotem do przedpokoju. Marlena i Karol podążyli za nim. Wejście z domu do podziemi leżało pod kręconymi schodami na piętro. Robert odsunął na bok zakurzoną kotarę. Nikt od dawna nie korzystał z tego wejścia. Drugie, z dworu, służyło obecnie jako skład rozmaitych przed-

miotów, które w miarę upływu czasu wychodziły z użycia w wytwórni win. Zgromadzono tam nieprawdopodobne ilości rur, kotłów i części maszyn. Ale miejsca starczyło na wszystko. Nie usuwano tych rupieci nawet wtedy, gdy nie ulegało wątpliwości, że nikt więcej nie znajdzie dla nich praktycznego zastosowania.

Brudne, drewniane schody skrzypiały przy każdym kroku. Trzy z pięciu żarówek, zawieszonych na kablu pod sufitem, nie świeciły.

- Proszę się dobrze trzymać! Schody prowadzą stromo i głęboko w dół! - ostrzegł Robert Marlenę.

W końcu przeszli przez następne drewniane drzwi i stanęli na kamiennym podłożu. Nagle coś zaszumiało. Przed ich oczami rozbłysło pół tuzina rurek neonu:

Witamy w piwnicach rodziny Garnier, największej wytwórni win po tej stronie Gardu.

Robert z uśmiechem wskazał ogromne, drewniane beczki pod ścianami.

- Musimy przejść jeszcze trochę dalej. Proszę uważać! Podłoga jest bardzo stara i nierówna.

- Dokąd pan nas prowadzi? - spytała Marlena.

- No właśnie! - zawtórował jej Karol. - Co tu możemy znaleźć prócz zbutwiałego drewna?

Robert z triumfem uniósł klucz do góry.

- Zamek, który otworzę tym kluczem - oznajmił z niezachwianą pewnością.

Niewielkie pomieszczenie pomiędzy beczkami, kwadratowym stołem, dwoma krzesłami i kilkoma zakurzonymi przyrządami zapewne służyło do próbowania leżakującego wina.

Marlena zadrżała, gdy stłuczony kieliszek zachrzęścił pod stopami. Wszędzie stały puste butelki

i dziwaczne naczynia. Wyglądało na to, że nikt tu nie wchodził od lat.

- To chyba gdzieś tutaj - wydyszał Robert, przesuając drewniane skrzynki, którymi niemal całkowicie zastawiono tylną ścianę pomieszczenia.

- Pomóż mi! - zawołał do przyjaciela.

Pchnął w jego stronę trzy skrzynki, stojące jedna na drugiej. Karol przejął je i przesunął dalej. Po chwili otrzymał następny ładunek. Miliony drobinek kurzu wirowały w powietrzu. Robert zaczął kichać. Marlenę również kręciło w nosie. Nagle usłyszała radosny okrzyk:

- To tu! Znalazłem!

Ax-les-Thermes

Henry'emu dopisało szczęście. Cały dom już spał. Mógł bez przeszkód spakować niezbędne rzeczy. Nikt nie zada mu niewygodnych pytań. Nie umiał kłamać. Nie potrafiłby zaś przekonująco uzasadnić swojego nagłego wyjazdu.

Mimo że Henry nie został wyświęcony na księdza, nigdy nie brał pod uwagę możliwości ożenku. Ojciec uważał go za dziwaka i odludka. Nie wiedział, jak postępować z synem. Zarzucał mu też, że ma dwie lewe ręce do roboty.

Henry zostawił braciom krótką wiadomość, że naszła go nieodparta ochota zrobić sobie wycieczkę do Prowansji. W gruncie rzeczy nie mijał się z prawdą. Napisał także, że pragnie odpocząć od codziennych obowiązków, by dojść do siebie po silnym - powtarzającym się od czasu do czasu - ataku migreny. Zawsze używał choroby jako wymówki. W wieku męskim rzeczywiście na nią cierpiał. Ponieważ lekarz nie znalazł na tę przypadłość skutecz-

nego lekarstwa, zalecił mu - po wypróbowaniu wszelkich znanych rodzajów terapii - zażywać świeżego morskiego powietrza. Henry od czasu do czasu korzystał z pretekstu podratowania zdrowia, by uciec od codzienności. Odwiedzał wtedy małe przybrzeżne miasteczka wzdłuż Golfe du Lyon. Kiedyś, przed wielu laty, podczas jednej z tych podróży poznał także Luca.

Henry jechał drogą krajową numer 20 i snuł plan pobytu w Prowansji. Już wcześniej poinformował dawnego kolegę, Claude'a, że planuje doń przyjechać. Tam oczekiwano go dopiero po południu. Mimo że nie miał powodu do pośpiechu, zamienił wolniejszą trasę na szybszą. Dopiero w okolicach Carcassone postanowił zjechać na drogę A61 i w ten sposób zaoszczędzić 40 kilometrów. Podczas gdy cała Francja spała, zamierzał wykorzystać kilka godzin ciszy i spokoju po północy, by zaplanować swój niezwykły powrót do służby Kościołowi.

Ojciec wreszcie byłby dumny z syna - teraz nie interesowała go już zwykła księżyca sutanna! O nie!

Remoulins

Ponieważ Karol nalegał z wielkim niepokojem, by jak najszybciej opuścić posiadłość, zdecydowali się zbadać zawartość sejfu gdzie indziej. Klucz Roberta rzeczywiście bez trudu otworzył zamek. Za ciężkimi drzwiami co najmniej stuletniego skarbca znaleźli szkatułkę z papierami oraz pożółkłą księgę. Ku rozczarowaniu młodego Garniera nie było tam zwoju z kolorowymi herbami.

Droga dojazdowa z odległego o niecałe dwadzieścia kilometrów Awinionu biegła w kierunku

Ales  rodkiem wsi przez most. W okresie rozkwitu poszerzono j - przed wyjazdem z tej miejscowoci - o dwupasmow estakad. Przy niej powstały warsztaty, salony samochodowe oraz wielkie centrum handlowe. Od paru lat działała tam nawet restauracja McDonalda, otoczona klombami z lawend. Jako że żaden z naszych podróźnych nie dotrwałby bez picia do nastpnego miejsca postoju, a ponadto o tak pźniej godzinie niełatwo byłoby znaleźć wolne miejsca na wypicie kawy, Robert, Marlena i Karol skierowali samochód w stron najbliższego lokalu.

Wcześniej, w majątku Garnierów, schowali renault i drugi wypoźyczony samochód w hali za maszynami rolniczymi, żeby nie rzucały się w oczy. Karol zamierzał przy najbliższej okazji przyprowadzić swoje auto, a oddać staranowany kabriolet. Wszyscy troje zgodnie uznali, że najrozsądniej będzie jeździć jak najmniej znanym pojazdem. Ponieważ pikap miał tylko dwa wygodne siedzenia i logo wytwórni win, wymalowane na karoserii, Robert wybrał minibusa. Na szczęcie został on niedawno zakupiony, toteż nie zdążono go jeszcze ozdobić symbolami rodzinnego przedsibiorstwa.

Białego peugeota 807 zaparkowali za zdezelowanym samochodzikiem jakich uczestników dyskoteki. Gdy Karol wysiadł, żeby zamówić trzy duże filiżanki kawy i co do jedzenia, Robert pokazał Marlenie dokumenty.

- Czy to te rysunki, które dziadek pokazał panu w dzieciństwie? - spytała Marlena.

- Nie. Przypominam sobie co w rodzaju drzewa genealogicznego lub czego podobnego. Tych pa-

pierów nigdy dotąd nie widziałem. To chyba stare rachunki i wykresy.

- A księga?

Wszystkie nadzieje skupiły się na oprawnym w skórę tomie. Nie był bardzo zniszczony, nie sprawiał też wrażenia muzealnego zabytku. Na pierwszy rzut oka mógł pochodzić z przedostatniego stulecia.

- Co to za księga? - spytała Marlena.

Karol otworzył drzwi samochodu. Na siedzeniu postawił tacę z kubkami i papierową torbę. Podał jedno z naczyń Marlenie.

- Kawa, *madame* Schönberg.

Marleny nie interesowało jednak ani jedzenie, ani napoje. Kartkowała dziwne dzieło, nie przypominające ani zadrukowanej księgi, ani notatnika w tradycyjnym znaczeniu.

- Proszę zobaczyć! To odpis! - wykrzyknęła.

W osiemnastym i dziewiętnastym wieku nierzadko ręcznie sporządzano kopie książek. Przeważnie kopiowano wybrane fragmenty, żeby pozostawały do dyspozycji w innym miejscu. Oprawiano je porządnie, żeby nie pogubić kart.

Robert i Karol czekali na wyjaśnienia. Nie potrafili odgadnąć, dlaczego nieznany odpis wywołał u młodej Niemki tak silne emocje.

- To kopia starej księgi. Przepisał ją ręcznie niejaki Maksymin Garnier.

Robert nagle doznał olśnienia. Zaczął ciężko oddychać. Przebiegł w myślach dziesięciolecie dziewiętnastego wieku.

- Mój Boże! Możliwe, że pisał to przodek mojego dziadka, który żył w czasach napoleońskich.

Marlena nie знаła starofrancuskiego na tyle dobrze, żeby przetłumaczyć tekst. Na szczęście znalazła w nim fragmenty napisane po łacinie.

- Zaczekajcie. Mam nadzieję, że coś odczytam. - Nagle zaświtał jej w głowie nowy pomysł. - Proszę mi podać rysunek.

Robert wyciągnął zrolowaną kartkę z pudełka po cygarze, w którym uprzednio umieścił znalezisko. Marlena przystawiła ją do książki.

- Pasuje zarówno wiek, jak i wielkość. To strona, którą ktoś bardzo starannie z niej wyciął.

- Co to dla nas oznacza? - spytał Robert.

- Że zawiera coś ważnego. Moim zdaniem to coś ma związek z Kościołem. Pozwólcie, że poszukam w tej księdze indeksu lub jakichś podpisów.

Po dwukrotnym przekartkowaniu tomu, mniej więcej w jego środku, Marlenie wpadła w oko ilustracja. Powiększona kopia rysunku zajmowała dwie strony. Robert zrobił wielkie oczy.

- Toż to kopia drzewa genealogicznego, którą kiedyś pokazał mi ojciec! - wykrzyknął.

Jego przodek, Maksymin Garnier, porządnie wyrysował piętnaście ozdobnych ramek. Umieścił w nich daty i imiona. Robert przesunął palcem po skomplikowanej linii ornamentu, który okalał napisy na podobieństwo sznura pereł. U samego dołu drugiej strony Maksymin naniósł własne imię, datę i miejsce urodzenia: *Remoulins, 1 marca 1783*.

Dalej ktoś, prawdopodobnie dziadek Antoni, uzupełnił wykaz o kilka imion:

*Guillaume, 1813-1894 Jan, 1839-1908 Wiktor, 1867-1923
Antoni, 6 września 1898*

O ile Robert dobrze wyliczył, Maksymin był jego prapraprapradziadkiem. Pokazał palcem najwyższą ramkę.

- Spójrzcie! Jest tutaj!

Marlena zobaczyła czarno na białym imię założyciela rodu:
Bernard Garnier, 1370-1433-

ROZDZIAŁ ÓSMY

Rzym, 76 rok naszej ery

Głoście słowo! Trwajcie przy nim zarówno w odpowiednim, jak i w nieodpowiednim czasie.

Wciąż powtarzano te zdania. Piotr i Paweł cytowali je niezliczoną ilość razy w swych prostych, lecz ujmujących przemówieniach. Uważali je za najważniejsze przykazanie dla swojej rozrastającej się wspólnoty.

Wprawdzie pod rządami cesarza Wespazjana nie żyli zbyt długo w pokoju i bezpieczeństwie, lecz władca miał inne zainteresowania niż prześladowanie wyznawców *Chrestosa*. Niestety, był już stary, podobnie jak Linus. Nie ulegało wątpliwości, że wkrótce umrze. Z kolei jego syn uchodził za równie żądny władzy i bezlitosnego, jak niegdyś Neron.

Linus zwołał braci do swojego tajemnego mieszkania. Zgromadzili się wokół niego. On leżał na prowizorycznym pościeli ze słomy i zgrzebnych koców. Pachniało ziołami i aromatycznymi olejkami. Wysoka, sklepiona piwnica służyła niegdyś za magazyn sklepu, który strawił wielki pożar. Ponieważ nikt nie rościł sobie praw do ruin, dwaj obywatele miasta załatwili sobie możliwość ich użytkowania. Następnie zamaskowali wejście do podziemi. Żaden z miejskich strażników, ani żaden z sąsiadów

nie wiedział, że matka obydwu użytkowników ruin - braci - miała jeszcze jednego syna imieniem Linus.

Pół piętra poniżej tego pomieszczenia wykuto w skale drugie - magazyn na wino i żywność. Prowadziło tam osiem kamiennych schodków w tylnej części pierwszej piwnicy. Ponieważ służyła też jako schron w razie niebezpieczeństwa, ową tylną ściankę zastawiano półkami. Mimo względnego spokoju w ostatnich latach, należało być zawsze przygotowanym na najgorsze. Materiały, które pozostały po rozbudowie głównego pomieszczenia, wykorzystano do wzniesienia ołtarza w niższej piwnicy. Ołtarz podtrzymywał duchową więź z tymi braćmi, którzy pozostali w Jerozolimie.

Gdy Linus pojął, że nie przezwycięży słabości, polecił swoim uczniom zwołać tak wielu ukrywających się braci, jak to tylko możliwe. Ci - trzy dni później - poinformowali go o rezultatach swoich działań. Następnej nocy Linus oczekiwał przybycia gości w swojej podziemnej kryjówce. Powiadomiono około trzech tuzinów braci w wierze. Ci z kolei obiecali zwołać następnych. Wszyscy powinni dotrzeć około północy. Opisano im wejście do ogrodu na końcu posiadłości, od strony bocznej uliczki. Ponieważ była to uboga dzielnica, nikt prócz nich w nocy tą uliczką nie chodził.

Niektórzy bracia przybyli znacznie wcześniej. W obszernej piwnicy robiło się coraz ciasniej. Po szóstym tuzinie Linus zaprzestał liczenia. Jego twarz rozjaśnił uśmiech radości. Czuł, że wszystkich łączy to samo uczucie: miłość do Jezusa Chrystusa, który tak, jak później większość Jego uczniów, cierpiał męki i umarł męczeńską śmiercią. A mimo to do ostatniego tchnienia modlił się za innych, nawet za

swych oprawców. Właśnie to szczególnie oddziaływało na ludzi. Rzymscy bogowie byli bogami władców. Opiekowali się żołnierzami i myśliwymi. Samemu cesarzowi przypisywano boską moc. Rządzący bali się słów Jezusa, ponieważ nie podporządkował się ich wszechwładzy. Dokładnie z tego samego powodu wszyscy zgromadzeni w ukrytej piwnicy Go wielbili.

Linus gestem ręki nakazał milczenie przybyłym.

- Drodzy bracia! - zaczął słabym, lecz słyszalnym dla wszystkich głosem. - Większość z was znała wielkich apostołów Pana: Szymona Piotra oraz Pawła. Przybyli ze swoimi uczniami z Jerozolimy. Przynieśli nam Nowinę, dającą siłę i nadzieję. Większość z nich za nią oddała swe życie w ogrodach Nerona. Inni zostali zamordowani przez pretorianów i motłoch na ulicach miasta. Na nas więc spoczywa teraz obowiązek niesienia ich przesłania do wszystkich ludzi. Musimy się przeto zorganizować i zabezpieczyć możliwość przetrwania Nowiny.

Wśród zgromadzonych przeszedł szmer. Linus należał do pierwszych chrześcijan w Rzymie. Wiedział, co mówi. Właśnie dlatego Piotr i Paweł wybrali go na *vicarius*, swego zastępcę. Kiedy upewnił się, że jego słowa przyjęto z aprobatą, ciągnął dalej:

- W rok od pogrzebu naszego pasterza, Piotra, chciałem wyjąć z ukrytego grobu jego szczątki, by przenieść je zgodnie z tradycją do grobowca. Pomędzy jego kośćmi znalazłem złotą monetę. Po dokładnym obejrzeniu stwierdziłem, że to sestercja⁶.

⁶ W rzeczywistości sestercja była drobną srebrną monetą rzymską. Moneta złota nosiła nazwę aureusa.

Linus zamilkł. Sięgnął do małego skórzanego mieszka, zawieszzonego u lewego nadgarstka. Wysypał zawartość na dłoń. Następnie ujął w palce złoty krążek i uniósł do góry, by wszyscy go zobaczyli.

- Dopiero gdy wróciłem do domu, zbadałem znalezisko. Posłuchajcie, co odkryłem. Na awersie, jak na zwykłych sestercjach, wybito oblicze mordercy Nerona. Za to na rewersie zobaczyłem coś nadzwyczajnego. Popatrzcie tylko sami!

Na rewersie monety zamiast pary koni widać było bochenek chleba i rybę. Po prawej i lewej stronie rysunku umieszczono litery X i P - Chrystogram, czyli inicjały Jezusa Chrystusa w alfabecie greckim⁷. Małeńki złoty krążek był jedyną spuścizną, jaka pozostała po pierwszych uczniach Jezusa. Sam Nauczyciel używał w Jerozolimie podobnych znaków rozpoznawczych dla swej nauki. Tylko ten, kto znał cuda Mesjasza, potrafił odczytać te znaki. Tu, w Rzymie, a więc niejako na obczyźnie, taka moneta odgrywała jeszcze ważniejszą rolę. Była tajemnym łącznikiem z Odkupicielem, a jednocześnie spadkiem po apostołach Pana - po Piotrze i Pawle, przywódcach pierwszej rzymskiej wspólnoty chrześcijan.

- Skoro odnalazłem tę monetę w grobie czy też ona sama mnie odnalazła, pragnę przekazać ją memu następcy, którego dzisiaj wyznaczę. Ten, który przez lata wiernie służył moim współbraciom, od dziś będzie przewodził naszej gminie - oznajmił Linus donośnie.

Zaaferowane głosy zgromadzonych długo nie milkły. Nikt nie potrafił odgadnąć, komu przypad-

⁷ Greckie litery XP (Chi - Ro) czyta się jako chi i r, czyli pierwsze litery imienia Chrystusa.

nie ten zaszczyt. Wybrany wiedział już jednak, że chodzi o niego, dlatego powoli torował sobie drogę ku posłaniu Linusa. Tymczasem wyczerpany przemówieniem starzec zupełnie opadł z sił. Mimo to zamierzał ostatnią część ceremonii odprawić na stojąco. Podczas gdy dwóch towarzyszy pomagało mu wstać, ów wybrany - Kletus - ukląkł przed nim, gotów na przyjęcie znaku wybrania.

Remoulins

Karol przejął kierownicę samochodu i skierował go bez pośpiechu na prawie nieuczęszczaną wiejską drogę.

- Mówcie powoli! Bo w takim tempie nic nie zrozumieję - powstrzymywał oboje rozmówców, unosząc na znak protestu prawą rękę. Nie był przecież historykiem tylko adwokatem. Nie znał ani starofrancuskiego, ani łaciny. Gdy Marlina i Robert poruszali zawile kwestie rodzinne i kościelne, niewiele pojął z ich wywodów. Przeprasili go, po czym Garnier zaczął wyjaśniać:

- Wiesz, dlaczego o pomoc poprosiłem właśnie *madame Schönberg*?

Karol skinął głową.

- Dobrze. Z powodu książki tej pani o soborze w Konstancji. To najbardziej aktualne opracowanie na ten temat, oparte na solidnych materiałach źródłowych.

Marlina uśmiechnęła się z ociąganiem. Duchowieństwo potraktowało jej rozprawę z wyraźną rezerwą, ponieważ wyraziła uzasadnioną wątpliwość na temat uniwersalnego prawa Kościoła do władztwa, prawa opartego na ustaleniach ówczesnego soboru. Liczyła na to, że tu, w Prowansji, jeśli tylko

okoliczności będą jej sprzyjać, znajdzie przekonujące uzasadnienie swoich idei.

- W każdym razie - ciągnął Robert - z tej pracy wynika m.in., że papieże z Awinionu zostali z powrotem ściągnięci do Rzymu nie tylko w celu przywrócenia pokoju wewnątrzkościelnego. Szlachta rzymska od pokoleń wyносиła księżęta Kościoła do najwyższych godności, by nimi dyrygować, toteż czasy awiniońskie oznaczały dla ówczesnej świeckiej elity Rzymu znaczną utratę wpływów i pieniędzy.

- Proszę nie zapominać, że na papieży w Awinionie wywierali z kolei presję francuscy królowie - zwróciła uwagę Marlena. - Wystarczy przypomnieć procesy templariuszy. Gdyby awiniońscy papieże rzeczywiście mieli niewiele do powiedzenia, to triumfalny powrót papieżstwa do Rzymu w ostatecznym rozrachunku dobrze by mu się przysłużył.

- Zgadza się, ale tylko po części - odparł Robert. - Tak było jedynie w pierwszym okresie. Późniejsi tamtejsi papieże zyskali większą niezależność i w przeciwieństwie do rzymskich cieszyli się wielkim poważaniem wśród ludności.

- Przyznaję panu rację.

Marlena spostrzegła, że Robert zaczyna oceniać historię z rozwagą naukowca. Autorzy przewodników po Prowansji gloryfikowali papieży z Awinionu. Dlatego należało szczególnie cenić obiektywne podejście do przeszłości.

- Ostatni antypapież, wybrany w Awinionie, zmarł jednak na wygnaniu w Hiszpanii, w przekonaniu, że to on jest najwyższym pasterzem Kościoła katolickiego - przypomniała. Gdy Robert skinął głową, ciągnęła dalej: - Mianował czterech kardynałów. Trzech z nich pod nieobecność czwartego

wybrało następcę, na którego sam antypapież się nie zgadzał. Celowo odczekali do momentu, gdy tamten wyjechał za granicę. On z kolei - jako zaufany zmarłego papieża - mianował na jego następcę tego, któremu jego przełożony rzeczywiście zamierzał przekazać władzę.

- Ten papież czy też antypapież nosił świeckie nazwisko Bernard Garnier - zakończył Robert.

Karol z zaskoczenia omal nie stracił kontroli nad pojazdem. Teraz skupienie uwagi na prowadzeniu kosztowało go sporo wysiłku. Zaledwie dziesięć minut temu przeczytał nazwisko kościelnego dostojnika w wykazie przodków przyjaciela.

- Jak to? Czyżby twój ród... wywodził się od papieża? - wyjąkał.

Robert skinął głową i podniósł księgę do góry.

- Przynajmniej tak w niej napisano.

Awinion

Wschodnią stronę nieba zabarwiły już czerwone smugi brzasku. Henry samotnie podążał drogą A-9, prowadzącą na północny wschód w kierunku Orange i Lyonu. Już wyczuwał w powietrzu jedyny w swoim rodzaju zapach Prowansji. Tu, z dala od surowych gór, znów oglądał zupełnie inne krajobrazy. Drzewa figowe i migdałowce, słoneczniki i lawenda, sady oliwne i winnice - nieskończone obszary obsadzone plenną latoroślą. Nie dziwiło go, że na tej ziemi osiedli kiedyś papieże.

Ponad sześćset lat minęło także od czasu, gdy inkwizytorzy wytropili katarów, wyniszczyli ich, a resztki wygnali z ojczystych stron Henry'ego. Wymordowali niemal całą ludność Prowansji: miasteczek i wsi.

Opuścił drogę A9, określaną na mapach jako La Languedocienne, zjazdem numer 23- Po raz trzeci przystanął przy bramce, żeby uiścić opłatę za przejazd ostatnim odcinkiem autostrady Maut. Pracownik w okienku ze zmęczonym uśmiechem życzył mu szczęśliwej podróży.

Zanim zjechał estakadą w kierunku Awinionu, musiał ustąpić pierwszeństwa białemu minibusowi marki Peugeot, nadjeżdżającemu z naprzeciwka. Henry przypomniał sobie nazwę tej miejscowości: Remoulins.

Rzym, 88 rok naszej ery

Zwróć kroki w stronę ryby. Podążaj za nią.

Wszędzie tam, gdzie był wyrysowany właściwy symbol, zdążającego do celu prowadziła sekretna droga. Trzeba było tylko umieć odczytywać rysunki. Powiększone oko lub dorysowana nad rybą sieć oznaczały zwiększone ryzyko. Jeśli kontur zamalowano lub rozjaśniono, trasa lub kryjówka wyszła z użycia i należało poszukać nowej. Potajemne życie każdego chrześcijanina prowadzone pod czujnym okiem władz obfitowało w napięcia i zagrożenia.

Kletus już dawno uświadomił sobie, że przyjdzie mu być biskupem Rzymu. Sprawował ten urząd równie długo jak poprzednik. Zdawał sobie też sprawę, że wkrótce przyjdzie mu stanąć przed obliczem Stwórcy. Ponieważ gmina chrześcijan dopracowała się sprawnej organizacji, Kletus mógł zwołać podobne zebranie, jak wtedy, gdy otrzymał monetę. Wcześniej opracował jednak zupełnie inny scenariusz spotkania. Po pierwsze, liczba członków wspólnoty za bardzo wzrosła, by można ich było

zgromadzić w jednym miejscu. Wystarczyłby jeden zdrajca, by siepacze tyrana Domicjana napadli na bezbronnych ludzi niczym sfora drapieżników. Po drugie, chodziło o same zasady wyboru biskupa Rzymu. Ich Pasterz, Jezus Chrystus, połączył wszystkich braci w jedną społeczność, która w istocie nie potrzebowała jakiegś specjalnej ziemskiej organizacji. Tworzyli bowiem wieczny związek, a on, Kletus, stanowił jedynie maleńką cząstkę całości. Ponieważ jednak każde odgałęzienie rzymskiej gminy miało już swego koordynatora, przewodnika czy innego rodzaju duchowego przywódcę - a było ich chyba z dwunastu - to na prośbę Kletusa wybrali spośród siebie trzech przedstawicieli, którzy po jego śmierci mieli przekazać insygnia władzy świętego Piotra jego następcy. Powinien on zostać wybrany jednogłośnie spoza grona tej trójki. Później powinni poinformować pozostałych członków gminy o wyniku wyboru Piotrowego następcy.

W noc śmierci Kletusa trzech mężczyźni trzymali straż do świtu. Przed namaszczeniem i odprawieniem ceremonii pogrzebowych odcięli skórzany woreczek zawieszony u nadgarstka zmarłego. Przekazali go wraz z całą zawartością Klemensowi. Ten natychmiast wycofał się do dawnego podziemnego magazynu. Spędził tam noc i dzień na cichej modlitwie. Był ostatnim z uczniów Pawła. Miał szesnaście lat, gdy jego nauczyciel poniósł śmierć. Prawdopodobnie właśnie dlatego go wybrano - naoczni świadkowie działalności apostołów Piotra i Pawła bowiem wymierali, a wraz z nimi pamięć o pierwotnej rzymskiej gminie chrześcijan.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Awinion, czasy współczesne

Mimo że podróż trwała dobre cztery godziny, Henry nie odmówił sobie przyjemności przejechania przez most Pont Daladier na Rodanie i obejrzenia wyniosłego, starego miasta w pierwszych promieniach wschodzącego słońca. Już w latach nauki w seminarium duchownym doświadczał podobnych przeżyć. Zawsze wiedział, że życie nie kończy się u kresu ziemskiej wędrówki. Najpiękniejsze zjawiska natury zwracały jego myśli ku wieczności.

Ale ludzie byli jedynie słabymi ogniwami wielkiej całości, oszukiwanymi i wprowadzanymi w błąd przez pewną instytucję w sercu podupadłego rzymskiego mocarstwa. Po wielu latach i pokoleniach właśnie on otrzymał szansę wprowadzenia zmian. Teraz zawrócił w tę stronę, z której przybył. Claude oczekiwał go po drugiej stronie rzeki. Jeszcze raz zerknął na złotą figurę Madonny, która strzegła miasta z najwyższej wieży papieskiego pałacu.

- Już wkrótce - pomyślał - to nie potrwa długo".

Karol przekręcił klucz w drzwiach wejściowych. Znajdowali się w wąskim, chłodnym korytarzu z trzema drzwiami po każdej stronie. Zapach stęchlizny przypominał Marlenie mieszkanie dziadków

ze strony matki. Tam także na sofach i fotelach leżały aksamitne poduszki w pastelowych kolorach, a barokowe meble zdobiły kolorowe serwetki. Jak widać, wszystkie starsze damy podobnie urządzały wnętrza.

- Niczego lepszego na szybko nie znalazłem - wyjaśnił Karol, jakby musiał się usprawiedliwiać.

- Przecież to zupełnie niezłe miejsce - stwierdził Robert. - Blisko centrum, mieszkanie z trzema łózkami, a co najważniejsze, nikt nie podejrzewa, że tu mieszkamy.

Podczas ostatnich kilometrów jazdy Karol złożył relację ze swych poszukiwań bezpiecznej kryjówki w najbliższej okolicy. Prawdopodobnie z konieczności wymusił przysługę na ciotecznej babce, która obecnie przebywała na kuracji. Przynajmniej tak to rozumiała Marlena. Śledzenie szybkiej konwersacji po francusku sprawiało jej wciąż sporo trudności. Zresztą co najmniej kilka minut przespała z głową wspartą o szybę. Niewiele jej to dało. Później czuła się jeszcze bardziej wyczerpana. Pomyślała, że jeśli nie odpocznie przez kilka godzin, uśnie na stojąco.

- Zapraszam do środka, *madame*.

Karol otworzył wąskie, polakierowane na biało drzwi z licznymi ornamentami. Za nimi znajdował się pokój gościnny, zapchany wszelkimi możliwymi meblami. Najwidoczniej starsza pani miała bardzo staromodny gust. Grunt, że w środku stało szerokie, wygodne łóżko z tuzinem ozdobnych poduszek.

Marlena podziękowała i weszła. Życzyła obu panom dobrej nocy, po czym zamknęła drzwi. Nie minęło pięć minut, gdy spokojnie zasnęła w białej pościeli.

- Cześć, Henry! Całe wieki cię nie widziałem! Rzeczywiście minęło prawie dziesięć lat od ostatniego spotkania. Dwaj koledzy, którzy niegdyś za-

mieszkiwali jeden pokój w seminarium duchownym, utrzymywali ze sobą kontakt, ale tylko telefoniczny lub listowny, nie osobisty. Nigdy nie nawiązali prawdziwej przyjaźni, lecz zawsze sobie ufali.

- Cześć, Claude! - Henry serdecznie uściśnął koledze prawą rękę. Lewą położył mu na ramieniu.

- Wszystko idzie zgodnie z przewidywaniami. Wczoraj wieczorem dowiedzieliśmy się, że sprawa naprawdę ruszyła z miejsca. Dlatego tu przyjechałem. Dziękuję, że tak chętnie udzieliłeś mi gościny.

Claude wprowadził Henry'ego do domu.

- Masz ze sobą bagaż lub jakieś rzeczy, którymi trzeba się zaopiekować? Sądzę, że chcesz trochę odpocząć.

Henry skinął głową. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo jest zmęczony.

Promienie słońca przeświecały przez szparę pomiędzy dwiema pomarańczowymi zasłonami. Marlena odwróciła głowę, żeby sprawdzić godzinę. O ile zegar na ścianie dobrze wskazywał czas, był kwadrans po dziesiątej. Sen pomógł jej uporządkować myśli. Wróciła pamięcią do awiniońskiego mieszkania ciotecznej babki Karola, do którego umknęli we wczesnych godzinach rannych.

Kiedy wkroczyła do salonu, zastała Roberta przy porządnie nakrytym stole. Gdy ją zobaczył, skinął zapraszająco ręką.

- Dzień dobry, *madame*. Odpoczęła pani trochę? Karol był tak miły, że przygotował nam przyzwoite śniadanie.

Marlena przebiegła wzrokiem pomieszczenie, zanim zajęła miejsce naprzeciwko Roberta.

- Dzień dobry. A gdzie pański przyjaciel? Nie widzę go tutaj.

- Już wyszedł do biura. Jak każdy adwokat, ma mnóstwo spraw do załatwienia.

Marlena skinęła głową i zaczęła jeść. Po kilku minutach milczenia spytała:

- A co my planujemy na dzisiaj?

Robert wskazał na leżące przed nim papiery.

- Na razie przygotowałem kilka dokumentów. Czy może pani podłączyć swój notebook do Internetu bez kabla?

- Przypuszczam, że tak.

- W takim razie powinniśmy prześledzić parę rzeczy, ponieważ na razie nie zdobędziemy książek, które chciałbym przejrzeć. Ale na szczęście znam kilka użytecznych adresów internetowych. - Przesunął w jej kierunku jakąś broszurę. - To też powinna pani obejrzeć.

Przed Marleną leżał przewodnik po awiniońskim pałacu papieży w niemieckim tłumaczeniu. Niewątpliwie Karol kupił go rano w sklepiku przy pałacu.

- Znam papieską rezydencję - wyjaśniła Marlena. - Na co konkretnie powinnam zwrócić uwagę?

Robert zaczekał z odpowiedzią, aż spojrzy na niego.

- Dziś wieczorem złożymy wizytę w świętych salach.

- Jeśli o mnie chodzi, moglibyśmy wyruszyć natychmiast. Dobrze wypoczęłam. Jestem gotowa niemal na wszystko.

Podczas gdy życie w Awinionie zaczynało tętnić, obydwaj mężczyźni siedzieli już od paru godzin na tarasie posiadłości po drugiej stronie Rodanu i patrzyli na pałac. W milczeniu poszukiwali w swoich pamięciach śladów dawnych przekazów i opowieści.

Już wiele lat przed przybyciem pierwszych papieży, król Filip IV wznosił tu, w Villeneuve-les-Avignon, twierdzę z wieżą, która górowała nad całą okolicą. W jej cieniu leżała również posiadłość Claude'a. Już sama nazwa - Szlak Filipa Pięknego - przyciągała współczesnych turystów jak magnes. Ciągnęli całymi stadami, by obejrzeć zamek, awiniońską starówkę i sławny, nieukończony most Pont St. Benezet. Dawniej łączył on te dwa miejsca. Podobno kiedyś próbowano także przeprowadzić tunel pod dnem rzeki. Miasto widziało siedmiu papieży - siedmiu wybranych i sprawujących swój urząd zgodnie z obowiązującym prawem. Pierwszy z nich był właściwie marionetką króla Filipa Pięknego. Awiniońskie papieństwo szybko jednak zyskiwało na majątku i znaczeniu, aż osiągnęło rangę samodzielnej instytucji. Właśnie dlatego papieże tu pozostali nawet wtedy, gdy w końcu rezydowali jako antypapieże.

- Gdyby król Filip zostawił templariuszy⁸ i Żydów w spokoju, historia przybrałaby inny obrót - jako pierwszy przerwał milczenie Claude.

- Sądzisz, że wtedy inaczej oceniono by w Rzymie jego polityczne starania? Już wcześniej uważano go za żądnego władzy maniaka. - Rzymskich cesarzy również.

Henry bez trudu rozszyfrował sens wypowiedzi Claude'a. Mógłby dorzucić swoje zarzuty do przedstawionych przez przyjaciela. Przecież katarzy rów-

⁸ Templariusze - zakon rycerski, założony w 1119 r. w celu ochrony pielgrzymów udających się do Ziemi Świętej. Z czasem zgromadził wielkie bogactwa i miał wielkie wpływy polityczne, szczególnie we Francji. W 1307 r. król Filip Piękny oskarżył ich o herezję, kazał spalić na stosie wielkiego mistrza wraz z czołowymi zakonnikami i przejąć ich majątek.

nież ucierpieli w wyniku prześladowań. Podobnie jak templariusze, zostali wytępieni. I jedni, i drudzy w zasadzie nie przetrwali do naszych czasów.

- Mimo wszystko - dodał - król ten wyświadczył Kościołowi znaczną przysługę. Odzyskał dla siebie i dla niego cały ich majątek. Nawet dziś Watykan nie może ukryć, że skorzystał na tej zbrodni.

- Ale przecież - ripostował Claude - Filip zerwał z Kurią Rzymską tylko dlatego, że chciał ją sobie podporządkować. Wcześniej wystarczająco długo rządzili nią rzymscy możnowładcy. W tym sensie nie wyrządził żadnej szkody. Papieże zyskali u nas tak wielką władzę, jakiej nigdy wcześniej w Rzymie nie posiadali.

Rzeczywiście, Filip założył nową, legalną Kurię - i to poza obrębem Rzymu. Obydwaj - zarówno Henry, jak i Claude - uważali to posunięcie króla francuskiego za genialne. I stworzona przez tego króla instytucja mogła równie dobrze funkcjonować do dziś, jak w przeszłości.

Rzym, drugi wiek naszej ery

Kościół Boga, pozostający na obczyźnie w Rzymie, do Kościoła Boga, pozostającego na obczyźnie w Koryncie: Niech Bóg wszechmogący obdarzy was łaską i pokojem poprzez Jezusa Chrystusa.

Klemens Romanus miał decydującą przewagę nad swymi poprzednikami. Urodzony jako rzymski obywatel, obeznany z kręgami możnych, był równocześnie uczniem Pawła. Dzięki temu stanowił ważne ogniwo łączące jemu współczesnych z pierwszym, już wymarłym pokoleniem świadków Jezusa. Dlatego w czasach, gdy przewodził chrześcijańskiej gminie, nie tylko mógł przekonywać rzymskich

obywateli do jedynej prawdziwej wiary, lecz także nawiązać kontakt z gminami chrześcijańskimi z innych części imperium. Ściągnął przez to na siebie kłopoty. Moźni poganie patrzyli na niego złym okiem. Mówiono, że tylko jego potężne wpływy wśród zwykłych mieszkańców miasta ochroniły go przed prześladowaniem. Nigdy też nie zarzucono mu powiązań z chrześcijanami, ponieważ współwyznawcy okazywali mu pełną lojalność i dochowali tajemnicy do jego śmierci.

Gdy Klemens pojął, że jego ziemska wędrówka dobiega kresu, kazał trzem swoim najbliższym pomocnikom namaścić na swego następcę Ewarysta. Następnie uroczyście przekazał mu monetę Świętego Piotra.

Następcą Ewarysta został Aleksander.

Jego następcą był Sykstus.

Po nim nastał Telesfor.

Następcą Telesfora został Hyginus.

Jego następcą był Pius.

Po nim nastał Anicetus.

Od męczeńskiej śmierci Piotra i jego współwyznawców upłynęło prawie sto lat. Podobnie jak w Rzymie, także w innych rozproszonych gminach imperium, zostali wyznaczeni następcy apostołów. Sam apostoł Jan na krótko przed śmiercią mianował swego ucznia Polikarpa biskupem Smyrny. Po raz pierwszy od wielu lat zwołano tak ważne spotkanie w ścisłej tajemnicy.

Oddziały nowego cesarza, Marka Aureliusza, składały się z okrutnych żołnierzy. Mało który z prześladowanych zdołał im umknąć. Już w pierwszych dniach rządów nowego władcy kilka tuzinów chrześcijan zginęło gwałtowną śmiercią. W ten spo-

sób cesarz po raz pierwszy okazał swą nieustępliwość. Nie dopuszczał istnienia żadnych bogów prócz niego samego. W drodze łaski darował życie wszystkim wytropionym wyznawcom chrześcijaństwa, którzy publicznie okazywali skruchę i wypierali się swej wiary.

Siedzieli w dwunastu przy chlebie, rybie i winie, dokładnie tak, jak pierwsi apostołowie podczas owej wieczerzy. Mimo że Polikarp i Anicetus przewodzili swoim gminom, zasiedli do stołu na tych samych prawach - obok niewolników, kilku rzemieślników i kupców. Chrystus nauczył ich, że wobec Boga wszyscy są równi. Liczą się tylko dobre uczynki.

Polikarp zabrał głos. Przed posiłkiem mężczyźni długo dyskutowali, jak należy świętować Wielkanoc. Niestety, sporna kwestia nie została rozstrzygnięta podczas tego zebrania, jako że pozostało jeszcze wiele ważnych spraw do omówienia.

- Mimo nieprzychylnego nastawienia władz, Rzym jest dla nas ważnym miejscem jako stolica potężnego imperium - tłumaczył Polikarp.

Wśród zebranych przeszedł szmer aprobaty. Poważnie pokiwali głowami.

- Weźcie na przykład naszą korespondencję. Listy stąd do Efezu docierają znacznie szybciej niż z Efezu do Koryntu, mimo że tamte dwa miasta dzieli znacznie mniejsza odległość.

Anicetus z ulgą skinął głową. Do tej pory obawiał się, że dojdzie do walki o władzę pomiędzy gminami. Podczas gdy Rzym brał pod uwagę możliwość podziału na poszczególne okręgi, jako że wciąż przybywało wyznawców, to chrześcijańskie enklawy w okolicach Jerozolimy stanowiły raczej kulturowe

punkty oparcia. Choć tam wyznawcy częściej zmieniali miejsca pobytu i mieli krótsze odcinki do pokonania, tamtejsze gminy przypominały odizolowane wysepki. Fałszywi prorocy i szarlatani mącili im w głowach, ponieważ nikt nie mógł się już powołać na naocznych świadków życia i śmierci Jezusa. Aby więc przetrwać drugie stulecie, chrześcijaństwo potrzebowało nowych, przejrzystych struktur.

- Rozumiem wasze stanowisko. Popracujemy nad tym - zadeklarował Anicetus. Już przygotował pewne pomysły. - Podczas gdy wy, jako misjonarze, odwiedzicie dalsze rejony cesarstwa, my umocnimy kontakty z istniejącymi gminami. Każdy przywódca musi wiedzieć, jak głosić Słowo i jak obchodzić święta. Tylko jasne reguły uchronią nas przed obcymi wpływami.

Właśnie to Polikarp chciał osiągnąć: stałe ogólne zasady, podział odpowiedzialności za wykonanie powierzonych zadań - przy zachowaniu znaczącej autonomii w sprawach mniejszej wagi. Proponował też obchodzić Wielkanoc w dniu święta żydowskiego Pesach, niezależnie od tego, co Anicetus myśli na ten temat.

Anicetusowi z kolei było właściwie wszystko jedno, jeśli idzie o czas obchodów Wielkanocy, byle jej świętowanie przebiegało zgodnie z ustaloną liturgią. Tak czy inaczej, nie pozostał przy życiu żaden naoczny świadek tamtych wydarzeń, którego można byłoby zapytać o szczegóły.

Gdy Polikarp opuścił Rzym, Anicetus odwiedził grób pierwszego apostoła. W czasie modlitwy postanowił, ściskając w dłoni złotą monetę, w szczególny sposób uczcić miejsce wiecznego spoczynku apostoła Piotra.

W trzecim stuleciu chrześcijanie ze wszystkich stron imperium zaczęli pielgrzymować do grobu Piotra. W pełni świadomie ryzykowali, że zostaną schwytani, wydani na męki i mogą zginąć okrutną śmiercią.

W czwartym stuleciu wreszcie ustały prześladowania chrześcijan w całym cesarstwie. Za panowania cesarza Konstantyna otrzymali oni zezwolenie na publiczne wyznawanie swego kultu. Poza tym cesarz wspólnie z ówczesnym biskupem Rzymu, Sylwestrem, wzniesli nad grobem apostoła pierwszą bazylikę. Na uroczystość jej poświęcenia, w roku 324, Sylwester po raz pierwszy zawiesił sobie na szyi - na misternie haftowanej wstążce - monetę świętego Piotra oprawioną w złoto.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Marlenę zżerały nerwy. Zegar na ścianie wskazywał już prawie siedemnastą.

- Kiedy wreszcie wyruszymy? - dopytywała. Robert właśnie wkładał rozmaite drobiazgi do

swego plecaka. Zerknął na zegarek.

- Za godzinę. Do tego czasu powinniśmy jeszcze raz prześledzić najważniejsze punkty. - Po tych słowach rozwinął duży rysunek na cienkim, pomiętym papierze. Nie ulegało wątpliwości, że to plan budowli.

- Mogę spytać, skąd pan to wziął, czy lepiej, żebym nie wiedziała? - spytała Marlena z nutą ironii w głosie, po czym dodała z uśmiechem: - W końcu prasa codzienna rozślawiała pańskie wypadki rabunkowe.

Robert odchrząknął. W rzeczywistości to Karol zdobył dla niego plany po tym, jak owej nocy sam na nie nie trafił.

- Ma pani trochę racji. Lecz Karol miał większe możliwości ode mnie. To znaczy zorganizował je w legalny sposób, bez włamania.

Wprawdzie w ten sposób rozproszył wątpliwości Marleny, lecz równocześnie poruszył następny temat, który ją bardzo interesował.

- Proszę powiedzieć... Ten cały Karol... jaką właściwie rolę odgrywa w pańskiej sprawie? Nie odpowiada klasycznemu wizerunkowi adwokata.

- To bardzo bliski przyjaciel. Ale o tym opowiem innym razem, dobrze? Na razie musimy się starannie przygotować do naszego włamania. Nie mam ochoty ponownie wylądować w więzieniu.

Marlena nie protestowała. Spróbowała się skoncentrować na zawiłych liniach rysunku.

- Proszę spojrzeć tutaj. - Robert wskazał w miarę wolny obszar. - Obok tego placu biegnie trasa zwiedzania. Jeśli zejdziemy niepostrzeżenie po tych schodach, nikt nas nie zauważy podczas zamykania obiektu. Potrwa to około pół godziny. Później zostaniemy sami. Nikt nam więcej nie przeszkodzi.

- A co dokładnie czeka na nas we wnętrzu pałacu?

- Gdybym to ja wiedział! - westchnął Robert. - Ojciec wspomniał tylko o ukrytym tunelu, służącym jako droga ewakuacyjna. Podobno prowadzi wprost do papieskich komnat. Właśnie ten tunel chciałbym zbadać.

Plan młodego Garniera był dość mglisty. Marlena już otwierała usta, by wyrazić wątpliwości, gdy Robert sięgnął po starą księgę z wykazem przodków i dodał:

- Poza tym znalazłem tu coś jeszcze.

Przesunął otwartą książkę w stronę Marleny i położył wskazujący palec na rysunku. Zmarszczyła czoło.

- Co to takiego?

- Jeśli dopisze nam szczęście, to może być wskazówka dotycząca położenia tajnego papieskiego schronu. Z początku sam nie zwróciłem na to uwagi, ale widzi pani to oznaczenie na środku?

Marlena powoli zaczęła rozpoznawać wśród koślawych linii schemat normalnej mapy. Robert rozciągnął plan pałacu obok księgi. Najpierw wskazał zarysy budowli, potem księgę.

- Jeśli to są dwie północne wieże, korytarz mógł prowadzić gdzieś tędy do tajemnej komnaty.

Marlena skinęła głową.

- Niewykluczone. Tylko czy naprawdę myśli pan, że jeszcze coś tam znajdziemy?

- No cóż, wejścia z wewnątrz nigdy nie odkryto. W każdym razie nie naniesiono go na żadnym z nowych planów. Na tym starym też nie ma żadnego znaku. Mój ojciec był przekonany, że warto to zbadać.

Marlena czuła, że Robert nie zmieni zamiaru. Podziwiała optymizm Francuza. Nie poznawała też samej siebie. Przygoda wciągnęła ją do tego stopnia, że z ciekawości gotowa była popełnić czyn karalny. Nadzieja na ważne historyczne odkrycie rozwiewała jednak wszelkie jej wątpliwości.

- W którym miejscu później opuścimy rezydencję? Chyba nie będziemy musieli zostać tam do jutra rana?

- Bez obawy. Istnieją dwie możliwości. Możemy skorzystać z oficjalnego wyjścia, ryzykując, że uruchomimy alarm. Jeśli otwarcie drzwi sprawi nam trudności, to wyjdziemy przez nisko umieszczone okienko. W ten sposób również włączymy alarm, ale jakoś to przeżyjemy.

Słońce stało już bardzo nisko, gdy obydwójce spieszyli przez pałacowy dziedziniec. Ze swoimi blankami i otworami strzelniczymi, budowla przypominała raczej warowną twierdzę niż papieską rezydencję. Nie bez powodu wykorzystywano ją na początku dziewiętnastego wieku jako skład amunicji i kwaterę dla francuskich żołnierzy. Jednak okazała budowla z białego wapienia, obecnie skąpana w złocistych promieniach zachodzącego słońca, nigdy nie straciła swego dawnego blasku.

Ostatnich turystów wpuszczano godzinę przed zamknięciem. Zmęczona strażniczka pouczyła Garniera, że powinni wraz z towarzyszką sprawdzać upływ czasu, żeby w porę opuścić muzeum.

Gdy Marlena z Robertem wkroczyli na imponujący dziedziniec, gdzieś w pobliżu odezwał się dzwon kościelny.

- Wpół do siódmej. Przyszliśmy w samą porę -skomentował Robert. - Wskazał na wyjście z łukowato sklepionego korytarza w przeciwnym murze. - Podejźmy niepostrzeżenie pod ten łuk. Stamtąd wszystko widać. Pokażę pani, gdzie leży nasze tajemne przejście.

Marlena skinęła głową i podążyła za nim po ustawionych na nagiej skale pomostach. Z małymi plecakami wyglądali jak prawdziwi turyści. Pomosty były stałym elementem wyposażenia dziedzińca, ponieważ przez cały rok odgrywano tu przedstawienia teatralne. Stare zamczysko nie tylko przyciągało turystów, lecz również oferowało kulturalne atrakcje dla mieszkańców najbliższej okolicy.

Gdy chwilę później popatrzyli pod łukiem na leżące kilka metrów niżej schody, Robert wskazał dół.

- Ten dziedziniec rozdziela stary pałac od nowego. Weszliśmy przez główne wejście, Bramę Champeaux. Ta ściana aż do narożnej wieży należy do nowego pałacu. Trzy południowe wieże również. Teraz stoimy w korytarzu starego pałacu, czyli budowli, którą Jan XXII kazał wznieść za swego panowania na miejscu dawnego pałacu biskupiego.

Marlena rozejrzała się dookoła. Po wyglądzie murów nie sposób było poznać, czy należą do starego, czy do nowego pałacu. Z opisu Roberta wynikało, że północne i wschodnie mury są starsze.

- Stąd wniosek, że nasze wejście leży w nowszej części zamku? - zapytała. - Myślałam, że chcemy się dostać do starego skrzydła konsystorskiego.

- Jedno i drugie się zgadza. Chodźmy! Pokażę pani naszą prywatną drogę.

Tą samą trasą, którą weszli na górę, podążyli z powrotem w dół na pałacowy dziedziniec. Dawni kardynałowie otoczyli go w swoim czasie krużgankami, dzięki czemu mogli obserwować bieżące wydarzenia przez niezliczone łukowate okna. Ponieważ większość turystów już opuściła zabytek, w drodze powrotnej spotkali jedynie dwie osoby. Zwiedzający, podążający wyznaczoną trasą, szli za znakami, które prowadziły ich do bocznego wyjścia, oczywiście przez sklep z koszmarnie drogimi pamiątkami. To tu Karol kupił jakąś broszurę. Musiał za nią zapłacić nie mniej niż piętnaście euro.

- Gdzie właściwie spotkamy się później z pańskim przyjacielem, Karolem? - zawołała Marlena za spieszącym w dół Robertem. Ledwie dotrzymywała mu kroku. Musiała przy tym bardzo uważać, żeby się nie potknąć.

- Jeśli wszystko dobrze pójdzie, czeka na nas w domu swojej starej ciotki i pomoże nam stąd zniknąć. Nie powinniśmy pozostać w Awinionie dłużej, niż to konieczne.

- Wszystko jasne. A jeśli pójdzie źle, on pierwszy się o tym dowie jako adwokat - skomentowała Marlena, marszcząc czoło.

Robert przystanął.

- Bardzo mi przykro, *madame* Schönberg. Nie chciałem pani wystraszyć. Proszę mi wierzyć, gdyby istniało duże ryzyko, nie ciągnąłbym pani ze sobą. Potrzebuję jednak pani historycznej i archeologicz-

nej wiedzy. Po zamknięciu bram naprawdę nikt nam tu nie przeszkodzi.

Marlena skinęła głową. Była gotowa mu zaufać. Rzeczywiście dokładał wszelkich starań, żeby przekonać ją do swej sprawy. Jego argumenty były logiczne. Poza tym zasłużył na szansę odnalezienia zabójcy swego ojca. Prawdę mówiąc, właśnie to morderstwo najbardziej przeszkadzało Marlenie przez cały czas. Strona historyczna nieodparcie ją pociągała. Lecz ilekroć pomyślała o oczywistym związku przestępstwa z tematem swoich badań, po plecach przechodził jej zimny dreszcz.

Grubo ciosane stopnie były w cieniu muru. Nikt nie zwrócił na nich uwagi, gdy wdrapali się na barierkę zagrządzającą przejście i znikli w ciemnościach. Pierwsza część schodów prowadziła ich stromo w dół sklepionym korytarzem. Po prawej i lewej stronie, za kolejnymi przegrodami, złożono różne sprzęty i materiały budowlane. Większość z nich przykryto plandekami. Wprost przed nimi zwykła kłódka zabezpieczała drewniane drzwi, prowizorycznie wstawione w krzywe przejście. Przez liczne szczeliny można było niemal wsunąć głowę, lecz dalej nie było widać nic prócz głębokich ciemności. Robert nerwowo wyciągnął klucz i rzeczywiście sprawnie udało mu się otworzyć drzwi. Tylko zaskrzypiały, nim stanęły otworem.

- Szybko! Proszę wejść do środka, ale nie zapalać światła - zawołał.

Marlena prześlizgnęła się obok niego. Na wszelki wypadek dla ochrony wyciągnęła przed siebie ręce, żeby z niczym się nie zderzyć. Robert z powrotem zamknął drzwi, po czym podwinął lewy rękaw koszuli. Następnie wsunął dłoń pomiędzy drzwi

i skałę. Skrecony w nienaturalnej pozycji, ciężko dyszał. Kroplisty pot wystąpił mu na czoło.

- Co pan tam robi? - spytała Marlena.

- Muszę spróbować z powrotem je zamknąć na klucz. Jeżeli ktoś podczas obchodu zastałby je otwarte, wszcząłby alarm.

Marlena pochwyciła odgłosy drapania i szurania. Wreszcie coś szcęknęło głośno wewnątrz zamka. Po chwili drzwi wyglądały tak, jakby od dawna nikt przez nie nie przechodził. Robert cofnął dłoń i po-masował lekko otarte przedramię.

- Miejmy nadzieję, że w drodze powrotnej damy radę znów je otworzyć.

Zapalił latarkę, osłonił ją ręką i uśmiechnął się do towarzyszki. Marlena odetchnęła głęboko. Usiłowała w słabym świetle rozpoznać drogę.

- Chodźmy dalej - ponagliła.

- Dobra! Ale proszę patrzeć pod nogi. Przejście wykuto w surowej skale. Podłoże jest nierówne.

- Czy nie dlatego właśnie w tym miejscu zbudowano zamek?

Marlena przypomniała sobie, co kiedyś wyczytała na temat tego miejsca. Podobno wybrano je ze względu na właściwości podłoża. Zwarta skała uniemożliwiała wrogom drążenie podkopów. W średniowieczu wielu panów zamku przypłaciło życiem brak możliwości ucieczki przez podziemne przejścia, lecz najwyraźniej architekci nie brali pod uwagę ujemnych stron położenia budowli.

- Ma pani rację - uśmiechnął się Robert. - Armia, która próbowałaby wydrążyć podziemny tunel, prawdopodobnie padłaby z wyczerpania, zanim dotarłaby do warowni. Mimo to podziemne korytarze i tunele w skale jednak istnieją. Do jednego z nich wejdziemy za kilka minut.

Wkrótce zagroziło im drogę kolejne składowisko drewnianych skrzyń, desek i wymagających renowacji mebli. Również tu narzucono na nie duże plandeki. Gdyby Robert nie wskazał wąskiego przejścia, Marlena stanęłaby bezradnie przed tą przeszkodą.

- Zgodnie z opisem powinien przechodzić gdzieś tędy.

Marlena badawczo popatrzyła na Roberta. Uznała, że najwyższa pora zadać pytanie, które nurtowało ją od początku.

- Skąd pan właściwie wiedział o kłódce w drzwiach i kto panu opisał przejście?

Robert już prawie zniknął za stertą gratów, lecz po usłyszeniu pytania zamarł w bezruchu.

- Czy umie pani dochować tajemnicy? To mój ojciec przekazał mi całą swoją wiedzę na ten temat. Gdy planowałem moje włamanie, wiedziałem, że zamierza zejść do podziemi.

Marlena zrozumiała.

- I nikt inny o nich nie wie? - spytała.

- Nikt, nawet Karol. I chciałbym, żeby na razie tak pozostało. - Pochwyciwszy pytające spojrzenie Marleny, dodał tytułem wyjaśnienia: - Póki nie ma pojęcia o ich istnieniu, nikt go nie zmusi do wyjawienia sekretu, którego nie zna.

Chłodne powietrze pachniało wilgocią i pleśnią. Od chwili, gdy obydwójce skorzystali z wąskiego przejścia przy składowisku rupieci, znajdowali się głęboko wewnątrz skały. Droga była nierówna, pełna ostrych występów, w dodatku coraz węższa. Na szczęście już im nie groziło, że ktoś odkryje ich obecność. Robert mógł teraz w pełni oświetlić drogę. Zeszli jeszcze tylko trochę w dół. Później poru-

szali się już poziomym, choć coraz węższym tunelem.

- Jeśli plany odpowiadają rzeczywistości, wkrótce dotrzemy do końca - oznajmił Robert.

- A jeśli nie, utkniemy najpóźniej po trzydziestu metrach.

Mimo że Marlena nie cierpiała na klaustrofobię, najchętniej jak najprędzej opuściłaby wąski tunel. Według jej oceny wędrowali już tak długo, że lada chwila mogli wpaść do Rodanu. Po wyjściu z zawałonego gratami korytarzyka trafili na skrzyżowanie, które wprawilo Roberta w najwyższe zdumienie. Nie zaznaczono go na planie. Mimo to z niezachwianą pewnością ruszył dalej - prosto przed siebie - i rzeczywiście wkrótce dotarli do końca podziemnego korytarza.

- Jesteśmy na miejscu! - wykrzyknął.

Skierował światło latarki ku znacznie wyższemu pomieszczeniu i oświetlił przeciwległą ścianę. Po chwili stanęli pod wysokim sklepieniem, którego początkowo nie zauważyli. Robert oświetlał wnętrze kawałek po kawałku. Sala miała niemal okrągły kształt i około trzech metrów średnicy przy podłodze. Przy ścianie ujrzeli spiralne schody, niezbyt starannie wykute w litej skale. Mierzyły około metra szerokości i prowadziły w górę. Przypominały Marlenie znany obraz zatytułowany „Wieża Babel”. Pieter Bruegel nadał namalowanej na nim budowli bardzo podobną formę; jakby właśnie te kręcone schody stanowiły dla niego inspirację.

- Imponująca konstrukcja, nie sądzi pani? - zauważył Robert.

- Wszystko wskazuje na to, że od góry wybito dojście - orzekła po chwili.

Robert przez moment rozważał jej spostrzeżenie. Po namyśle doszedł do wniosku, że kształt zwięzającej się do dołu spirali nie pozostawia wątpliwości, że Niemka ma rację.

- Też tak myślę. Poza tym to najstarsza część pałacu. Wcześniej stał w tym miejscu klasztor - wskazał z uśmiechem pierwsze stopnie. - A więc zobaczmy, czy prowadziły do piwnicy, w której mnisi składowali wino.

Podczas gdy Marlena podążała w górę za Robertem po kręconych schodach, nieznany prześladowca otworzył kłódkę w składowisku rupieci. Zanim wkroczył do zimnego podziemnego korytarza, wyjął telefon komórkowy i zadzwonił do kogoś po drugiej stronie rzeki.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Proszę uważać!

Robert potykał się na najwyższych stopniach. Na samej górze, na wysokości co najmniej sześciu metrów, były one wydeptane i wyslizgane. Nie miały poręczy. Tylko pojedyncze zagłębienia dawały oparcie rękom. Marlena również pokonała ostatni schodek jednym długim krokiem. Zatoczyła wokół krąg latarką. Znaleźli się w sklepionej piwnicy. Większość ścian wykuto w skale, częściowo ociosanej. Tylko jedna z nich, kilka metrów przed nimi, była murowana. Znajdowały się w niej drewniane drzwi.

Marlena natychmiast pospieszyła w tamtym kierunku. Skierowała snop światła przed siebie, po czym, rozczarowana, opuściła rękę z latarką.

- Zaryglowane. Co teraz zrobimy?

Robert również zbadał drzwi. Stopniowo oświetlał od góry do dołu kolejne szpary pomiędzy deskami.

- Wygląda na to, że po drugiej stronie zamocowano solidne stalowe drzwi.

W tej sytuacji wyważenie ich nie wchodziło w grę. Widać było, że od dawna nikt nie korzystał z tego wejścia. I wszystko wskazywało na to, że przynajmniej w najbliższej przyszłości tak pozostanie.

Po drugiej stronie Rodanu Claude wrócił na taras. Odłożył telefon bezprzewodowy z powrotem na stół. Czekał w milczeniu, aż jego gosposia przyniesie dwa kieliszki i butelkę czerwonego wina. Zatopiony w rozmyślaniach, bezwiednie odprowadził ją wzrokiem. Henry'ego wprawdzie rozsadzała ciekawość, o czym doniósł informator, lecz ćwiczył cierpliwość. Znał Claude'a na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie lubi, gdy ktoś go naciska. W końcu gospodarz wynagrodził swego gościa za czekanie informacją:

- Dotarli do ukrytego korytarza. Personel muzeum nie odkrył ich obecności. Prawdopodobnie weszli już do starej piwnicy.

- W porządku. Co teraz zrobimy? Claude uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Otworzę legendarne *rouge*. Koniecznie musisz go spróbować.

Henry zmarszczył brwi. Podziwiał spokój kolegi, ale go nie podzielał. Zupełnie nie cieszyła go perspektywa beczynnego siedzenia przy stole i kosztowania znakomitego trunku.

Claude powoli napełnił kieliszki niemal czarnym płynem - mocny, ciężki aromat wypełnił powietrze. Popatrzył badawczo na przyjaciela.

- Odpręż się trochę, Henry! - doradził. Kto wie, czy w najbliższym czasie nadarzy nam się podobna sposobność. Dziś nie pozostaje nam nic innego, jak tylko czekać. Gdy wydarzy się coś nowego, telefon znowu zadzwoni.

Zapadał zmierzch, obydwaj mężczyźni w milczeniu patrzyli na miasto, sącząc wyborne wino, którego walory doceniło przed nimi pół tuzina papieży.

Marlena opadła zrezygnowana na drewnianą skrzynię. Cały ich wysiłek poszedł na marne. Podjęli

cały ten trud i ryzyko tylko po to, by w końcu stanąć przed zamkniętymi drzwiami. Dostawała gęziej skórki na myśl o długiej drodze powrotnej przez cuchnący, wąski i w jakiś sposób przerażający tunel. Ilu ludzi straciło życie przy jego budowie? Robert podszedł do niej i położył rękę na jej ramieniu. On również pozwolił sobie na kilka chwil wytchnienia, zanim przemówił:

- Czy możemy iść dalej? Marlena nie zrozumiała.

- Jak to dalej? Chyba raczej z powrotem. Proszę chwilę poczekać. Muszę trochę odpocząć. Jeszcze nie jestem gotowa przedzierać się znowu przez podziemne korytarze.

- Ależ nie! Nie miałem na myśli powrotu, tylko dalszą wędrówkę ku górze.

- Czy to znaczy, że istnieje jakieś drugie przejście?

- W całym pałacu jest mnóstwo zawiłych, ukrytych korytarzy. Tamte drzwi prowadzą do starej spiżarni w dawnym ciągu kuchennym. Nie zależy nam, żeby tam dotrzeć. Tunel ewakuacyjny nie został wykuty w skale jako droga ucieczki dla papieskich kucharzy. W wieży Trouillas znajdują się ukryte schody, które schodzą na dół - tu właśnie. Kończą się pod starą beczką po winie.

Marlena odetchnęła z ulgą, choć nie wierzyła własnym uszom.

- Właśnie znalazłem tę beczkę - dodał Robert z triumfem.

Odsunąwszy na bok masywną, dębową beczkę, odsłonił wąskie przejście do ciasnego korytarza. Choć porządny, równy mur nie wyglądał tak groźnie jak grubo ciosany tunel, to ściany w niektórych miejscach znajdowały się zbyt blisko siebie. Marlena

wyobraziła sobie, jak musieliby się pocić zażywni kardynałowie, gdyby przyszło im się między nimi przeciskać. Lecz w ciągu siedemdziesięciu lat chwały tutejszego papieżstwa, Awinion nie przeżył ani jednego ataku czy oblężenia. Zapewne nie wszedł tu więc żaden dostojnik.

Korytarz kilkakrotnie zmieniał kierunek i wciąż pokonywali kamienne schody. Marlena znowu straciła orientację. Nie potrafiła ocenić, ile metrów przemierzali w pionie i w poziomie.

- Proszę zgasić latarkę - usłyszała nagle stłumiony szept.

Omam nie wpadła na swego towarzysza, który nieoczekiwanie przystanął. Wyteżyła wzrok w poszukiwaniu wyjaśnienia. Po kilku sekundach ujrzała słabe światło.

- Widzi pani? Przed nami jest jakiś otwór - powiedział Robert.

Powoli zbadali otwartą przestrzeń w murze na wysokości oczu. Zastanawiali się, jakie też pomieszczenie za nim znajdują.

Dziura była na tyle duża, że można było wsunąć w nią głowę, ale ramiona już się nie mieściły. Gdy Marlena ujrzała słabe światło księżyca zza zasłony chmur, pojęła, że stoją przy zewnętrznej, południowej albo wschodniej ścianie. Robert doszedł do tego samego wniosku.

- Nie widzę ani murów pałacu, ani wież. Niestety, z tej wysokości nie mogę zobaczyć miasta. Sądzę jednak, że to może być tylko wschodnia strona wieży Trouillas.

Zapalił ponownie latarkę i oświetlił dalszą część korytarza. Prowadził jeszcze kilka kroków dalej, tym razem w dół. Tam znajdował się kolejny zakręt.

- Tak. Ten przed nami prowadzi w lewo. Trafiliśmy we właściwe miejsce. Ojciec miał całkowitą rację. To on odkrył dojście przez starą beczkę. Bóg wie, jak długo musiał go szukać.

Marlena też podziwiała Piotra Garniera, za to, że na własną rękę odkrył tak wiele tajemnic. Oczywiście przewodnicy znali półpiętra, przeróżne zakamarki i nisze, ale informacje o tajemnych korytarzach wykutych w litej skale, zwłaszcza tu, na Wzgórzu Katedralnym, nawet fachowcy z branży traktowali jako legendy.

- Z biegiem czasu z pewnością badano kolejne tunele i tajemne przejścia - zauważyła Marlena.

- Jednak następne pokolenia przebudowywały zamek, zmieniając jego architekturę.

- Niewykluczone. Mimo wszystko to tylko puste pomieszczenia - nie dawał za wygraną Robert.

- Dlatego zapewne nikt tu niczego nie szukał. W tym widzę dla nas szansę.

- Na razie sami nie wiemy, na co zwracać uwagę. Czy pański ojciec nie udzielił jakichś wskazówek?

- Żałuję, ale nie. Na próżno przemierzył cały pałac wzdłuż i wszerz - jako zwykły turysta - w poszukiwaniu jakiegoś punktu oparcia. Nie pozostaje nam nic innego, jak podążać za jego wskazówkami ukrytymi korytarzami. On sam, niestety, nie zdążył daleko zajść. Właśnie dlatego bardzo mi zależy na kontynuowaniu jego poszukiwań. Chodźmy dalej!

Marlena po raz kolejny posłusznie podążyła za Francuzem. Kilka kroków za zakrętem, korytarz nagle się skończył. Po długiej, męczącej wędrówce trafili więc na litą ścianę. Wyjątkowo żalosny rezultat! Żadne z nich nie wypowiedziało słowa. Dwa kręgi światła krążyły we wszystkich kierunkach, badały każdy centymetr w poszukiwaniu nierówno-

ści. Nagle Marlena drgnęła. Skierowała snop światła tak powoli i spokojnie, jak tylko potrafiła, z powrotem pod swoje nogi. Postąpiła kilka kroków do tyłu, póki nie wyczuła na plecach zimnego muru.

- *Monsieur Garnier!* - zawołała.

- Proszę mnie nazywać po prostu Robertem.

- Dobrze, panie Robercie. Proszę tu podejść. Chyba coś odkryłam.

- Co? Gdzie? - wydyszał zdenerwowany. Marlena ponownie oświetliła przeciwległą ścianę.

Równocześnie nakreśliła palcem w powietrzu kontur tego, co zobaczyła.

- Widzi pan to zaokrąglenie?

- O tak! Dobra pani jest!

Głos mu drżał. Nie robił sobie złudzeń, że tajemne przejście doprowadzi ich do drzwi ukrytych pod arrasem w jadalni kardynała, jak w angielskich kryminałach. Lecz ślepej uliczki również się nie spodziewał. Popatrzył z nadzieją na zarys, który coraz lepiej rozpoznawał: dwie pionowe linie połączone u góry łukiem. - Może to drzwi?

Nie przypominały niczego innego.

- Przypuszczalnie tak. Tyle, że zamurowane. Trudno je rozpoznać. Ale chwileczkę! - wykrzyknął nagle. - Jeśli się nie mylę, właśnie tu, na drugiej ścianie, powinno się znajdować wejście do sali posiedzeń konsystorza. - Wskazał mur po prawej stronie domniemanych drzwi. - Bo po prawej stronie jest ściana zewnętrzna - stwierdziłem to ponad wszelką wątpliwość po tym, co zobaczyliśmy z tamtego małego okienka.

- Myśli pan, że to nie drzwi, tylko zamurowane okno?

Robert ukląkł przed ścianą i przesunął dłońmi po zimnym kamieniu.

- Najlepiej sprawdzimy.

Zdjął plecak, postawił na podłodze, następnie wydobył z niego ostre dłuto i okazały młotek.

- Proszę spojrzeć tu, na dół! - Wskazał miejsce tuż nad posadzką, gdzie tynk wyglądał inaczej niż obok. Kiedy uderzył w to miejsce, usłyszeli inny odgłos niż metr dalej i metr wyżej.

- Lekkie cegły - orzekł. - Bardzo użyteczne do szybkiego zamknięcia otworu. Poza tym po otynkowaniu trudno je odróżnić od masywnej ściany.

- Dobrze, że ma pan młotek - zauważyła Marlena. - Pański przyjaciel Karol dobrze pana zaopatrzył. Wyrazy uznania.

- Tak. On zawsze wie, co należy zrobić. Najważniejsze, że nie musi przy tym za daleko odchodzić od biurka. Najchętniej przeżywa przygody w zaciszu własnego gabinetu.

Marlena nie skomentowała żartu. Nie śmiała szydzić z Karola. Zanim poznała Garniera, podzielała nastawienie tamtego.

Dłuto bez trudu weszło w miękką zaprawę. Chwilę później Robert obluzował już pierwszą cegłę. Mimo że owinał młotek w chustkę, żeby stłumić hałas, jego uderzenia brzmiały zdecydowanie zbyt głośno. Cichły dopiero gdzieś w głębi ciemnego tunelu.

- Dobrze, że pałacu nie strzegą już wartownicy. - wymamrotał Robert. - Odkąd go odrestaurowano i udostępniono dla zwiedzających, wszystkie wejścia są monitorowane. Dlatego zaoszczędzono na nocnych strażnikach.

- Na szczęście dla nas.

Druga cegła też już była luźna. Po niej Robert wyciągnął trzecią i kolejne. Nie chciał ryzykować,

że powypadają po tamtej stronie muru i coś uszkodzą lub uruchomią alarm.

- Proszę zgasić światło - poprosił Marlenę. Otoczyły ich ciemności. Marlena uklękła obok

niego na ziemi, żeby rzucić okiem przez niewielki otwór. Mimo że Roberta zżerała ciekawość, ustąpił jej pierwszeństwa. Kobieta wyteńczyła wzrok, ale nic nie zobaczyła.

- No i co pani widzi? - nie wytrzymał Garnier.

- Nic prócz kompletnych ciemności.

- Niemożliwe. - Robert przesunął głowę w kierunku otworu. - Przecież musieliśmy się przebić do sali. - Odsunął się i sięgnął z powrotem po latarkę. - Nic nie rozumiem. Wszak wszędzie zainstalowano nocne oświetlenie.

Akurat wystarczyło miejsca, żeby podnieść latarkę nad głowę. Nie dostrzegł jednak nic prócz kolejnej ściany, niecałe dwa metry dalej. Nie spodziewał się czegoś takiego w tym miejscu tunelu. Według jego oceny istniało tylko jedno logiczne wyjaśnienie:

- Wygląda na to, że odkryliśmy ukrytą komnatę.

Zmuszony do odpoczynku przez Claude'a, Henry w końcu zgodził się wypić drugi kieliszek czerwonego wina. Wysoko cenił miejscowy trunek. I przez te wszystkie lata nie widział powodu, by rezygnować z lampki dobrego wina. Właściwie tylko raz, w Rzymie, zrobił wyjątek.

Zanim Claude nalał sobie, zadzwonił telefon. Natychmiast odebrał Henry'emu spokój. Dokładał wszelkich starań, by śledzić przebieg rozmowy, lecz słyszał tylko stłumione mamrotanie z drugiej strony. Claude też nie ułatwiał mu zadania. W odpowiedzi na słowa tamtego, także wydawał nieokreślone pomruki. Po chwili zakończył rozmowę:

- Dobrze. Do usłyszenia później. Uważaj na siebie.

Następnie odłożył aparat z powrotem na stół, pomiędzy wino, chleb i oliwki, po czym popatrzył na Henry'ego.

- Wygląda na to, że coś znaleźli.

Henry gwałtownie wyprostował plecy i zastygł w tej pozycji.

- Co?!

Claude nigdy wcześniej nie słyszał takiego zdenerwowania w jego głosie.

- Nie wiem. Uspokój się. Wybijają dziury w ścianie gdzieś za salą konsystorza.

Henry doskonale zdawał sobie sprawę, że nie pozostaje im nic innego, jak tylko czekać. Jeśli wyniknie coś nowego, informator znowu da im znać.

Marlena zdrapywała spoiny ostrym końcem dłuta. Tynk odpadł grubymi płatami już po pierwszych uderzeniach. Gdy usunęli pierwsze cegły, następne dało się wyjąć bez trudu. Zgodnie stwierdzili, że należy unikać stukania młotkiem, kiedy to tylko możliwe. Robert siedział w kącie i studiował kopie ze starych planów. Prawie równocześnie wykrzyknęli:

- Gotowe!

- Mam!

Podczas gdy Marlena dokładała wszelkich starań, by poszerzyć otwór do takich rozmiarów, żeby móc wejść przezeń do środka, Robert cieszył się, że według wszelkiego prawdopodobieństwa trafili na komnatę, której szukali. Wreszcie obydwójce przecisnęli się przez wyrwę w murze. Kiedy oświetlili pomieszczenie o wymiarach zaledwie około dwa na

dwa metry, stwierdzili, że nie ma w nim okien. Dopiero wtedy Robert wyjawiał jej swoje przypuszczenia:

- Być może Klemens VIII⁹ skorzystał z tej drogi ucieczki, kiedy po pozbawieniu go władzy przez sobór oblegano pałac, żeby zmusić go do złożenia urzędu. Nie miał nikogo zaufanego prócz swego szambelana. Gdyby został w pałacu, pewnie zrzucono by go z balkonu. - Garnier zrobił krótką przerwę dla uporządkowania myśli. - Nawet jeśli nie znaleźliśmy właściwego dojścia do tego tunelu z sali konsystorza, to odkryliśmy bardzo ważne miejsce. To tutaj ów papież złożył cały swój osobisty dobytek, wszystkie wartościowe i ważne dla niego przedmioty.

- Sądzi pan, że to coś w rodzaju dawnego sejfu?

- Chyba tak. W skrzydle konsystorskim odbywały się zebrania z udziałem wysokich dostojników. Do kaplicy przylegała izba szambelana. W pobliżu urządzono *revestarium*, przebieralnię, w której papież wkładał uroczyste szaty na ważne spotkania. W tych pomieszczeniach zapadały bądź co bądź najważniejsze decyzje dotyczące Kościoła.

Marlena zmarszczyła czoło. Czytała zarówno o przebieralni, jak i skarbcu, lecz z tego, co pamiętała, powinny się znajdować na innych piętrach.

- Co właściwie pańskim zdaniem chowano by tu w tajemnicy? Istnieje przecież bogaty skarbiec, w dodatku zaopatrzony w niezliczone tajne skrytki.

Robert popatrzył na nią.

- Oczywiście nie mam całkowitej pewności. Ale czy zostawia pani paszport lub drogą biżuterię w pi-

⁹ Historyczny Klemens VIII (Ippolito Aldobrandini) był papieżem w latach 1592-1605.

wnicy, czy też woli pani trzymać je gdzieś bliżej przy sobie? Jeśli papież Klemens przed ucieczką postanowił coś schować, to raczej pewnie tutaj.

Marlena podniosła młotek i oddała towarzyszowi, obrzuciwszy go wyzywającym spojrzeniem.

- Proszę. Miejmy nadzieję, że się pan nie myli. Robert zaczął w rogu tylnej ściany i przebijał się

systematycznie coraz dalej. W tym czasie Marlena szukała - w leżącym na zewnątrz korytarzyku - hipotetycznego pierwotnego wejścia. Gdy mniej więcej sześć metrów dalej trafiła na nierówności w ścianie, Robert wystawił głowę z otworu.

- Proszę wracać! Znalazłem pustą przestrzeń! Marlena zostawiła plecak tam, gdzie stała, żeby

potem łatwiej było go znaleźć. Wśliznęła się z powrotem do komnaty. Robert kilkoma wprawnymi ruchami rozbił kamienną płytę na wysokości piersi. Na pierwszy rzut oka nie różniła się niczym od pozostałych kamieni.

Kiedy usunął gruz, zajrzeli w kwadratowy otwór o szerokości około czterdziestu centymetrów. W świetle latarki ujrzeli w niszy szkatułkę zabezpieczoną woskową pieczęcią.

Żadne z nich nie wypowiedziało słowa.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Rzym, grudzień 1377 roku

W Państwie Kościelnym zapanował zamęt. Pod nieobecność duchowych przywódców różne jego prowincje toczyły między sobą i przeciwko duchowej zwierzchności krwawe walki o władzę.

- Wieczne Miasto mnie potrzebuje - stwierdził Pierre Roger de Beaufort, czyli papież Grzegorz XI¹⁰, którego siedem lat wcześniej wybrano w Awinionie na głowę Kościoła.

Tymi słowy przypieczętował trudną, brzemioną w skutki decyzję. Kilka dni później wyruszył w podróż do Rzymu - ani bezpieczną, ani przyjemną. Obecnie przebywał w Rzymie już ponad rok - trudny rok, pełen intryg i gróźb. Czuł, że opuszczają go siły. Większość jego kardynałów robiła, co w ich mocy, by odwieść go od tej podróży. Ale Rzym osiągnął swój cel: papież powrócił. Co Kościół jednak na tym zyskał? Te same stare rody toczyły odwieczną walkę na śmierć i życie. Tak jak przed wiekami, nie kryły wzajemnej wrogości. Papieża słuchały tylko wtedy, gdy nie stwarzał zagrożenia

¹⁰ Historyczny Grzegorz XI był papieżem w latach 1370-1378.

dla ich jedynych świętości: pieniędzy, majątków i władzy.

Ojciec Święty leżał złożony ciężkim przeziębieniem w migotliwym blasku ognia z kominka i rozgrzewających go płomieni. W ciszy i spokoju podsumował lata swego pontyfikatu. Gdyby nie dożył do końca roku, potomni zachowaliby go w pamięci jako tego, który zaprowadził pokój w wielu prowincjach i jednocześnie jako okrutnego tyrana w Wiecznym Mieście. Westchnął ciężko i zadał sobie pytanie, czy warto było się trudzić dla takiego wyniku? W cieniu wspaniałych komnat już debatowano nad wyborem jego następcy. Jeden kandydat był gorszy od drugiego. Grzegorz wiedział, że w końcu dojdzie do krwawego konfliktu, jeśli tylko na najwyższego pasterza nie zostanie wybrany obywatel Rzymu.

Siostrzeniec Jan przyniósł mu gorącą zupę. Papież skinął głową z wdzięcznością.

- Dziękuję, mój wierny pomocniku. Niewielu prócz ciebie mogę zaufać. Dlatego gdy nadejdzie mój czas, na ciebie spadnie obowiązek zadbania o przyszłość.

Jan du Cros został mianowany kardynałem w pierwszych godzinach pontyfikatu Grzegorza. Oczywiście z tego powodu zarzucano jego wujowi nepotyzm, ale nie do końca słusznie. Cóż w tym dziwnego, że polegał wyłącznie na ludziach honoru? Jednego z nich, bynajmniej nie członka rodziny, naznaczył na swojego następcę.

- Żaden Francuz czy rzymski szlachcic, ani też wpływowy książę nie zasiądzie po mnie na papieskim tronie - zdecydował.

Wszyscy kardynałowie, a nawet król francuski podzielali jego zdanie.

- Niełatwo będzie przeprowadzić twą wolę, wuju - zauważył Jan.

Grzegorz skinął głową. Przyznał siostrzeńcowi rację. Nie wykluczał, że będzie to w ogóle niemożliwe.

- Poczyńłem odpowiednie przygotowania. Wyślesz posłańca do Awinionu i poinformujesz kardynała de Lunę. Zarówno on, jak i wszyscy pozostali francuscy kardynałowie muszą przybyć do Rzymu.

Jan wstał.

- Dobrze. Napiszę do nich list.

- Zaczekaj, synu. - Grzegorz z wysiłkiem podniósł rękę, przywołał Jana bliżej i szepnął mu do ucha: - Kardynałowie powinni mieć się na baczności. Ale nieważne, co się wydarzy. Najważniejsze, żeby Moneta nie dostała się w niepowołane ręce.

Kwartal z okładem później wzburzeni obywatele Rzymu szturmowali konklawe, które po dwunastu dniach obrad nie zdołało wybrać nowego papieża. Przebąkiwano o manipulacjach, nieuczciwych, potajemnych rokowaniach i podejrzenie dużych wpływach z zewnątrz. W końcu, zaskoczeni kardynałowie zaprezentowali tłumowi jakiegoś staruszka, który i tak nigdy nie założył pierścienia Rybaka. Szef papieskiej kancelarii, Bartolomeo Prignano, sam ogłosił się papieżem. Zasiadł na tronie jako Urban VI¹¹, dwieście trzeci papież w historii.

Jako pierwszy od czasów świętego Piotra objął władzę bez Monety, która zaświadczała o bezpośredniej łączności wybranego papieża z pierwszym zastępcą Jezusa na ziemi i świadczyła o legalności sprawowania najwyższej z kościelnych godności.

¹¹ Historyczny Urban VI był papieżem w latach 1378-1389. Do tego czasu pełnił funkcję arcybiskupa Bari. Jego wyboru dokonali kardynałowie bez jego obecności na konklawe (nie był kardynałem).

Pałac papieski, Awinion, czasy współczesne

Marlena i Robert opadli na kolana, jak dwoje dzieci niecierpliwie oczekujących w Wigilię na rozpakowanie prezentów. Obejrzelili kasetę ze zwykłego drewna, raczej praktyczną niż ozdobną. Jej wieko zabezpieczono czerwonym woskiem do pieczęci.

- Ktokolwiek coś tu złożył, nie potrafił przewidzieć, kiedy tu powróci - orzekła Marlena.

Robert skinął głową na znak, że przyznaje jej rację. Jeśli kasetka rzeczywiście należała niegdyś do Klemensa, prawdopodobnie dotarli do celu swych poszukiwań. Garnier rozłożył scyzoryk i podważył kruchy wosk za pomocą niewielkiego ostrza. Dopiero po usunięciu ostatnich jego części mógł podnieść skrzypiące wieczko. Marlena wręcz poczuła zapach powietrza sprzed stuleci. Do tej pory jej praca ograniczała się zaledwie do katalogowania starych dokumentów, podniosłej chwili dokonania prawdziwego odkrycia nigdy dotąd nie przeżyła. Aż do teraz. W szkatułce znaleźli dwa porządnie zrolowane arkusze pergaminu.

Robert drżącymi rękami rozwiązał sznurek, którym obwiązano pierwszą rolkę. Rozwinął kilka jej centymetrów, po czym nieoczekiwanie przekazał ją Marlenie.

- Proszę to rozłożyć. W końcu to pani jest ekspertem od starych ksiąg.

Marlena uśmiechnęła się. Odniosła wrażenie, że Robert obawia się uszkodzić zabytek. Ponieważ jednak wosk szczelnie odciął dopływ powietrza, pergamin pozostał stosunkowo elastyczny.

- Dziękuję, ale to nie stare papirusy, jak zwoje z Qumran. Nic im się nie stanie.

Pierwsza karta miała około czterdziestu centymetrów długości i trzydziestu szerokości. Pod koślawymi wyrazami przybito imponującą pieczęć. Marlena zmarszczyła czoło. Robert obserwował ją w napięciu.

- Co to takiego? Potrafi pani coś odczytać?

- Chyba tak. Z łaciną nieźle sobie radzę. Tyle, że tutaj użyto regionalnego kroju pisma i zastosowano zasady starofrancuskiej gramatyki. Dawniej często mieszano łacinę z ojczystym językiem danego regionu. Poza tym autor musiał pisać w pośpiechu, bo okropnie bazgrał. Potrzebuję czasu, żeby to w spokoju przetłumaczyć. Niemniej już na pierwszy rzut oka dostrzegam kilka ciekawych spraw.

Marlena przesunęła palcem wskazującym wzdłuż wierszy. Mamrotała wyrazy, które zdołała odcyfrować. Wytężywszy słuch, Robert świecił jej latarką.

...Insignia... zabezpieczone przed (od)jazdem... do wiadomości szerokiego... wsparcie kolegium kardynalskiego... konsystorz... fałszywy papież... Aragonia... Karol...

- Przypuszczalnie tekst w jakiś sposób dotyczy fałszywego konklawe! - orzekła z niezachwianą pewnością.

Tu wyjaśniła Robertowi, co się wydarzyło w owym czasie, zanim Urban VI zasiadł na papieskim tronie. Następnie oświetlili papieską pieczęć w rogu karty oraz liczne podpisy kardynałów i innych dostojników, których rangę i stanowiska również wyliczono. Dwukrotnie odcisnięta na dużym plastrze wosku pieczęć przedstawiała lustrzane odbicie monogramu Chrystusa - litery X i P, a oprócz nich coś, co przy odrobinie wyobraźni można było uznać za chleb i ryby. Obok przystawiono zwykłą pieczęć papieską.

- Poznaje pani lewy odcisk? - powiedział Robert z przydechem. - To kopia medalu, którego szkic znaleźliśmy wczoraj.

Marlena nadal próbowała odczytać pozostałe łacińskie wyrazy.

- Chwileczkę. Sądzę, że to raczej wizerunek jakiejś monety. Przynajmniej tu wymienia się monetę jako znak rozpoznawczy.

Robert przez chwilę rozważał jej słowa.

- Ale dlaczego właśnie moneta?

Marlena gestem poprosiła go o chwilę czasu do namysłu. W końcu przedstawiła swoje przemyślenia:

- Po śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa apostołowie rozjechali się po świecie, lecz wymieniali się listami. Piotrowi, którego wyjątkową pozycję zaznaczono w Ewangeliach, przypadła w Rzymie szczególna rola. Pokładano w nim wielkie nadzieje. On i Paweł, choć niepodobni do siebie jak dzień i noc, uosabiali całą potęgę wiary: jeden poprzez swoje cuda i charyzmę, drugi - przez nieustępliwe głoszenie przesłania dla świata. Prócz nich w Efezie przebywał Jan, który wszystko spisywał. Większość apostołów w tym czasie już nie żyła. Zostali zamordowani przez wrogów Nowiny. Ci żyjący dawali jednak z siebie wszystko, by sprostać powierzonymu zadaniu. Z czasem musieli wyznaczyć następców i opracować zasady postępowania.

Robert podrapał się po głowie.

- Ma pani na myśli konklawe? Marlena pokręciła głową.

- Nie. Zwyczaj zwoływania konklawe powstał dopiero w trzynastym wieku i to tylko z powodu trzyletniego wakatu na papieskim tronie. Poprzedni ojciec Kościoła zmarł, nie wskazawszy następcy.

Ale to już inna historia. Zgodnie z tradycją obowiązek wyznaczenia następcy nadal spoczywał na samym papieżu.

- W takim razie o jakie uregulowania chodzi? Marlena odszukała odpowiedni wiersz tekstu.

Wskazała go palcem.

- O ile dobrze zrozumiałam, mowa tu o jakiejś rzymskiej monecie. Na awersie przedstawiono cesarza Nerona, ale rewers opatrzone inicjałami lub symbolem Chrystusa. To jakiś unikat. Wygląda na to, że tylko jeden apostoł posiadał taką monetę.

Robert osłupiał.

- Sądzi pani, że ta druga pieczęć obok papieskiej...

- ...to w rzeczywistości odcisk jakiejś szczególnej monety świętego Piotra - dokończyła Marlena.

Drugi dokument sporządzono w języku starofrancuskim. Postanowili przetłumaczyć go później. Marlena musiała skorzystać z pomocy Roberta i starego słownika. Sama nie dałaby rady.

W czasie, gdy wspólnymi siłami - tak jak umieli - zabudowywali wyrwę w ścianie, dyskutowali na temat znaczenia swego odkrycia. Klemens VII¹², uznany później za antypapieża, został wybrany podczas pełnoprawnego konklawe, w każdym razie w bardziej prawowity sposób niż jego przeciwnik, Urban VI. Jego przewidujący poprzednik - Grzegorz XI - zabrał wprawdzie do Rzymu laskę pasterską, pierścień Rybaka i mitrę, lecz monetę świętego Piotra przezornie pozostawił w tajnej skrytce.

¹² Historyczny Klemens VII (Robert z Genewy) został wybrany na głowę Kościoła katolickiego w 1378 r. głosami części kolegium kardynalskiego, głównie Francuzów.

- Urban pewnie szalał z wściekłości. Święta moneta przepadła bez śladu. Ponieważ miał wielu wrogów, jej zniknięcie stawiało go w niebezpiecznym położeniu. W końcu jednak umocnił swoją władzę w bezwzględny sposób. Kardynałów, którzy głosowali przeciwko niemu, kazał bezlitośnie torturować, a nawet wymordować. Ceną za jego panowanie była śmierć i zniszczenie. W końcu kuria pozostała w Rzymie musiała mu się podporządkować. Urban ponad wszystko łaknął władzy. Choć ludność go nienawidziła, zachował urząd i godności aż do śmierci.

Robert podziwiał Marlenę za głęboką wiedzę na temat ówczesnych stosunków.

- Bardzo obrazowe podsumowanie - pochwalił.
- Tylko dlaczego nikt nie spróbował obalić tyrana?
- zapytał.
- A co mogli zrobić? Co prawda mieli alternatywę

- papieża Klemensa VII. Większość kardynałów, nie tylko francuskich, nie uznała Urbana. Nie był nawet kardynałem. Ponadto nie został wybrany według prawomocnej procedury. W istocie samowolnie zagarnął władzę, zaś lud gwałtem i brutalnością zmusił do akceptacji faktów. Niemniej wielu włoskim katolikom wystarczyło to, że dostali ziomka. Rzymianie nie odczuwali żadnej więzi z dalekim papieżem w Awinionie i nie wyobrażali sobie współdziałania na tak znaczną odległość.

Robert zmarszczył czoło. Nie wszystko, co usłyszał od Marleny, było dla niego nowe, lecz po raz pierwszy ktoś naświetlił mu sytuację w tak przejrzysty sposób. Nawet on, jako laik, dostrzegł ważne konsekwencje owego wątpliwego pontyfikatu.

- Jeśli prócz dokumentów, wskazujących na Klemensa VII, trafimy na monetę... - zaczął.

- ...zyskamy niezbity dowód tego, co zamierzali przekazać panu przodkowie - dokończyła Marlena.

Robert miał jednak w głowie jeszcze coś innego. Ten, kto zamordował jego ojca, musiał wiedzieć o poszukiwaniach prowadzonych przez Garniera. A stąd płynie wniosek, że zabójcy bardzo zależało na tym, aby je udaremnić.

Awinion, 8 kwietnia 1379

Kardynał de Luna wrócił do papieskiego pałacu. Kiedy wystąpił do przodu, nowy, prawomocnie wybrany papież, Klemens VII, pochylił głowę, oczekując na uroczystą ceremonię. Na oczach wiwatującego tłumu przyjął insygnium najwyższego pasterza Kościoła katolickiego, umocowane na bogato haftowanej aksamitnej wstędze.

We wrześniu 1378 roku, pięć miesięcy po samo-zwańcym wstąpieniu na papieski tron Urbana, kolegium kardynalskie zebrało się ponownie. Kardynałowie przypomnieli okrutną śmierć braci uwięzionych i zamordowanych przez bezwzględnego tyrana. Opłakawszy ich śmierć, w końcu wznowili przerwane w kwietniu konklawe. Mimo że samego kardynała Pedra de Lunę, wyznaczonego przez zmarłego papieża Grzegorza na głównego reprezentanta kolegium, dręczyły wątpliwości, w końcu przyjął do wiadomości, że nie tylko kardynałowie z Awinionu opowiedzieli się za kontrkandydatem samozwańca Urbana.

Trzej najwyżsi kardynałowie w pokorze złożyli pokłon nowemu Ojcu Świętemu. Swojemu Ojcu Świętemu. Ceremonia odbyła się na małym tarasie nad bramą Champeaux, nowym wejściem do wspaniałej rezydencji głowy Kościoła. Całą wolną prze-

strzeń placu poniżej wypełniał wiwatujący tłum. Przybyli prawie wszyscy mieszkańcy miasta. Niezależnie od tego, co wydarzyło się w Rzymie, mieszkańcy Awinionu znowu dostali swojego, własnego papieża. W rok po samozwańczym wstąpieniu na tron Urbana VI, moneta świętego Piotra błyszczała w słońcu Prowansji na szyi jego konkurenta, daleko od swej pierwotnej ojczyzny.

Awinion, czasy współczesne

Robert umieścił wszystkie cegły z powrotem w wybitym wcześniej otworze. Skoro nie mógł go zamurować na stałe, chciał go chociaż zamaskować tak porządnie, jak to tylko było możliwe.

„Nie bez powodu tak utrudniono dostęp do tajemnego skarbcza” - pomyślał.

- Chyba odkryłam jakieś przejście! - wyrwał go z zadumy okrzyk Marleny.

Kucała kilka metrów dalej przed gładką ścianą. Obmacywała ją w świetle latarki w poszukiwaniu nierówności. Robert przez chwilę rozważał jej słowa.

- Może to dojście do sali. Przecież powinno gdzieś tu być.

- Sprawdźmy to?

- Nie jestem pewien, czy powinniśmy wybijać kolejną dziurę.

Marlena skinęła głową. Szczerze mówiąc, chętnie zrobiłaby następny wyłom, żeby odkryć kolejne tajemne przejście. Tyle, że wtedy cały Awinion mówiłby o chuligańskim włamaniu do papieskiego pałacu.

- Racja. Lepiej, żebyśmy znikli stąd niezauważeni. Nikt nie powinien wiedzieć, że włamaliśmy się tu dzisiejszej nocy.

- Nawet nie zdaje sobie pani sprawy, do jak słusznych wniosków pani doszła.

Robert i Marlena z przerażeniem zwrócili głowy w kierunku, z którego dobiegł głos. Ich latarki oświetliły ubranego na czarno mężczyznę. W jego ręce srebrzyście połyskiwała lufa wycelowanego w nich rewolweru.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Marlena, ciężko dysząc, przedzierała się przez wąski tunel. Nieoczekiwany przybysz brutalnie wepchnął jej do ust szmatę o chemicznym, słonawym smaku. Miała cichą nadzieję, że wyprowadzi ich inną drogą, niż przyszli. Uciążliwości długiego marszu ciemnymi tunelami stanowiły jednak w tej chwili najmniejszy problem. Intruz nie krył, że w razie nieposłuszeństwa użyje broni. Zakneblował ich oboje. Tylko ze względu na nierówność podłoża zrezygnował ze związania im rąk. Dokąd ich prowadził?

- Proszę po prostu powiedzieć, czego pan od nas chce - wymamrotał Robert.

Długo żuł wepchnięty mu w usta materiał, zanim mógł wycharczeć tych kilka słów. Marlena, która szła przodem, zwolniła kroku i odwróciła głowę. Zaraz potem usłyszała głuche uderzenie. Prześladowca trafił Roberta prosto w nerkę.

- Cicho! Dalej, naprzód!

Popchnął go brutalnie do przodu. Podczas dalszej drogi Marlena zastanawiała się, czy Robertowi przyszło do głowy, żeby w wąskim przejściu pomiędzy rupieciami zaatakować prześladowcę, zwałając na niego spiętrzone graty. Postanowiła w odpowiednim miejscu dać mu dyskretnie znak.

Kiedy wreszcie dotarli do szerszej części tunelu, Robert mógł do niej dołączyć. Marlena uznała, że to

najlepszy moment, żeby wyjawić mu swój pomysł. Zanim jednak zdążyła wyszeptać choćby słowo, nieznajomy wydał następny rozkaz:

- Na skrzyżowaniu skręćcie w lewo.

W lewo? Mimo zaskoczenia nie przystanęli. Ruszyli z ociąganiem w kierunku skrzyżowania, które już uprzednio mijali. Wąskie przejście pomiędzy ścianą a składowiskiem rupieci znajdowało się w pobliżu, lecz pozostało dla nich niedostępne.

- Na lewo! - powtórzył nieznajomy. - Myślicie, że wyprowadzę was głównym wyjściem i uruchomię alarm?

Marlena i Robert wymienili zawiedzione spojrzenia. Obydwoje pojęli, że wpadli na ten sam pomysł. Niestety, nie tylko oni. Przeciwnik odgadł ich zamiary. Właśnie odebrał im jedyną szansę ratunku. Po około trzystu krokach dotarli do ciężkiej, żelaznej kraty. Z pewnością liczyła sobie kilka setek lat, bo była mocno zardzewiała. Zaopatrzone ją jednak w nowy zamek i osadzono na nowych zawiasach. Chłodniejsze, mniej wilgotne powietrze świadczyło o tym, że gdzieś niedaleko znajdowało się wyjście.

- Stop! - zawołał nieznajomy.

Robert i Marlena przystanęli. Prześladowca precyzyjnie się przed nich z bronią w ręku. Wcisnął Marlenie w rękę klucz.

- Otworzyć!

Marlena zerknęła na Roberta, który skinął głową na znak aprobaty. W gruncie rzeczy nie mieli innego wyboru. Mimo rozpaczliwego położenia, perspektywa wyjścia z lochów dodała im nieco otuchy.

Niemka bez trudu obróciła klucz w zamku. Gdy usłyszała szczęknięcie, pchnęła drzwi. Otworzyły się na zewnątrz z głośnym skrzypieniem. Nieznajomy skinął na Roberta. Gdy przeszli, polecił Marlenie

zamknąć za sobą drzwi. Po kilku dalszych metrach marszu wkroczyli do czworokątnego pomieszczenia. Na jego przeciwległej ścianie zamocowano metalowe szczeble. Prowadziły do góry, do wjazdu ledwo widocznego w ciemności.

- Do kąta!

Nieznajomy kazał im tam stanąć, by mógł bez przeszkód wspiąć się na górę. Wszystko dokładnie zaplanował. Przewidział, że nie pozostanie im nic innego, jak pójść w jego ślady.

- Wejdziecie, kiedy zawołam. Pani na końcu. Jeśli mnie nie posłuchacie, zamknę wjazd i zostanieie tu, aż szernieją wasze kości.

Z tymi słowy wskoczył na przedostatni szczebel i z zawrotną prędkością wdrapał się na ścianę. Nawet gdyby Robert spróbował go dopaść, nie zdążyłby go złapać. Mimo to Marlana na wszelki wypadek przytrzymała go za ramię. Drugą ręką poluźniła knebel.

- Lepiej nie ryzykować - ostrzegła. - Gdyby chciał nas zabić, najłatwiej byłoby mu to zrobić, kiedy przechodziliśmy przez tajemny tunel.

Robert skinął głową i również zdążył wyciągnąć szmatę z ust. W tym momencie obcy ponownie zawołał:

- Naprzód!

Ujrzeni nad sobą okrągły skrawek gwiazdzistego nieba. Wjazd wyglądał jak wejście do kanału, do podziemnego świata Awinionu. Marlana zadrzała. Nie chciała pozostawać w podziemiach dłużej, niż to konieczne. Jeszcze zanim Robert dotarł do ostatniego szczebla, zaczęła się wspinać.

Wyciągnął ku niej rękę, gdy chwytala ostatnie, zżarte przez rdzę drążki.

- Śmiało! Podciągnę panią - zachęcił.

- Dziękuję - wy dyszała Marlena.

Nim mocnym pociągnięciem pomógł jej wydostać się przez właz, wciągnęła w nozdrza chłodne, nocne powietrze. Po chwili stała na własnych nogach i na stałym gruncie. Rozejrzawszy się dookoła, stwierdziła, że wyszli z podziemi w jakimś małym, starym, lecz dobrze utrzymanym parku. Przypuszczała, że to pałacowe ogrody. Wejście do katakumb prawdopodobnie osłaniała leżąca obok, mocno omszona płyta z betonu. Ślady po zadrapaniach wskazywały, że niedawno coś z niej usunięto, najpewniej jakiś kwietnik. Zwykle takie włazy maskowano dużymi donicami. Rzeczywiście, obok stało masywne, kamienne naczynie. Po umieszczeniu go na dawnym miejscu, całkowicie zasłoniłoby właz przed okiem postronnego obserwatora.

- Ręce na plecy! - rozkazał prześladowca, wymachując rewolwerem.

W lewej dłoni trzymał dwa kawałki kabla. Pierwszym z nich związał nadgarstki Roberta. Następnie zwrócił się ku Marlenie.

- Nie ruszę się stąd o krok, póki nie powie pan, czego pan od nas chce - oświadczył Robert, raczej oburzony niż wystraszony.

Spojrzenie nieznajomego zmroziło Marlenie krew w żyłach. Zatkanął jej usta nowym kawałkiem materiału, po czym zwrócił się do Roberta:

- Ktoś chce z wami rozmawiać. Więcej nie musicie wiedzieć - oznajmił stanowczym tonem, po czym także Robertowi wcisnął do ust ciasno zwiniętą szmatę.

- Sam sobie wybieram partnerów do rozmowy...

Młody Garnier więcej nie zdążył z siebie wyrzucić. Ostatnie słowa stłumił nowy knebel. Nieznajomy z zimnym uśmiechem wskazał na uliczną latarnię.

- Chodźcie już wreszcie - ponaglił. - Jeśli odmówi pan współpracy, przywiążę pana do najniższego szczebla w lochach. Ponieważ zabiorę ze sobą pana koleżankę, jedynie szczury dotrzymają tam panu towarzystwa.

Marlena pobladła. Dała Robertowi znak gestem, żeby się nie buntował. Przerazała ją myśl, że mogliby zostać rozdzieleni.

Kiedy wyszli z parku i zajęli miejsca na tylnych siedzeniach ciemnej, eleganckiej limuzyny, porywacz założył im kajdanki. Ponieważ Marlena siedziała z prawej strony, skuł jej prawą rękę z lewą ręką Roberta. Naraził go przy tym na wielkie niewygody, gdyż wykręcił mu w tym celu rękę za plecami. W ten sposób uniemożliwił parze wyskoczenie z pędzącego auta. Potem naciągnął Robertowi, a później Marlenie czarny kaptur na głowę i obwiązał tasemkami.

Garnier starał się zarejestrować w pamięci ruch pojazdu. Choć niezbyt dobrze znał tę część miasta, usiłował określić trasę samochodu na podstawie liczby i kierunków zakrętów. Samochód najpierw podskakiwał na kocich łbach, potem zjechał w dół, zwolnił przed wąskim zakrętem niemal do prędkości pieszego, a potem przejechał przez uliczne spowalniacze. Władze miasta dokładały wszelkich starań, by zmusić kierowców do przestrzegania przepisów ruchu drogowego. Poza sztucznymi przeszkodami, wszędzie poustawiano radary. Na wielu ulicach obowiązywał jeden kierunek ruchu, w dodatku zmieniany co kilka lat. Odgadnięcie, gdzie się obecnie znajdują, przychodziło Robertowi z coraz większym trudem. W pewnym momencie zupełnie stracił orientację. Nagle poczuł, że głowa odchyła mu się łagodnie w lewo, jakby objeżdżali duże

rondo. Ponieważ takie ronda zbudowano tylko nad brzegiem Rodanu i w sporej odległości od centrum miasta, miał nadzieję, że jednak zdoła ustalić ich położenie.

Marlena uwolniła lewe ramię z niewygodnej pozycji i przejechała palcami wzdłuż brzegu kaptura. Niestety węzeł zawiązano tak mocno, że nie dałaby rady rozwiązać go jedną ręką. Poza tym pomruk Roberta uświadomił jej, że przy każdym ruchu zadaje mu ból. Przeszkadzała mu się skoncentrować, ale chociaż odprężyła się na tyle, na ile pozwalały więzy.

Długa droga na wprost, łagodny łuk, ostry zakręt w lewo.

Robert był niemal pewien, gdzie ich wieziono. Albo wkrótce wjadą na krótką drogę szybkiego ruchu, prowadzącą na małe pasażerskie lotnisko, Aeroport d'Avignon, albo dotrą niebawem do Villeneuve-les-Avignon.

Znowu to Villeneuve!

Villeneiwe-les-Avignon

- *Madame Schönberg, monsieur Garnier!* Dobrze, że wreszcie możemy się poznać.

Elegancko ubrany mężczyzna, który przed chwilą przekroczył próg, przyjaźnie wyciągnął do Marleny rękę. Robert wstał. Chciał w nią uderzyć, lecz tamten błyskawicznie odstąpił krok do tyłu.

- Proszę się uspokoić.

- Ciekawe, jak? Nie dość, że kazał nas pan uprowadzić z bronią w rękę, to jeszcze żąda pan, żebyśmy zachowali spokój!

Marlena śledziła szybką wymianę zdań po francusku. Ku swemu zaskoczeniu sporo zrozumiała.

Robert zadziwiająco szybko opanował wzburzenie. Prawie natychmiast usiadł z powrotem. Jego głos brzmiał wyjątkowo spokojnie, gdy przeszedł na angielski.

- Proszę nam wreszcie powiedzieć, po co tu siedzimy? - spytał.

Pomieszczenie, do którego ich przyprowadzono, nie miało okien. Wystrój wnętrza nasuwał skojarzenia z biurem, najwyraźniej w piwnicy. Urządzono je bez przepychu, lecz zaopatrzone w duże biurko i sporą liczbę książek. Wiele z nich było zafoliowanych. Prawdopodobnie pracowano tu nad bardzo starymi, podatnymi na zniszczenie księgami i dokumentami. Powietrze było nieświeże, jak w szpitalu. Marlena nie potrafiła rozróżnić, czy dziwny zapach pochodzi od jakichś rozpuszczalników, czy olejków eterycznych.

Ona i Robert siedzieli jak dwójka petentów na taboretach. Gospodarz okrążył biurko i zasiadł w skórzanym fotelu. Wyglądało na to, że rzadko przyjmuje tu gości.

- Na początek pragnę przeprosić za zachowanie Bertranda. To świetny kierowca, ale nie umie postępować z ludźmi.

Marlena zadrżała, kiedy usłyszała, że uprowadził ich kierowca. Już podczas wędrówki przez tunel zastanawiała się, czy to nie ten sam człowiek, który staranował jej wynajęty samochód. Jednak rozsądek nakazywał nie zadawać głośno tego pytania. Zachowała więc milczenie. Natomiast gospodarz pochylił się do przodu i powiedział przyciszonym głosem, jakby powierzał im ważną tajemnicę:

- Służył w Legii Cudzoziemskiej. Rozumiecie państwo?

Robert z pogardą wzruszył ramionami.

- Pana pomocnik mnie nie interesuje. Zajmie się nim policja - prychnął.

Starszy, elegancki pan zapadł głębiej w fotel z uśmiechem samozadowolenia.

- Nie radziłbym jej zawiadamiać, drogi panie Garnier. Pozwoli pan, że zanim dojdzie między nami do kłótni, przedłożę panu moją prośbę. Pragnę panu zaproponować interes.

Mężczyźni ponownie przeszli na francuski. Marlina nie miała śmiałości przerywać dyskusji. Robert opanował się na tyle, że przynajmniej cierpliwie słuchał. Szybko pojął, że nie pozostaje mu nic innego, jak pójść na współpracę. Ten nieznajomy, w przeciwieństwie do swego kierowcy, sprawiał wrażenie wykształconego i kulturalnego człowieka. Mimo że napawał go lękiem, przynajmniej nie wyglądał na mordercę.

- Nie uznaję długich przedmów, panie Garnier - zagadnął tamten ponownie. - Posiada pan coś, co bardzo chciałbym posiadać.

Marlina i Robert od chwili uprowadzenia ani przez sekundę nie wątpili, że porwano ich z powodu dokumentów, które znaleźli.

- Przecież dawno mogliście wejść w posiadanie tych szpargałów, więc po co to całe porwanie?

- Bardziej niż na dokumentach zależy nam na waszej współpracy, przede wszystkim pańskiej atrakcyjnej koleżanki.

- Czego pan chce ode mnie? - wtrąciła Marlina.

Gospodarz nacisnął guzik nowoczesnego telefonu, który w żaden sposób nie pasował do zabytkowego biurka.

- Teraz możesz do nas przyjść - zakomunikował komuś po drugiej stronie. Nie czekając na odpowiedź, ponownie nacisnął guzik i wyłączył aparat.

Zaledwie kilka sekund później do środka wszedł drugi mężczyzna, również grubo po sześćdziesiątce, lecz w swobodniejszym stroju.

Claude zaprosił przybysza gestem do środka.

- Chciałbym państwu przedstawić mojego przyjaciela Henry'ego.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Henry podszedł do Claude'a i stanął obok niego za biurkiem. Wymienili szeptem kilka niezrozumiałych zdań. Później przybysz zwrócił się do Marleny i Roberta. Używał angielskiego, niemal bez obcego akcentu:

- *Madame, monsieur*, proszę wybaczyć okoliczności, w jakich się poznajemy. Zechciejcie państwo poświęcić mi pięć minut uwagi, abym mógł wprowadzić was w moją historię.

Marlena zwróciła głowę w lewo, w stronę Roberta. Uniósłszy brwi, odwzajemnił jej porozumiewawcze spojrzenie. Wzruszyła ramionami. Potem obydwójce skinęli głową.

- Proszę, słuchamy - powiedział Robert.

Gdy Henry zaczął mówić monotonnym głosem, jego opowieść niemal przeniosła Marlenę w czasy studenckie. Jej stary profesor wygłaszał podobne monologi.

- Prawie siedemset lat temu mój lud i moja rodzina żyli spokojnie w górach. Jako badaczka historii Kościoła z pewnością zna pani dzieje chrystianizacji południa Francji. Ponad trzysta lat wieków pielęgnowaliśmy nasze tradycje, póki nie dosięgły nas prześladowania Inkwizycji.

Henry przerwał. Wsparty rękami o stół, sprawdził, czy słuchacze nadal koncentrują swoją uwagę na jego słowach. Marlena i Robert słuchali w napięciu.

- Ostatnia osada, wysoko w Pirenejach, pozostała nieodkryta, póki nie wytropił nas pewien duchowny. Nie zdradził nas jednak. Zamieszkał wśród nas, brał udział w życiu gminy i poznawał nasze obyczaje. Dopiero kiedy poznał wszystkie kryjówki, wezwał swoich siepaczy. Tylko garstka ludzi z naszej gminy uniknęła tortur i stosu. Duchowny zniknął z naszymi skarbami. Padła ostatnia twierdza.

Robert nie okazał, że pojmuje znaczenie jego opowieści. Nie pojawiły się żadne nazwiska, lecz Marlena wiedziała, w czym rzecz.

- Jest pan więc potomkiem *veri christi*, Czystych? - spytała.

- Tak. Jednym z niewielu ocalałych, których wcześniej określano ogólnym mianem katarów - odparł Henry.

Na chwilę zapadła cisza. Marlena jako pierwsza odważyła się zadać pytanie:

- No dobrze, ale co katarzy mają wspólnego z nami lub z naszymi poszukiwaniami?

Claude uniósł rękę.

- Chwileczkę. Pozostał jeszcze jeden rozdział do dodania. Mam nadzieję, że wiele wyjaśni. Henry, zechcesz kontynuować?

- Tak. - Henry ponownie zwrócił się do pary słuchaczy: - Zdradziecki duchowny był biskupem. Nazywał się Jacques Fournier. Zapewne znacie go pod imieniem Benedykta XII¹, bowiem niecałe dziesięć lat później został trzecim awiniońskim papieżem. Zrabowane dobra zdeponował w papieskim skarbcu. Kilka lat później za okupione krwią

¹ Historyczny Benedykt XII był papieżem w latach 1334-1342. ¹

pieniądze nabyto całe terytorium miasta Awinionu, które dotąd podlegało Joannie, królowej Neapolu. Nagle Marlina pojęła, do czego zmierza.

- Chcecie dochodzić swych praw? Dlatego nas tu więzicie?

Henry z uśmiechem pokręcił głową.

- To nie takie proste, chociaż dowiedziono, że majątek katarów faktycznie powędrował do Neapolu. Nie dlatego, żeby brak było w nim odpowiedniej ilości gotówki. Po prostu nie chciano przechowywać w papieskim skarbcu zrabowanych łupów. Skorzystano zatem z możliwości zakupu awiniońskich dóbr. Powrót kurii papieskiej do Rzymu i kolejne stulecia przyniosły wiele zmian. Jednakże gdyby doszło do wysunięcia jakichkolwiek uzasadnionych roszczeń wobec Rzymu, nie chcielibyśmy zostać z tych roszczeń wykluczeni.

W tym momencie Claude ponownie zabrał głos. Nie spuszczał przy tym oczu z Roberta.

- Pański ojciec trafił na bardzo stary ślad, który wielu z nas uważało za dawno zagubiony. Chcemy wiedzieć, jak daleko jego wskazówki zaprowadziły państwa dzisiejszej nocy?

Robert o mało nie skoczył do góry, lecz dwie silne ręce przygwoździły go z powrotem do stołka. Czerwony z gniewu, wydyszał:

- Czy to wy go zamordowaliście? Tylko nie ważcie się mnie okłamywać!

- Proszę się uspokoić, panie Robercie - poprosiła Marlina, kładąc mu rękę na ramieniu.

Łzy bezsilnej złości popłynęły po policzkach młodego Garniera. Henry podszedł do niego bardzo blisko.

- Daję panu słowo honoru, że nie mamy nic wspólnego ze śmiercią pańskiego ojca - powiedział łagodnym głosem.

Robert z powrotem opadł na swój taboret. Patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Po chwili milczenia Marlena przejęła inicjatywę:

- Proponuję wreszcie przejść do interesów. Proszę zabrać dokumenty, powiedzieć, czego jeszcze chcecie i puścić nas wolno.

- To nie takie proste, droga *madame* Schönberg - odparł Claude z gorzkim uśmiechem.

- Dlaczego?

- To żadna tajemnica, że rodzina pani towarzysza w określonych okolicznościach może podnieść pewne roszczenia względem Watykanu. Żądamy, żeby państwo zrezygnowali z tej możliwości i zostawili nam pole do działania.

- Przenigdy! - wykrzyknął Robert. Głos mu drżał z oburzenia. Claude patrzył na niego z kamienną twarzą.

- Proszę nie zapominać, że w oczach policji nadal pozostaje pan podejrzany o zabójstwo ojca. W razie odmowy, w dogodnym momencie chętnie dostarczymy władzom dowodów na potwierdzenie pana winy.

- Nie odważycie się - wyszeptał Robert, blady jak ściana. - Żaden dowód nie istnieje.

Mimo to Marlena była pewna, że dla porywaczy nie stanowi to żadnej przeszkody.

Remoulins

Ponieważ poprzedniego wieczora w dolinach panował niezwykle chłód, o świcie znad rzeki unosiła się lekka mgiełka. Już sto lat temu pradiadek Garnier kazał swoim pracownikom pozostawić naturze do „zagospodarowania” szeroki pas wzdłuż brzegów. Niezliczone ptaki, gniazdujące w zaroś-

lach, w podziękowaniu za ten dar wyłapywały dokuczliwe owady, przede wszystkim podstępne komary.

Choć dwór leżał spory kawałek od rzeki, tu również wszędzie wokoło budziło się życie. W jego wnętrzu też. Oto na sofie w gabinecie Marlena otworzyła oczy. Obok, w starym fotelu, Robert podniósł głowę, która opadła mu na piersi.

Marlena zaczęła kręcić głową, ale zaraz pożałowała zbyt gwałtownych ruchów. Zamarła w bezruchu, gdy kłujący ból w skroniach wycisnął jej łzy z oczu...

- Panie Robercie?

Słowa zabrzmiały wyraźnie i donośnie, ale tylko w jej głowie. Wyschnięty język, przyklejony do podniebienia, nie wydał żadnego dźwięku. Bezradnie zwróciła wzrok w kierunku fotela. Robert wysunął przed siebie nogę - jakby w poszukiwaniu wsparcia.

„Zaaplikowali nam jakieś środki odurzające” - pomyślał.

Innego wyjaśnienia nie znalazł. Ich organizmy usiłowały zwalczyć zatrucie nieznaną substancją, ale przegrały. Marlena na nowo zapadła w głęboki sen. Nie zdążyła nawet dostrzec, że Robert także zasnął.

- Marleno?

Ciepła dłoń delikatnie gładziła ją po ramieniu, prawie jak pewnej niedzieli we Fryburgu. Wtedy Marcin zaskoczył ją, przynosząc śniadanie do łóżka. Obudził ją łagodnymi pieścizotami i sprawił, że przeżyła na jawie jeszcze piękniejszy dzień niż w sennych marzeniach. Teraz Marlena, na wpół przytomna, z błogim uśmiechem chwyciła głaszczące ją palce i przycisnęła do swojego ramienia.

Chciała ich właścicielowi spojrzeć w oczy. Nie wyobrażała sobie większego szczęścia niż widok cudownych, błękitnych źrenic Marcina na powitanie nowego dnia.

Jej rozmarzony uśmiech nie umknął uwadze Roberta. Jednak na jego widok natychmiast zmieniła wyraz twarzy. Otworzyła szeroko oczy, gwałtownie uniosła głowę.

- Co? Gdzie?

Nieprędko odzyskała orientację. Dopiero po dłuższej obserwacji stwierdziła, że znajduje się w salonie w rodzinnym dworze Garnierów. Nie miała pojęcia, kiedy i w jaki sposób tu dotarli.

- Ma pani zdrowy sen - orzekł Robert z uśmiechem.

Marlena rozejrzała się po otoczeniu. Wreszcie rozpoznała pokój. To tu siedzieli, gdy Robert otworzył skarbczyk w ścianie.

„Kiedy jeszcze wszystko było w porządku” - dodała w myślach.

Wstydziła się swojej reakcji, choć wyglądało na to, że Robert tego nie zauważył. Nie miała jeszcze siły rozmawiać, ani nawet się poruszyć. Łomotało jej w skroniach. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby stwierdzić, że i Robert nie czuje się lepiej. Opadł obok niej na oparcie sofy, podczas gdy jej wzrok wędrował z roztargnieniem po meblach. Regał do ostatniego centymetra wypełniały grube, oprawne w skórę tomy. Żaden z pewnością nie liczył sobie mniej niż sto pięćdziesiąt lat. Zatrzymała spojrzenie na olbrzymim obrazie nad kominkiem. Przedstawiał mężczyznę, odzianego w złoto i purpurę, o groźnym, niemal przerażającym spojrzeniu, zbyt starannie upozowanego jak na jej gust. Robert zauważył, że portret ją zainteresował. Uśmiechnął się bezwiednie.

- W dzieciństwie miewałem przez niego koszmarne sny. Wciąż prześladowały mnie jego oczy. Był jedynym świadkiem mojego występku. Nikt prócz niego nie wiedział, że stłukłem ulubiony wazon mojej babci; jej zdaniem bardzo cenny.

Marlena spróbowała sobie wyobrazić Roberta jako małego chłopca, wzrostu około metra, z oczami czarnymi jak węgielki i zmierzwionymi, ciemnymi włosami.

- I co? Zdradził pana?

- Nie. Wymierzył mi znacznie dotkliwszą karę. - Przerwał, uniósł rękę teatralnym gestem. - Przypominał mi mój grzech każdego dnia i nocy, tak długo, aż nie wytrzymałem i wyjawilem go dziadkowi.

Marlena ponownie zerknęła na obraz. W pierwszej chwili nie rozpoznała, czy przedstawia świeckiego, czy kościelnego dostojnika. Dopiero teraz zwróciła uwagę, że zażywny mężczyzna nosi na głowie coś w rodzaju tiary, jednak mniej okazałej i ozdobnej niż na innych wizerunkach.

- W takim razie to dobry pasterz, skoro nakłonił pana do skruchy i pokuty. Robert po chwili namysłu skinął głową.

- Prawdę mówiąc, nigdy nie myślałem o nim w tych kategoriach. Nawet nie zdaje sobie pani sprawy, jak wiele pani ma racji. To rzeczywiście duszpasterz - i to najwyższy pasterz Kościoła.

Jeszcze zanim wypowiedział ostatnie zdanie, Marlena przeczuła, o kogo chodzi.

- Benedykt XIV! - wykrzyknęła.

Robert z triumfem zaklaskał w dłonie. Stał przed portretem i wyciągnął rękę w jego stronę, jakby podawał dłoń sportretowanemu mężczyźnie.

- W rzeczy samej. Pozwoli pani, że go przedstawię: to Bernard Garnier, przodek rodu i praw-

dopodobnie jedyny prawowity papież od 1425 do 1432 roku.
Marlena potarła nos palcem wskazującym.

- To ostatnie, szanowny kolego, nadal pozostaje do udowodnienia - zauważyła rzeczowym tonem.

Robert dwoma wielkimi krokami pokonał dzielącą ich odległość.

- I tego właśnie zamierzam teraz dokonać - oświadczył zdecydowanym tonem i z szeroko otwartymi oczami. - Pomoże mi pani?

Marlena jęknęła. Łomotanie w skroniach powróciło.

- Skąd w panu tyle energii? Mnie nie starcza siły, żeby wstać.

Robert pokiwał głową ze zrozumieniem. Jak dotąd żadne z nich nie wspomniało wydarzeń poprzedniego dnia. Ale podświadomie oboje próbowali odtworzyć je w myślach. Robert popatrzył pytająco na Marlenę.

- Przypomina sobie pani coś?

- Tak. Grożono nam, uprowadzono nas, okradziono i szantażowano. Tyle wiem na pewno.

- Ja też. Ale potem? Od momentu, gdy oddaliśmy pergaminy, niczego nie pamiętam.

- Podejrzewam, że dano nam jakieś środki odurzające. Wprawdzie nie widzę śladu po igle, ale przecież nic nie jedliśmy ani nie piliśmy. Powietrze też nie pachniało jakimiś obcymi substancjami. Co za świnię!

Nagle Marlena poczuła ucisk w gardle, jakby wypełniała je olbrzymia kula. Gorzko załkała.

Robert w milczeniu podszedł do niej od tyłu. Położył jej ręce na ramionach. Odwróciła się do niego i objęła go na wysokości bioder. Łzy płynęły po jej policzkach nieprzerwanym strumieniem. Nawet się ich nie wstydziała.

- Trzymaj mnie mocno - poprosiła niemal szeptem wśród łkań.

Robert spełnił jej prośbę. Pozostał w tej pozycji, w milczeniu trzymał ją w ramionach. Jego również ogarnął wielki smutek. Oczami wyobraźni ujrzał ojca, który wpijał się w niego spojrzeniem, jakby próbował wybadać, co zamierza dalej robić.

Villeneuve-les-A vignon

- Rozszyfrowałeś już treść? - dopytywał Henry niecierpliwie, usadawiając się obok starego przyjaciela.

Claude już od godziny siedział pochylony nad łacińskim tekstem. Podnosił głowę tylko po to, żeby sporządzić notatki. Ponieważ o profesjonalnym tłumaczeniu nie mogło być mowy, gestem poprosił o chwilę cierpliwości.

Henry ponownie wstał, rozciągnął zmęczone górne i dolne kończyny. Niewiele spał tej nocy. Odkąd Bertrand odwiózł do Remoulins dwójkę nieprzytomnych poszukiwaczy, minęło niecałe sześć godzin.

- Pójdę na górę i każę nam przygotować kawę. Pospiesz się! Chciałbym wiedzieć, czy wpadliśmy na nowy trop - ponaglił Henry.

Minęło kolejne pół godziny, nim usłyszał kroki Claude'a. Siedział już nad trzecią filiżanką kawy z mlekiem. Odstawił ją jednak natychmiast, gdy tylko przyjaciel wkroczył do przedpokoju.

- I co?

Claude pokręcił głową.

- Nic. To tylko pismo antypapieża, prawdopodobnie skierowane do rywala z Watykanu. Stwierdza, że został wybrany w prawomocny sposób. Powołu-

je się przy tym na świadectwo swoich kardynałów, wymienia rody i władców, którzy uznali jego prawo do sprawowania najwyższej kościelnej godności. Wymienia między innymi hiszpańskie prowincje i Szkocję. Wszystko wskazuje na to, że to dokument raczej późnej daty.

- Dlaczego kazał go zamurować, zamiast wysłać do adresata?

Claude zmarszczył czoło. Sam zdążył już sobie zadać to samo pytanie.

- Być może brakowało mu godnych zaufania posłańców. Lub też dokument sporządzono na tyle późno, że jego wysłanie nic by już nie dało. Papież żył w niespokojnych czasach. W Awinionie panował zamęt. Kto wie, ilu mieszkańców swojego pałacu podejrzewał o wrogość?

- Czy drugie pismo cokolwiek wyjaśnia?

- Miejmy nadzieję. - Claude wręczył Henry'emu kartę. - Proszę. Już je skopiowałem. Ponieważ sporządzono je tylko w języku starofrancuskim, możemy je odczytać razem.

Henry skinął głową, po czym rzucił okiem na koślawe litery. Wyglądało na to, że większość wierszy tekstu zawiera mało istotne wskazówki; rodzaj protokołu postępowania przy szczególnych okazjach.

- To chyba coś w rodzaju scenariusza przyjmowania wizyt wysokich dostojników - wymamrotał Claude.

- No cóż, powszechnie wiadomo, że świątobliwi dostojnicy uwielbiali pompatyczne ceremonie. Tylko z jakiego powodu ukryto tego rodzaju dokument, jeśli nie zawiera żadnej tajemnicy?

Chwilę później zmienili zdanie. Ich uwagę przykuły dziwne sformułowania w najmniej czytelnej części pisma:

Jeden kardynał spośród wielu - wybrany przez papieża - tak jak Jezus niegdyś wybrał Piotra - Strażnik, powołany do przekazania świętej monety...

- Znowu ta moneta.

Claude zaczął szybciej oddychać. Ponownie przebiegł wzrokiem pergamin. Henry również pochylił się nad fotokopią.

„Opisuje jakby rodzaj koronacji” - pomyślał głośno. - „Lub raczej ostatnią fazę konklawe, po której następuje mianowanie następcy. Zaufany odchodzącego papieża jak gdyby legitymował wybór następcy przed zebraniem gremium hierarchów.

Wszystko do siebie pasowało. Mimo pompatycznej oprawy, odczytany opis przypominał proste słowa, jakimi w Piśmie Świętym opisano powołanie przez Jezusa świętego Piotra.

Henry westchnął.

- Pamiętasz tę historię ze starym lekarzem? Nawet jeśli wysunęliśmy słuszne przypuszczenia, to sami na podstawie tych wskazówek do niczego nie dojdziemy.

Claude skinął głową. Przeciągnął się i ziewnął, zmęczony i zdenerwowany po ostatnich, dość wyczerpujących godzinach.

- Masz rację. Potrzebujemy tej monety, a także... jej dziedzica.

Remoulins

Marlena leżała na sofie i patrzyła bezmyślnie przed siebie. Mimo zmęczenia nie mogła się zrelaksować. Zbyt wiele się wydarzyło. Przy śniadaniu Robert dał jej do zrozumienia, że nie miałby żalu, gdyby teraz zdecydowała się zakończyć ich współpracę. Marlena jednak nie zamierzała podejmować

pochopternej decyzji. Wolala najpierw uslyszec, co o tym wszystkim myslil Karol. Na razie Robert nie mogl skontaktowac sie ze swoim adwokatem

i przyjacielem. Trzy razy probowal dodzwonic sie do niego na telefon komorkowy. Na pruzno. Zostawil mu tez wiadomosc w internetowej skrzynce pocztowej.

- Karol zadzwoni lub przyjedzie tu natychmiast, gdy tylko odbierze wiadomosc. Zawiadomilem go, ze do jego przybycia nie opuścimy dworu - oznajmil, po czym dodal pospiesznie: - Przynajmniej ja. Pani moze odejsc w dowolnym momencie.

Marlena usmiechnela sie. Doskonale zdawala sobie sprawe, ze Robert podobnie jak ona wcale nie chce, zeby zrezygnowala teraz - w pol drogi. Nawet jesli stapali po niepewnym gruncie, popelniliby blad, gdyby nie sprawdzili wszystkich mozliwosci i zignorowali to, co moze dalej nastapic.

- Ciekawe, co oni teraz zrobia? Czy rzeczywiscie maja srodki i powiazania, zeby zamac odszkodowania od jakichs instytucji?

Robert pokrecil glowa z lekcewazeniem.

- Nie sadze. Inni tez juz probowali. Gdyby kazda ofiara przesladowan mogla dochodzic swych praw w ciagu dwuch tysiecy lat historii Kosciola, Watykan dawno przestalby istniec. Chodzi im o cos zupełnie innego. Jestem tego na sto procent pewny.

Obydwoje zamilkli. Pograzeni w rozmyslaniach, siedzieli obok siebie wzrod aksamitnych poduszek szerokiej, skorzanej sofy.

- Dziekuje za wsparcie.

Robert musial chwileczke pomyslec, o co jej chodzi. Kiedy sobie przypomniał, pokrecil glowa.

- Nie ma za co. Sam przezyłem chwilowe zalamanie.

Marlena westchnęła. Pochyliła się nieco w lewo, tak że niemal dotykała ramienia Roberta.

- Czasami nie sposób opanować emocji. Niezależnie od tego, jak silnie tłumimy niektóre uczucia, kiedyś w końcu wyjdą na powierzchnię.

- Po co w ogóle z nimi walczyć? Wstydzi się ich pani? ^v

Marlena odruchowo przełknęła ślinę. Najchętniej uniknęłaby uczciwej odpowiedzi.

- Chyba... trochę, przynajmniej czasami. W każdym razie odpornym łatwiej żyć. Twardą skałę trudniej skruszyć.

Robert delikatnie ujął jej dłoń.

- Jak na granitowy blok ma pani zbyt delikatne ręce.

Popatrzyli na siebie z uśmiechem. Marlena spróbowała odczytać emocje z ciemnych jak noc, przepastnych oczu Roberta. Na próżno. Nie odkrył przed nią kart. Ostrożnie uniosła rękę i pogłaskała jednodniowy zarost na jego policzku.

- Dziękuję - wyszeptała.

I zanim Robert zdążył zadać sobie pytanie, czym zasłużył sobie na jej wdzięczność, Marlena delikatnie przytknęła wargi do jego ust.

CZEŚĆ DRUGA

Natychmiastowe i bezwarunkowe zniesienie wszystkich wyznań religijnych po ostatecznym zwycięstwie z równoczesną proklamacją Adolfa Hitlera na nowego Mesjasza. Fuhrera należy przedstawić jako kogoś pośredniego pomiędzy zbawcą a wyzwolicielem - w każdym razie jako wysłannika Boga, któremu przysługuje boska cześć.

Wyciąg ze sprawozdania z narady w dniu 14 sierpnia 1943 roku; do przedłożenia Adolfowi Hitlerowi.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Rzym, 10 lutego 1939

Pax christi in regno Christi - Pokój Chrystusa w królestwie Chrystusa.

Żadne z jego pism protestacyjnych nie zostało wzięte pod uwagę. Wyglądało na to, że straszliwe doświadczenia wojny, zakończonej przed równo dwudziestu laty, nikogo niczego nie nauczyły. W całej Europie wdowy nadal rozpaczały po mężach, matki po synach, dzieci po ojcach. Kościoły od dawna nie były tak pełne.

Wszystko zaczęło się niemal przed rokiem, gdy Austria została wcielona do Rzeszy Niemieckiej. Wcześniej przyłączono Zagłębie Saary. Obecnie tworzą nową prowincję - Okręg Sudetów.

Odkąd w 1922 roku Pius XI² został papieżem, wiele osiągnął. Największy sukces polegał na doprowadzeniu do porozumienia z Mussolinim w tak zwanej kwestii rzymskiej¹⁵ po siedmiu latach sprawowania papieskiego urzędu. Właśnie mijało dzie-

¹⁵ Tzw. kwestia rzymska to przede wszystkim sprawa prawnoustrojowego statusu Stolicy Apostolskiej i Watykanu po likwidacji Państwa Kościelnego w 1870 r.

² Historyczny Pius XI (Achilles Ratti) był papieżem w latach 1922-1939.

sięć lat od chwili, gdy Watykan zyskał status suwerennego państwa-miasta.

Cztery lata później, w roku 1926, Pius XI skłonił również władze Rzeszy Niemieckiej do zawarcia odpowiednich umów, zapewniających suwerenność Kościołowi katolickiemu i jego klerowi. Tak zwana Ustawa Obywatelska³ zbyt długo ograniczała działalność duchowieństwa. Po zakończeniu „wielkiej wojny” karty zostały rozdane na nowo. Nuncjusz apostolski w Berlinie, Eugenio Pacelli, bezpośredni wysłannik i prawa ręka papieża, od lat podróżował pomiędzy obiema stolicami, aby wynegocjować porozumienie. Przejęcie władzy przez faszystów tylko na krótki czas spowodowało zastój w rokowaniach; już 20 lipca 1933 roku nuncjusz podpisał z kanclerzem Hitlerem wynegocjowane z wielkim trudem porozumienie⁴.

Ojciec Święty poprosił Pacellego do siebie. Nuncjusz już od dwóch godzin przebywał przy łożu papieża. Większą część tego czasu chory przespał. Lecz teraz, rozbudzony i przytomny, z mazołem uniósł się na posłaniu.

- Jak długo już kroczymy tą samą drogą? - wydyszał.
- Dawno przestałem liczyć dni - odparł Eugenio.
- Wkrótce nadejdzie mój czas, lecz wcześniej musisz mi coś obiecać.

³ Autor ma na uwadze kodeks cywilny Rzeszy, o kształt którego toczono w Niemczech, w latach 1873-1890, zacięte spory; najostrejsze pomiędzy centralną władzą nowo utworzonej Rzeszy Niemieckiej a partiami katolickimi (szło m.in. o ustawy Kulturkampf).

⁴ Konkordat ten gwarantował wycofanie się Kościoła katolickiego z polityki w zamian za swobodę obsadzania stanowisk kościelnych i utrzymanie szkół katolickich.

Pacelli westchnął. Wiedział, co go czeka.

- Jakże mógłbym odmówić Ojcu Świętemu? - odrzeki

Papież popatrzył na niego poważnie. Nabrał powietrza w płuca. Była to jego ostatnia chwila przytomności. . .

- Gra toczy się o wielką stawkę. Nie zasypiaj gruszek w popiele. Odnajdźcie grób, póki nie jest za późno.

Pius XI nie dożył następnego ranka.

Kilka kilometrów na północ od Dijon, 19 czerwca 1940

Chmura pyłu i dymu - po trwających od wielu dni potyczkach - wisiała jak dzwon poniżej grubej warstwy deszczowych chmur. Było niezwykle zimno Nawet w nielicznych chwilach odpoczynku czy snu, mężczyźni musieli wdychać gryzący, wilgotny odór. Przypominał o tym, że wojna nadal trwa, a z nią brud, pot i krew. Morze krwi.

Hitler z dumą obwieszczał wielki sukces, jaki jego armia odniosła w pierwszym roku wojny. Chodziło o kapitulację Francji, która najwyraźniej przeceniła swoją bojową moc.

Zwolniony z lazaretu Johann drżącą ręką unosił do ust kolejne łyżki drugiego talerza rzadkiej zupy. Linia frontu przebiegała akurat wystarczająco daleko by nie musiał się obawiać kul. Mimo to przy każdym huku wystrzału drżał ze strachu. Trzy dni wcześniej zranił go granat. Ocknął się w błotnistej kotlinie. Czuł kłujący ból po lewej stronie. Uporczywa mżawka tego szarego dnia przemoczyła mu ubranie. Przez zimny, mokry materiał czuł, jak ciepła krew nieustannie wypływa z ran. Na szczęście

jednak okazało się - po niezwykle bolesnym usunięciu odłamków - że w jego ciele utkwiło ich zaledwie pół tuzina. Potem musiał już znieść tylko smarowanie grubą warstwą maści i bandażowanie brzucha. Docenił więc otrzymany urlop zdrowotny. Był to iście cenny dar losu. A jeśli wierzyć ostatnim meldunkom z frontu, koniec kampanii jest bliski.

Johann pochodził ze szlacheckiej rodziny z Prus Wschodnich. Dwóch jego braci również powołano do wojska. Najstarszy poległ w Polsce w pierwszych dniach wojny. Dwudziestotrzylatek wypełniał swój obowiązek bez zrozumienia dla polityki Hitlera. O wiele bardziej zajmowała go kwestia, czy w następnym liście do domu wspomnieć, że został ranny. Najchętniej zataiłby ten fakt, żeby oszczędzić matce strapień.

Jego kolega, Friedrich, podszedł do niego z tyłu.

- Powinieneś być szczęśliwy, że uniknąłeś walki. Tam, w okopach, przeszliśmy piekło.

Deszcz przestał wreszcie padać, lecz ziemia nasiąkła wodą. Wszędzie pełno było błota.

- Wyobrażam sobie. Odłączyłeś się od oddziału czy dosięgła cię kula? Johann obejrzał Friedricha, ale nie zauważył żadnych obrażeń. Wiedział jednak, że najcięższych ran często nie widać na pierwszy rzut oka. A odnosił wrażenie, że przyjaciel niepewnie stoi na nogach.

Friedrich podszedł do mendla snopków. Popatrzył na leżące dwadzieścia metrów dalej namioty chorych i kuchnię polową. Nie dostrzegł nikogo w zasięgu wzroku. Dopiero gdy się upewnił, że nikt ich nie podsłucha, odpowiedział stłumionym głosem:

- Przed trzema godzinami zostałem odcięty od oddziału. Musieliśmy z Georgiem uciekać do lasu. - Wskazał na okolice pachwiny i wykrzywił twarz.

- Biedak nie przeżył. Pocisk gładko przeszedł na wylot. Johann skinął głową ze zrozumieniem. Dokładał wszelkich starań, żeby nie wyobrazać sobie cierpienia kolegi. Żołnierze często wczuwali się w położenie rannych towarzyszy walki, a potem zadawali sobie pytanie, jak sami by je znieśli. W tych dniach liczyło się tylko to, żeby przetrwać.

Friedrich zwrócił ku niemu twarz, by zająrzeć mu w oczy.

- Znamy się tylko dwa tygodnie, Hans, lecz nie znam nikogo prócz ciebie, komu mógłbym zaufać. Tam, w lesie, znalazłem coś...

Johann skinął głową. Wyczuł, skąd wieje wiatr. Zawsze, gdy potężny blondyn miał mu coś ważnego do zakomunikowania, powoływał się na swoje zaufanie do niego.

- No mów!

- Mogę ci to tylko pokazać. Starczy ci sił na krótki spacer?

Mimo że w pogodny, czerwcowy dzień słońce świeciło jasno, gęste korony niskich drzew oferowały ochronę przed niepowołanymi spojrzeciami. Las był za mały, a podłoże zbyt nierówne, by ukryć tam pojazdy czy amunicję, toteż nie zyskał strategicznego znaczenia. Poza tym leżał za daleko od linii frontu, po niemieckiej stronie. Według ostatnich depeesz oddziały Wehrmachtu już atakowały Lyon.

Johanna nie obchodziło, czy Niemcy powiększą swoje terytorium dwukrotnie, czy dziesięciokrotnie. Tęsknił za swoją mazurską ojczyzną, za jeziorami i niezmiernymi polami. Na razie musiał mu jednak wystarczyć francuski zagajnik. Przy każdym napięciu mięśni bolały go rany pod cienkimi bandażami.

- Już prawie dotarliśmy na miejsce - pocieszał go Friedrich, gdy pozostawał w tyle.

Po chwili skinął na niego zza wielkiej kępy krzaków.

- Szybko, Hans, on jest tu!

Kiedy Johann dotarł na miejsce, ujrzał leżącego na ziemi postawnego mężczyznę, z lewą ręką odchyloną od ciała pod nienaturalnym kątem. Wyglądał na znacznie starszego od obu młodych Niemców. Johann ocenił jego wiek na ponad pięćdziesiąt lat. Francuski mundur przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Brakowało rękawów i podszewki. Ktoś je widocznie podarł na pasy i obwiązał prawe udo leżącego. Wielką, otwartą ranę poniżej kolana, prowizorycznie oczyszczono i opatrzone. Cała noga była we krwi. Resztki kurtki okrywały teraz nieruchome ciało. Również głowa była obandażowana. Przez liczne warstwy tkaniny na czole już przesiąkła krew. Stalowy hełm i dwie duże szczapy drewna utrzymywały leżącego Francuza w pozycji bocznej. W ciszy Johann pochwycił jego słabe rżenie.

- Kto to jest do diabła? I co my tu robimy? - spytał. Friedrich podniósł na niego wzrok.

- Nie mam pojęcia, kto to taki, ale nie możemy go wydać szwadrom SS. Chociaż zastrzelił niemieckiego żołnierza. Gdyby dostali go w swoje ręce, wycierpiałby znacznie więcej niż od tych ran, które ma teraz.

- Co twoim zdaniem powinniśmy z nim zrobić? - spytał Johann, nie kryjąc wściekłości. - Chcesz go zabrać do lazaretu?

- Nie. Nie prosił o to. Pragnął się tylko wypowiedzieć.

Johann nie wierzył własnym uszom. Fritz dotąd nie ukrywał, że zazdrości mu głębokiej wiary. Właś-

nie dlatego tak bardzo oburzyła go ukryta - jak sądził - propozycja. Jego kolega najwyraźniej oczekiwał, że zechce udawać księdza i udzielić umierającemu pozornego rozgrzeszenia i nieprawdziwych sakramentów.

- Czy po to mnie tu przywlokłeś, żebym dręczył i oszukiwał starego, rannego Francuza? - wyrzucił z siebie w gniewie.

Friedrich odciągnął go na bok.

- Jeszcze nie wiesz wszystkiego - wyszeptał. - Georg szedł kilka kroków przede mną. Chwilę później zobaczyłem, jak stał z triumfalną miną nad Francuzem. Musiał tu długo leżeć. Przypuszczam, że sam sobie opatrzył rany. Według dystynkcji należał do korpusu medycznego. Georg spostrzegł jednak, że jeszcze żyje i wyciągnął nóż. Nienawidził Francuzów - mieli na sumieniu życie jego ojca. Gdyby Georg dopadł rannego, zapewne z radością by go zabił. Zanim jednak do nich dotarłem, Francuz zdążył zastrzelić Georga. Pochowałem go. Wiele wycierpiał w tej wojnie. Niech spoczywa w pokoju.

Johann położył rękę na swym obandażowanym boku. Gdy Friedrich teraz przemówił, wyraźnie słyszał w jego głosie głębokie współczucie.

- Zawsze mi przypominałeś, że wszyscy wierzymy w jednego Boga. Kto wie, czy gdybyśmy poznali tego człowieka w czasie pokoju, nie zostalibyśmy jego przyjaciółmi. Nikt nie zasługuje, by tak marnie szczeń. Pomóż mu umrzeć z godnością.

Johann dał się przekonać. Ukląkł przy rannym i wysłuchał jego spowiedzi. Francuz bredził, z trudem formułował zdania. To, co mówił, brzmiało jak majaczenie w gorączce. Johann niewiele rozumiał. Friedrich, który znacznie lepiej znał francuski, tłumaczył słowa rannego. Francuz wymienił swoje

nazwisko i stopień wojskowy. Był lekarzem i rzeczywiście sam sobie opatrzył rany. W obliczu śmierci zawierzył obu Niemcom tajemnicę, którą od dwudziestu lat nosił w sercu. Gdyby nie wyjawiał jej wrogom, zabrałby ją ze sobą do grobu.

Los oszczędził jednak Fryderyka Renarda. Nie zmarł tego chłodnego czerwcowego dnia. Kilka godzin po spowiedzi obudził się w otoczeniu francuskich żołnierzy. W pierwszej chwili sam nie wiedział, czy powinien się cieszyć, czy martwić?

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Lozanna, 19 września 1943

Od czterech lat oddziały Wehrmachtu na rozkaz Hitlera siały postrach w całej Europie.

Anton Schönberg zdjął okulary w zwyczajnej, drucianej oprawce i położył je ostrożnie przed sobą na stole. Opadł na fotel i zamknął oczy. Jego tytuł profesora historii i badacza starożytności mógł być odczytywany w Niemczech, i to już od 1938 roku, jak gorzkie szyderstwo. Naziści rozpowszechniali bezsensowne teorie na temat aryjskości Niemców i konieczności zachowania rasy. Powoływali się przy tym na garść rozpraw, które nie wytrzymały naukowej krytyki. Podczas gdy podburzony motłoch polował na Żydów i komunistów, prasa preparowała doniesienia o wspaniałych zwycięstwach Wehrmachtu na wszystkich frontach wojny.

Już nigdy więcej" - pomyślał profesor.

Jego żonie, Elżbiecie, odmówiono wydania zaświadczenia o aryjskim pochodzeniu z powodu babci - Żydówki, której nawet nie zdążyła poznać. Zabroniono jej uczyć w szkole, gdzie dotychczas pracowała. Wtedy bezdzietna para postanowiła pokazać ojczyźnie plecy. Kolega po fachu z Cambridge pomógł Antonowi znaleźć mieszkanie w małym miasteczku na angielskim wybrzeżu. Przygotowania

do wyjazdu potrwały dwa lata, ponieważ Schönberg pozostawał pod obserwacją gestapo. Odkąd oświadczył, że jest naukowcem, a nie narzędziem propagandy, został wrogiem reżimu.

Pewnego mglistego wieczora, przed świętami wielkanocnymi 1941 roku, kolega z pracy i serdeczny przyjaciel, jeden z niewielu, którym jeszcze mógł zaufać, stanął w progu ich mieszkania. Doradził małżonkom, żeby natychmiast opuścili stolicę. Zabrali ze sobą tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Przyjaciel wywiózł ich swoim samochodem na północ, gdzie na małym dworcu kupili bilety do Hamburga. Zamiast jednak wysiąść w tym mieście, przejechali kilka stacji dalej. Stamtąd dotarli nocnym pociągiem do Hanoweru i wreszcie do Kassel. Później przez Würzburg i Ulm dostali się w okolice Konstancji. O zmroku wsiedli na prom, który zawiózł ich do tymczasowego celu podróży - neutralnej Szwajcarii.

Latem 1941 roku Niemcy zaatakowały Rosję. Jesienią wydano zarządzenie, że wszyscy Żydzi mają nosić żółte gwiazdy. Następnie zamknięto wszystkie granice - ze Szwajcarią również. Anton Schönberg pojął, że zdołali umknąć w ostatniej chwili. Mijały kolejne miesiące. Naukowiec pracował jako pomocnik w lozańskim instytucie badawczym. Wreszcie latem 1943 roku, Elżbieta powiedziała mu, że jest w ciąży. Mimo znacznych trudności obydwójce postanowili wyemigrować do Anglii, żeby ich dziecko przyszło na świat w normalnym kraju. Niestety, ku ich rozczarowaniu profesor musiał wyprawić żonę samą za granicę. Sam utknął bowiem na islandzkim frachtowcu, który z Genui płynął do ojczystego portu. Minęły całe tygodnie, nim otrzymał list od żony, że szczęśliwie dotarła na miejsce.

Anton Schönberg westchnął ciężko. Przed nim na stole leżały dokumenty podrózne, rozkład jazdy, dowód tożsamości i pieniądze. Oprócz nowiutkiego włoskiego paszportu, jego główne zabezpieczenie stanowiła gruba koperta, wypełniona frankami szwajcarskimi. Nic więcej obecnie nie posiadał. Jednak przy odrobinie szczęścia na czterdziestojednoletniego uczonego czekało w Cambridge niezbyt dochodowe, lecz prestiżowe stanowisko profesora, o ile propozycja nadal pozostawała aktualna po tak długim czasie.

Ktoś zastukał krótko do drzwi, następnie otworzył je, nie czekając na zaproszenie. Gospodyni wsunęła głowę do środka.

- Telefon, panie Schönberg.

Anton wyszedł do przedpokoju i podniósł słuchawkę.

- Profesor Schönberg? - spytał ochryply głos, najwyraźniej z bardzo daleka.

- Przy telefonie. Z kim rozmawiam?

- Wolałbym nieco później odpowiedzieć na to pytanie, jeśli nie ma pan nic przeciwko. Jeśli odrzuci pan moją ofertę, lepiej, żebyśmy pozostali wraz z moim zleceniodawcą anonimowi.

Czyżby go wytropili? Dla tajnych agentów Rzeszy Niemieckiej ani granice, ani międzynarodowe konwencje nie stanowiły przeszkody. Przeszedł go dreszcz. Profesor pilnie potrzebował nowej tożsamości. Podczas gdy jego żona wyjechała na Wyspy już jako Meredith Clover, jego jeszcze nie znano jako Wiktorii Luganiego. Na takie bowiem nazwisko wystawiono mu paszport.

- No dobrze. Proszę powiedzieć, w czym mogę pomóc - odpowiedział nieznanemu rozmówcy z ociąganiem. - Mój czas jest ograniczony.

- Przede wszystkim pozwolę sobie pana poinformować, *signor* Schönberg, że zebraliśmy o panu bardzo dokładne informacje. Znamy pański plan wyjazdu w końcu tygodnia.

Profesorowi zaparło dech z przerażenia. Ten, kto nawiązał z nim kontakt, wiedział o nim wszystko. Z pewnością należał do SS lub niemieckiej komanda śmierci. Nie umknął jego uwadze fakt, że zwrócono się do niego, używając włoskiego słowa *signor*. Nie pozostało mu nic innego, jak przystać na proponowane warunki. Rozsądek nakazywał mówić o sobie tak mało, jak to możliwe.

- Proszę przedstawić swoje żądania.

- W ciągu najbliższej godziny posłaniec przyniesie panu kopertę. W środku znajdzie pan bilet na samolot czarterowy do Rzymu. Trasa pańskiej podróży jest całkowicie bezpieczna. Wyjazd do Anglii trzeba będzie przełożyć na później. Dajemy panu gwarancję, że po zakończeniu pracy dołączy pan do żony z walizką pieniędzy i nową tożsamością, jeśli pan sobie tego zażyczy. Ale wszystko w swoim czasie. Na razie proszę oczekiwać dalszych instrukcji.

Określona droga na lotnisko zajęła mu znacznie więcej czasu, niż planował. Odkąd Anton opuścił dom, czuł, że jest obserwowany. Otrzymał zwięzłe instrukcje dotyczące wyłącznie organizacji wyjazdu. Rozmówca nie określił ani jego zadań, ani celu podróży, nie wymienił też zleceniodawców czy nazwisk osób towarzyszących. Profesor czuł się jak zdrajca. Najchętniej spóźniłby się na samolot.

Kiedy wreszcie dotarł na pas startowy, silniki Junkersa 52 już monotonnie warczały. Razem z tuzinem innych pasażerów miał lecieć do Rzymu bez międzylądowania, niebezpiecznie wysoko nad

Alpami, w dodatku z prędkością ponad dwustu kilometrów na godzinę. Wkraczając na pokład, nie potrafił powiedzieć, która z tych informacji przeraża go najbardziej.

Antona zaskoczyło przestronne wnętrze maszyny z sześcioma rzędami foteli, po dwa wygodne w każdym. Na pięciu z nich nikt nie siedział, lecz na wolnych miejscach z tyłu były umieszczone bagaże o większej objętości. Całkowicie wolne miejsce znajdowało się po prawej stronie w piątym rzędzie. Oferowało ono widok na śmigła i płaty nośne. Zanim usiadł, czuł na sobie karcące spojrzenia współpasażerów, oburzonych jego spóźnieniem. Najwyraźniej czekali tylko na niego, bo chwilę później maszyna wystartowała.

Profesor zapadł się w wygodnym fotelu z poręczami obitymi skórą. Uparcie patrzył za siebie na oddalający się pas startowy. W końcu nieco się odprężył - po upiciu łyka ze srebrnej podróżnej butelki, którą na wszelki wypadek ukrył w kieszeni marynarki. Kiedy chował ją z powrotem, ktoś nagle położył mu rękę na prawym ramieniu. Uczony zadrzał.

- Proszę się nie odwracać i na Boga nie robić przedstawienia - ostrzegł szeptem męski głos z tyłu. - Już i tak niepotrzebnie ściągnął pan na siebie uwagę niektórych pasażerów.

Schónberg spróbował sobie przypomnieć, jak wygląda człowiek, który zajmuje miejsce za nim. Ponieważ jednak wsiadał w pośpiechu, nie zdołał zapamiętać żadnych szczegółów.

- Proszę to wziąć! - Z tymi słowami ktoś wsunął dużą kopertę z szarego papieru pomiędzy siedzenie i okno.

Profesor bez słowa spełnił polecenie.

- Niech pan to przeczyta, a potem odda, nie odwracając się. Proszę się pospieszyć! - wyszeptał tamten.

Anton niecierpliwie otworzył kopertę, wyciągnął kilka kartek i szybko rozłożył. Ujrzał dwa rzuty, jakby systemu kanałów czy tuneli. Plany uzupełniono o sporą ilość odręcznych notatek. Część z nich sporządzono dość niewyraźnie po angielsku, lecz nie zawracał sobie głowy rozszyfrowaniem koślawych napisów. Na pierwszy rzut oka rozpoznał, że trzyma w ręku zlecenie na wykonanie badań archeologicznych. Rozłożył następny arkusz. Ten z kolei zawierał kopię ze starej księgi, również opatrzoną odręcznymi dopiskami.

Potem z zadowoleniem złożył wszystkie papiery i z powrotem schował do koperty. Jeśli rzeczywiście odgadł, o co chodzi zleceniodawcom, nie musiał się już martwić. Kiedy oddawał papiery, z trudem odparł pokusę zerknięcia na pasażera z tyłu. Ponieważ nawet perspektywa ryzykownego przelotu nad szczytami Alp przestała go przerażać, postanowił wykorzystać pozostały czas na sen. Odprężony, jak chyba nigdy podczas trwania tej wojny, zapadł się znowu w wygodne siedzenie. Siedzący z tyłu człowiek również zasnął. Jak się potem okazało - na zawsze, otruty neurotoksyczną substancją z jadu węża. Posmarowano nią strzałę, która tkwiła w jego szyi.

Remoulins, czasy współczesne

- Wiesz dlaczego w ogóle postanowiłam studiować historię? - spytała Marlena.

Zawinięta w narzutę sofy, leżała z głową na lekko owłosionej piersi Roberta. Bawiła się przy tym jej krótkimi włoskami i chichotała, ilekroć drgnął, kiedy łaskotała go opuszkami palców.

Robert jedną ręką obejmował ją w talii, drugą wodził delikatnie po szyi i ramionach.

- Podejrzewam, że pod wpływem ojca. Albo chciałaś zostać nauczycielką. O ile się nie mylę, to marzenie większości młodych dziewczyn, prawda?

Marlena usiadła. Z oburzeniem szturchnęła go łagodnie łokciem.

- Słyszałam, że Francuzi słyną z dobrego wychowania! Wygląda na to, że trafiłam na feralny egzemplarz.

Popatrzyli na siebie i równocześnie parsknęli śmiechem.

- Mówiąc poważnie, mój dziadek należał do ekipy uczonych, którzy odkopali grób świętego Piotra, w 1946 roku czy coś koło tego. Niestety, nigdy nie mogłam go o to wypytać, bo zmarł na długo przed moimi narodzinami. Odziedziczyłam raczej upodobania po ojcu. Podobnie jak on, wolę prowadzić badania w czterech ścianach. Ekspedycje w teren nie bardzo nam obojgu odpowiadały.

- W takim razie dopisało mi szczęście - skomentował Robert.

- Jeszcze jakie! - odparła, ponownie obejmując go ramieniem.

Rzym, 21 września 1943

- Proszę mówić, *signor*. Musiał pan coś widzieć. Otyły policjant był co najmniej o głowę niższy niż

postawny profesor. Mimo to budził w nim strach. Sprawiał wrażenie nieprzewidywalnego, jak zwierzę zapędzone w zasadzkę. Przed pół godziną samolot wylądował w Rzymie, równie miękko jak

wystartował z Berlina. Ledwie opuścił pas lądowiska i się zatrzymał, do środka wkroczyło trzech karabinierów. Zamienili kilka szybkich zdań po włosku z załogą, wydali kilka poleceń, po czym kazali pasażerom po kolei opuścić samolot. Profesor wysiadł jako ostatni. Zaraz za nim dwaj funkcjonariusze wynieśli zwłoki z maszyny.

Dopiero na kwadrans przed lądowaniem stwierdzono przypadkiem, że jeden z podróżnych nie żyje. Kiedy pilot wykonał gwałtowny zwrot, bezwładne ciało przechyliło się na bok. Siedzący w pobliżu wydali krzyk przerażenia. Wreszcie Schönberg również odważył się zerknąć na zmarłego. Po szarej kopercie zniknął wszelki ślad. Przy najlepszej woli profesor nie dostrzegł żadnych cech, które wskazywałyby na pochodzenie zamordowanego.

Kiedy zamknięto drzwi wąskiego, skromnie umeblowanego pomieszczenia, przeszedł go dreszcz. Czyżby czekały go kolejne kłopotliwe pytania i kolejne godziny pod strażą? Zanim zdążył się obrócić, usłyszał energiczną wymianę zdań. Patrzył na dwóch żywo gestykujących mężczyzn, lecz nie zrozumiał ani słowa. Nagle zakończyli kłótnię. Podczas gdy komisarz wsparł się ze zmęczonym wyrazem twarzy o kant stołu, jeden z dwóch obcych przemówił do niego po niemiecku, niemal bez obcego akcentu:

- Proszę dalej, *signor* Schönberg. Tutaj już skończyliśmy.

Anton opuścił strefę lotniska w asyście dwóch nieznajomych. Po kilku minutach doprowadzili go na parking i skierowali do czarnego mercedesa-limuzyny. Profesor podejrzewał, że SS tu, w Rzymie, również miało swoich agentów.

Nikt go jednak nie oczekiwał. Mercedes wyglądał, jakby dopiero co dostarczono go wprost z fabryki. Nie było w nim kierowcy. Panowie z obstawy wskazali naukowcowi miejsce na tylnym siedzeniu, z aksamitnymi zasłonami w oknach, po czym zajęli miejsca z przodu. Wreszcie profesor nie wytrzymał napięcia.

- Czy moglibyście mnie w końcu poinformować, co tu się dzieje?

- Na razie, niestety, nic nie możemy powiedzieć prócz tego, co pan już wie lub sam zauważył, *signor*. Prosimy o chwilę cierpliwości. Po przybyciu do Watykanu natychmiast otrzyma pan wyczerpujące informacje.

- Proszę nam zaufać - dodał jego towarzysz. - Jest pan w dobrych rękach.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Remoulins, czasy współczesne

Ze starego, srebrnego sitka prysznicza leciały na jej plecy jednocześnie strugi wrzątku, jak i grube, znacznie zimniejsze, krople. Równie starą baterię można było ustawić tylko na dwie skrajne temperatury: albo ukrop, albo zbliżoną do punktu zamarzania wody. Po beznadziejnej walce z opornym urządzeniem, Marlena stanęła za zasłonką prysznicową w kolorze złamanego rózu i wmasowała sobie szampon we włosy.

„Człowiek w nerwach na ogół robi dziwne rzeczy” - pomyślała.

Nie musiała studiować psychologii, by dojść do tego wniosku. Czy Robert jednak rzeczywiście działał pod wpływem wzburzenia? Odpędziła myśl, że szukał w jej ramionach jedynie ukojenia po osobistej tragedii i późniejszych burzliwych wydarzeniach. Wolą przedłużyć miłe chwile, niż tracić czas i energię na bezowocne rozważania. W końcu to on pierwszy wybrał jej numer telefonu. Wytłumaczyła sobie, że tak atrakcyjny mężczyzna nie musiał mieć kobiety, by ją do siebie przyciągnąć. Prócz uroku osobistego i atrakcyjnego wyglądu, odznaczał się inteligencją, odwagą i konsekwencją. Te cechy ją zauroczyły.

- Lena?

Zdrobnienie zabrzmiało zupełnie inaczej niż w ustach matki, gdy ją wołała. Wymawiał *e* długo, z akcentem, zaś *a* krótko, niemal nosowo.

Gdy przemyśla oczy, lekko drgnęła na widok roześmianej twarzy Roberta za zasłonką. Odwróciła się do niego bokiem.

- Wystraszyłeś mnie. Należałoby uprzedzić damę, zanim zaskoczysz ją pod prysznicem.

- Wtedy zepsułbym całą niespodziankę - odparł ze śmiechem.
- Ale nie bez powodu cię zawołałem.

Marlena zakreśliła wodę. Sięgnęła po wiszący obok ręcznik. Zawinęła w niego włosy, narzuciła płaszcz kąpielowy i uśmiechnęła się figlarnie do Roberta.

- Teraz chętnie cię wysłucham. Robert złapał ją za rękę.

- Chodź szybko na dół. Muszę ci coś pokazać. Gdy Marlena weszła do salonu, Robert pociągnął ją ku sofie.

- Mam nadzieję, że to nie podstęp - żartowała. On jednak zachował powagę. Przyciągnął ją do

siebie i obrócił w ten sposób, że widziała przed sobą kominek i wiszący nad nim obraz.

- Przyjrzyj mu się dokładnie. Rozpoznajesz coś?

- Czyżby patrzył na ciebie z naganą za to, że na jego oczach uwiodłeś niewinną turystkę? - żartowała dalej. Ponieważ Robert nie odwzajemnił jej uśmiechu, pojęła, że spostrzegł coś istotnego.

- Na co powinnam - twoim zdaniem - zwrócić uwagę?

- Zauważyłaś biskupi pastorał, który trzyma w ręku? Marlena obejrzała ozdobną laskę. Wsparta na zgięciu lewego łokcia sięgała wysoko - ponad ramię sportretowanego mężczyzny. Poniżej zwiniętej jej części, była bogato zdobiona. W rękojęść wstawiono jakiś niewielki przedmiot, dobrze widoczny w arcybogatej oprawie. Nie była to jednak hostia.

- Widzisz, co tkwi w zakrzywieniu?

- Tak. Wygląda jak medalion. Nie... raczej jak moneta.

Robert sięgnął do kieszeni i wyjął arkusz papieru.

- Dokładnie jak ta moneta, której wizerunek znaleźliśmy w naszym sejfie.

Marlena opadła na sofę i sięgnęła po kartkę. Po chwili uważnej obserwacji stwierdziła, że naszkicowany wzór jako żywo przypomina ten namalowany na obrazie.

- Poza tym wygląda dokładnie tak samo, jak ów odcisk obok papieskiej pieczęci, który znaleźliśmy w pałacu. - Robert zaczął szybko oddychać. - Wiesz, co to dla nas może oznaczać? Jeśli ta moneta naprawdę istnieje i należała do moich przodków.

Marlena chwyciła ramię Roberta i przyciągnęła go do siebie.

- ...wtedy pozostaje nam tylko odnaleźć ją po siedmiuset latach.

Robert usiadł obok niej.

- Nie twierdzę, że to proste, ale przynajmniej wreszcie wiemy, czego szukamy, prawda?

Marlena skinęła głową.

- Przepraszam, masz rację. Rzeczywiście teraz wiemy. Nigdy jednak w moich badaniach nie natknęłam się na żadną wzmiankę o tej monecie. Ale dopóki nikt inny nie wie o jej istnieniu, to nikt nie wejdzie nam w drogę.

Rzym, 21 września 1943

Mercedes gładko zapuszczał się w coraz węższe uliczki Rzymu. W końcu przejechał przez dobrze strzeżoną bramę w murze, otaczającym wzgórze

watykańskie. Profesorowi przyszło do głowy bluźniercze skojarzenie. Przepych barw i form przypominał mu centrum władzy w Berlinie. Z tą różnicą, że cała ideologia i rytuały tak zwanej Tysiącletniej Rzeszy zostały wysane z palca, podczas gdy Państwo Kościelne miało za sobą setki lat tradycji.

Szwajcarscy gwardziści otworzyli bramę. Obydwaj mężczyźni towarzyszący profesorowi wymienili szeptem kilka zdań ze strażnikami, po czym wśród uprzejmości i zapraszających gestów wprowadzono go do najbliższego budynku. Anton Schönberg szybko stracił orientację w długich korytarzach i wielkich przechodnich salach. Wyglądało jednak na to, że zmierzają do coraz lepiej strzeżonych pomieszczeń. Strażnicy, głównie gwardziści, stali w coraz mniejszych odległościach od siebie. Profesora dwukrotnie rewidowano. Nim wkroczył do eleganckiego przedpokoju z grubym dywanem na podłodze, wyszli mu naprzeciw dwaj milczący kardynałowie.

Imponujące drzwi, pewnie ze dwa razy wyższe niż w jego berlińskim domu, otworzyły się do wewnątrz. Zanim pojął, co go czeka, wkroczył do papieskich komnat. W przeciwległym końcu ośmiokątnej komnaty kilkoro drzwi prowadziło do innych sal. W przedniej jego części stał stary, dębowy stół. Przy każdym z jego dłuższych boków ustawiono zaś trzy fotele obite czerwonym aksamitem. Krzesło u szczytu stołu przypominało cesarski tron. Miało wyraźnie wyższe oparcie i kunsztowną dekorację rzeźbiarską.

Pozostałą część wyposażenia komnaty stanowiły szafy, narożna sofa i wydzielone miejsce do pracy. Ale profesor skupił uwagę wyłącznie na stole i osobach, które już wcześniej zajęły przy nim miejsca.

Dwaj kardynałowie również usiedli. Naprzeciwko nich spoczęli dwaj mężczyźni w średnim wieku o południowym typie urody. Profesor nie znał ich. Nie potrafił też odgadnąć ich profesji. Obok kardynałów posadzono nowicjusza - bo wyglądał za młodo na zakonnika, choć nosił habit. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego i jakby nie był na swoim miejscu wśród dostojników. Leżała przed nim niewielka sterta papierów i notatnik. Schönberg pomyślał, że to protokolant. Również on nie czuł się pewnie w znakomitym gronie. Najchętniej zapadłby się pod ziemię. Pośród kardynałów i innych zebranych, na wspaniałym tronie siedział sam papież - Pius XII⁵. Tylko jeden fotel pomiędzy kardynałami a tajemniczymi nieznajomymi pozostał wolny.

Po wymianie obowiązkowych grzeczności na temat przebiegu podróży, kardynał Abati, siedzący na lewo od Ojca Świętego, przedstawił zgromadzonych. Następnie głos zabrał sam papież. Schönberga zaskoczyła szczupła, niemal wychudzona sylwetka z pociągłą twarzą. W niczym nie przypominał swych zażywnych poprzedników z portretów z minionych stuleci. Pius XII był bardzo aktywnym człowiekiem. Rzadko odpoczywał. Nie uznawał dekadentkich obyczajów, wygodnictwa i rozkoszy podniebienia.

- Bardzo mi miło pana poznać, profesorze Schönberg - zagadnął na powitanie.

Anton spuścił głowę. Mimo ogromnego zakłopotania, po raz pierwszy od wielu godzin poczuł się bezpieczny za murami Watykanu.

- Pańscy koledzy już wczoraj dotarli do Rzymu. Mieli znacznie bliżej - ciągnął papież. Choć mówił

Historyczny Pius XII (Eugenio Pacelli) był papieżem w latach 1939-1958.

całkiem zwyczajnym tonem, profesora oblała fala gorąca.

- Pańskie nazwisko nie jest obce mieszkańcom Watykanu. Dość długo przebywałem w Berlinie, by poznać nie tylko pańskie osiągnięcia, ale również nastawienie do przeszłości. Dlatego nasz wybór padł właśnie na pana, a nie na któregoś z dwóch pozostałych kandydatów. Nie życzymy sobie, żeby Hitler wykorzystał wyniki naszych prac do swoich celów propagandowych. W dzisiejszych burzliwych czasach nasza władza podlega sporym ograniczeniom. Gdybyśmy mieli wybór, nie siedzielibyśmy obok siebie w tym gronie.

Człowiek, który sprawował rząd dusz nad milionami katolików na świecie, otwarcie mówił o swojej bezsilności. Mimo wielkich wpływów, nie mógł zapobiec wojnie. Profesor Schönberg podzielał jego punkt widzenia. Zanim *monsignore* Pacelli został wybrany na papieża, przez wiele lat był nuncjuszem apostolskim w Niemczech. Znał ten kraj, jego moźnych i elity lepiej, niżby sobie one same tego życzyły. Dzięki temu profesorowi łatwiej było podjąć się zadania, które przed nim wtedy postawiono. Robił to dla swej wiary, dla Kościoła katolickiego, a przeciwko faszystom.

Niestety, nie mógł z nikim przedyskutować tej sprawy, nawet z żoną. Jednym z nielicznych warunków, jakie mu wówczas postawiono, był nakaz milczenia.

Archeolodzy wkroczyli do Bazyliki Świętego Piotra z bosakami, łopatami, lampami gazowymi, latarkami, pergaminami i notatnikami oraz wszelkim innym niezbędnym sprzętem. Kilka dni wcześniej zamknięto centralną część świątyni dla ruchu turystycznego. Kardynał Abati wprowadził trzech uczo-

nych do wydzielonego obszaru w pobliżu baldachimu Berniniego ⁶, do najświętszego miejsca w bazylice, gdzie mogli obejrzeć hipotetyczny grób apostoła Piotra.

Dwie ciężkie marmurowe płyty długości niemal jednego metra zdjęto z podłogi i ułożono obok na belkach. Abati oświetlił ciemny otwór, z którego wystawała wąska drewniana drabina. Wykonał zapraszający gest ręką.

- Proszę, panowie pierwsi.

Schónberg, który stał najbliżej, wahał się tylko krótką chwilę. Położył swoje skromne wyposażenie na podłodze i odważnie wkroczył w chłodną, wilgotną czeluść. W ślad za nim poszli dwaj pozostali koledzy, których przedstawiono mu jako profesorów Chiodegę i Fulciego z uniwersytetów w Rzymie i Bolonii. Również kardynał Abati nie kazał na siebie długo czekać.

- Szanowni panowie, znajdujemy się w tunelu wiodącym do miejsca pochówku, liczącego sobie dwa tysiące lat. Leżąca pod nami nekropolia jest najlepiej zachowaną ze wszystkich dotychczas odnalezionych. Nawet jeśli dokonamy tu niezliczonych odkryć, nie wolno nam tracić z oczu głównego celu. Zapewniam panów, że pozwolimy wam w spokoju zbadać także inne miejsca, ale na razie proszę za mną.

Żaden z obecnych nie odezwał się. Zadanie było precyzyjnie określone. Byli wdzięczni, że to ich wybrano do wypełnienia tak doniosłej misji.

⁶ Giovanni Lorenzo Bernini (1598-1680) - jeden z najwybitniejszych artystów baroku, twórca rzeźb i kościołów - głównie w Rzymie, a m.in. baldachimu nad grobem św. Piotra w bazylice watykańskiej.

Remoulins, czasy współczesne

- Długo jeszcze? - spytał niecierpliwie Robert, stając w progu sypialni.

Marlena bez przekonania przejrzała się w lustrze. Przekopła całą szafę w poszukiwaniu jakiegoś stosownego stroju. W końcu znalazła wśród jaskrawych bluzek jedną jasną i czarne spodnie.

- Pasuje doskonale! - skomentował Robert, żeby dodać jej otuchy. Niezadowolona mina Marleny świadczyła wyraźnie, że nie lubi nosić cudzych ubrań.

- Dziękuję. A teraz wyjaśnij wreszcie, czego się spodziewasz po naszej wyprawie do Hiszpanii. Musimy wziąć pod uwagę, że będziemy obserwowani czy nawet śledzeni. Chyba nie muszę dodawać, że przeraża mnie ta myśl.

Robert zmarszczył czoło.

- Właśnie dlatego wynająłem dla nas zupełnie zwyczajny samochód. Ponieważ również wychodzę z założenia, że pozostajemy pod obserwacją, proponuję opuścić posiadłość nie drogą główną, lecz leżącą na uboczu, przeznaczoną dla obsługujących plantację, która dopiero przed Remoulins dochodzi do szosy. Jeśli ktoś stoi na czatach przed bramą, będzie czekał nadaremno. Poza tym mamy tę przewagę, że nikt nie zna celu naszej nowej podróży. Sam nie przeczuwałem, że rozmowy telefoniczne mojego ojca z Hiszpanią mają cokolwiek wspólnego z naszymi badaniami. Nigdy o tym nie mówiliśmy, lecz moim zdaniem on także musiał rozpoznać monetę na portrecie.

- Wierzysz, że podczas wizyty w ostatniej rezydencji antypapieża w Peniscoli odkryjesz coś nowego?

- Zobaczymy - mruknął Robert. - Wygląda na to, że mój ojciec brał pod uwagę taką możliwość.

Marlena i Robert zamknęli za sobą drzwi. Umieścili walizki w niewielkim bagażniku peugeota-kabrioletu.

- Przykro mi, że nie możemy podjechać po twoje rzeczy do hotelu. Karol się o nie zatroszczy.

Marlena przypomniała sobie, że po dokonaniu odkrycia związanego z portretem, Robert z wyraźną ulgą poinformował ją, że Karol wreszcie zadzwonił. Podobno i on odnosił wrażenie, że jest śledzony lub nawet podsłuchiwany za pomocą urządzeń elektronicznych. Dlatego tak długo zwlekał z nawiązaniem kontaktu.

- Ale kiedy tu dotrze, dawno nas już tu nie będzie - zauważyła Marlena.

- Nie szkodzi. Zadbalem o to, żeby nas odnalazł. Jutro o tej porze dostaniesz z powrotem swoje rzeczy.

Marlena obejrzała się za siebie i westchnęła:

- A więc w drogę, do Costa del Azahar.

Robert energicznie otworzył drzwi od strony kierowcy i siadł na niskim foteliku sportowego auta. Natychmiast pożałował swego pośpiechu.

- Mój Boże! - jęknął, obolały. - Kiedy człowiek przywykł do samochodów terenowych, powinien zachować większą ostrożność przy wsiadaniu do takich szybkich pojazdów.

Marlena popatrzyła na niego z politowaniem, jak na lekkomyślnego dzieciaka.

- Nie zapominaj, że nie mamy już dwudziestu lat. Mimo tego rozsądnego skądinąd ostrzeżenia,

w obliczu nowego pasjonującego wyzwania obydwój poczuli iście młodzieńczy przyływ energii.

Kilometr od posiadłości, Bertrand zaparkował swój samochód w cieniu starej stodoły. Robert nie mógłby go zobaczyć nawet przez lornetkę, gdyby obserwował okolicę z dachu dworu. Bertrand już przed kilkoma godzinami położył się na jednej z nielicznych, pozostałych jeszcze krokwi. Przeklinał siarczyście niewygodę swego posterunku. Gdyby od niego zależała decyzja, dawno utopiłby tych dwoje w rzece. Lecz jego mocodawca jak zwykle miał inne plany.

Zauważył, że srebrny kabriolet zmienił miejsce parkowania. Później jakiś człowiek wyszedł przez bramę i wsiadł do innego auta. Bertrand podejrzewał, że to pracownik agencji wynajmu samochodów. Ale przewidział te iście szachowe posunięcia. Bynajmniej niezaskoczony, skwitował je zmęczonym uśmiechem. Spodziewał się, że tych dwoje opuści posiadłość w nietypowy sposób.

Ponownie uniósł do oczu połowę lornetkę. Jego wzrok powędrował od drogi dojazdowej przez niski mur werandy aż do kabrioletu, teraz ukrytego za głównym budynkiem. Ze swojego stanowiska widział tylko jego tył. A przynajmniej powinien go zobaczyć. Choć bowiem wyteżał wzrok i ponownie lustrował całą okolicę, nie zdołał go wypatrzeć. Krople potu wystąpiły mu na czoło. Samochodu już nie było. Zniknął bez śladu.

Villeneuve-les-Avignon

Henry od ponad dwóch godzin biegał pomiędzy biblioteką i gabinetem. Przynosił książki, kartkował je, odnosił z powrotem i sięgał po następne. W przeciwieństwie do Claude'a nie zdobył się na spokój. Nie potrafił beczynnie siedzieć i czekać na rozwój wypadków.

- To ty jesteś prawnikiem - zaatakował go. - Dlaczego nie zadbasz o prawną stronę naszego przedsięwzięcia?

W gruncie rzeczy obaj wiedzieli, że do podjęcia jakichkolwiek kroków prawnych brakuje im najważniejszej części łamigłówek. Właśnie dlatego Henry, chcąc nie chcąc, taszczył w tę i z powrotem kolejne naręcza tomów. Liczył na to, że znajdzie w nich punkt zaczepienia, którego włamywacz szukał tutaj kilka dni wcześniej.

- Znalazłem coś! - zawołał nagle.

Przebiegi oczami rzędy wyblakłych liter. Trzymał w ręce zbiór odpisów dokumentów, raportów i przekazów z epoki awiniońskich papieży. Prócz list, zdradzających ich zamiłowanie do przepychu i światowych przyjemności, znalazł bogate źródło wiedzy o konkubinach, intrygach, nepotyzmie, truciznach i skrytobójstwach. Nie ulegało wątpliwości, że niejednego z autorów tych pism oskarżono o herezję. Z całą pewnością wielu też z nich przypłaciło życiem swą kronikarską uczciwość.

Ich lektura nasunęła Henry'emu skojarzenie z licznymi przed wiekami - w Niemczech i w innych krajach - pamfletami i jeszcze bardziej obelżywymi utworami wyśmiewającymi wady kleru. Kler w tych czasach często stawał się pośmiewiskiem plebsu, lecz zamiast zrezygnować ze swych rozpustnych przyzwyczajęń, zrzucał winę na innych. „Między innymi na nas, katarów” - pomyślał z goryczą.

Ale teraz Kościół powinien wreszcie zapłacić za swoje grzechy.

- To był gest pogardy papieża z Awinionu, skierowany przeciwko rzymskiemu konkurentowi, Urbanowi. Urban zagarnął władzę i wymusił na dostojnikach kościelnych, by uznali jego przywódz-

two. Lecz tutaj napisano, że prawdziwe papieskie insygnium pozostało w Awinionie. Poprzedni papież przezornie je ukrył.

Claude słuchał uważnie wywodów Henry'ego. Wszystko wskazywało na to, że idzie tu o zaginioną monetę świętego Piotra. Miał jednak nadzieję, że znajdzie na to bardziej jednoznaczny dowód.

- Dalej autor pisma twierdzi, że papież z naszego miasta ekskomunikował swego śmiertelnego wroga z Rzymu. Wydał bullę, pod którą obok papieskiej pieczęci odcisnął ową monetę. Od tego dnia Urban zdawał sobie sprawę, że nigdy za swego życia jej nie zdobędzie. W każdej chwili można go było więc oskarżyć o samowolne zagarnięcie władzy.

- Być może dlatego popełnił tyle podłości - powiedział Claude z pogardą. - Doskonale wiesz, co o nim sądziły osobistości tamtej epoki.

Henry skinął głową. Przypomniawszy sobie jedną z obelg owego czasu: „Urban VI - papież-kat”. W tym momencie zadzwonił telefon.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Jeśli wszystko dobrze pójdzie, powinniśmy dojechać na miejsce późnym wieczorem. Od granicy zostanie nam jeszcze około trzystu kilometrów - oznajmił Robert z radosnym uśmiechem poszukiwacza przygód.

Marlena wspomniała czasy swych pierwszych wyjazdów na urlop za granicę. Wtedy kontrole paszportowe i celne, szlabany, psy poszukujące narkotyków i wielokilometrowe kolejki stanowiły normę, niezależnie od docelowego kraju. Obecnie wręcz przeciwnie. Ale jedynie podróż samochodem pozwalała przejechać niepostrzeżenie przez całą Europę.

Następnie myślami wróciła do Karola. Gdyby znalazł odpowiedni lot czarterowy, dotarłby na miejsce najbliższym samolotem. Nad Morzem Śródziemnym nie brakowało małych lotnisk pasażerskich. Jedyne kłopot mogła stanowić kontrola bagażu. Jeśli służby graniczne każą mu otworzyć walizkę, znajdą w środku damskie fatałaszki. Nie wątpiła jednak, że Karol udzieli logicznego wyjaśnienia. Robert zarezerwował im miejsca w hotelu w miasteczku Peniscola na wybrzeżu.

Dość długo siedzieli obok siebie w milczeniu. Robert przerywał je tylko po to, by udzielić jej informacji na temat zabytków i atrakcji turystycz-

nych. Marlena słuchała z uśmiechem, choć wiele z nich już widziała podczas wakacyjnych wyjazdów. Mimo wszystko interesowało ją, jakie miejsca sami Francuzi uważają za najciekawsze.

Gdy dojechali do Carcassonne, Robert nie omieszkał jej oświecić, że przed siedmiuset laty miasteczko stanowiło centrum działania Inkwizycji. Wskazał ręką mury:

- Rennes-le-Chateau. Ostatni punkt przed granicą, związany z historią Kościoła. Zakładam, że lepiej ode mnie znasz opowieść o Marii Magdalenie...

Marlena skinęła głową.

- Znam większość opowieści. Wolę jednak wierzyć własnym oczom.

- Uświadom mnie, proszę - nalegał Robert. Chodziło o starą debatę na temat czystej wiary

i swobodnych spekulacji. Marlena obawiała się, że wcześniej czy później dojdzie na tym tle do kłótni między nimi.

- Co tu wyjaśniać, Robercie? - odrzekła wymijająco. - Jako historyk wielokrotnie stwierdziłam, że niemal każde znalezisko, obojętne czy w dziedzinie historii, kultury, religii czy polityki, można zinterpretować na co najmniej dwa odmienne, a nawet przeciwstawne sposoby.

- Twierdzisz więc, że w żadnej kwestii nie można osiągnąć ostatecznej pewności?

- Tak.

- W takim przypadku uprawianie twojego zawodu nie miałoby żadnego sensu.

Ten sam zarzut wysuwali jej przyjaciele, gdy zaczynała studia.

- Nie do końca masz rację. Nasze zadanie polega na znalezieniu najbardziej prawdopodobnej interpretacji danego zjawiska, opartej na wiedzy o epoce,

genezie tego zjawiska i realiach historycznych. Przynajmniej ja tak właśnie rozumiem swoje powołanie. Następnie uczeni zadają sobie pytanie, co skłoniło ludzi żyjących w dawnych czasach do podjęcia określonego przedsięwzięcia lub do wykonania jakiegoś przedmiotu: namalowania wizerunku czy sporządzenia zapisu. Tę materialną spuściznę traktujemy jak zwierciadło, w którym odnajdujemy odbicie zachodzących wówczas przemian.

Robert roześmiał się, ale po chwili namysłu skinął głową.

- Rozumiem. Nigdy nie rozpatrywałem badań historycznych z tego punktu widzenia. To najbardziej rozsądne podejście, również do kwestii wiary i historii Kościoła. Teraz zrozumiałem, dlaczego poświęciłaś swą książkę właśnie tamtemu soborowi.

- Nigdy nie atakowałam Watykanu - odparła Marlena ze śmiechem. - Nie próbowałam też podważyć prawomocności wyboru papieży. Jednak po uważnym prześledzeniu dziejów nietrudno dojść do wniosku, że Watykan musiał utrzymać władzę świecką, by zachować swój duchowy autorytet. Nierzadko cel uświęcał środki, a misja krzewienia wiary chrześcijańskiej często schodziła na drugi plan. Jedyłą herezją, jaką można mi zarzucić, jest to, że obnażyłam całą bezwzględność dawnych duchowych przywódców. Dziś sobór w Konstancji określono by mianem politycznego pokera. Żadne wartości duchowe nie wchodziły w grę. Niewiele brakowało, by cała ta historia skończyła się zupełnie inaczej.

Robert skinął głową. Zwolnił tempo jazdy, żeby zjechać do najbliższego zajazdu.

- W tym właśnie moja nadzieja.

Villeneuve-les-A vignon

- Jak to odjechali? Co to ma znaczyć? - burczał Claude. - Gdzie zniknęli? I czemu stoi pan w moim przedpokoju, zamiast ich śledzić?

Bertrand zrobił strapioną minę. W niczym nie przypominał bezwzględego porywacza. Wyglądał teraz jak wystraszony szofer, który wyznaje pracodawcy niewybaczalny błąd.

- Proszę pozwolić mi się wytłumaczyć, *monsieur*.

Opisując w krótkich zdaniach okoliczności zniknięcia obserwowanej pary, Bertrand wyciągnął z kieszeni spodni notatnik. Wyrwał z wierzchu kartkę.

- Musieli opuścić posiadłość polną drogą, ale zdążyłem zanotować numer rejestracyjny wynajętego przez nich samochodu. Oto on. Zapytałem też w punkcie wynajmu o Garniera. Jak mi tam powiedziano, zgłosił, że zamierza wyjechać za granicę. Załadowali bag Remoulins skręcili na autostradę na południe. Wtedy włamałem się do jego domu i zdobyłem te informacje.

Claude wziął kartkę, przeczytał i pomyślał chwilę. Bertrand spisał wiadomość, którą Robert zostawił swemu adwokatowi na automatycznej sekretarce telefonu. W gruncie rzeczy wpadł na świetny pomysł, bezpieczniejszy niż odręczna notatka czy e-mail. Jednak mimo całej pomysłowości nie zdołał zwieść Bertranda.

- No to miał pan szczęście. A teraz proszę przygotować wszystko do naszej podróży.

Bertrand skinął głową i opuścił pokój. Nie oczekiwał od szefa całkowitego rozgrzeszenia.

- Czy nie potraktowałeś go za ostro? - spytał Henry, gdy kierowca zamknął za sobą drzwi.

Podczas gdy Claude udzielał Bertrandowi reprimendy, Henry taktownie stał z boku, lecz gdy zostali sami, uznał, że najwyższa pora wziąć nieszczęsnika w obronę. Claude skwitował jego uwagę lekceważącym machnięciem ręki.

- To dobry pracownik. Wie, że go cenię. Dobrze mu płacę, ale od czasu do czasu muszę mu przypomnieć, kto tu rządzi. - Claude obrzucił kolegę badawczym spojrzeniem. Potem uśmiechnął się, postawił na stole dwa kieliszki i nalał koniaku. - To człowiek bez sumienia, bezwarunkowo oddany naszej sprawie. Powinniśmy to dobrze wykorzystać.

Pehiscola, godzinę drogi na północ od Walencji

Podczas gdy Robert skierował kabriolet z autostrady śródziemnomorskiej na drogę krajową, ponownie rozważył słowa Marleny. Przed mniej więcej dwiema godzinami zrobili ostatni postój. Ponieważ powiał chłodny, wieczorny wiatr, zasunęli dach. Wkrótce po zapadnięciu zmroku Marlena zasnęła. Teraz przeciągnęła się na siedzeniu.

- Wypałaś się? - spytał Robert z ciepłym uśmiechem.

Odwróciła głowę i odwzajemniła uśmiech.

- Czuję się tak wymięta, jakby przepuszczono mnie przez wyżymaczkę. Gdzie jesteśmy?

- Prawie na miejscu. Z ulgą skinęła głową.

- Sporo myślałem o tej historii z Rzymu - dodał Robert.

Jeszcze przed przekroczeniem granicy z Hiszpanią Marlena wspomniała dziadka. Opowiedziała o badaniach, jakie prowadził na zlecenie Watykanu. Gdy później zasnęła, Robertowi przyszło nagle do

głowy kilka do niej pytań. Bardzo mu zależało na tym, żeby poznać na nie odpowiedzi.

- Proszę bardzo, strzelaj - zachęciła Marlena. - Nie zapominaj tylko, że nigdy nie poznałam dziadka i dysponuję bardzo ubogim materiałem.

- Wiem, ale mam nadzieję, że wspólnymi siłami uzupełnimy niektóre luki. Czy nie wydaje ci się trochę dziwne, że akurat w czasie drugiej wojny światowej rozpoczęto poszukiwania grobu świętego Piotra?

Marlena przez chwilę rozważała tę sprawę.

- O ile sobie dobrze przypominam, już kilka lat wcześniej prowadzono pierwsze wykopaliska - odparła po dłuższym namyśle. - Dopiero w 1943 roku ściągnięto ekspertów z zewnątrz. Tato raz o tym wspomniał, kiedy podczas pisania pracy doktorskiej zaczęłam go wypytywać o badania prowadzone przez dziadka.

- Stąd wniosek, że poszukiwania rozpoczęto już w latach trzydziestych. W gruncie rzeczy niewielka różnica - podsumował Robert. - Najbardziej mnie dziwi, że zaczęto szukać grobu apostoła akurat w okresie hitleryzmu, choć od dawna uważano, że musi znajdować się pod bazyliką. Hitlera początkowo łączyły z Watykanem przyjazne stosunki, prawda?

Marlena uniosła rękę.

- To spore uproszczenie. Warto spojrzeć na pontyfikat ówczesnego papieża z nieco innej perspektywy. Nie należy go oceniać tylko na podstawie oficjalnego milczenia w sprawie zbrodni hitlerowskich.

- Właśnie dlatego chciałem przedyskutować z tobą te sprawy - roześmiał się Robert, lecz prawie natychmiast znowu spoważniał.
- Przypuszczam, że

wiesz o tym, że Hitlera pociągał mistycyzm. Kazał w całej Europie spisywać dawne legendy i badać relikty przeszłości, które mogłyby wykorzystać do celów propagandowych. Marlena westchnęła.

- Tak, wiem. Do czego zmierzasz?

- Załóżmy, że Hitler wygrywałby wszystkie bitwy. Mimo to pozostałby w oczach świata potworem. Jeśli jednak zdołałby wmówić ludziom, że działał z Boskiego polecenia, czy nie poprawiłby swojego wizerunku?

Marlena w zamyśleniu potarła podbródek.

- Nie można wykluczyć, że robił sobie tego rodzaju nadzieje - przyznała po namyśle.

- A widzisz?! Najwyraźniej w Watykanie doszli do tych samych wniosków. Dlatego potrzebowali jakiejś spektakularnej przeciwwagi dla potwierdzenia własnej duchowej władzy, na przykład grobu świętego Piotra. Odkrycie szczątków apostoła wzmocniłoby prestiż Kościoła w tych niespokojnych czasach.

- Prawdopodobnie dziadek wysunął podobne przypuszczenia. Mieszkał wtedy w Szwajcarii i planował dołączyć do babci w Anglii. W Rzeszy Niemieckiej oboje nie byli bezpieczni. Przypuszczalnie wybrał okrężną drogę przez Rzym, ponieważ potrzebował pieniędzy.

Robert gładko zaparkował auto przed jasno oświetlonym hotelem.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił.

Marlena odetchnęła z ulgą. Ucieszyła ją perspektywa zamiany siedzenia samochodu na wygodny materac, byle tylko nie za miękki.

- Szkoda, że wtedy nie osiągnęli wytyczonego celu. Dziadek opuścił teren wykopalisk kilka mie-

sięcy później, lecz wyniki badań opublikowano dopiero pięć lat po zakończeniu wojny, i to bynajmniej nie dlatego, że nie doceniono wysiłku naukowców. W 1943 czy w następnym roku nie musiano już walczyć z Hitlerem na niwie nauki. Czas jego świetności przemijał.

Robert popatrzył na nią uważnie.

- Być może w Watykanie już w 1943 roku stwierdzono, że nie ma takiej potrzeby.

Watykan

- *Monsignore*, telefon.

Nieco zniekształcony głos, dobiegający z aparatu głośno mówiącego, przerwał kardynałowi południową sjęstę. Żadna chwila w ciągu dnia nie sprawiała mu takiej przyjemności. Zawsze po jedzeniu zamykał oczy dokładnie na dwadzieścia pięć minut.

- Miejmy nadzieję, że to coś ważnego - mruknął z niechęcią, jakby chciał wypłoszyć i tak przerażonego nowicjusza z przedpokoju. Wreszcie z ociąganiem podniósł słuchawkę.

Kardynał Montanelli był wysokim, potężnym mężczyzną o tęgim karku i ponurym spojrzeniu. Nie bez powodu przezywano go za plecami „*il toro*” - byk. Z całą pewnością kilkadziesiąt lat służby w Watykanie uczyniły go nieco bardziej przystępnym. Mimo to brakowało mu zarówno zręczności, jak i pokory. Jego porywczy temperament przyprawił o dreszcz przerażenia niejednego, co wrażliwszego ucznia szkoły klasztornej. Nawet kiedy usiłował okazać gościom serdeczność, wielu z nich na sam jego widok pot występował na czoło. Tu, w imponującym gabinecie, położonym w bezpośrednim sąsiedztwie komnat Ojca Świętego, każdy

przybysz zajmował - jako petent - najniższy szczebel w rozbudowanej drabinie hierarchii.

Rzeczywiście, młody kandydat na zakonnika dobrze wykonał zadanie. Montanelli kiedyś wydał stanowcze polecenie, by nie przerywano mu sjesty. Równie jasno określił ewentualne wyjątki. Prócz Ojca Świętego, na liście tych, którzy mogli mu przeszkodzić, widniało równo pół tuzina nazwisk. Właśnie połączono go z kimś z tej listy.

- Czemu nie zgłosił się pan o umówionej porze? - warknął kardynał do słuchawki niczym rozwścieczony byk.

- Bardzo mi przykro, *monsignore* - przeprosił brat Leopold. - Gdybym choć na chwilę spuścił tych dwoje z oczu, to bym ich zgubił.

Po tej pierwszej rozmowie telefonicznej, dwaj panowie przeprowadzili jeszcze dwie dalsze. Montanelli wiedział zarówno o włamaniu do papieskiego pałacu, jak i o poczynaniach pary badaczy w Remoulins.

- Ci dwoje wyjechali do Hiszpanii - poinformował brat Leopold. - Do Hiszpanii? Ciekawe, po co?

Podczas gdy kardynał usilnie próbował odgadnąć cel wyprawy, jego rozmówca dodał pospiesznie:

- Konkretnie do Peniscoli.

Montanelli powoli zaczął pojmywać. Już wiedział, co trzeba zrobić.

Peñiscola

Hotel Castilla nie dysponował nawet dwudziestoma pokojami. Mimo skromnego wyglądu, stanowił najlepszą z możliwych baz wypadowych dla przedsięwzięcia badaczy. Nieproszony gość nie mógłby

się tu niepostrzeżenie wśliznąć. Pokój Marleny i Roberta mieścił się na pierwszym piętrze, od strony ulicy. Droga do windy i klatki schodowej biegła tuż obok recepcji. Peugeota odstawili do ciasnego hotelowego garażu za budynkiem.

Przed wejściem do pokoju Robert delikatnie chwycił Marlenę za ramię. Wybrali najwygodniejszą drogę windą. Już w kabinie Marlena wyczuła, że Robertowi jeszcze coś leży na sercu.

- Posłuchaj... - zaczął nieśmiało. - Ponieważ nie było dwóch wolnych pokoi jednoosobowych, musiałem wziąć jeden dwuosobowy.

Zanim dokończył zdanie, stanęli przed drzwiami. Marlena otworzyła je. Nieco zdyszany Robert postawił ciężką walizkę na podłodze.

- Nie chciałbym, żebyś pomyślała... - wykrztusił, okropnie zakłopotany. - Jeżeli chcesz, możemy rozsunąć łóżka - dokończył pośpiesznie.

Marlena z uśmiechem zamknęła drzwi od środka. Położyła Robertowi wskazujący palec na ustach i przylgnęła do niego.

- Po co sobie komplikować życie? - wyszeptała mu do ucha.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Jasny wschód słońca zapowiadał gorący letni dzień. Marlena obudziła się bardzo wcześnie. Stała już całkowicie ubrana przy oknie, podczas gdy zaspany Robert niepewnym krokiem szedł do łazienki. Śniadanie podawano od wpół do ósmej. Marlena nie wątpiła, że zjedzą na nie jako pierwsi z gości.

- Proponuję zacząć od odwiedzenia twierdzy - zagadnął Robert.

Marlena popatrzyła na niego z udawanym zdziwieniem.

- W ciągu dnia, zgodnie z przepisami i z biletami wstępu w rękach - dodał na pocieszenie.

Żadne z nich nie wiedziało, co ich czeka. Ślad, za którym podążali, liczył sobie siedemset lat.

- Naprawdę myślisz, że znajdziemy cokolwiek, czego nie odkrył nikt przed nami? W Awinionie po prostu dopisało nam szczęście. Los mało komu dwa razy z rzędu daje taką szansę.

Robert wzruszył ramionami i popatrzył przed siebie gdzieś w pustkę.

- Być może mamy tę przewagę, że umiemy rozpoznać i wskazać właściwy obiekt, jeśli tylko istnieje. Gdyby nie istniał żaden ślad, nasze poszukiwania chyba nie wzbudziłyby tak wielkiego zainteresowania.

Marlena musiała mu przyznać rację. Coś ją jednak nadal nurtowało.

- Wyglądało na to, że ci, którzy nas porwali, też niezbyt daleko zaszli. Obydwaj wiązali wszystkie swoje nadzieje z tymi dwoma dokumentami. Lecz one same też nie zaprowadzą ich daleko.

- Miejmy nadzieję. Grunt, że raczej nikt nas nie śledził. Przez całą drogę sprawdzałem, czy ktoś za nami nie jedzie. Niestety, nie mam pojęcia, z kim mój ojciec utrzymywał tu kontakty. Nie wiem też, w jaki sposób się tego dowiedzieć.

Po śniadaniu wyruszyli ze spakowanymi plecakami do dawnej twierdzy templariuszy. Jej sylwetka na wychodzącej w morze stromej skale dodawała miasteczku malowniczego uroku.

Na początek dotarli pieszo do portu. Na nadbrzeżu panował ożywiony ruch. Obok siedzieli staruszkowie z wędkami. Kilku rybaków rozplątywało sieci. Większość z nich już wypłynęła w morze na najbliższe kilka godzin. Na wspaniałym trójmasztowncu opalały się trzy panie w bikini. Gdzieś spod pokładu dwaj mężczyźni nawoływali się nawzajem. Dziesiątki mew krążyły śmiało tuż nad ich głowami w nadziei na poczęstunek: chleb, rybie wnętrzności czy choćby resztki oliwek.

- Co za idylla - szepnęła Marlena z rozmarzeniem, tuląc się do Roberta.

Popatrzył na nią i przystanął.

- To prawda. Nawet ożywiony ruch turystyczny nie odebrał miasteczku uroku. To jedna z najpopularniejszych miejscowości wypoczynkowych w Hiszpanii. Szkoda tylko, że wystawiono tu parę betonowych pudeł bez dbałości o krajobraz - dodał, wskazując z odrazą współczesne budowle w głębi lądu.

Krażyli po starówce wąskimi zaułkami, w większości wzniesionymi jeszcze przed epoką motoryzacji. Wydeptane schody i uliczny bruk, które w centrum nowoczesnego miasta stanowiłyby nie lada przeszkodę dla ruchu, tu tworzyły niepowtarzalny klimat. Każdy krok zanurzał ich w przeszłość. Kiedy Marlena stanęła na schodach prowadzących do twierdzy, niemal słyszała tętent kopyt i brzęk łańcuchów. Gdyby templariusz wyjechał z bramy na białym rumaku, nie okazałaby zdziwienia. Dopiero delikatny kuksaniec Roberta przywrócił ją do teraźniejszości.

- Zasnęłaś na stojąco?

- Przepraszam - uśmiechnęła się. - Przebywałam myślami w odległych epokach. Mam wrażenie, że idziemy na prawdziwą audiencję.

- No to spytaj papieża, gdzie ukrył monetę - zażartował Robert. - Oszczędzisz nam czasu i trudu.

Roześmiani, stanęli przed kasą, żeby kupić bilety.

We wszystkich pomieszczeniach, gdzie zachowały się zabytki z okresu pobytu antypapieża Benedykta XIII⁷, widać było, że współcześni mieszkańcy odczuwają więź z pokoleniami przodków, które uczestniczyły w wydarzeniach tamtych epok.

Marlena i Robert słuchali przechodzącego przewodnika. Stosunkowo poprawnym angielskim wprowadzał tuzin zadziwionych turystów w tajniki historii miasta:

- Podczas gdy w Rzymie i Awinionie zapanował chaos, tu, w potężnej Aragonii, rezydował papież. Przyjmowano tu zarówno pozostałych przy życiu templariuszy, wszystkie osoby z nimi związane, jak

⁷ Historyczny Benedykt XIII (Piętro Francesco Orsini)
- początkowo występujący pod imieniem Benedykta XIV
- był papieżem w latach 1724-1730 (por. przyp. 21).

i przedstawiciele różnych rodów królestwa. Z jednego takiego rodu pochodził sam papież Pedro de Luna⁸. Dlatego wielu opowiadało się po jego stronie. Papież Urban, nikczemny tyran, mieszkał daleko, za to wykształcony de Luna - na wyciągnięcie ręki. Żaden sobór na świecie nie mógł odebrać mu rzeczywistego duchowego przywództwa wśród katolików.

Marlena uśmiechnęła się bezwiednie. Podobnych określeń użyła w swojej rozprawie doktorskiej. Nie próbowała umniejszać znaczenia tego czy innego synodu, konklawe, a nawet soboru. Wyrażała jednak pewne swoje wątpliwości. W tamtych czasach organizowano wiele tego rodzaju zjazdów. O tym, które rozstrzygnięcia tam przyjęte uznać, a których nie - nazbyt często decydowały wpływy i pieniądze.

Robert ponownie wyrwał ją z zadumy. Przemierzył komnatę, obejrzał obrazy i przedmioty w gablotach. W końcu kupił przewodnik w niemieckim i francuskim.

- Wszędzie widzę papieża de Lunę, czyli Benedykta XIII, ale nie natrafiłem na jakikolwiek ślad po naszym Benedykcie - Numerze Czternastym. Znalazłaś coś może?

Marlena pokręciła głową.

- Z początku chciałam w mojej pracy umieścić rozdział o twoim przodku. Po długich poszukiwaniach stwierdziłam, że nie sposób znaleźć jakiegokol-

⁸ Kardynał Pedro Martinez de Luna (przewijający się już na kartach tej powieści) został obrany papieżem po śmierci Klemensa VII w Awinionie i przybrał imię Benedykta XIII. Był kolejnym awiniońskim papieżem (antypapieżem) w latach 1394-1417. To z jego powodu kardynał Piętro Orsini zmienił swoje imię z Benedykta XIV na Benedykta XIII (por. przyp. 20).

wiek wzmianki o tej postaci. Żadnej biografii, żadnych informacji z okresu jego pontyfikatu, a przede wszystkim żadnych dokumentów. Nic.

- Co to może oznaczać? - spytał Robert z autentycznym zaciekawieniem.

Przeczytał jej pracę w nadziei, że poszerzy wiedzę o Bernarcizie Garnierze, lecz spotkało go rozczarowanie. Natrafił tylko na krótką wzmiankę, że na temat ostatniego z szeregu papieży-antypapieży nie zachowały się żadne materiały źródłowe.

- Nie myślałam o tym zbyt wiele - przyznała Marlena. - Ale przychodzi mi do głowy pewien komentarz, który nasunął mi się, gdy studiowałam dokumenty z tajnego archiwum Watykanu.

- Jaki?

- Doszłam wtedy do wniosku, że w owych czasach władcy Watykanu - i nie tylko - po śmierci swych zniechęconych wrogów, starali się zacierać wszelkie ślady ich istnienia.

- Stąd wniosek, że się ich bali - skomentował Robert, marszcząc czoło.

Marlena przechyliła głowę w bok.

- Być może strach to zbyt wielkie słowo. Raczej niepewność. Nie sposób przecież wymazać całych rozdziałów z historii. Każdy papież, podobnie jak antypapież, mianował biskupów, wydawał bulle i wywierał wpływ na wydarzenia polityczne. Aby uniknąć konfliktów, nie podważano wielu z tych decyzji, zwłaszcza personalnych. Wtedy również nie tak łatwo było znaleźć odpowiednich ludzi na odpowiedzialne stanowiska.

- Czy to znaczy, że detronizowano przeciwnika, ale nie zwalniano jego funkcjonariuszy?

- Mniej więcej tak to wyglądało. Akty zakupu ziemi czy rozstrzygnięcia natury politycznej również

pozostawały w mocy. Właśnie dlatego moja rozprawa obejmuje tak wiele zagadnień. Skomplikowane powiązania często wywierały wpływ na następne pokolenia. Jeszcze dziś robią wielkie wrażenie.

- Aż tak dokładnie twojej książki nie czytałem - przyznał Robert. Ale nawet jeśli nie pamiętał jej szczegółów, przypomniał sobie słowa Karola: - Jeżeli istnieje precedens, to go znajdę.

Ax-les-Thermes

Henry pierwszy wysiadł z auta. Przeciągnął się i westchnął. Powoli zaczynał się starzeć, ale teraz czuł się tak młodo, jak nigdy. Zamknął rozdział monotonnej pracy w rodzinnym przedsiębiorstwie. Tak naprawdę nigdy go nie pociągała. Od dnia wizyty w Awinionie wiedział, po co zdawał wszystkie swoje życiowe egzaminy.

- Tu chyba nie zaszły żadne zmiany, prawda?

Claude powiódł wzrokiem po otoczeniu i pokręcił głową. Widać było, że Henry gardzi prostym życiem ludzi gór.

- Powinieneś się cieszyć. Nic więcej nie zawdzięczamy naszej kulturze - odburknął, podchodząc do zamkniętych drzwi posiadłości.

Nie musiał wyciągać klucza. Ledwie włożył dłoń do kieszeni, stary Luc otworzył im drzwi.

- Henry! - wykrzyknął.

- Luc!

Dwaj mężczyźni powitali się krótkim uściskiem. Ponad ramieniem Luca Henry dostrzegł siedzącego przy stole Luciena.

- Cześć! - pozdrowił go od progu.

- Witaj!

- Pamiętacie jeszcze Claude'a?

Dwaj mężczyźni przymrużyli oczy, usiłując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widzieli człowieka, który właśnie wchodził do domu. Doszli do wniosku, że przed wielu laty. Po dopełnieniu powitalnych formalności Luc spytał:

- Czy macie jakieś bagaże do rozpakowania?

- Nie, dziękujemy. Wszystko, czego potrzebujemy, noszę ze sobą. O resztę dba kierowca Claude'a.

Henry wyciągnął z dumą stare dokumenty, które przechowywał w tekturowej tubie. Claude również położył kilka arkuszy papieru na stole. Podczas gdy Bertrand taszczył do domu różne bagaże, czterej panowie pochylili głowy nad papierami.

- Czy te dokumenty wnoszą coś nowego?

- Co się stało ze spadkobiercą?

- Co dalej robić?

Tego wieczora powinni znaleźć odpowiedź na każde z tych pytań. Rzeczywiście, dokumenty znacznie im pomogły. Spadkobiercę puścili na razie wolno, ponieważ nie potrafili rozstrzygnąć, czy jeszcze będzie im potrzebny. Na temat dalszych poczynań, głos zabrał Claude:

- Bracia! Wygląda na to, że fałszywie zinterpretowaliśmy dawną opowieść. Obejrzyjmy razem testament. Potem przedstawię wam nasze nowe opinie na ten temat.

Henry wstał i podszedł do wielkiego obrazu. Ze szczękiem zwolnił ukryty mechanizm, za pomocą którego odchylił malowidło. W ścianie z naturalnego kamienia umieszczono skarbiec. Henry otworzył skrzypiące stalowe drzwiczki i wyciągnął skórzaną teczkę. Wracając ku zgromadzonym, wyjął z niej kilka kawałków pergaminu i położył je na stole.

Z powodu złego ich stanu, Henry kazał je przed kilku laty zabezpieczyć przez zafoliowanie. Owe

fragmenty tekstów były jedyną pozostałością, jaka ocalała po niszczycielskiej krucjacie przeciwko katarom.

Twierdza Montsegur, wschodnie Pireneje

15 marca 1244

Zabijcie wszystkich! Bóg rozpozna swoich!

Od kiedy legat papieski przed czterdziestu laty opisał tymi słowy zwołaną przez Innocentego⁹ krucjatę przeciwko katarom, przelano morze krwi. Wreszcie powinno się to wszystko skończyć.

Czternaście dni temu ucichł wokół zamku szcęk broni. Pozornie zapanował pokój. Lecz biskup Marty - Starszy gminy - nie robił złudzeń członkom swojej wspólnoty zgromadzonej w obrębie zamkowych murów. Prawie trzystu ludziom, do których należało wiele kobiet i dzieci, pozostawiono wolny wybór. Mogli się wyrzec herezji i oddać do dyspozycji Inkwizycji. Arcybiskup Narbonne dał im glejt, gdy przybył przed dwoma dniami. Przed bramami górskiej twierdzy i w okolicznych górach obozowało dziesięć tysięcy ludzi, krzyżowców, jak sami siebie nazywali. Większość z nich tkwiła tu prawie od roku.

Gdy biskup Marty kroczył przez dziedziniec wraz z wiernym przyjacielem Karolem Autierem, obydwaj wiedzieli, że u schyłku dnia zostanie przypieczętowany również ich los.

- Nie można ufać arcybiskupowi - przestrzegł Autier.
- Czyż miałem jakikolwiek wybór? - westchnął ciężko Marty.
- Tu są moi przyjaciele, moja rodzina.

⁹ Autor ma na uwadze Innocentego III (Lotariusza Conti), który był papieżem w latach 1198-1216.

Jeśli choć jedna osoba przeżyje, nasza ofiara nie pójdzie na marne.

- Oczywiście masz rację. Nie pozostało nam już nic prócz nadziei. Jak myślisz, ilu zechce wyjść?

Biskup „Czystego, Doskonałego Kościoła Katarów” zwrócił wzrok ku tłumowi zebranemu na dziedzińcu twierdzy.

- Miejmy nadzieję, że wszyscy.

W rzeczywistości, nie wyszła nawet połowa. Gdy następnego ranka arcybiskup Narbonne odbierał kapitulację, nie stanęli naprzeciw niego załamani, wygłodzeni, skruszeni grzesznicy. Tu, wewnątrz zamku, który często określał szyderczym mianem „Świątyni słońca”, wyszli mu naprzeciw mocni w wierze mężczyźni i kobiety, na których nie czekało nic prócz mroków Inkwizycji.

Podczas gdy popołudniowe słońce oświetlało ostatnie centrum oporu katarów, odór palonego mięsa i dym płonącego ognia sphywały w dół ku dolinom.

W płomieniach zginęło 225 osób. Dla jednych ich śmierć oznaczała długo wyczekiwane zwycięstwo, a dla samych ofiar - wybawienie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Pehiscola, czasy współczesne

W niewielkiej odległości od hotelu stał drugi budynek z jednym wolnym pokojem. Karol wolał wynająć go dla siebie, niż wstawić dodatkowe łóżko do pokoju Roberta i Marleny. Marlena nie potrafiła ocenić, czy już wie, co ją łączy z Robertem, czy też w ogóle go to nie interesuje. Grunt, że nie usłyszała żadnego komentarza, co oszczędziło jej przykrew konieczności składania wyjaśnień.

Gdy schodzili w dół zaułkami starego miasta, zegar na wieży wybił południe. Po załatwieniu przez Karola niezbędnych formalności, poszli razem do restauracji, żeby coś zjeść.

Jeszcze zanim na stole postawiono dymiącą wazę i koszyczek z białym chlebem, Robert z adwokatem w kilku szybkich francuskich zdaniach złożyli sobie nawzajem relacje z ostatnich wydarzeń. Marlena nie mogła wyjść z podziwu, jak szybko mówią w ojczystym języku. Ponieważ nie nadążała za nimi, rzuciła Robertowi pytające spojrzenie. Gdy kelner postawił przed nimi karafkę czerwonego wina, Garnier zaproponował z uśmiechem:

- Lepiej przejdźmy na angielski. Karol ma do powiedzenia coś ciekawego.

Prawnik natychmiast spełnił jego prośbę. Tylko raz przerwał mu kelner, żeby spytać, czy niczego więcej sobie nie życzą?

- Wbrew moim obawom nikt mnie nie śledził

- zaczął Karol. - W każdym razie nie zauważyłem niczego podejrzanego. Później załatwiałem sprawy bieżące. Na koniec wstąpiłem do swojej kancelarii. Tam odbyłem kilka rozmów telefonicznych. Spróbowałem wy badać, jak mocno opinia publiczna jest przekonana o niewinności Roberta. Niestety, nadal wszystko wisi na włosku. Wszyscy unikali mnie jak zarazy. Ta sprawa śmierdzi z daleka. Na razie jednak nie możemy nic na to poradzić. Najciekawsze jednak nastąpiło dopiero później, po moim wyjściu z biura. Odwiedziłem archiwum diecezji w Aix-en-Provence. Czytałem, porównywałem, przepisywałem i kopiowałem około trzech godzin. Po wyjściu z budynku zapamiętałem tylko grupę młodzieży na motorach. Nieoczekiwanie uderzono mnie - jak przypuszczam - w głowę. Odzyskałem przytomność na pobliskiej ławce. Ocucili mnie przechodnie. Najdziwniejsze, że nie ukradziono mi pieniędzy ani notesu. Znikła tylko teczka z notatkami i odpisami.

- Wygląda na to, że owi młodzieńcy tylko wykonywali rozkazy. Najprawdopodobniej ukradli teczkę celowo, na czyjeś zlecenie - orzekł Robert.

- Bez wątpienia - zawtórowała mu Marlena.

- Ale co właściwie pan tam miał?

Karol ostrzegawczo uniósł palec wskazujący. Pochyliwszy się do przodu, dyskretnie omiótł wzrokiem pomieszczenie.

- Znalazłem w archiwum akta historyczne, które mogą być dla nas użyteczne. Między innymi chodzi o dokumenty dotyczące rekompensaty ze strony Kościoła w niektórych rejonach Langwedocji. Zgro-

madziłem w teczce ich kopie i kilka notatek na ten temat.

- Łatwo przyszło, łatwo poszło - skomentowała Marlena z kwaśną miną. - Czy mógłby pan z pamięci odtworzyć te informacje?

Karol wzruszył ramionami.

- W każdym razie spróbuję.

Troje poszukiwaczy spędziło popołudnie osobno. Robert potrzebował odpoczynku. Postanowił więc nadrobić zaległości w spaniu. Karol zasiadł nad papierami. Marlena poszła na spacer plażową promenadą, by odzyskać spokój.

- *Fraulein* Schönberg?

Zamarła z przerażenia. Odwróciła się i osłoniła oczy, ponieważ oślepiały ją jaskrawe promienie słońca. Obok niej stał mężczyzna, o pół głowy niższy od niej. Mimo że zaczepił ją w jej ojczystym języku, dałaby głowę, że nigdy wcześniej go nie widziała.

- Słucham? Kim pan jest? Czy my się znamy? - spytała z niepokojem.

- Proszę wybaczyć to niespodziewane najście. Pozwoli pani, że się przedstawię. Nazywam się Matthias Leopold. Jestem wysłannikiem z Rzymu.

Jego głos brzmiał spokojnie, wręcz łagodnie. Marlena zmierzyła wzrokiem nieznanego od stóp do głów. Nie nosił habitu czy jakichkolwiek innych znaków religijnych, nie licząc jednego krucyfiks. Raczej nie ulegało wątpliwości, że przyjechał z wy. dzielonej części Rzymu - zapewne stamtąd też pochodzili jego zleceniodawcy.

- Skoro wyjawiał pan swoją tożsamość, proszę teraz przedstawić mi cel swego przyjazdu. Interesuje mnie również, kto pana właściwie tutaj przysłał.

Marlena dokładała wszelkich starań, żeby jej głos brzmiał chłodno, niemal obojętnie. Dzięki narzuceniu sobie wewnętrznej dyscypliny osiągnęła cel. Martwiło ją nie tyle nagłe zaczepienie przez nieznanego, ile fakt, że odnalazł ich miejsce pobytu.

- Czy wyraziłaby pani zgodę na krótki spacer lub filiżankę kawy? - zaproponował Matthias Leopold. - Zapewniam panią, że nie musi się pani mnie obawiać. Pewien wspólny... hm... znajomy, o ile można go tak określić, wymienił pani nazwisko. Przypomina sobie pani Luciana Bodiniego?

„Bodini?”. Marlena musiała sięgnąć głęboko do zakamarków pamięci, zanim skojarzyła nazwisko z twarzą. Nic dziwnego. Zaledwie dwa czy trzy razy widziała „strażnika tajnego archiwum”, jak go nazywała w żartach.

Jeszcze nieco zdenerwowana, postanowiła na początek wysłuchać nieznanego, jak najmniej mówiąc o sobie.

- Ależ oczywiście! Jak mogłabym zapomnieć Luciana Bodiniego! - wykrzyknęła, żeby pan Leopold, o ile rzeczywiście się tak nazywał, nie zorientował się, jak głęboka była ich znajomość.

Zajęli miejsca przy stoliku w najbliższym barze. Marlena zamówiła sobie czarną kawę. Uznała, że jest o wiele za wcześnie na picie alkoholu, choć czuła, że coś mocniejszego dobrze by jej zrobiło. Jej towarzysz spontanicznie poprosił o to samo i na dodatek o karafkę wody z lodem. Podczas gdy składał zamówienie, Marlena zwróciła uwagę na to, że płynnie włada hiszpańskim. Bezskutecznie usiłowała odgadnąć na podstawie jego ruchów i gestów, czy to nieszkodliwy zakonnik, czy płatny zabójca?

- Na początek chciałabym uświadomić panu jedną rzecz - zagadnęła wciąż chłodnym tonem. - Wczoraj o tej porze nie przewidywałam, że w ogóle wyjadę do Hiszpanii, nie mówiąc o tym, do jakiego miasta dotrę. Krąg wtajemniczonych był bardzo wąski. Niemniej siedzi pan naprzeciwko, jakby odnalezienie mnie nie sprawiło panu najmniejszych trudności - stwierdziła, nie spuszczać oka z twarzy rozmówcy. Nie wyczytała z niej jednak nic prócz życzliwego zainteresowania. - Jeszcze jedno - dodała. - W ostatnich dniach zaszło kilka dość niezwykłych wydarzeń - i to najdelikatniej mówiąc. Mam nadzieję, że zechce mi pan udzielić wyjaśnień tu i teraz. Nie zamierzam bowiem stwarzać panu następnej do tego okazji.

Leopold odchylił się na bok, żeby umożliwić kelnerowi postawienie dwóch filiżanek i wody na okrągłym stoliku. Uśmiechnął się przy tym, po raz pierwszy okazując jakiegokolwiek emocje. Marlena oceniła uśmiech nie jako szyderczy, lecz raczej pojednawczy, pełen zrozumienia.

- Przedstawiła pani jasno swój punkt widzenia. Dziękuję za szczerość. Ponieważ nie uznaję frazesów i wykrętów, od razu przejdę do sedna sprawy. Poszukuje pani czegoś, co zgodnie ze stanowiskiem mojego zleceniodawcy nie istnieje. Ściśle biorąc, już nie istnieje.

Marlena przypomniała sobie słowa strażnika Bodiniego. Ludzie Watykanu przez całe pokolenia dokładali wiele starań, by zatrzeć wszelki ślad po . zniechęconych przeciwnikach. Niszczono dzieła sztuki, pergaminy i całe encyklopedie, jeśli zawierały jakąkolwiek wzmiankę na temat poszczególnych duchownych lub innych przeciwników. Przeczuwała, do czego zmierza Leopold.

- Wysłano pana, żeby mnie odstraszyć? - spytała prosto z mostu.

Niemal wysyczała te słowa. Jednak Matthias Leopold, którego po namyśle uznała raczej za zakonnika niż za zabójcę, uniósł ręce w uspokajającym geście.

- Nie. Proszę zaczekać. Nie próbujemy pani powstrzymać. Wręcz przeciwnie. Przybyłem tu, żeby pani pomóc.

Marlena nie wierzyła własnym uszom.

- Pan? To znaczy Watykan... chce nas wesprzeć? - wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

Leopold pokręcił głową.

- Nie, nie Watykan. Oficjalnie moneta nie istnieje, co oczywiście uniemożliwia udzielenie jakiegokolwiek wsparcia. Proszę sobie tylko wyobrazić, co by było, gdyby Ojciec Święty zachęcił do jej poszukiwań. Moje zadanie polega na udzieleniu dyskretnej pomocy...

- Żeby później zamieść pod dywan dowód rzeczowy! - wpadła mu w słowo Marlena. - Nareszcie pojmuję, o co tu chodzi - wycedziła z wściekłością przez zaciśnięte zęby.

Leopold odczekał, aż jej emocje nieco opadną, żeby ją ponownie skorygować:

- Rozumiem pani nieufność, ale jest pani w błędzie. Interesuje nas tylko to, kto odnajdzie monetę i ewentualnie co z nią dalej zrobi. Pamięta pani tę historię z ewangelią Judasza?

Oczywiście Marlena słyszała o słynnym znalezisku. W bliżej nieokreślonych okolicznościach odnaleziono i odczytano prastary kodeks. Za jego autora uznano zdrajcę wszech czasów, wzgardzonego przez cały świat Judasza Iskariotę. Nie wypierał się w nim zdrady. Twierdził natomiast, że wypełniał

jedynie Boski plan, co go w pewien sposób oczyszczało z zarzutów. Ledwie przetłumaczono i opublikowano pierwsze zdania, nie tylko brukowa prasa, ale nawet poważni dziennikarze zwietrzyli sensację. Wróżyli zachwianie fundamentów chrześcijaństwa. W ostatecznym rozrachunku wszyscy jednak doszli do wniosku, że tak zwana ewangelia Judasza nie podważyła treści biblijnego przekazu, tylko wzbogaciła wiedzę o tamtych czasach. Nie znaleziono bowiem żadnych znaczących sprzeczności.

Matthias Leopold zajął Marlenie w oczy.

- Widzi pani, wprawdzie Kościół katolicki całkiem nieźle potrafi obronić się przed świecką propagandą, lecz póki można, powinniśmy unikać tego rodzaju rozgłosu. Proszę sobie tylko wyobrazić, ilu wojujących fanatyków nagle wkroczyłoby na scenę. Czy rzeczywiście tego nam potrzeba? A jeśli faktycznie coś odkryjemy, Ojciec Święty sam będzie wiedział, co z tym dalej zrobić.

Po kolejnej filizance hiszpańskiego *espresso* Marlena była gotowa przedstawić Robertowi brata Matthiasa.

Ax-les-Thermes

Henry - stolarz powołany do kapłaństwa, rybak Luc, który niegdyś do niego dołączył, i Lucienne - dbający o swą trzodę pasterz o mądrym spojrzeniu, opuścili w milczeniu stary dwór. Wszyscy wiedzieli, jakie zadania do nich należą. Podczas gdy Henry ryglował drzwi, pozostali zamykali okiennice.

Claude obserwował całą trójkę z tylnego siedzenia swojego samochodu. Bertrand już zapakował bagaże i włączył system nawigacji. Niebawem mieli

zjechać krętą uliczką w dół, w kierunku autostrady. W ciągu kilku godzin dotrą do celu. Henry podszedł do auta i zastukał w dach.

- Wyruszamy. Może lepiej, żebym ci towarzyszył? Claude pokręcił głową.

- Nie, to zły pomysł. Im nas mniej, tym lepiej. W końcu zostanie ze mną Bertrand, a tam, na górze, potrzebują każdej pary rąk do pracy.

Henry przyznał mu w duchu rację. W gruncie rzeczy podzielał jego opinię. Akurat jego umiejętności bardzo potrzebowano w Montailou, nawet jeśli jechał tam bez entuzjazmu.

- Mimo wszystko szkoda - westchnął. - Ale gdy znów do nas dołączycie, wszystko będzie przygotowane.

Po tych słowach ich drogi się rozeszły.

Peñiscola

Robert wykazał równie wielką nieufność, jak Marlena. W końcu jednak zdołała go przekonać, żeby wysłuchał Matthiasa Leopolda. Mimo wszystko Robert wolał nie zapraszać nieznanego do hotelu. Usiedli więc we trójkę w niewielkim barze. Szybko dopełnili powitalnych formalności, po czym natychmiast przeszli do rzeczy.

Marlena przez cały czas zadawała sobie pytanie, jaki język wybierze bez wątplenia niemieckojęzyczny duchowny. Ten zaś pozdrowił Roberta w nienagannym francuskim, po czym przeszedł na znacznie łatwiejszy, uniwersalny angielski.

- Jak państwo zapewne wiedzą, konklawe w dzisiejszej formie wprowadzono dopiero w trzynastym wieku - zaczął. - A tak zwany pierścień Rybaka pełni rolę insygnium dopiero od czternastego wieku.

Oczywiście, już wcześniej istniały rytuały wyborcze, jednak największy wpływ na wybór następcy miał żyjący papież. Dziś wielu chętnie przywróciłoby dawny obyczaj. Jednak w dzisiejszych czasach spektakl na użytek mediów, jakim jest także konklawe, stanowi doskonałą... reklamę naszej instytucji.

Marlena nie do końca podzielała jego zdanie.

- To nie jedyna przyczyna popularności konklawe - wtrąciła. - Dawniej papieże celowo naznaczali swoich następców. Na domiar złego przekupywali kardynałów i księżęta, a nawet szantażowali ich za pomocą obciążających dokumentów. Tak więc dawny obyczaj stwarzał pokusę wielkich machinacji politycznych.

Leopold nie powstrzymał uśmiechu.

- Ma pani absolutną rację. Z całą pewnością popełniano wiele oszustw i niegodziwości, ale gdzie nie dopuszczano się wykroczeń w tak długim okresie czasu? Jezus z Nazaretu sam wyznaczył swojego następcę. Niewątpliwie wziął pod uwagę jego ludzkie słabości. W końcu sam przez kilka dziesięcioleci chodził po ziemi tylko jako człowiek. Piotr poszedł w jego ślady. Nie wskazał wprawdzie żadnego konkretnego ucznia, lecz symbol duchowego przywództwa po jego śmierci trafił do rąk wiernego członka wspólnoty. W następnych latach podtrzymywano ten zwyczaj. Każdy papież w odpowiednim czasie wyznaczał swego następcę. W początkach sprawowania urzędu otrzymywał on świętą i unikalną relikwię, która służyła pierwszym pokoleniom chrześcijan jako zwykły znak rozpoznawczy. W przeciwieństwie do jasnej symboliki późniejszego pierścienia Rybaka, owa relikwia stanowiła ostatni prawdziwy pomost łączący kolejne generacje z pierwocinami Kościoła katolickiego.

Moneta świętego Piotra? - jednocześnie zapytali Marlena i Robert?

- Widzicie państwo - ciągnął Leopold. - Mieszkającym tutaj ludziom łatwo uważać ich „Ojczulka Lunę” za ostatnią świetlaną osobistość owej niespokojnej epoki z początków XV wieku. Postrzegali go jako przysłowiową skałę pośród wzburzonej kipieli. Nawet jego przeciwnicy nie mogli podważyć jego praw. Miał też monetę-znak. Nie oddał jej, ponieważ otrzymał ją zgodnie z obowiązującymi wówczas regułami.

Marlena skinęła głową. Doskonale pamiętała zawikłane stosunki z początków XV wieku. Papież Grzegorz w Rzymie walczył z antypapieżem Benedyktem z Awinionu o przywództwo w Kościele. Królowie doskonale zdawali sobie sprawę, że walka ta zagraża ich świeckim interesom. Dlatego brali stronę tego, który więcej obiecywał. W końcu Benedykt musiał opuścić Awinion, mimo że Francja bez cienia wątpliwości uznała jego prawo do sprawowania najwyższej kościelnej godności. W rozpaczy zwołano podejrzane sobory w Perpignan i Pizie. Wybrano nawet trzeciego papieża. Benedykt w końcu znalazł azyl w swojej ojczyźnie, w królestwie Aragonii. Sprawował swój urząd w Peñiscoli aż do śmierci w roku 1423.

Leopold zorientował się, że Marlena doskonale zna fakty historyczne. Ponieważ nie potrzebowała dodatkowych wyjaśnień, ciągnął dalej:

- Pedro de Luna wiedział, jakie prawa mu przysługują. Zanim został papieżem, był profesorem prawa kościelnego i pierwszym kardynałem pod rządami co najmniej jednego papieża, którego prawa do władzy nie podważał żaden historyk. Nieugięcie stał na stanowisku, że można położyć kres-

schizmie jedynie na drodze porozumienia pomiędzy dwoma konkurującymi papieżami. Rzeczywiście można go uznać za eksperta w kwestiach prawnych. Wprawdzie nie chciał zrezygnować z papieskiego tronu, lecz wyraził gotowość oddania władzy następcy, pod warunkiem, że jego rzymski konkurent uczyni to samo. Ponieważ Rzym odrzucił jego propozycję, wszystko pozostało po starym, aż do soboru w Konstancji. Jego zwołanie to był akt rozpacz, dzięki któremu wymuszono w końcu przywrócenie jedności Kościoła.

- Pedro de Luna rzeczywiście uważał się za jedyne prawowitego następcę świętego Piotra, również po soborze w Konstancji - wtrąciła Marlena. Nie mogła wyjść z podziwu, jak wiele tolerancji wykazał tu przedstawiciel Watykanu.

- Niestety, wiedzą o tym już tylko nieliczni - westchnął Leopold. - Albo też wolą nie przyjmować tych faktów do wiadomości, ponieważ historiografia nie opowiedziała się jednak za Luną.

Przez chwilę cała trójka rozmyślała w milczeniu. Później Leopold ponownie zabrał głos:

- Widzicie państwo... papieże mogą być nieomylni, ale na pewno nie wszechwiedzący.

- Co pan konkretnie ma na myśli? - spytał Robert. Coraz bardziej irytował go zagadkowy sposób mówienia duchownego.

Matthias Leopold nie dał się zbić z tropu.

- Nie wzbudzając sensacji, dyskretnie zgromadziliśmy i dokładnie przestudiowaliśmy materiały archiwalne z blisko dwóch tysiącleci. Dla każdego z naszych dwustu sześćdziesięciu papieży, przy czym liczę tylko tych oficjalnie uznawanych, pewne dokumenty miały szczególne znaczenie. Pragnęli je wykorzystać lub zniszczyć, lecz żaden z nich nie

znał wystarczająco dobrze zasobów archiwów.

- Uśmiechnął się blado. - Nawet my nie znamy ich wystarczająco dobrze.

Marlena doskonale rozumiała, o czym mówi. W końcu sama odwiedzała to archiwum. Była oszołomiona jego bogactwem. O ile już archiwum muzeum we Fryburgu uznała za przeładowane, o tyle nie potrafiła znaleźć słów na określenie nieprzebranego bogactwa ksiąg zgromadzonych w piwnicach Watykanu.

Leopold wyciągnął kopertę z kieszeni letniej, lnianej marynarki. Z tajemniczą miną położył ją na stole i przykrył dłonią.

- Nie dostaliście tego pisma ode mnie. Znam wprawdzie jego treść, lecz oficjalnie nigdy go nie widziałem. Żadna osoba postronna nie wie o jego istnieniu.

Roberta rozsadzała ciekawość. W końcu nie wytrzymał napięcia:

- Zdradzi nam pan, co zawiera?

- Oczywiście - odparł Leopold chłodnym tonem.

- Lecz stąpam po wąskiej grani, dlatego pragnę się zabezpieczyć. Postawiłem sobie za cel udostępnić wam ten tekst, zanim dostanie się w ręce innych. Jednakże po jego - powtarzam: nieoficjalnym

- przekazaniu muszę jak najszybciej państwa opuścić.

Zaraz po ostatnim zdaniu wstał, rzucił okiem na puste filiżanki i położył na stole banknot wartości pięciu euro.

- Teraz może pan zapoznać się z zawartością koperty. To jedna z niewielu rzeczy, które pozostały po pańskim przodku. Wszystkie inne zostały zniszczone. Ostatnie dokumenty kazał zniszczyć papież

- już ten „prawdziwy” - Benedykt XIV około roku

1740. Celowo przybrał to imię, żeby w ten sposób zatrzeć ostatni ślad po znieprawionym antypapieżu. Od tamtej pory nikt więcej w Rzymie nie wspominał Bernarda Garniera.

Po ostatnim zdaniu skinął głową.

- Żegnam. Powodzenia!

Następnie odszedł szybkim krokiem i skręcił w najbliższy zaułek.

Ledwie przebrzmiały jego słowa, Marlina otworzyła kopertę. Wyciągnęła nadpalony pergamin, niewiele większy od pocztówki. Przypuszczała, że to celowo wycięta karta z jakiejś książki. Wyglądało na to, że uniknęła zniszczenia z powodu dobrej jakości materiału. Przebiegła wzrokiem krótki łaciński tekst.

- Wziąłeś ze sobą coś do pisania, Robercie? - spytała.

Przytaknął i wyciągnął długopis.

- Co właściwie masz jeszcze przy sobie?

- Niewiele prócz przyborów do pisania, ale znajdę jakąś kartkę.

- Dziękuję.

Marlina pochyliła się ponownie nad pergaminem. Studiowała go kilka minut, zanim zaczęła pisać. Robert w napięciu śledził jej poczynania. Usiłował odczytać tekst, lecz Marlina raz po raz skreślała jakieś słowo lub całą linijkę, żeby zastąpić ją nową. Zostawiała puste miejsca, stawiała znaki zapytania lub podkreślała niektóre wyrazy. Choć umierał z ciekawości, zachował milczenie, żeby jej nie przeszkadzać.

Po kilku kolejnych - w odczuciu Roberta nieskończenie długich - minutach uniosła głowę i odwróciła kartkę w jego stronę.

- Cóż to do licha znaczy?

- To rodzaj wiersza. Spisano go w zasadzie prostą łaciną, lecz wtrącono hiszpańskie słowa. Wielu pojęć nie można jednoznacznie przełożyć, ale w wolnym tłumaczeniu brzmi to mniej więcej tak:

*Gdzie słońce i księżyc
łączą się ze sobą na wieczność,
tam ani noc, ani przestrzeń
nie pochłoną ich blasku.*

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Pehiscola, maj 1423

Gorąca, nawet jak na klimat śródziemnomorski, wiosna zapowiadała długie, jeszcze bardziej upalne lato. Od Wielkanocy minęły dobre trzy tygodnie. Pedro de Luna, czyli papież Benedykt XIII, zadawał sobie pytanie, czy doczeka Zielonych Świątek. Pozbawiony urzędu, przeklęty wygnaniec dożywał swych dni w Aragonii. Od trzech dni nie mógł wstać z łóżka. Z tuzina wybranych kardynałów, którzy przysięgli mu wierność i posłuszeństwo, pozostało zaledwie kilku. I teraz trzech z nich zajęło miejsca przed kominkiem. Płonące polana oświetlały ich twarze pomarańczowym blaskiem.

Zmęczony papież powtórzył cicho swoje ostatnie instrukcje. Siedzący tuż przy nim pisarz notował je w punktach. „Ostatni protokół” - taki tytuł nosił jego zapis. Zawierał on wskazówki dla konklawe, które miało się odbyć w najbliższej przyszłości. W ten sposób dopełniano odwiecznej formalności przed śmiercią papieża.

Jestem Benedykt XIII, Pontifex Maximus Świętego Kościoła Katolickiego. Sprawowanie przeze mnie urzędu doprowadziło do tego, że zostałem zmuszony do zamieszkania w bezpiecznej twierdzy w mojej ojczyźnie. Los, jaki mi przypadł w udziale, nigdy

jednak, nie zachwiał mojej woli służenia Stwórcy i Jego Synowi. Z dniem mojej śmierci przekazuję mój urząd wiernemu i skromnemu słudze, którego nazwisko ogłosi mój legat".

Wszyscy obecni zachowali kamienne oblicza. Papież był wprawdzie stary i słaby, ale nie głupi czy zdziecinniały. Kardynałowie doskonale zdawali sobie sprawę, że legat w żadnym przypadku nie wróci na czas.

Minął cały tydzień i jeszcze połowa drugiego, zanim Pedro de Luna wydał ostatnie tchnienie. Ledwie jego zaufany kamerdyner wyszedł z komnaty, a wezwany lekarz stwierdził zgon, trzech kardynałowie przekroczyli próg jego kaplicy. Musiał gdzieś ukryć monetę - albo w biskupim pastorału, albo gdzieś w swoim prywatnym skarbcu.

Ale bogato zdobione, zabezpieczone szkiełkiem zagłębienie w pasterskiej lasce było puste, podobnie jak jego prywatne kasety i szkatułki. Pośród niezliczonych monet z całego świata z miedzi, srebra i złota, trzech kardynałowie nie znaleźli monety, tak bardzo pożądanej w dalekim Rzymie.

Minęły prawie dwa tygodnie, zanim wybrano następnego papieża. Korzystając z nieobecności legata, trzech kardynałowie wybrali na następcę Luny - pod naciskiem króla - proboszcza katedry z Walencji, Gila Sancheza Muñoza. Przybrał on imię Klemensa III²³. Wbrew przekonaniom swojego poprzednika, sprawował on swój urząd tylko pro forma, wyłącznie w tym celu, żeby drogo sprzedać swoją zgodę na abdykację. 26 lipca 1429 roku

²ⁱ Historyczny Klemens III (biskup Palestriny, Rzymianin) był papieżem w latach 1187-1191.

ustąpił z urzędu na rzecz rzymskiego papieża Marcina V¹⁰. Ostatnie lata życia spędził jako biskup Majorki. Zaś syn hiszpańskiego króla został powołany przez następnego papieża na króla Neapolu.

Wszystko poszłoby gładko, gdyby legat papieża Luny, Jan Carrier, w listopadzie 1425 roku nie przekazał monety świętego Piotra Bernardowi Garnierowi, człowiekowi, którego poprzedni papież wyznaczył na swego następcę.

Pehiscola, czasy współczesne

Marlena i Robert postanowili wrócić do hotelu, żeby móc popracować bez przeszkód. Marlena usiadła na szerokim łożu wśród papierów. Obok ukląkł Robert z notebookiem na kolanach.

- Nie mogę się doszukać żadnego sensu w tych wersach - westchnęła Marlena. - Autor prawie każde słowo zastępuje synonimem. Krążek zamiast słońca, rogalik zamiast księżyca... i jeszcze do tego wszystkiego dochodzi jakiś dziwaczny rodzaj blasku, coś pomiędzy *atireolusa solaris*. Może też chodzić o najmiłszy sercu blask słońca. Dość zagadkowe.

- Chętnie bym ci pomógł, ale zbyt słabo władam zarówno łaciną, jak i hiszpańskim - odparł Robert.

Otworzył równocześnie dwie strony internetowe, z których mógł odczytać tłumaczenia zarówno hiszpańskich, jak i łacińskich zwrotów. Dla uproszczenia obydwój używali angielskiego, lecz Marlena sporządzała notatki w ojczystym języku.

- Wiedziałaś, że w niemal każdym języku europejskim słowo księżyc brzmi *luna*, *lunę* lub podob-

¹⁰ Historyczny Marcin V (Oddone Colonna) był papieżem w latach 1417-1431.

nie? Niemiecki i angielski należą do nielicznych wyjątków.

Marlena już wcześniej na to wpadła. Zastanowiło ją, że w piśmie z czasów Pedra de Luny nie nazywano księżyca międzynarodowym słowem. Określono go jako *sicilicula*, mały rogalik.

Ale czy wybrano by tak łatwy do rozszyfrowania synonim?

- Jeśli przyjmujemy, że to zaszyfrowane nazwisko papieża, to co oznacza słońce?

- Ognisty krążek o wdzięcznym połysku... Marlena upuściła kartkę.

- Krążek błyszczący w słońcu o złocistym połysku!

- Moneta! - wykrzyknęli obydwójce niemal równocześnie.

- Wróćmy do tekstu!

Robert i Marlena mieli rację. Wskazówki były logiczne, lecz nie oczywiste. Bez znajomości tła historycznego i bez zakreślenia ram czasowych przez Matthiasa Leopolda, nigdy nie rozszyfrowaliby jego treści. Gdyby bez żadnych wyjaśnień przeczytali to, co pozostało na resztkach pergaminu, nie wiedząc, co było napisane na spalonej jego części, uznaliby tekst za zwykły wiersz.

- Kiedy Luna i moneta połączą się na wieczność - Marlena z zakłopotaniem potarła podbródek. - Nigdzie na ziemi nie istnieje miejsce wiecznego zjednoczenia. - Musi tu chodzić o inny świat - podsumowała. - W każdym razie nic na ziemi nie trwa wiecznie.

- Masz na myśli pośmiertne połączenie?

- Niewykluczone. W każdym razie wiele za tym przemawia. Na przykład określenie ciemności: *cauum nocte* to nie welon nocy, jak w poezji, lecz

jaskinia ciemności. Nasuwa skojarzenie z trumną lub grobowcem. - Marlena wzięła nowy arkusz papieru i położyła przed sobą. - Spróbuję przetłumaczyć jeszcze raz:

*- Ojciec księżyc, czyli Ojczulek Luna, i złoty krążek
połączone na wieczność w ciemnym grobie który pochłonął
blask i potęgę.*

Robert wziął pierwszy arkusz do porównania.

- Dwie zupełnie odmienne treści, przynajmniej na pierwszy rzut oka - podsumował.

- Racja. Klucz leży w ustaleniu właściwego porządku czasu i miejsca. To kolejne potwierdzenie starej prawdy, że nie wolno tłumaczyć starych tekstów bez znajomości tła historycznego.

Obydwoje wymienili uśmiechy.

- Co teraz? - spytał Robert. - Czy ta wskazówka prowadzi nas z powrotem do twierdzy?

Marlena powoli skinęła głową.

- Dopóki nie odnajdziemy osoby, z którą kontaktował się twój ojciec, nie pozostaje nam nic innego. Raczej nie ominie nas kolejna nocna wycieczka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Karol wpadł na pomysł, żeby rozpocząć poszukiwania wewnątrz twierdzy w dwojaki sposób. Uświadomił im bowiem, co by im groziło, gdyby aresztowano ich i wtrącono do więzienia jako włamywaczy. Tu, za granicą, jako adwokat nie posiadał żadnych wpływów.

- Nie zdołalbym was wydobyć z za krat - ostrzegł na koniec.

Marlena i Robert nie zlekceważyli ostrzeżenia. Późnym popołudniem oficjalnie kupili sobie bilety. W tym samym czasie Karol odwiedził miejscowe władze, aby uzyskać pozwolenie na badania archeologiczne wewnątrz bazyliki. Po krótkiej wizycie w domu burmistrza zasiadł przy filiżance kawy z księdzem, który w młodości sam oprowadzał wycieczki po twierdzy.

Natomiast Robert i jego towarzyszą w twierdzy szukali wskazówek dotyczących „Ojczulka Luny”.

- Wszędzie pełno herbów z księżycem - westchnęła Marlena.

- Wygląda na to, że otaczano go tu wielką czcią.

- Nic dziwnego. Jeszcze dziś jego nazwisko otwiera serca i sakiewki. Wszystkie przewodniki określają tę twierdzę jako rezydencję papieża, a nie antypapieża.

- Czy Awinionu nie nazywają tak samo? - zauważył Robert z nieznacznym uśmieszkiem.

- Racja.

Robert wskazał wejście do kwadratowej bazyliki. W jej wnętrzu spoczywały doczesne szczątki Pedra de Luny - w grobie, w wiecznych ciemnościach, tak jak napisano w wierszu.

- W porównaniu z dzisiejszą, nasza ekspedycja w podziemia papieskiego pałacu w Awinionie była o wiele łatwiejsza.

- Jak to? - zdziwiła się nieco lekceważąco Marlena. - Czy dlatego, że tu nie możemy po prostu wyciągnąć z plecaka dłuta? Za to nikt nas stąd nie uprowadzi i nie naszprycuje narkotykami.

- Niby racja. Tyle, że jeśli nie uzyskamy oficjalnego zezwolenia, to nie pozostanie nam nic innego, jak włamać się do grobowca.

- *Senor Garnier?* - zawołał ktoś niskim, przyjaźnie brzmiącym głosem.

Marlena i Robert z przestraszeniem odwrócili głowy. W portalu wejściowym stał raczej krępy, przysadzisty mężczyzna. Hiszpan, z całą pewnością, po siedemdziesiątce, o ciemnej cerze i włosach, wspierał się na lasce. Gdy ruszył w ich stronę, spostrzegli, że ma sztywną lewą nogę. Gdy dzieliło go od nich kilka kroków, z uśmiechem wyciągnął rękę na powitanie i zagadnął po angielsku, z silnym hiszpańskim akcentem:

- Serdecznie witamy w Peñiscoli. Trochę mnie dziwi, ale też bardzo cieszy, że znaleźli państwo do nas drogę. Miło mi państwa wreszcie poznać osobiście.

Robert nie potrafił odgadnąć, co staruszek chciał przez to powiedzieć. Bezradnie rozejrzał się dookoła, w nadziei, że towarzyszy mu Karol. Nie zobaczył jednak nikogo więcej.

Marlena wybawiła go z niezręcznej sytuacji. Wyszła przed niego i powitała nieznanego:

- Dzień dobry panu. Nazywam się Marlena Schönberg. Jeszcze się nie znamy. Z kim mam przyjemność?

Hiszpan radośnie pochwycił jej dłoń i potrząsnął nią energicznie.

- Bardzo mi miło. Jestem Rufio Alcaez. Pracuję... zaraz, zaraz, jak byście to powiedzieli?... w Radzie Miejskiej, w Wydziale Historii i Kultury. Pan Garnier z pewnością opowiedział pani o naszej dobrej współpracy? - Zanim Marlena zdążyła odpowiedzieć, pan Alcaez zwrócił głowę ku Robertowi.
- Proszę powiedzieć, dlaczego przybył pan właśnie teraz? I dlaczego nie zapowiedział pan swego przyjazdu?

Robert zaczął nabierać podejrzeń. Popatrzył poważnie na nieznanego.

- Proszę wybaczyć, ale nie mam zielonego pojęcia, kim pan jest, ani skąd pan mnie zna. Przypuszczam, że zaszła jakaś pomyłka.

Staruszek zmrużył oczy. Teraz z kolei on usiłował rozstrzygnąć, czy Robert nie żartuje. Jednak po chwili uważnej obserwacji jego twarzy nie odnalazł żadnych oznak rozbawienia.

- Czyżby nie był pan hodowcą winorośli, Piotrem Garnierem z Awinionu? - spytał z nutą rozczarowania w głosie.

Robert roześmiał się mimo woli.

- Nareszcie rozumiem! Pomylił mnie pan z ojcem. Nazywam się Robert Garnier. Jestem synem Piotra.

Mimo że pomyłka została wyjaśniona, kwestia, co łączyło Hiszpana z Piotrem, pozostała otwarta.

- O ile dobrze zrozumiałem, współpracował pan z moim ojcem. W jakiej dziedzinie?

Staruszek wskazał dłonią jedną z kamiennych ławek.

- Zaraz wszystko wytłumaczę, tylko usiądźmy, proszę. W moim wieku nogi już odmawiają posłuszeństwa. Oczywiście, na koniec i ja chciałbym się dowiedzieć, co państwa tu sprowadziło.

Robert pokrótce poinformował go o tragicznej śmierci ojca. Później przedstawił główne elementy łamigłówek, na jakie natknęli się podczas poszukiwania tajemniczego skarbu. Ponieważ nadal nie ufał nikomu prócz Marleny i Karola, bardzo starannie dobierał słowa. Przemilczał zarówno spotkanie z Matthiasem Leopoldem, jak i włamanie do papieskiego pałacu wraz z uprowadzeniem.

Rufio Alcares z kolei opowiedział o regularnej wymianie listów z Piotrem Garnierem. Dwaj starsi panowie często też do siebie dzwonili. Ojciec Roberta trafił na Hiszpana kilka miesięcy wcześniej, podczas swoich poszukiwań. Później utrzymywali regularne kontakty na odległość. Rufio dostarczył Piotrowi wszelkich możliwych informacji na temat trzech ostatnich antypapieży: Benedykta XIII, Klemensa III i Benedykta XIV. Lecz w przeciwieństwie do Roberta, jego ojciec nie planował wyprawy do Hiszpanii. Zabrakło mu decydującego śladu. Robert podejrzewał, że wyjawiał starymu Hiszpanowi znacznie więcej.

- W każdym razie mamy podstawy sądzić, że we wnętrzu miejscowej bazyliki można znaleźć wskazówki dotyczące miejsca przechowywania pewnej relikwii. Właśnie dlatego tu przybyliśmy. Od śmierci mojego ojca uzyskaliśmy kilka informacji na ten temat.

Rufio Alcares westchnął, potem pokręcił głową.

- Pański ojciec wiedział nawet więcej od pana. Dlatego nie zdecydował się tu przyjechać. Proszę posłuchać. Powtórzę panu wszystko, co kiedyś mu opowiedziałem.

Marlena i Robert nadstawili uszu. W napięciu śledzili każde słowo. Żywa opowieść staruszka przeniosła ich w odległe czasy.

- Miałem mniej więcej około dwunastu lat. Wojna już się skończyła. Dzieciaki z okolicy spędzały tu prawie każdy dzień. Nie mieliśmy nic lepszego do roboty. Wędkować mogliśmy dopiero od piętnastego roku życia, a ruiny przedstawiały wtedy o wiele ciekawszy widok niż dzisiaj. Przy niskim stanie wody można było się dostać nawet do podziemnych korytarzy. Teraz wszystko zabezpieczono i zamurowano. Gdzieś około Wielkanocy ktoś puścił plotkę, że tajemniczy goście z Rzymu penetrują bazylikę i grobowce. Wśliznęliśmy się za nimi po kryjomu i obserwowaliśmy ich ukradkiem.

Staruszek odsapnął krótko i wyciągnął małą, pogiętą flaszkę z kieszeni znoszonej, filcowej kamizelki bez rękawów. Po upiciu łyka kontynuował opowieść:

- Niewiele zobaczyliśmy. Ci ludzie z Rzymu diabelnie uważali. Lecz jedno mogę przysiąc: grób naszego papieża był pusty... tak pusty jak niegdyś grób naszego Pana, Jezusa Chrystusa... - Po ostatnim zdaniu przeżegnał się energicznie, jakby jego własne słowa zabrzmiały bluźnierczo.

Marlena popatrzyła na Roberta nie całkiem przytomnie. Pojęła, dlaczego Leopold wręczył im stary pergamin. Jeśli ludzie, którzy otworzyli grobowiec po wojnie, rzeczywiście służyli Kościołowi, Leopold, który przybył z Watykanu, musiał znać rezultaty ich badań. Ponownie zwróciła głowę w stronę Alcareza.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że owi tajemniczy poszukiwacze opróżnili wówczas grób?

- Nie. Zastali go pustym. Nie wiem, czego szukali, ale z całą pewnością tego nie znaleźli.

Mimo że Marlena i Robert doznali gorzkiego rozczarowania, bo stracili wielce obiecujący trop, zaprosili staruszkę na posiłek. Przy stole Robert przedstawił mu całą swoją historię. Z kolei Rufio Alcares wyczerpująco opowiedział o poszukiwaniach Piotra Garniera. Wyglądało na to, że ojciec Roberta nie spodziewał się znaleźć w tutejszej twierdzy czegoś istotnego. Wystarczył mu listowny i telefoniczny kontakt ze znawcą miejscowej historii i kultury. Widocznie najbardziej zainteresowały go wspomnienia Hiszpana z dzieciństwa i nieznane mu opowieści na temat grobowca Pedra de Luny.

- Widzicie państwo, Ojczulek Luna to dla nas bardzo ważna osobistość. Już wcześniej cześć, jaką go tu otaczano, była dla oficjalnego Kościoła solą w oku, ale co mogli zrobić? Nasz zamek należy do światowego dziedzictwa kultury. Nie można sobie pozwolić na niszczące wykopaliska. Większość z nas wierzy, że tu są przechowywane jego szczątki. W kwestiach wiary trudno o ustalenie absolutnej prawdy. To, czego szukał Piotr, niech Bóg ma go w swojej opiece, musi znajdować się gdzie indziej. Po naszym Ojczulku żaden inny papież nie został tu pochowany.

Marlena pamiętała własne badania. Hiszpan miał rację. Następca Luny spoczywał w Palma de Mallorca. O miejscu pochówku Bernarda Garniera źródła historyczne nie wspominały.

- Dokąd waszym zdaniem Bernard Garnier wyjechał? - spytał Rufio, zwracając głowę ku Marlenie. - Ja sądzę, że powrócił do swego domu. Powiedziałem to również mojemu przyjacielowi, Piotrowi.

Robert wysłuchał go z zaciekawieniem.

- Jeśli ma pan na myśli powrót do ojczyzny, to chyba dokładnie wiem, dokąd. - Pochwyciwszy pytające spojrzenie Marleny, dodał pospiesznie: - Jak wynika ze starych zapisków, Bernard Garnier pochodził przecież z tego samego regionu, w którym od wieków mieszka moja rodzina.

Dwoje poszukiwaczy pożegnało Rufia Alcareza tak pospiesznie, jak pozwalało dobre wychowanie. Staruszek wykazał daleko idące zrozumienie. Na koniec życzył im powodzenia w następujących słowach:

- Idźcie i znajdźcie to, czego pański ojciec odnaleźć już nie może.

Gdy Marlena przemierzyła połowę drogi do wyjścia z restauracji, Rufio jeszcze raz złapał Roberta za ramię i szepnął mu coś do ucha. Kiedy Marlena po raz ostatni odwróciła głowę, z uśmiechem pokiwał jej ręką.

- Nie uwierzysz, Karolu, czego się dowiedzieliśmy! - powitał Robert starego przyjaciela.

Zadowolony, że adwokat czekał już na nich w hotelu, przedstawił mu najnowsze wydarzenia i odkrycia. W tym czasie Marlena pakowała swój skromny dobytek do podróźnej torby. Zanim skończyła, w progu stanął Robert.

- Dobrze, że już zaczęłaś - pochwalił jej pomysł. Marlena zapięła suwak torby i wyprostowała plecy.

- Już skończyłam. Jedno trzeba ci przyznać, Robercie Garnier. Nie sposób się przy tobie nudzić.

Stanął za nią i zaczął powoli masować jej barki.

- Wiem - westchnął. - Ale czy powinniśmy teraz zakończyć poszukiwania?

Marlena oswobodziła się z jego objęć i popatrzyła mu poważnie w oczy.

- Dopóki potrafisz mnie przekonać, że nie gonimy za mrzonką, dopóty będę ci towarzyszyć. Ale obiecaj mi, proszę, że nie będziesz wiecznie poszukiwał ryzykownych przygód.

Robert skinął głową. Oprócz zmęczenia wyczytał z jej twarzy inne emocje.

- Obawiasz się katarów, czy jak tam się sami nazywają, prawda? Ale Remoulins to moja rodzinna miejscowość. Przymierzam, że jeśli ten trop nie doprowadzi do rozwiązania zagadki, dam sobie spokój. - Przerwał, popatrzył przed siebie nie-widzącym wzrokiem. Po chwili milczenia wyraził głośno myśl, której od początku nie ważył się sformułować: - Dalszych wskazówek tak czy inaczej nie mamy. Jeśli rzeczywiście ten ostatni ślad zawiedzie nas donikąd, to znaczy, że utraciliśmy monetę, a wraz z nią wszystko, za co mój ojciec musiał umrzeć.

Montaillou

Henry trochę zmarzł, gdy wyszedł na zewnątrz. Łagodna wieczorna bryza tutaj w górach nawet latem przynosiła chłód. Kilkakrotnie potarł dłońmi zziębnięte ramiona. Następnie nacisnął przycisk ponownego wybierania w telefonie komórkowym. Kilka minut wcześniej nie dość szybko zareagował na wibracje aparatu. Jednak nieudana próba Claude'a dała przynajmniej tyle, że jego numer został zapisany w pamięci telefonu.

- No, co tam, Henry? Jakieś kłopoty?

- Przepraszam. Nie zdążyłem odebrać. Poza tym mam tu bardzo słaby zasięg. Dzwoniłeś?

- Raczej nie wrócimy tak szybko, jak zaplanowaliśmy.
 - Dlaczego? Czy poszukiwania się przeciągają?
 - Można to w ten sposób ująć. Tych troje właśnie wyjeżdża. W tej chwili wszystko wskazuje na to, że nie zamierzają wracać.
- Henry przez chwilę rozważał jego słowa.
- Jeśli wyjeżdżają... czy to znaczy, że już znaleźli...?
 - Właśnie nie! - niemal wykrzyczał Claude. - Najdziwniejsze, że w ogóle nie szukali.

Cokolwiek to oznaczało, to na pewno nic dobrego. Henry sięgnął pamięcią wstecz. Podsumował wszystkie wysiłki, cały stracony czas. Starał się myśleć pozytywnie. „To nic strasznego, zwyczajna zwłoka i tyle” - powiedział sobie twardo.

W razie konieczności musieliby co najwyżej realizować swój plan bez utraconej monety. Dawne przesłanie pozostawiało szerokie pole dla wyobraźni. Jednak moneta nadałaby planowanej ceremonii szczególnego symbolicznego wymiaru: Słońce, wyrwane księżycowi, znów byłoby w zenicie nad świątynią.

- No dobrze, w takim razie zostańcie przy nich. My zaczekamy tutaj, chyba że potrzebujesz wsparcia?

- Jakoś sobie poradzimy - mruknął Claude. - Zadzwońę później.

Niedaleko granicy hiszpańsko-francuskiej

Kabriolet zaprojektowano dla nie więcej niż dwóch osób z bagażem. Karol doszedł do takiego wniosku po trzech godzinach jazdy na tylnym siedzeniu. Bolały go całe plecy. Wciśnięty pomiędzy walizki, na które nie starczyło miejsca w bagażniku, usiłował usnąć. Jak dotąd na próżno.

- Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za malkontenta, Robercie, ale po przekroczeniu granicy wolałbym zasiąść za kółkiem - zaproponował koledze.

Przez ostatnie godziny po zakończeniu rozmowy, Robert prowadził auto w ciemnościach, pogrążony w rozmyślaniach. Mimo że czas ich nie naglił, podróż mijiała szybciej, niż przewidywali, ponieważ większość kierowców jechała w przeciwnym kierunku. Marlena drzemała obok niego. Robert zerknął na twarz przyjaciela, widoczną we wstecznym lusterku.

- No dobrze. Spróbuję trochę posiedzieć z tyłu. Bardzo tam niewygodnie?

- Nie tak bardzo, żeby bez skrępowań odstąpić ci miejsce - roześmiał się Karol.

Kwadrans później dokonali zamiany i ruszyli dalej w kierunku Remoulins. Przewidywali, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, dotrą na miejsce o świcie.

Do takiego samego wniosku doszedł Bertrand, który niepostrzeżenie, pod osłoną nocy, podążał za srebrnym peugeotem ciemną limuzyną z wygaszonymi długimi światłami.

Remoulins

- Jadąc dalej w tym tempie, za godzinę dotrzemy do znanego nam McDonalda. Moglibyśmy tam zatrzymać się na śniadanie.

Wyrażona raczej w żartach propozycja, przypadła jednak Marlenie do gustu. Zerknęła na zegar samochodowego radia. Wskazywał kilka minut przed piątą. Gdy otworzyła oczy, zaskoczyło ją, że Karol siedzi za kierownicą. Później jak przez mgłę przypomniiała sobie zmianę kierowcy. Przeciągnęła się.

- Do diabła! Czuję się jak ukamienowany! - wymamrotał Robert.

Karol na krótko odwrócił głowę i rozciągnął usta w uśmiechu.

- A widzisz? Ale nie przejmuj się. Błyskawicznie rozprostujesz kości. Wiem, co mówię. Przemawia przeze mnie doświadczenie.

Piętnaście minut później wjechali na zwirowany podjazd pomiędzy dwa murowane słupy, który prowadził wprost do dworu Garnierów. O tej porze w majątku panowała cisza i spokój. Trójka podróżnych zdecydowała się na początek odrobić zaległości w spaniu.

- Dziś czwartek, prawda? W takim razie powinieneś zostawić Marii kartkę - przypomniał Karol.

Robert pomyślał chwilę. Przypomniał sobie, że po przyjeździe do Hiszpanii przyjaciel poinformował go, że poprosił starą gosposię o dogładanie dobytku. Podczas ich nieobecności miała sprawdzać dwa razy w tygodniu, czy wszystko w porządku: w poniedziałki i czwartki.

- Rzeczywiście, przychodzi dzisiaj. Dobrze, że o niej pomyślałeś. Trzeba ją uprzedzić, że wróciliśmy. Gdyby niespodziewanie zastała dom pełen ludzi, umarłaby ze strachu.

- To dobra dusza, złote serce - stwierdził Karol z ciepłym uśmiechem. - Bardzo się o ciebie martwi.

Podczas gdy Robert w pośpiechu bazgrał coś w swoim notesie, Marlena spytała:

- Właściwie co dalej robimy?

Karol siedział naprzeciwko niej ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i obserwował Roberta. Po usłyszeniu pytania pochylił się do przodu i pogładził ostry podbródek.

- O ile nadażam za tokiem rozumowania Roberta, szukamy teraz starego budynku, który już nie istnieje. Zgadza się?

- Mniej więcej, w ogólnych zarysach - potwierdził Robert po dość długim milczeniu. - Najgorsze, że nie potrafię ocenić, gdzie kończą się fakty, a zaczyna legenda. Przedstawię wam po prostu wszystkie informacje, jakie udało mi się zebrać przez lata. Mój pradziadek zmarł przed laty w wyniku ran postrzałowych, odniesionych w pojedynku. Jego śmiertelny wróg, do którego należał sąsiedni majątek, również nie przeżył. Rodzina Duchontów wyniosła się stąd, a może i wymarła. Nic więcej na ich temat nie wiadomo, ale wraz z ich zniknięciem konflikt z natury rzeczy wygasł. Starzy ludzie w wiosce wiedzą co nieco na ten temat, lecz nikt spoza rodziny nie zna przyczyny wzajemnej wrogości.

Robert zamilkł, żeby uporządkować myśli. Pochwyciwszy wymowne spojrzenia obojga, doszedł do wniosku, że lepiej natychmiast dokończyć rozpoczętą opowieść.

- W każdym razie mój ojciec wykrył, że spór dotyczył kawałka ziemi. W XVIII wieku Duchontowie uzyskali od gminy część dawnych gruntów kościelnych, leżącą pomiędzy obydwoma majątkami. Stała tam kapliczka. Patriarcha rodu Duchontów kazał ją wyburzyć, żeby wybudować w tym miejscu stajnię. Mój przodek zawrzał gniewem na taką bezbożność i bezczelność. Wskutek jego protestu cofnięto pozwolenie na budowę, lecz kaplica została już zburzona. Kolejne pokolenia rodziny Garnierów patrzyły bezsilnie, jak ich rywale uprawiają sporny kawałek gruntu, a ruiny kapliczki stopniowo znikają z powierzchni ziemi. Z kolei Duchontowie wykorzystywali swoją przewagę. Stanowczo odmawiali

odsprzedania działki, choć Garnierowie z całą pewnością oferowali im korzystną cenę - Robert ziewnął. - Tak w skrócie wyglądała historia naszych przodków. A teraz chciałbym się wreszcie przespać kilka godzin.

Mimo że Marlena była równie wyczerpana, pokręciła głową z dezaprobatą.

- Jak możesz teraz myśleć o spaniu?! Przemilczałeś przecież najważniejszą część tej... starej legendy.

- ...lub przynajmniej swoje wnioski - dokończył za nią Karol.

Robert popatrzył na Marlenę, potem przeniósł wzrok na przyjaciela.

- To tylko przypuszczenia. Boję się jak wszyscy diabli, że się nie potwierdzą. Muszę wam później coś pokazać, za dnia, jak już wstaniemy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Karol włożył zielone gumowce. Na Marlenę pasowała tylko jedna para butów turystycznych. Maria, pomoc domowa, przejrzała szafy w poszukiwaniu starych kitli i spodni roboczych, żeby zaopatrzyć obydwójce gości gospodarza w odpowiednią odzież. Wcześniej uściskała Roberta czule, niemal ze łzami w oczach. Kamień spadł jej z serca, że zwolniono go z więzienia. Nie widziała go od dnia aresztowania. Święcie wierzyła w jego niewinność. Na polecenie Karola poprosiła synów, silnych dryblasów, którzy na co dzień pracowali w winnicach, żeby pilnowali dworu. Robert nie chciał bowiem słyszeć o dozorze policyjnym. Nadal uchodził bowiem za domniemanego ojcobójcę.

Przechodząc obok lustra, Marlena ujrzała swoje odbicie. Omal nie krzyknęła z przerażenia. Mogłaby spokojnie stanąć pomiędzy krzewami winorośli jako strach na wróble. Karol w kraciastej koszuli drwala i poplamionych ogrodniczkach, robił równie niekorzystne wrażenie. Spośród całej trójki tylko Robert włożył normalne ubranie. W stroju młodszego szefa starej winiarni wyglądał niemal elegancko. Czekala go oczywiście jeszcze długa droga, zanim zaczną go tytułować *Maitre Vigneron*. Jednak Marlena ani przez sekundę nie wątpiła, że gdy nadejdzie stosowna pora, weźmie na siebie ciężar odpowiedzialności za rodzinne dziedzictwo.

- Został nam jeszcze ponad kilometr! - zawołał Robert, który objął przewodnictwo nad ich pieszą wędrówką.

Musieli brnąć przez mokrą od porannej rosy, miejscami wysoką do kolan, trawę. Lepszej drogi jednak nie było. Dawna ścieżka, niegdyś dobrze wydeptana, zdążyła zarosnąć lawendą i niezliczonymi gatunkami wonnych polnych kwiatów. Niedaleko stąd rzeka Gardons wiała się przez dolinę. Tu i ówdzie samotna czapla brodziła w spokojnej wodzie, przy brzegu, w poszukiwaniu zdobyczy.

Po pokonaniu niewielkiego wzniesienia wkroczyli na równy teren, porośnięty krótką trawą. Marlena pochwyciła z daleka znajome dźwięki. Stado owiec pasło się na błoniach. To one czyściły teren z traw. Robert przystanął i szeroko rozłożył ręce. Marlena pojęła, że to owce wyświadczyły im największą przysługę, jakiej mogliby sobie w obecnej sytuacji zażyczyć.

- Chodzi o ten pas - Robert wskazał szpaler drzew wzdłuż rzeki i grupę drzewek owocowych po drugiej stronie szpaleru. - Od rzeki do drzew pas ten jest szerokości około dziesięciu do piętnastu metrów.

Wydawał się niewielki, ale czekało ich niełatwe zadanie. Wskazany przez Roberta obszar miał około hektara.

Na wzgórzu, w pobliżu drugiego brzegu rzeki, przykucnął Bertrand, wsparty na sękatym pniu wyrwanego z korzeniami drzewa. Odjął od oczu polową lornetkę i powiesił na gałęzi. Następnie wyciągnął telefon komórkowy i wybrał numer szefa.

- Tak?

- Szli około pół godziny wzdłuż rzeki. Wygląda na to, że teraz zamierzają tam kopać.

Watykan

- Tu Montanelli!

Matthias Leopold należał do nielicznych, których nie przerażał głos kardynała, przypominający warczenie. Doskonale wiedział, że ten przysłowiowy pies nie gryzie, a już na pewno nie jego.

- Tu brat Matthias - odpowiedział całkiem spokojnie. - Zaszły nowe okoliczności, których nie przewidzieliśmy.

- Jakie znowu?! - warknął kardynał. - Aresztowano ich, nie udało im się, czy co?

Opracowali doskonały plan. Montanelli pamiętał zalecenia: rzucić im kartkę ze starej księgi, żeby zmylić Roberta Garniera i Niemkę. W najlepszym przypadku Francuz powinien coś uszkodzić lub zniszczyć w hiszpańskiej bazylice. Gdyby popełnił jakiegokolwiek wykroczenie, zostałby aresztowany i doprowadzony przed oblicze władz. Podejrzanemu o morderstwo najmniejszy występki nie uszedłby na sucho. Ale wszystko wskazywało na to, że sprawy potoczyły się zupełnie inaczej, niż przewidywał ich scenariusz.

Leopold doniósł o spotkaniu z miejscowym człowiekiem i pospiesznym odwróceniu poszukiwaczy. Montanelli wiele by dał, żeby dowiedzieć się, co to wszystko znaczy.

- To jeszcze nie wszystko - ciągnął Leopold. - Gdy ta trójka odjechała, ruszył za nimi ciemny wóz. Straciłem go wprawdzie z oczu, ale dam głowę, że nie odjechał daleko.

Relacja podwładnego nie zachwyciła kardynała.

- W porządku. Zadzwoń, jak tylko zajdzie coś nowego - rozkazał.

Remoulins

Gdy Robert, Marlena i Karol przybyli na miejsce, dla systematyczności poszukiwań podzielili cały obszar na prostokątne parcele. Karol potknął się na swojej o polny kamień. Przystanął mniej więcej na środku przeszukiwanego obszaru, uniósł ręce do góry i zawołał pozostałych. Marlena dotarła do niego jako pierwsza. Z początku nic nie potrafiła rozpoznać. Dopiero gdy stanęła obok Karola, dostrzegła zarysy kamieni ciosowych, porośniętych mchem i chwastami.

- Znalazłeś coś? Czy to na pewno to? - wydyszał Robert niemal bez tchu, ale pełen zapału.

Karol skinął głową. Otarł pot z czoła. Wskazał kamienną płytę.

- Widać tylko fragment - odrzekł.

- Najpierw musimy oczyścić grunt - orzekła Marlena.

Ponieważ przynajmniej w teorii miała najwięcej doświadczenia w stosowaniu technik archeologicznych, żaden z nich nie zaprotestował.

Cztery resztki słupów wyznaczały prawie kwadratową płaszczyznę, o powierzchni około cztery na cztery metry. Brakowało wielu płyt podłogi. Prawdopodobnie zabrano je stąd, podobnie jak pozostałości dawnej kaplicy, żeby wykorzystać jako materiał budowlany. Dwaj mężczyźni odrzucili szpadlami resztki gruzu i grubego żwiru - ostatnich świadków pospiesznego zniszczenia miejsca kultu wzniesionego z niemałym trudem. Poza tym w trzech miejscach odsłoniли czworokątne płyty, które szczególnie przyciągnęły uwagę Marleny.

- Długo przedtem, nim księży zaczęto grzebać na cmentarzach, zgodnie z ich życzeniem chowano ich

w domach Bożych - wyjaśniła. - Najchętniej wybierano miejsca w pobliżu rodzinnych grobowców szlachty. Jednak byli tacy duchowni, którzy mogli sobie pozwolić na wzniesienie własnej kaplicy grobowej; często sami budowali swoje przyszłe miejsce wiecznego spoczynku.

Robert podszedł bliżej, stanął za jej plecami i obserwował jak usuwa mech i próchnicę z rowków w kamiennych płytach.

- Czy któryś z was zabrał scyzoryk? - spytała.

- Oczywiście. - Robert podał jej swój.

- Dziękuję. Niewykluczone, że gdzieś tu natrafimy na płytę grobową albo nawet mały grobowiec. Na szczęście nie wszystkie kamienie wywieziono.

Karol również ukląkł obok niej i obejrzał kamień.

- Mimo ich skromnych rozmiarów, miejscowi zachowali się przyzwoicie i uszanowali to miejsce pochówku. Ja w każdym razie również nie chciałbym wmurować w ścianę swego domu czyjejs płyty nagrobnej.

- I kto to mówi! Zatwardziały ateista! - roześmiał się Robert.

Marlena ostrożnie prowadziła ostrze wzdłuż szczeliny. Na razie nie potrafiła ocenić, czy to naturalne pęknięcie, czy wyżłobienie celowo zrobione przez człowieka. Po długotrwałej procedurze drapania nożem i dotykania palcami orzekła:

- Żadnego napisu, żadnego rysunku. Nic, kompletnie nic. Zupełnie zwyczajna płyta podłogowa.

Robert i Karol chwycili za szpadle.

- Podnieśmy ją. Lepiej się upewnić.

Marlena wzruszyła ramionami, ale nie zgłosiła obiekcji.

Dwaj mężczyźni naprężyli mięśnie i wspólnym wysiłkiem nieco unieśli płytę nad ziemię. Marlena szybko wcisnęła niewielki kamień w roli klina. Oburzona stonoga pospiesznie umknęła w cień traw. Dwie dżdżownice skuliły się ze strachu i wycofały z powrotem do swoich norek. Prócz jeszcze paru przerażonych żyjatek i płasko ugniecionej ziemi, trójka poszukiwaczy niczego więcej nie znalazła.

- Dalej, do następnej! - zarządziła Marlena, po czym podpełzła na czworakach do drugiej płyty.

Długie, proste wyżłobienie sprawiało wrażenie celowo wykonanego ludzką ręką. Przy odrobinie wyobraźni rzeczywiście można było rozróżnić kontury krzyża. Wkrótce Marlena oczyściła pięknie rzeźbiony krucyfiks. Zanim zdążyła zawołać towarzyszy, usłyszała głos Roberta:

- Leno, chodź szybko! Coś znaleźliśmy!

Gdy się odwróciła, ujrzała Roberta i Karola, pochylonych nad trzecią płytą. Zaczęli palcami oczyszczać kamień. Miał inny kolor, był prawie jak czerwony piaskowiec, a na powierzchni miał głębokie rysy. Marlena musiała się wyprostować, żeby zauważyć, co jej dwaj towarzysze odsłonili. Nie ulegało wątpliwości, że znaki pisarskie. Zaciekawiona, uklękła i zeskrobała nożykiem brud z kilku liter. Wkrótce można było się domyślić, że tworzą imię. W środku znajdował się jakiś symbol.

S CT P RRE AD MC XX V

Rysa w kamieniu zniszczyła kilka znaków. Inne zatarł czas. Podczas gdy Robert w napięciu usiłował rozgryźć znaczenie napisu, Marlena wskazała znaki.

- To z całą pewnością data. AD to skrót od słów Anno Domini
- Rok Pański, a to 13xx lub 14xx

- wyszeptać przejęta. - Niestety, brak najważniejszych liczb -
dodała, żeby pozbawić ich złudzeń.

- To może oznaczać niemal każdą datę pomiędzy rokiem 1374
a 1438. - A górna część napisu i rysunek? - Robert pochylił się
nad środkiem płyty i w napięciu oglądał okrągły ornament.
Nawet jeśli przedstawiał kiedyś wspaniałą ozdobę, nie zostało z
niej nic poza zatartym zarysem okręgu.

- Można to chyba odczytać jako Sanct Pierre. Takie napisy
zdarzają się w tej okolicy.

- Jeśli święty Piotr, to raczej nie odkryliśmy grobowca -
westchnął Robert z rozczarowaniem.

Karol chwycił za szpadel.

- Najlepiej to sprawdzić.

Na początek odsunęli oderwany kawałek płyty. Pod spodem
odkryli gliniastą glebę, w której żyło równie wiele zwierząt, jak
pod poprzednią płytą.

Marlena nie czekała dłużej. Zabrała się do pracy przy krzyżu.
Również tutaj odnalazła pozostałości liter. Zanim dwaj
mężczyźni podźwignęli część płyty, wsunęła palce w bruzdę. Tu
znaki zachowały się znacznie lepiej niż na pierwszej płycie. Gdy
usunęła ziemię, poznała przyczynę: wyłobienia były głębsze, a
litery bardziej kanciaste. Tylko końcowej części rzędu nie mogła
jednoznacznie odczytać. Mogło być: MCDXXX... może III lub
IV, lub nawet VI.

Ale mimo to, ten szereg rzymskich cyfr pozwalał określić
ramy czasowe dokładniej niż poprzedni. Podczas gdy Karol z
Robertem szeptali między sobą, zawołała głośno:

- Hej, panowie! Co myślicie o datach pomiędzy 1433 lub 34 a
36?

Robert doskoczył do niej.

- 1433 brzmi całkiem niezłe. Co jeszcze odcyfrowałaś?

- Trudno powiedzieć. Pater sacrum czy coś takiego. Dość nietypowa kombinacja. Albo poświęcony grób księdza...

- Albo Ojca Świętego! - dokończył za nią Robert.

- Zanim Marlena zdążyła otworzyć usta, złapał za łopatę. - Marleno, Karolu, bierzcie łopaty i kilofy.

Dopiero przy trzeciej próbie nieco podważyli ciężki kamień. Właściwie tylko zatrzeszczał, ale nie ustąpił.

- Trzeba go odsłonić - orzekł Karol.

Okopali płytę dookoła, miejsce przy miejscu. Podczas gdy panowie pracowali łopatami, Marlena wyciągała drobniejsze kamienie z rozkopanej ziemi. Minęło prawie pół godziny, zanim odsłonili większą część brzegów płyty. Następnie Robert z Karolem wykopali przy dwóch jej rogach tyle ziemi, ile zdołali. Dalej natrafili na płaskie kamienie, tworzące coś w rodzaju wykładziny czy posadzki. Ponownie wsunęli łopaty w szczelinę i uderzyli w spoinę.

- Raz, dwa, trzy! Nic nie wskórali.

- Jeszcze raz.

Płyta z głośnym skrzypieniem uniosła się o kilka centymetrów.

- Dalej, dalej.

Przy następnej próbie dołączyła do nich Marlena, lecz dopiero przy szóstej próbie wspólnym wysiłkiem unieśli płytę na tyle - i zabezpieczyli przed upadkiem

- że mogli oświetlić pustą przestrzeń pod spodem.

- To mały murowany grobowiec.

Krąg światła latarki omiółł całe wnętrze. Marlena cała w nerwach wsunęła głowę w szczelinę tak

daleko, jak to tylko było możliwe. Wciągnęła w nozdrza stęchłe powietrze. Owionął ją chłód, lecz patrzyła dalej, niezrażona.

- Co widzisz?

- Ten grób nie jest pusty. Rozpoznaję zebro, chyba kość miednicy i nieprawdopodobną ilość kurzu.

Zamierzała właśnie cofnąć głowę, gdy promień światła padł na jakiś błyszczący przedmiot. Drgnęła z przestachu, lecz gdy ochłonęła, spróbowała wykrzyć, co odbiło światło. Położyła latarkę na dnie sarkofagu i zaczęła obmacywać podłoże w tej okolicy, gdzie coś wcześniej błysnęło. Choć dziwnie się czuła, dotykając szczątków zmarłego, nie ustała w wysiłkach, póki nie natrafiła na mały, chłodny krążek.

Błyskawicznie zacisnęła na nim palce. Wstała tak gwałtownie, że dostała zawrotów głowy.

- Zobaczcie, co wyciągnęłam!

Powoli otworzyła zaciśniętą pięść. Promienie południowego słońca padły na małą, złotą monetę. Marlena rozpoznała na niej rysunek ryby i znaki pisarskie.

CZEŚĆ TRZECIA

Jeszcze w dwunastym roku po soborze w Konstancji, Gil Sanchez Munoz nadal trwał na papieskim urzędzie jako Klemens VIII w swej skalnej twierdzy w Pehiscoli. Następnie jednak zebrał nowego papieża Marcina wraz z jego kardynałami i w obecności ich wszystkich ogłosił swoją abdykację.

Opuścił komnatę, zdjął papieskie szaty, oddał insygnia, po czym wrócił w zwyczajnym odzieniu jako proboszcz katedry w Walencji. Zwrócił się do kardynałów:

- Zachęcam was, żebyście ogłosili nowym papieżem wielce czcigodnego pana Oddona di Colonę, którego Rzymianie zwaą Marcinem V.

I kardynałowie spełnili jego polecenie.

Przesłanie z ostatniego papieskiego protokołu, Peñiscola, 26 lipca 1429

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Watykan, 11 lutego 1944

Ukochana Ellie!

Tutaj od wielu dni pada deszcz. W moim sercu również panuje chłód i mrok. Po samotnych świętach Bożego Narodzenia i powitaniu Nowego Roku - bez Ciebie - mówią mi, że również w Wielkanoc Cię nie zobaczę. Nadal nie wolno mi zdradzić, co konkretnie tu robimy, ale nie musisz się o mnie martwić. Opiekuj się naszym dzieckiem, którego niestety jeszcze nie widziałem. Rób, co możesz, żebyście przetrwali tę straszliwą wojnę. Tutaj mówią, że nie potrwa już długo, cokolwiek to oznacza.

Napiszę do Ciebie tak szybko, jak to możliwe. Pragnę Cię zapewnić o swojej nieustającej miłości i tęsknocie.

Twój Anton

Anton Schönberg położył wieczne pióro obok kartki i przeczytał napisane zdania. Poczul, jak łza wypływa mu z prawego oka i toruje sobie drogę w dół po policzku.

Przebywał w Rzymie już pół roku wraz z kolegami po fachu. Mury Świętego Miasta odgradzały ich

od zewnętrznego świata. Zakwaterowano ich w szeregu skromnych cel, w których zwykle mieszkali mnisi. Jedyne wyposażenie stanowiło biurko, klęcznik, zwykła szafa i łóżko. Żadnych ozdób, żadnych wygod - nic prócz nieznośnej ciasnoty. Według oceny Antona pokój mierzył nie więcej niż trzy na cztery metry.

- Jesteś tam, Anton?

Ktoś z zewnątrz głośno zapukał do drzwi. Profesor szybko wsunął list do żony do koperty.

- Tak. Wejdz.

Drzwi się otworzyły. Do środka wszedł Luigi. Liczył sobie dwadzieścia lat, dwa razy mniej niż Schönberg. Profesor tylko z nim jednym utrzymywał bliższy kontakt. Luigi był kimś w rodzaju osobistego protegowanego kardynała Abatiego. Do jego obowiązków należało między innymi prowadzenie szczegółowej dokumentacji. Pełnił też funkcję łącznika. Sam Luigi nazywał się najchętniej prawą ręką Abatiego. Swego nazwiska nigdy nie wymienił. Mimo że nie nosił zakonnego habitu, wszyscy stale nazywali go bratem Luigim. Profesor Schönberg często się do niego porównywał. Czasami nawet trochę zazdrościł statusu zwawemu Włochowi. Ponieważ studiował w burzliwym okresie międzywojennym, nie zaznał studenckiej beztroski. W tych czasach życie pod opieką Watykanu nie wydawało się najgorsze, dopóki człowiek nie miał rodziny gdzieś w niedostępnym, dalekim kraju.

Luigi wpadł do środka zdyszany. Wyglądał na bardzo zdenerwowanego.

- Co się dzieje? - spytał Anton z zachęcającym uśmiechem. - Biegasz tam i z powrotem jak wystraszony kurczak.

- Pomyśl tylko! - wymamrotał młody Włoch drżącym głosem.
- Wpadliśmy w naszych badaniach na właściwy trop. Znaleźliśmy napis, który wskazuje na cyrk Nerona.

Antona zaskoczyło, jak szybko osiągnięto wynik. Uczeni z reguły dokładnie badali i oceniali każde znalezisko. Następnie przekazywano wyniki za pośrednictwem Abatiego do komisji kardynałów. Dopiero ona decydowała, jak należy dalej postąpić. Zaledwie na początku tygodnia odsłonili tuzin pustych nisz, które bez wątplenia pełniły niegdyś funkcję grobowców. Inskrypcję odkryto przedwczoraj.

- Co na to kardynałowie? - dociekał Anton. Luigi służył zwykle jako goniec pomiędzy Abatim i kardynałami.

- Właśnie zaniósłem odpowiedź Abatiemu - odparł Luigi z szerokim uśmiechem. - A więc teraz już wiemy, że pozostałości cyrku Nerona znajdują się bezpośrednio pod nami. Uzyskaliśmy pozwolenie na natychmiastowe rozpoczęcie dalszych prac badawczych.

Ostatnia informacja wystarczyła profesorowi. Domyślił się, że dalsze poszukiwania będą wyglądać nieco inaczej niż dotychczasowe. Do tej pory często prowadzili wykopaliska nocą, żeby turystom nie blokować w ciągu dnia dostępu do Bazyliki Świętego Piotra. Właśnie w tych latach grozy wierni szczególnie licznie ściągali do Świętego Miasta. Zdaniem Schönberga wielu z nich wiele ryzykowało, udając się w drogę. Zerknął na zegarek. Było wczesne popołudnie.

- Czy to znaczy, że powinniśmy zaraz wyruszyć? Gdy Luigi skinął głową, Anton wstał, chwycił swój fartuch i kask ochronny.

- No dobrze. W takim razie zejdźmy do podziemi i znajdziemy wreszcie ten grób.

Nic nie wskazywało na to, że kamienna płyta da się poruszyć. Badaczom nie pozostało nic innego, jak poluzować ją za pomocą młotków i dłut, póki nie ruszyli jej z zagłębienia.

Znajdowali się kilka metrów pod miejscem, w którym znaleziono napis. Wyglądało na to, że odnaleźli kolejne komory grobowe. W przeciwieństwie do innych nisz, wydrążonych przeważnie po prawej i lewej stronie korytarzy, te ostatnie wykuto w ukrytym pomieszczeniu. Poszukujący odkryli go w istocie przypadkowo. Z początku uznali prowadzący do niego korytarz za jedną z licznych ślepych odgałęzień. Kamienna płyta wraz z ukrytym za nią pomieszczeniem była doskonale zamaskowana. Reszty dokonały dwa tysiące lat wilgoci i nawarstwiania się odłamków skalnych.

Jasnowłosy, przysadzisty mężczyzna w długim, nieco znoszonym, szarym płaszczu wyszedł im naprzeciw nie wiadomo skąd. Jego głos brzmiał twardo i czysto nawet w katakumbach.

- Czy to grób świętego Piotra? - spytał. Naukowcy wymienili niepewne spojrzenia. Po

pierwsze nie byli tego pewni. Po drugie, już na pierwszy rzut oka rozpoznali w nim niemieckiego oficera.

Anton Schönberg zdecydowanie pokręcił głową.

- W obecnej chwili nie możemy panu udzielić odpowiedzi na to pytanie.

Mimo przekonania, że rzeczywiście odnaleźli grób pierwszego apostoła, profesor wolał głośno nie potwierdzać swej tezy. Nieznajomy wzbudził w nim niepokój.

- Pragnę panom przedstawić pana Friedricha Schneydta, oficera kontaktowego Dywizji Pancerniej Hermann Göring - oznajmił Abati, który wkroczył

do pomieszczenia wraz z cudzoziemcem. W ręce trzymał jakiś dokument. - Jego dywizja konwojowała transport dzieł sztuki z klasztoru na Monte Cassino, która dopiero co dotarła do zamku Świętego Anioła. W dodatku przekazano mi jako potwierdzenie pismo towarzyszące od opata. Pan Schneydt będzie uczestniczył w wykopaliskach jako gość przez cały czas swego pobytu w Rzymie.

Według relacji Abatiego, Friedrich Schneydt omal nie przypłacił życiem wywozu skarbów z terytorium walk o wzgórze Monte Cassino. Nie dość, że ostrzeliwali ich alianci, to jeszcze oddział oficerów SS omal nie rozstrzelał ich z wyroku sądu polowego. Niektórzy niemieccy politycy wysokiej rangi mieli ochotę uszczknąć dla siebie nieco wartościowych przedmiotów. Dlatego potraktowali przewiezienie ich do neutralnego obszaru Watykanu jako akt zdrady. Z kolei Abati był gotów natychmiast udzielić żołnierzom z konwoju azylu. Schneydt przyjął jego propozycję z wdzięcznością.

Profesor w skrytości ducha zadawał sobie pytanie, czy Abati wykazał aż tak wielką naiwność, czy też w pełni świadomie zapewnił Niemcowi nieograniczony dostęp do okrytych tajemnicą prac wykopaliskowych.

Remoulins, czasy współczesne

Wyczerpani, lecz uszczęśliwieni poszukiwacze z ulgą padli na trawę. Marlena ostrożnie wypolerowała monetę chusteczką do nosa. Rzeczywiście, na jednej stronie miała wybitą głowę cesarza Nerona, a na drugiej tajemne wówczas symbole chrześcijaństwa.

- Wpadli na genialny pomysł - stwierdziła Marlena.

Robert kiwnął głową. Pierwsi chrześcijanie stworzyli imponujący system, złożony z tajnego łańcucha wspólnot, który pozwalał im przetrwać na obszarze wroga. Musieli wybierać takie rozwiązania i znaki rozpoznawcze, żeby żaden postronny obserwator ich nie rozszyfrował, a każdy wtajemniczony - pojął. W przeciwieństwie do Jerozolimy, we wspaniałej rzymskiej metropolii człowieka bez pieniędzy szybko kwalifikowano do kasty żebraków lub nawet niewolników i usuwano poza nawias społeczeństwa. Piotr obrał doskonały znak rozpoznawczy, wyraźny, a jednocześnie nierzucający się w oczy. Dzięki temu mógł stworzyć organizację, która szybko zyskiwała na znaczeniu.

Karol ułożył się na plecach - w pewnej odległości od Marleny i Roberta. Obserwował pierzaste chmury, wiszące z pozoru nieruchomo na niebie. Nareszcie osiągnął cel. Wreszcie znaleziono to, co wywołało tak wiele zamieszek i konfliktów. Teraz wszystko wróci do normy. Usiadł i przepędził mroczne myśli.

Robert przerzucał monetę z jednej ręki do drugiej, jakby oceniał jej wagę. Mierzyła około trzech lub czterech centymetrów. Nie miała dokładnie okrągłego czy owalnego kształtu. Ale to jego zdaniem czyniło ją piękną.

Nie wiedział, czy należy do niego - znalazcy - czy do państwa, jako obiekt zabytkowy? Czy gmina mogła zażądać, żeby ją oddał, skoro ziemia, w której była ukryta, nie należała już do Garnierów? A może powinien w końcu zwrócić ją Kościołowi katolickiemu?

- Co teraz? - spytał niepewnie.

Marlena przeczuwała, jakie rozterki nim targają. Dziwiło ją, że Karol jeszcze nie zacytował stosownych paragrafów. Ale jako badacz doskonale zda-

wała sobie sprawę zarówno z prawnych, jak i moralnych aspektów historycznych znalezisk. Postanowiła w taki sposób sformułować odpowiedź, żeby Robert sam podjął właściwą decyzję.

- Spójrzmy na sprawę całkiem obiektywnie. Posiadasz drzewo genealogiczne, które wykazuje, że jesteś potomkiem Bernarda Garniera. W grobie przodka znalazłeś w zasadzie świecki przedmiot. Jako znalazcy i spadkobiercy w linii prostej przysługuje ci prawo do zatrzymania go na własność. Wiele zależy od tego, czy gdzieś jeszcze żyją inne gałęzie twego rodu. Nie znam francuskiego prawa dotyczącego własności znalezisk archeologicznych. Tu z pewnością Karol udzieli ci wyczerpujących informacji. Nie ulega natomiast wątpliwości, że nie potrzebujesz pergaminów z papieskiego pałacu, które nam skradziono, żeby dochodzić swych praw. Nawet jeśli dokumenty traktują monetę jako własność Kościoła, to pozostajesz jak najbardziej legalnym spadkobiercą prawowitego właściciela. Watykan musiałby najpierw potwierdzić istnienie monety, żeby rościć sobie do niej prawo. Póki tego nie zrobi, pozostaje ona dziedzictwem twojej rodziny. Nikt nie może ci jej odebrać.

- Na pani miejscu nie wyciągałbym tak pochopnych wniosków!

Wystraszona trójka poszukiwaczy gwałtownie odwróciła głowy. Kilka kroków za nimi stał Bertrand. W prawej ręce trzymał rewolwer.

- Proszę mi oddać monetę i nie stawiać oporu. Nie mam najmniejszej ochoty zastrzelić was wszystkich, dopóki mnie do tego nie zmusicie. Wszystko zależy od was.

Marlena ani przez chwilę nie wątpiła, że nie rzuca słów na wiatr. Posłała Robertowi pytające spojrze-

nie. Wyczytała w jego oczach bezsilność i wściekłość.

Karol zamarł w bezruchu. Oddychał szybko i czekał, co dalej nastąpi. Robert powoli zwrócił głowę w jego kierunku.

- To ten facet z pałacu - mruknął. - To pomocnik tych katarów, czy też jak tam się chcą nazywać.

Karol wskazał Bertranda ruchem głowy.

- Oddaj mu wreszcie tę monetę - wydyszał. - Wygląda na to, że nie żartuje.

Bertrand już stał tuż za nimi z wyciągniętą przed siebie lewą ręką.

- Proszę mi ją powolutku położyć na dłoni. A was proszę o spokojne zachowanie.

Robertowi drżała ręka. Ostatnie dni poszukiwań i przypuszczalny przebieg zabójstwa ojca przesuwały mu się przed oczami jak film. Wciąż widział rysunek odbity na monecie. Ale czy ona warta była życia kolejnych trzech osób? Z ociąganiem otworzył zaciśniętą pięść.

Bertrand w mgnieniu oka pochwycił monetę. Zamknął ją w dłoni i odstąpił krok do tyłu. Odwrócił się błyskawicznie, gdy poczuł w łydce zimny, piekący ból. Kolano się pod nim ugięło. Pod wpływem nagłego impulsu odciągnął spust pistoletu. Zanim zdążył oddać strzał, celny kopniak w pierś przewrócił go na ziemię. Nad nim dyszał Karol. Jego nóż nadal tkwił w podudziu przeciwnika.

Ani Marlena ani Karol nie spostrzegli w tym momencie, że Robert z twarzą wykrzywioną bólem przycisnął rękę do piersi i zgiął się w pół. Marlena pobladła jak ściana z przerażenia. Jej umysł rejestrował przebieg wypadków jak przez mgłę. Po nieskończenie długim czasie, z krzykiem rzuciła się do postrzelonego przyjaciela.

Niecałe trzy metry dalej Karol zdołał wreszcie wytrącić broń z ręki Bertrandowi. Złapał go za grdykę i trzymał w żelaznym uścisku. Twarz Bertranda poczerwieniała. Rzęził i patrzył przed siebie z przerażeniem. Mimo rozpaczliwego położenia, udało mu się ugiąć nogę do tyłu i kopnąć Karola kolanem w podbrzusze. Gdy ten, zaskoczony nieoczekiwanym bólem, rozluźnił uścisk, Bertrand wyswobodził się i uderzył go pięścią w podbródek.

Kilka sekund później Bertrand podniósł się z trudem. Kuśtykając, oddalił się na bezpieczną odległość. Znalazł bezpieczne schronienie w zaroślach nad brzegiem rzeki. Tam rozpiął pasek od spodni i ścisnął nim nogę ponad raną, a poniżej kolana. Potem oderwał od nogawki wąski kawałek materiału i namoczył w rzece. Owinął nim ranę. Odetchnął z ulgą, gdy chłodny kompres chociaż na chwilę złagodził piekący ból.

Później wrócił, utykając, na swój posterunek obserwacyjny. Pilnie teraz potrzebował telefonu komórkowego. I broni. Mimo że pozostało mu do przebycia niecałe sto metrów drogi, przeklinał każdy krok.

Watykan

W gabinecie kardynała Montanellego panowała wyjątkowo nerwowa atmosfera. W ciągu ostatnich dwóch godzin odebrał trzy telefony w sprawach nie cierpiących zwłoki. Po pierwszym połączeniu z Leopoldem, kazał zablokować wszelkie inne. Wydał surowy zakaz łączenia z kimkolwiek, prócz samego Ojca Świętego i swojego specjalnego wysłannika z tajnym zadaniem. Nic innego się nie liczyło. Im dłużej myślał, tym bardziej utwierdzał się w tym przekonaniu.

Wbrew temu, co sądzili o nim podwładni, nie pożywał ani władzy, ani sławy. Nie lubił publicznych występów. Zdecydowanie wolał pozostawać w cieniu. Na zapleczu ujawniał swe prawdziwe talenty. Od czasów Świętej Inkwizycji i jej następczyni - aż po Kongregację Nauki Wiary, nie było w Watykanie żadnej tajnej organizacji. Ochrona wewnętrznych struktur uznawana była w minionych stuleciach za jedno z priorytetowych zadań.

A lista globalnych zagrożeń była długa: industrializacja, kapitalizm, rewolucje, wojna światowa. Nawet jeśli Kościół katolicki na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie zacofanego, uważniejszy obserwator określiłby go jako ostatni bastion ludzkiej wspólnoty, przysłowiową opokę w kipieli wydarzeń - w imię i w duchu Jezusa Chrystusa.

„Na tej skale zbuduję mój Kościół” - kardynał przywołał w myślach słowa Zbawiciela, skierowane do swego ucznia Piotra.

Drugi telefon od brata Matthiasa Leopolda niepomnie ucieszył kardynała Montanellego. Już przywykł do myśli, że moneta przepadła na zawsze. Papież Urban swego czasu całkowicie zniszczył wszelkie wzmianki na jej temat. Argusowym okiem pilnował archiwistów, którzy wrzucali do ognia jedną kartę za drugą. Podejrzliwi papież wcześniej docenili znaczenie archiwalnych zapisków i potęgę pracowników archiwów. Szybko pojęli, że spośród wszystkich rodzajów broni jedynie pióro dorównuje mieczowi!

Lecz władza Urbana ograniczała się do Watykanu. Kilka stuleci później stara, zdawało się zapomniana legenda wydała niebezpieczny owoc poznania. Tron najwyższego pasterza mógł zadrzeć w posadach. Kardynał Montanelli uznał za swój obowiązek uczynić wszystko, żeby zapobiec nieszczęściu.

Zaledwie kilka minut później odłożył słuchawkę po kolejnej rozmowie, jeszcze bardziej załamany.

- Za... jak to zginęła? - wyjąkał po wysłuchaniu krótkiej relacji Leopolda. Wiadomość wstrząsnęła nim tak bardzo, że bezwładnie opadł na najbliższe krzesło. Siedział tam bez ruchu i bezmyślnie obserwował wahadło starego, drewnianego zegara.

Relikwia odległej przeszłości została wprawdzie wydobyta na światło dzienne, lecz wpadła teraz w ręce nieodpowiedniej osoby. „Trzy razy zapiał kur” - znów cytował w myślach Montanelli.

W tym momencie telefon ponownie zadzwonił - po raz czwarty.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Remoulins

Oczy Marleny zaszyły łzami. Widziała jak przez mgłę ciało Roberta, leżące obok niej na świeżej ziemi, którą przed chwilą sami rozkopali. Przed chwilą upadł na bok. Atak nastąpił tak szybko, że nie zdążył wyciągnąć rąk dla złagodzenia upadku.

Marlena czuła chłodne, wilgotne palce Roberta w swojej dłoni i czekała, aż wreszcie nimi poruszy. Ale nic takiego nie nastąpiło. Położyła palce na jego nadgarstku. Ledwie wyczuwała puls. Serce biło bardzo słabo, ale na szczęście regularnie. Usiłowała sobie przypomnieć wiadomości z kursu pierwszej pomocy. Niestety, skończyła go tak dawno, że wiele zapomniała. Podniosła się ostrożnie. Nagle usłyszała ciche rżenie, potem kaszel. Oparła głowę Roberta o swoją pierś. Prawą ręką chwyciła go za ramię. Gdzieś tu musiała być uszkodzona jakaś żyła. Żebra, serce i płuca dzieliło od niej zaledwie kilka centymetrów. Właśnie te centymetry miały zdecydować, czy Robert przeżyje, czy umrze?

Montaillou

Gdyby w tych dniach jakiś turysta zabłądził do małej, odciętej od świata wioski w Pirenejach, przy-

byłby w samą porę. Już od lat uważano ją za coś w rodzaju sekretnego punktu docelowego dla tych, którzy pragnęli przemierzyć ścieżki katarów - i to z dala od tłumów. Od czasu publikowania w Internecie różnych teorii spiskowych, liczba zwiedzających gwałtownie wzrosła.

Awanturnicy i poszukiwacze skarbów marzyli o legendarnym złocie templariuszy, a nawet wyobrażali sobie, że znajdą tu świętego Graala. Przybywali z różnych powodów i w różnych celach, lecz łączyło ich jedno: sposób, w jaki kończyli swą podróż. Mianowicie wszyscy schodzili z powrotem w dolinę ze spuszczoneymi głowami i pustymi torbami.

Po pierwszym okresie, zainteresowanie nieco osłabło i nastał względny spokój. Teraz przybywali tu głównie nauczyciele i badacze, od teologów do architektów i artystów wszelkiej maści. Niewiele wsi w Europie oferowało taką atmosferę i takie bogactwo inspirujących motywów, jak Montailou, gdzie jakoby ocaleni z pogromu Czyści, którzy niegdyś zbiegli w góry, nadal tu przebywali. Przy odrobinie wyobraźni, w ciszy wieczoru, można było usłyszeć, jak echo niesie ich pieśni nad wierzchołkami gór.

W rzeczywistości, we wsi nie mieszkał nikt inny prócz zbieraniny artystów i romantyków, którzy tu, w górach, odnaleźli spokój, jakiego nie oferowało im życie w miastach. Średniowieczną atmosferę zawdzięczali przede wszystkim staraniom Henry'ego, Claude'a, Luca i starego Luciena. Wszędzie w oknach i przy wejściach do domów kwitły kwiaty. Plac przed kościołem zdobiła wesoła, barwna rabata. W środku morza białych kwiatków były czerwone - posadzone w kształcie typowego dla

tej okolicy krzyża templariuszy o ośmiu zakończeniach. Brzeg obsadzono liliami, herbowymi kwiatami Francji. Na maszty wciągano na przemian białe jak śnieg i czerwono-żółte flagi w narodowych barwach Langwedocji.

Jednak najbardziej przyciągały wzrok trzy imponujące, porządnie ułożone stosy drewna w centralnej części wioski. W środku dwóch zewnętrznych sterczały pojedyncze pale. Do trzeciego zaś prowadziły drewniane schody, zakończone podestem z desek. W świetle dnia owa scenografia nie budziła grozy. Feeria barw całego otoczenia zdecydowanie osłabiała jej wymowę. Jednak gdy nad górami zapadał zmrok i ostatnie promienie zachodzącego słońca padały na wiejski rynek, te trzy stosy zaczynały budzić koszmarne skojarzenia. Rozpalona wyobraźnia podsuwała sugestywny obraz palących się i krzyczących z bólu ofiar.

Claude i Henry stali wsparci o mur z grubo ciosanych kamieni, otaczający dawną plebanię. Mały, grożący zawaleniem budynek należał do rodziny starego pasterza Luciena. Poza tym posiadał on chatę na krańcu wioski. Przez większą część roku wypasał jednak w górach swoje stado. Prowadził wędrowny tryb życia, nie bardzo więc dbał o rodzinę i stary dom. W końcu Henry zaproponował mu, że się zaopiekuje chatą. Lucien wyraził na to zgodę. Nie miał nic przeciwko, by przekształcić ją w coś w rodzaju centrum pamięci.

Claude obrzucił badawczym spojrzeniem całość scenografii.

- Doskonała robota. Szkoda tylko, że praktycznie nie będziemy mieć prawdziwej publiczności.

Henry nie odpowiedział. Przecież już debatowali nad tą kwestią. W końcu wspólnie postanowili

przesłać przez łącza internetowe nagranie tej inscenizacji do jednej ze stacji telewizji satelitarnej. Stamtąd obraz i sygnał dźwiękowy znajdą najpewniejszą drogę do odbiorców, a nikt nie zakłóci przebiegu spektaklu w Montailleu. Henry wprawdzie nadal uważał, że należałoby powiadomić przynajmniej niektórych najbliższych im braci w wierze, jednak dla dobra sprawy nawet nie próbował forsować swego stanowiska. Zbyt wiele mieli do stracenia. Popatrzył na Claude'a w zadumie.

- Prawie osiągnęliśmy cel - stwierdził. - Pozostaje tylko mieć nadzieję, że twój kierowca wie, co robić.

Claude wyciągnął z kieszeni koszuli paczkę papierosów „Gitanes”. Najpierw podsunął ją staremu przyjacielowi. Zdziwiło go, że ten wziął jednego. Henry pociągnął raz i zakasłał. Claude roześmiał się z satysfakcją. Wyjął drugą zapałkę, zapalił swojego papierosa i mocno wciągnął w płuca kilka kolejnych porcji dymu.

- Bertrand jest kimś więcej niż tylko kierowcą - sprostował przytłumionym głosem. - Powierzam mu bez najmniejszej obawy najbardziej odpowiedzialne zadania.

Henry rzucił swojego papierosa na ziemię i zdeptał. Zapalił w całym życiu dziesięć, najwyżej piętnaście sztuk. Przeważnie mu nie smakowały. A teraz wręcz budziły w nim odrazę. Zmarszczył czoło, przeszukał kieszenie w poszukiwaniu cukierka lub gumy do żucia. Na próżno. Nic nie znalazł.

- Być może - odburknął. - Ale teraz zamiast monety może zaprezentować nam tylko ranę na łydce, nieprawdaż?

Claude położył Henry'emu rękę na ramieniu.

- Spokojnie, odpręż się. To dopiero pierwszy akt. Jeszcze nie wyciągnęliśmy wszystkich atutów.

Remoulins

- Co... się stało?

Marlena gładziła bladą twarz Roberta, póki jego policzki powoli nie odzyskały kolorów. Pocisk przeszedł pomiędzy ramieniem i klatką piersiową, tak że nie uszkodził ani ręki, ani żebra. Podczas gdy korpus ciała doznał jedynie powierzchniowych obrażeń, ramię zostało nadwyreżone poważnie.

Mimo wszystko Marlena ogromnie się ucieszyła, gdy jej przyjaciel wreszcie uchylił powieki. Miał wprawdzie szkliste oczy, lecz mówił stosunkowo wyraźnie.

- Co się stało?

Zostałeś postrzelony - odpowiedziała.

Robert popatrzył na swoje ramię. Na widok przesiąkniętego krwią ubrania na chwilę dostał zawrotów głowy.

- Wygląda przerażająco, ale nie jest tak źle! - pocieszyła go Marlena.

Znalazła w kieszeni jego spodni bawełnianą chusteczkę do nosa. Zwilżyła ją rosą z traw. Przyłożyła mu ją do czoła i odczekała, aż ponownie otworzy oczy.

- Rzeczywiście nie czuję wielkiego bólu, tylko... dziwi mnie, że nie widzę upływu krwi - wymamrotał po chwili przerwy.

Marlena nie powstrzymała uśmiechu ulgi. W ciągu nieskończonej długich minut trwogi pojęła, jak głęboko Francuz zapadł jej w serce. Potrzebowała Roberta, zależała od niego. Prawdopodobnie ujął ją swoją naturalnością, szczerością i uczciwością.

- Dobrze, że dawno temu ukończyłam kurs pierwszej pomocy i że nie zapomniałam nabytych na nim umiejętności.

- Wygląda na to, że opatrzyłaś mnie, jak należy - pochwalił pacjent.

- Miło mi to słyszeć. Mimo to musimy iść do lekarza. - Marlena spoważniała. - Jak myślisz, dasz radę wstać?

Karol, zanim odzyskał przytomność, wydał długie, przeciągłe stęknięcie. Wcześniej, nim Marlena zaczęła opatrywać Roberta, upewniła się, że adwokat nie odniósł poważniejszej rany. Ostatnie minuty przeleżał nieprzytomny w trawie. Po ocknięciu się wciąż odczuwał pulsujący ból w skroniach. Mimo to niepe-wnie uniósł górną połowę ciała i podkurczył nogi. Przez chwilę nieruchomo tkwił na czworakach. Następnie zwrócił głowę ku pozostałej dwójce. Marlena siedziała, częściowo zwrócona do niego tyłem. Trzymała głowę i tułów Roberta na kolanach. Wyglądało na to, że skupiła na nim całą uwagę.

Karol przypomniał sobie huk wystrzału. Pamięć podsunęła mu obraz ostatnich chwil walki z Bertrandem. Gdy Marlena usłyszała jęk Karola, zwróciła ku niemu głowę.

- Dobrze się pan czuje? - spytała.

- Tak, dziękuję. Całkiem dobrze.

Mówienie przychodziło mu z trudem. Bolała go głowa, szyja, ramiona i klatka piersiowa. Pierwsza próba oszacowania własnego stanu ujawniła mu, że żadna z jego najważniejszych życiowych funkcji nie uległa jednak poważniejszym zaburzeniom. Gdy zbierał siły, by wreszcie stanąć na własnych nogach, jego wzrok padł na błyszczący metalowy krążek w trawie.

Moneta! Ten drań ją zgubił.

Karol ukradkiem zerknął na Marlenę. Ponieważ znów pochyliła głowę i nie odrywała wzroku od

Roberta, powoli podpełzł do monety. Po chwili szybko zamknął ją w prawej dłoni. Zanim wstał, krążek zniknął w kieszeni jego spodni.

- Mógłby pan tu przyjść?! - zawołała Marlena.

- Robert potrzebuje pomocy. Musimy go zabrać do lekarza, żeby opatrzył mu ranę.

Gdy Karol usłyszał Marlenę, przestraszył się, jak uczeń przyłapano przez nauczyciela na ściąganiu. Lecz ani z jej oczu, ani Roberta nie wyczytał niczego, co by wskazywało, że obserwowali go, gdy chował monetę.

- Tak, oczywiście. Proszę poczekać - odpowiedział.

Jednym mocnym podciągnięciem postawił przyjaciela na nogi. Robert zrobił pierwszy krok, wsparty o ramię Marleny. Zranione ramię przyciskał mocno do boku. Choć nie ulegało wątpliwości, że cierpiał, usiłował robić dobrą minę do złej gry.

- Dziękuję, już sobie poradzę - zapewnił tak pogodnym tonem, na jaki było go stać.

Marlena po raz ostatni rzuciła okiem na rozkopaną ziemię.

- Mimo wszystko mogło być znacznie gorzej

- stwierdziła. Pochwyciwszy pytające spojrzenie Roberta, dodała tytułem wyjaśnienia: - Wszyscy przeżyliśmy, możemy chodzić, a ponadto... - Przerwała i posłała Karolowi znaczące spojrzenie - ...nie straciliśmy monety.

- Czy to znaczy, że Bertrand jej nie zabrał? - spytał Robert z mieszaniną ulgi i niedowierzania.

- Nie - potwierdziła z uśmiechem. - Usiłował, ale pan Karol go dopadł i uratował twoje dziedzictwo. Prawda, panie Karolu?

Karol zatrzymał się. A gdy Marlena również zwołała kroku, nie odrywając od jego twarzy pytającego

spojrzenia, popatrzył z poważną miną na dwoje przyjaciół.

- Poniekąd - odrzekł enigmatycznie. Po tym jednym słowie zapadła cisza.

- Co pan... chce przez to powiedzieć? - wykrztusiła Marlena. Przeczowała, że nic dobrego.

Karol uniósł rękę.

- Proszę wyświadczyć nam wszystkim przysługę i nie zadawać żadnych pytań. Odchodzę... i zabieram ze sobą monetę.

Po ostatnich słowach zostawił ich samych.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Lotnisko Awinion

Kardynał Montanelli mrugał powiekami. Jasne, popołudniowe słońce raziło go w oczy. Kiedy wylatywał z Rzymu, padał deszcz. A tu już zaczął się pocić. Powoli zszedł po składanych schodkach wycarterowanej cessny. Przyleciał nią do Awinionu wraz z garstką innych pasażerów, prawdopodobnie biznesmenów.

Do wyruszenia w nieplanowaną podróż skłoniła go ostatnia rozmowa telefoniczna. Zadzwonił sam papież. Twierdził, że zleca mu specjalne zadanie. Polegało ono na sprawdzeniu zasadności prośby gminy katarów. Ich przedstawiciel zażądał, żeby kardynał Montanelli przybył osobiście.

Kardynał wziął teczkę, sprawdził, czy czarny garnitur dobrze leży. Najchętniej zrezygnowałby z krawata, lecz Watykan w tajnych misjach zachowywał daleko idącą ostrożność. Nie można było pozwolić na szum w mediach.

Montanelli zamierzał włączyć swój telefon komórkowy, gdy ktoś zawołał go po nazwisku.

- Halo, *monsignore* Montanelli, tu jestem.

Kardynał popatrzył na grupkę około dwunastu osób, które stały za barierką zagrządzającą wejście.

To małe lotnisko nie zasługiwało jednak na miano terminalu!

Montanelli spostrzegł Matthiasa Leopolda, który machał do niego ręką. Mimo znacznej różnicy wieku, kardynał Montanelli wysoko cenił jego bystry umysł i zaangażowanie.

- Nie spodziewałem się tu ciebie zastać - zagadnął na powitanie. - Dlaczego nie zostałeś w Remoulins?

Wsiedli do samochodu, który Matthias Leopold wynajął kilka dni wcześniej. Kardynał usiadł obok kierowcy i obserwował krajobraz za oknem. To tutaj w okresie kilku dziesięcioleci rezydowało pół tuzina papieży, którzy bojkotowali prawomocną głowę Państwa Kościelnego.

- W Remoulins nie pozostało dla mnie samego nic więcej do zrobienia. Uznałem, że najstosowniej będzie razem odwiedzić pana Garniera.

Leopold nie odrywał wzroku od drogi. Francuscy kierowcy nie jeździli tak brawurowo, jak sądzono za granicą. Poza tym Leopold w Rzymie zdobył na tyle doświadczenia w ruchu ulicznym, że nie przerażały go żadne wyzwania.

- A więc to prawda. Straciłeś monetę - powiedział Montanelli z wyrzutem. Wprawdzie Leopold otrzymał od niego wskazówkę, żeby jak najmniej rzucał się w oczy, lecz w momencie pojawienia się znaku z przeszłości, większe znaczenie zyskała ważniejsza dyrektywa: „Wejść w posiadanie monety za wszelką cenę”.

Matthias Leopold skorzystał z okazji, by rzucić okiem na twarz pasażera. Najwyraźniej kardynał oczekiwał przeprosin i wiarygodnego wytłumaczenia. A otrzymał coś zupełnie innego. Leopold uśmiechnął się do siebie.

- Wprawdzie nie zdobyłem monety, ale sługa katarów też nie. W obecnej chwili znajduje się, jak bym to określił, w nienajgorszych rękach. Gdy pewien adwokat wytoczy przeciwko nam swoje paragrafy, zaszachujemy go naszymi argumentami.

Remoulins

Maria przygotowała Robertowi i Marlenie świeże ubrania i przygotowała im obfity posiłek, choć obojgu nie dopisywał apetyt. Wezwany w trybie pilnym lekarz, oczyścił i opatrzył rany Roberta. Wprawdzie zabandażował mu rękę i zawiesił na temblaku, lecz ocenił uszkodzenie jako niezbyt ciężkie. Orzekł, że za kilka dni rana się zagoi.

Robert zdrową ręką nabijał na widelec kawałki mięsa. Gospościa przygotowała im małe medaliony wieprzowe w zielono-brązowym sosie pieprzowym i z ryżem ugotowanym na sypko. Warzywa Marlena sama wybrała poprzedniego dnia na targu.

- Dziwnych przyjaciół sobie dobierasz - stwierdziła po kilku minutach milczenia.

Robert podniósł na nią znużone spojrzenie.

- Nie rozumiem, co w niego wstąpiło. Ufałem mu bezgranicznie. Od lat szkolnych powierzyłbym mu w każdej chwili swoje życie. Ale być może dziadek miał rację.

- W jakiej sprawie?

- Ostrzegam, że Karol... nie za bardzo do mnie pasuje. Nie potrafiłem odgadnąć, o co mu chodzi. Wiele lat później spróbowałem wysondować ojca, ale też nie znał odpowiedzi. Być może chodziło o pochodzenie Karola.

- A skąd pochodzi?

- Podobno jego matka była w połowie Niemką. Urodziła się w czasie wojny, prawdopodobnie jako owoc związku Francuzki z niemieckim żołnierzem.

Marlena przez chwilę rozważała jego słowa.

- Nie widzę związku. Jak myślisz, ile dzieci zostało w tamtych czasach poczętych w podobny sposób?

- Z całą pewnością niemało. Lecz mój dziadek reprezentował inny punkt widzenia.

Marlena rozumiała staruszkę. Jej dziadkowie zapisali własne karty w mrocznej historii wojny, lecz każdy zupełnie inną. Nigdy nie wybaczyła ojcu matki, że ani razu nie zaprotestował przeciwko zbrodniom swych rodaków. Prawdopodobnie między innymi z tego powodu otaczała najwyższą czią pamięć Antona Schönberga. I dlatego też poszła w jego ślady.

- *Monsieur* Robert!

Gdy Maria zawołała Roberta, obydwójce już kończyli jeść.

- Słucham?

- Ktoś chciałby z panem porozmawiać. - Gospodyni zawiesiła głos, spojrzała wymownie w stronę holu. - Jacyś dwaj panowie. Jeden z nich to duchowny - dodała, żegnając się energicznie.

Robert popatrzył na Marlenę. Zrobiła równie zdziwioną minę, lecz szybko skinęła głową na znak, że powinien ich przyjąć.

- Proszę ich zaprosić do środka.

Robert siedział tyłem do drzwi. Zanim ujrzał niespodziewanych gości, już wyraz twarzy Marleny powiedział mu, że ktoś szczególny złożył im wizytę.

- Leopold - wyszeptała przez ściśnięte gardło. - Co pan tu robi, na Boga?

Robert odwrócił się i obrzucił intruza nieprzychylnym spojrzeniem. Za Leopoldem wkroczył do jasno

oświetlonej jadalni postawny mężczyzna o południowym typie urody i mięsistej, zaczerwienionej twarzy. Matthias podszedł całkiem blisko do stołu i uniósł ręce w uspokajającym geście.

- Bardzo proszę o wybaczenie - zagadnął prawie uniżenie. - Proszę jeszcze raz udzielić mi kredytu zaufania. Spróbuję państwu spokojnie odpowiedzieć na wszystkie pytania.

Po szybkiej wymianie spojrzeń z Marleną, Robert skinął głową. - No dobrze, proszę siadać.

Leopold wraz z osobą mu towarzyszącą zajęli miejsca przy dłuższych bokach stołu. Robert z Marleną zostali tam, gdzie siedzieli. Wokół krzątała się Maria, pospiesznie uprzątając naczynia.

- Pozwólcie państwo, że na początek przedstawię Jego Eminencję, kardynała Montanellego.

Marlena przypomniała sobie, że podczas ostatniego spotkania Leopold wspomniał o jakimś kardynale.

- Bardzo mi miło państwa poznać - zagadnął Montanelli. - Brat Leopold był tak uprzejmy, że przygotował mnie na to spotkanie. Możemy więc od razu przejść do rzeczy.

Robert pochylił się do przodu i wsparł na zdrowej ręce.

- Bardzo mi to odpowiada, jeśli mam być szczery - odparł. - Jak panowie sami widzicie, w ostatnich dniach doznałem uszczerbku na zdrowiu. Powoli zaczynam mieć dość licznych nieznanomych i proszę wybaczyć - podejrzanych osób.

Matthias Leopold popatrzył na Marlenę, Roberta, w końcu przeniósł wzrok na kardynała.

- Sądzę, *monsignore*, że powinniśmy nawiązać z państwem współpracę. Jestem gotów im zaufać. Razem moglibyśmy osiągnąć o wiele więcej.

Montanelli skinął głową. Bawił się zostawioną na stole serwetką. Po chwili przemówił:

- Wszyscy wiemy, o jakie znalezisko chodzi. Przejdę więc od razu do sedna sprawy. Jestem papieskim pełnomocnikiem do specjalnych poruczeń. Podróżuję incognito, z nieoficjalną misją. Oficjalnie dla papieskiej stolicy owa moneta jeszcze nie istnieje. Jej istnienie zostanie potwierdzone dopiero wtedy, kiedy znajdzie się w naszym posiadaniu.

Marlena i Robert milczeli wyczekująco.

- A teraz - ciągnął Montanelli - chciałbym przewieźć monetę na właściwe miejsce.

- Co znaczy właściwe?! - niemal wykrzyknęła Marlena, znacznie głośniejsze, niż zamierzała. - To niezbyt precyzyjne określenie, zależne od punktu widzenia. W każdym razie nie wolno pozbawiać spadkobiercy spadku... niezależnie od tego, czyim pierwotnie był ów przedmiot.

Robert nie powstrzymał uśmiechu. Podziwiał odwagę Marleny, która bez wahania wzięła jego stronę. Nie wierzył wprawdzie, że kardynał współdziała z Karolem, lecz zwietrzył okazję, by oczyścić sobie pole działania. Na razie czekał, co nastąpi dalej.

Wystąpienie Marleny nie zrobiło na Montanellim najmniejszego wrażenia.

- Widzicie państwo, ja patrzę na sprawę z bardziej... pragmatycznego punktu widzenia. Ta moneta należała niegdyś do samego świętego apostoła Piotra. Zabrał ją ze sobą do grobu. Święty Kościół katolicki stoi na stanowisku, że... dobrze by było, gdyby tam wróciła po latach.

Dopiero teraz Robert z Marleną pojęli, do czego zmierzał przybysz. Doszli do wniosku, że być może niesprawiedliwie go osądzili. Robert zmarszczył czoło.

- Czy to znaczy, że nie macie zamiaru po prostu jej... odebrać?

- Wręcz przeciwnie - odrzekł Montanelli z uśmiechem. - Zostałem nawet upoważniony do zaproponowania panu godziwego odszkodowania.

Mina Marleny zdradzała daleko idący sceptycyzm.

- Proszę nie zapominać o jednym - wtrąciła. - My jej już nie posiadamy. Skradziono nam ją.

Leopold przygryzł wargę w zadumie.

- Nie ukrywam, że o tym wiemy - zaczął jakby z wahaniem. - W ostatnich dniach zdobyłem więcej informacji, niż państwo przypuszczacie. - Pochwyciwszy niezbyt przytomne spojrzenie Marleny, pochylił się ku niej lekko i dodał: - Ostatnio odwiedziłem nawet Cassis. Rozumie pani? Niestety, po wyjściu z restauracji straciłem was z oczu.

Marlena przełknęła ślinę. Robert czuł, że narasta w nim gniew.

- Czy to oznacza, że śledził nas pan przez cały czas?

- Ależ skąd! Na Boga! - wykrzyknął Leopold, unosząc ręce w obronnym geście. - Gdybym miał cokolwiek do ukrycia, przemilczałbym ten fakt. Chciałem tylko być z państwem szczerzy. Los zaprowadził mnie w te okolice już przed trzema tygodniami. Potem usłyszałem o tej sprawie w Awinionie. W ten sposób tu dotarłem. Dalsze poczynania konsultowałem z kardynałem Montanellim.

- A więc nie ma pan nic wspólnego z pościgiem na drodze do Marsylii? - wtrąciła Marlena, nie kryjąc niedowierzania.

Leopold energicznie pokręcił głową.

- Absolutnie nic. To nie w naszym stylu. Ale być może zainteresuje państwa wiadomość, że Karol był w Cassis tego samego dnia.

Awinion

- Karolu?

Starsza pani drzemała w głębokim fotelu, gdy Karol cichutko otworzył drzwi. Ponieważ od dawna nikt inny do niej nie przychodził, sędziwą Justynę cieszyły każde odwiedziny wnuka.

W gruncie rzeczy to określenie nie oddawało prawdziwych stosunków pokrewieństwa. Karol był naprawdę jej ciotecznym wnukiem. Wkrótce po śmierci Wiktora Duchonta zmarła również jego ostatnia siostra. Zostawiła dwie młode córki, które dorastały pod opieką zakonnicy w klasztorze. Starsza, Justyna, obrała właściwą drogę. Wiodła cichy, skromny żywot. Jej młodsza siostra pragnęła używać życia. Próbowwała swoich sił jako piosenkarka i tancerka w podejrzanych lokalach Awinionu i Arles. Pragnęła wyjechać do Ameryki. Zanim zdążyła zrealizować to marzenie, zaszła w ciążę z niemieckim żołnierzem. Zrozpaczona, bez środków do życia, zapukała do drzwi Justyny.

Choć ta nie miała wiele do zaoferowania, otoczyła noworodka najczulszą opieką. Umieściła coraz bardziej zagubioną siostrę w domu zakonnym, gdzie zapewniono utrzymanie i opiekę jej, a później również dziecku. Tam też zdobyło ono wykształcenie. Były to ciężkie czasy dla niezamężnych matek i nieślubnych dzieci.

Niecałe dwadzieścia lat później, siostra Justyny zmarła na suchoty. Jej córka zdążyła już dorosnąć. Po śmierci matki nikt i nic nie mogło zatrzymać jej w klasztornych murach. Umknęła prosto w ramiona znanego w mieście lekkoducha. Po śmiertelnym wypadku, na miejscu zdarzenia, wyjęto z jej łona małego Karola po siedmiu miesiącach niechcianej

cięży. I znowu cioteczna babcia, Justyna, pospieszyła z pomocą. Żeby oszczędzić mu przykrości i upokorzeń, zataiła przed światem niezbyt chlubne szczegóły jego narodzin.

Karol rósł jak na drożdżach i pięknie się rozwijał. Jego również wychowywały zakonnice, ponieważ starsza pani nie czuła się na siłach, by samotnie opiekować się maleństwem. Jednak każdą niedzielę, ferie i wakacje chłopiec spędzał u ciotecznej babci. Mocno się ze sobą zżyli.

Karol zataił przed rówieśnikami historię swego pochodzenia. Postronny obserwator nie odgadłby, że nie dorastał w pełnej, szczęśliwej rodzinie. Już od pierwszego dnia nauki w szkole zaprzyjaźnił się z potomkiem hodowców winorośli, Garnierów.

- Witaj, ciociu Justyno! - zawołał od progu. - Wspaniale, że już wróciłaś.

Karol opadł na wygodną sofę naprzeciwko jej fotela.

Starsza pani zmarszczyła czoło.

- Wy tłumacz no, czemu zostawiliście tu taki bałagan? - spytała bez cienia nagany w głosie.

Karol pochylił się i delikatnie poklepał ją po dłoni.

- To długa historia, ale uwierz mi, opłaca się jej wysłuchać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Remoulins

Robert zaprosił gości do salonu. Tam zasiedli na sofach przy niskim stoliku, przy herbacie i ciastkach. Pod czujnym okiem uwiecznionego na olejnym malowidle antypapieża, Bernarda Garniera, wymieniali informacje i snuli plany. Montanelli sprawił Marlenie najmniej oczekiwaną niespodziankę:

- Nasze rodziny, jeśli tak mogę to określić, nie po raz pierwszy współpracują ze sobą.

Marlena posłała kardynałowi pytające spojrzenie.

- Co eminencja ma na myśli?

- Kiedyś, podczas wojny...

- Chodzi o mojego dziadka? - spytała z mocno bijącym sercem.

- Bez obawy - uspokoił ją Montanelli. - Był porządnym, lojalnym człowiekiem. To dla nas wiele znaczyło. Więcej nie śmieliśmy oczekiwać nawet od naszych własnych pracowników.

- Czy mogłabym poprosić o wyjaśnienie, co się właściwie wtedy wydarzyło?

Marlena miała nadzieję, że pozna przynajmniej część nieznanej rodzinnej historii. Nie znalazła dotąd bowiem żadnych notatek. Nawet ojciec niewiele wiedział.

Montanelli zwrócił wzrok ku Leopoldowi i skinął głową na znak zgody.

- Proszę jej opowiedzieć.

Watykan, 1 marca 1944

Anton Schönberg cofnął się, w pełni świadomy, że tysiącletni mur zapewni mu oparcie. Nigdy nie uważał się za przykładnego chrześcijanina. Nie bywał regularnie w kościele, co nie znaczyło, że brakowało mu nadziei i wiary. Na ogół jednak wolał brać swój los we własne ręce, niż zawierzać go Opatrzności.

Odkąd Hitler po dojściu do władzy natychmiast usiłował przedstawić się narodowi jako nowy zbawiciel, uprawianie kultu religijnego przez chrześcijańskie społeczności napotykało na znaczne trudności. Ellie, nie bacząc na żydowskie pochodzenie ze strony babki, już jako dziecko wybrała wiarę katolicką. Mimo szykan nie zrezygnowała z uczestnictwa w nabożeństwach. Prócz jej jednej nikomu nie brakowało Antona w kościele...

Podczas badań archeologicznych w Bazylice Świętego Piotra doświadczał mieszanych uczuć. Z jednej strony cieszyło go najnowsze odkrycie, z drugiej - odczuwał zażenowanie, że akurat jemu przypadł tak wielki zaszczyt. Ellie dałaby wszystko, by mu towarzyszyć. Tymczasem Anton nie mógł jej zdradzić nawet słowem, jakie prowadzi prace.

Minęły już dwa tygodnie od chwili, gdy odsłonili grób. Szczątki zostały poddane szczegółowym badaniom, a następnie z powrotem złożone do niszy. Spoczywały tam, żeby największa wojenna zawierucha w dziejach świata nie mogła zakłócić ich spokoju.

- Poruszający widok, prawda?

Pytanie Luigiego sprowadziło Antona Schönberga z powrotem do rzeczywistości. Drgnął lekko, jakby owionął go chłód. Tuż za młodym Włochem stał blady Niemiec.

- O tak, rzeczywiście - odparł, po czym ściszył głos. - A ten co tu znowu robi? - wyszeptał.

Zanim padło następne słowo, Niemiec podszedł do grobu. Równocześnie z cienia katakumb wysunął się kardynał Abati.

- Na Boga! Nie dotykać! - wykrzyknął.

- Bez obawy - odburknął Friedrich Schneydt, po czym wyciągnął z chlebaka olbrzymi aparat fotograficzny. - Tylko udokumentuję znalezisko.

Abati sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego. Najwyraźniej jednak nie mógł mu odmówić. Jego zachowanie wzbudziło jeszcze większą niż dotąd nieufność Schönberga. Kardynał w ogóle nie powinien wpuszczać Niemca do podziemi!

Abati nie zabronił intruzowi użyć lampy błyskowej w słabo oświetlonym pomieszczeniu. Migawka szczęknęła trzy czy cztery razy. Później obcy schował aparat do torby. Następnie ruszył wprost ku katakumbom. Nawet na chwilę nie przystanął obok kardynała. Rzucił mu tylko na odchodnym:

- Zrobię jeszcze kilka zdjęć dla Fuhrera. O resztę zatroszczy się panna Riefenstahl z Berlina wraz ze swoim zespołem filmowców.

Gdy jego kroki ucichły, kardynał Abati popatrzył bezradnie na obydwu uczonych.

- To, co panowie widzieli i słyszeli, pod żadnym pozorem nie może wyjść poza te święte mury.

Profesor ze zmarszczonym czołem wskazał korytarz, w którym zniknął Niemiec.

- Moim zdaniem eminencja powinien to powiedzieć raczej jemu. Hitler przegrywa na wszystkich frontach. Jak eminencja myśli, co zrobi, gdy dowie się o naszym odkryciu?

Kardynał uśmiechnął się nieznacznie, lecz z nieoczekiwaną ufnością. Lewe oko drgało nerwowo,

lecz głos brzmiał zadziwiająco spokojnie, gdy w końcu przemówił:

- Możecie panowie być spokojni. Daję słowo, że wiemy, jak temu zapobiec.

Zamiast kolejnego konwoju przez pole bitwy, tym razem czekał na niego samolot Ju-52. Tak szybko można było awansować na informatora najwyższej rangi państwowej! Friedrich nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Podróżował ze ściśle tajną misją, po której wiele sobie obiecywano w stolicy Rzeszy. W skrytości ducha Friedrich usiłował sobie wyobrazić, jak rozpaczliwie pożądanym sukcesu. Wiedział jednak, że machina propagandy kładzie szczególny nacisk na wykorzystywanie wszelkich najnowszych odkryć. Do tej pory każde takie przedsięwzięcie zostało uwieńczone powodzeniem.

Szkoda tylko, że jego kolega, Johann, nie mógł już dzielić z nim tych fascynujących przeżyć. W ostatnich czasach często wspominał kompana, który zakończył życie w tak bezsensowny sposób. Obydwaj przeżyli wspólnie dwa lata wojny na niemieckich frontach, nie odnosząc poważniejszych ran, aż do tej historii we francuskim zagajniku.

„Niezwykła kariera” - pomyślał Friedrich. - „Od prostego żołnierza do pełnomocnika do specjalnych poruczeń podziemnej organizacji tajnych służb”. Oficjalnie jego komórka nie miała żadnego powiązania z gestapo czy SS. Lecz Friedrich doskonale zdawał sobie sprawę, że czarne limuzyny marki Mercedes i skórzane płaszcze wyglądają identycznie jak te, których używa tajna policja.

Przed pół rokiem śmierć niespodziewanie dopadła właśnie Johanna. Ktoś zamordował go skrytobój-

czo podczas lotu do Rzymu. Lecz jeśli Adolf Hitler rzeczywiście zamierzał objawić się światu jako nowy, współczesny zbawiciel, to w ostatecznym rozrachunku opłaciło się ponieść tę ofiarę.

Friedrich z satysfakcją wkroczył po schodkach do maszyny. Zdumiał go wytworny wystrój przestronnego wnętrza. Podczas swojej służby wojskowej naoglądał się do syta ciasnych kokpitów samolotów bojowych. Obite skórą siedzenia junkersa wprost zapraszały do odpoczynku nad chmurami, przynajmniej dopóki pilot leciał jedną z tras uznawanych za bezpieczne. Maszyna miała wprawdzie oznakowanie dyplomatyczne, lecz w tych czasach nie można było polegać na tej, aż nazbyt często stosowanej, taktyce.

Poza Friedrichem samolotem leciało jeszcze dwóch pasażerów. Zarezerwowano wprawdzie jeszcze miejsca dla kilku osób, ale pilot otrzymał rozkaz wystartowania natychmiast po wejściu Friedricha na pokład. Postój niemieckiego samolotu na lotnisku w Rzymie niósł ze sobą poważne ryzyko. Dlatego należało jak najprędzej wrócić do ojczyzny. Pilot poinformował Friedricha, że czeka ich międzylądowanie w Berchtesgaden. Stwierdził, że Hitler przebywa w swoim zamku w Alpach Salzburskich.

Start przebiegł bez komplikacji, lecz zanim samolot nabrał wysokości, Friedricha dosięgła śmierć. Zginął na swoim siedzeniu od zatrutej strzały.

Remoulins, czasy współczesne

Kardynał Montanelli po opróżnieniu filiżanki odstawił ją ostrożnie na stół. Odgłos porcelany stanowił pierwszy dźwięk w pełnej napięcia ciszy.

- Proszę zadawać mi pytania - zachęcił Marlenę, powiódłszy wzrokiem po wszystkich obecnych.

Ta jednak nadal przebywała myślami w przeszłości. Nigdy dotąd nie rozpatrywała wydarzeń z okresu wojny z osobistej perspektywy. Wtajemniczeni wiedzieli, że w latach czterdziestych dwudziestego wieku archeolodzy prowadzili wykopaliska pod Bazyliką Świętego Piotra, a także o tym, że rozkopali grób apostoła i potwierdzili autentyczność jego szczątków. Opinia publiczna dopiero kilka lat później poznała wyniki badań.

Marlena wiedziała też, że jej dziadek uczestniczył w pracach badawczych, zanim wyjechał do Londynu. Opuścił Niemcy z ciężkim sercem, gdy pojął, jaką drogę obrał jego naród. Nigdy nie współpracował z nazistami i nie pozwolił się przez nich wykorzystywać.

- Skąd to wszystko wiecie? - wyksztusiła przez ściśnięte gardło. Spostrzegła, że Montanelli wymienił z Leopoldem ukradkowe spojrzenia, zanim odpowiedział:

- Ponieważ mój starszy brat, Luigi, współpracował z uczonymi jako protokolant. - Przerwał, ponownie uniósł filiżankę i na nowo napełnił ją herbatą. - Odbywał pierwszy rok nowicjatu. Ja byłem jeszcze chłopcem. Aż do śmierci służył wiernie Kościołowi. Kiedy skończył dokładnie czterdzieści lat, zachorował na raka. Wtedy złamał ślub milczenia i zawierzył mi swój sekret. W tym czasie poszedłem w jego ślady. Właśnie kończyłem nowicjat. Jestem przekonany, że to jego wiedza otworzyła przede mną wiele ważnych drzwi.

Montaillou

- Czy obejdziemy i powtórzemy wszystko jeszcze raz?

Henry usiadł na ławce na końcu placu przed kościołem, obok Luca, niskiego krępego rybaka. W jego ręce szeleściło kilka dokumentów i pism.

Luc sapnął, wstając. Niechętnie przebywał poza portem i łodzią rybacką. Skoro jednak już zszedł na ląd, wolał czuć twardą ziemię pod stopami, niż siedzieć bez ruchu na ławce.

- Sądzę, że wszystko zostało tu wyjaśnione. O ile nikt mi nie przeszkodzi, potrafię jasno i zrozumiale wszystko wyłożyć.

Henry zastanawiał się, czy Luc rzeczywiście dorósł do roli adwokata. Ich przyszli goście, choć stanowili dość przewidywalne towarzystwo, raczej nie udzielą mu milczącego przyzwolenia, kiedy wytoczy swoje argumenty. Bądź co bądź zwykły rybak wystąpi w charakterze obrońcy ich wspólnoty przeciwko potężnemu przeciwnikowi. Katarzy chcą rzucić wyzwanie katolikom! Ci, których niegdyś uznano za kacerzy, teraz wystąpią w roli nowych inkwizytorów, zwalczających prawdziwe zło. Kiedy Luc przywoła precedens o zgoła rozstrzygającym charakterze, a na koniec przedstawi ich uzasadnione żądania, audytorium przeżyje wstrząs!

Luc przygotował się do tej roli najlepiej, jak umiał. Emanował pewnością prostego, wiarygodnego człowieka. Oby tylko był zdrow, bo ostatnio coś za często niedomagał.

Henry w końcu się uśmiechnął. Był pewien, że spokojnie mogli pozwolić sobie na to spektakularne przedstawienie. Nie każdego dnia przecież tak zna-

komite miasto jak Awinion zostanie zasądzone nowemu właścicielowi - zarówno we władanie świeckie, jak i duchowe.

Remoulins

Marlena rzadko bywała tak mocno zdenerwowana. Jej zainteresowanie historią rodziny sięgało najdalej do pokolenia dziadków. Ojciec bardzo ubolewał nad jej obojętnością. On sam przez wiele lat studiował genealogię rodu. Marlena skrycie podejrzewała, że w istocie żałował, że nie spłodził męskiego potomka, dziedzica rodowego nazwiska. Lecz w przeciwieństwie do jej matki, nigdy głośno nie wyraził takiego życzenia.

Nagle poczuła więź ze swym dziadkiem Antonem. I teraz stanęła twarzą w twarz z człowiekiem, którego brat nie tylko znał jej protoplastę, ale mu przez pewien czas towarzyszył. Niestety, dowiedziała się niewiele nowych rzeczy, przynajmniej z osobistego życia dziadka. Profesora zwerbowano w Szwajcarii. Otrzymał dość krótkotrwałe zlecenie, co mu bardzo odpowiadało. Po Wielkanocy 1944 roku pojechał dalej do Londynu. Tam czekała na niego żona, która już w zimie urodziła synka, przyszłego ojca Marleny. W Watykanie trzymano najnowsze wiadomości w tajemnicy i niecierpliwie wyglądano końca wojny. Papieżowi zależało przede wszystkim na tym, żeby, pozostawać do dyspozycji niezliczonych wojennych rozbitków. Niestety, przy okazji wkradało się tam zbyt wielu złoczyńców ze starannie zbudowanej siatki szpiegowskiej.

- Hitler czekał nadaremno - podsumował Montanelli swą wypowiedź. - Nie dowiedział się niczego na temat grobu świętego Piotra. Na poszukiwa-

nia relikwii we Francji nie starczyło czasu. Remoulins leżało wprawdzie na obszarze rządzonym przez reżim z Vichy, lecz ostatni rok wojny nie sprzyjał ekspedycjom naukowym. Dla nas zresztą też. Grób w Peñiscoli był pusty, a w przeciwieństwie do was nikt dokładnie nie wiedział, czego i gdzie należy szukać.

- Na szczęście - szepnęła Marlina.

- Na szczęście dla nas.

Robert w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie. Czuł, że uzyskane informacje mają dla Marleny wielkie znaczenie. Dostrzegł również w jej oczach lęk przed tym, by ktoś nie zbrukał imienia jej dziadka. Na szczęście nic takiego nie nastąpiło. Robert miał nadzieję, że Montanelli powiedział prawdę.

- Pytanie, co teraz zrobimy. Czy istnieją jakiegokolwiek przesłanki, by dociec, co Karol mógł zrobić z monetą?

Dwaj panowie z Rzymu ponad wszelką wątpliwość postawili sobie to samo pytanie. Obydwaj bezradnie wzruszyli ramionami.

Stojący zegar w przedpokoju wskazywał, że nadeszła pora kolacji. Niemal w tym samym momencie obecni wyczuli w powietrzu lekki zapach sera i świeżego chleba.

Maria weszła do pokoju, żeby zaprosić zgromadzonych do stołu. Wszyscy wstali bez protestu i ruszyli w stronę jadalni.

- Przy stole spróbujemy ustalić, co dalej począć

- powiedział Robert, zanim wyszli do przedpokoju.

- Nadchodzi zmierzch. Chętnie przenocuję panów w moim domu.

- Dziękujemy za gościnność, ale nie skorzystamy

- odparł pośpiesznie Leopold - Zarezerwowaliśmy już pokoje w miejscowym hotelu.

- No to odwołaj rezerwację - prawie warknął Montanelli, po czym zwrócił się już znacznie uprzejmiej do Roberta:

- Dziękuję, panie Garnier. Chętnie przyjmujemy pana propozycję. A do jutra rana opracujemy plan dalszego działania.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Remoillins

Na zastawionym do śniadania stole leżał egzemplarz „Midi Libie”, najważniejszej regionalnej gazety Południa. Dziennikarz, powołujący się na dobrze poinformowane źródło, wiązał rzekome ojcobójstwo Roberta z wydarzeniami w Awinionie i okolicy. Wspomnił nie tylko włamanie do pałacu papieskiego, lecz także kradzież wartościowych dokumentów. Zakończył swoje wywody w następujący sposób:

Jak doniosły nam dobrze poinformowane osoby, naukowcy, badający w Awinionie ślady antypapieży, dokonali znaczącego odkrycia, które może wywołać poważny kryzys w Kościele katolickim. Według niepotwierdzonych źródeł na miejscu przebywa niemiecka historyczka, pani Marlena Schönberg. Na podstawie wyników jej wcześniejszych badań, po odnalezieniu dawno zaginionego artefaktu, poddano w wątpliwość postanowienia soboru w Konstancji. W 1418 roku sobór ten na przekór wszystkim oponentom odbudował potęgę Watykanu.

Wszystkie ślady prowadzą do małej społeczności w Pirenejach. Jej członkowie przyznają się do pochodzenia od katarów, wspólnoty, która przed siedmiuset laty została zlikwidowana przez Świętą Inkwizycję. Zwolennicy tej wspólnoty raz po raz

w ostatnich latach zwracali na siebie uwagę. Niewielka grupa jej wyznawców z Langwedocji wybrała nawet własnego papieża, który sprawował władzę aż do swojej śmierci w 1975 roku. Mimo że nie dostarczono nam oficjalnego oświadczenia, mamy podstawy przypuszczać, że wkrótce ich przedstawiciele wystąpią na forum publicznym z oficjalnymi żądaniem wobec Watykanu.

Robert westchnął. Siedział przy stole tylko z Marleną. Obaj duchowni jeszcze nie nadeszli. Nie ulegało wątpliwości, że porywacze z tamtej strony Rodanu wznowili na niego nagonkę.

- Przetłumaczyć ci dosłownie? - spytał.

- Nie, dziękuję - Marlena objęła go ramieniem. - Najważniejsze sama zrozumiałam. Proszę, nie bierz sobie do serca tego artykułu. Jakiś nic nie-znaczący reporter na siłę goni za sensacją.

Robert zeszywniał. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

- Właściwie nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy dostarczyli mu wymarzonej sensacji. Chyba lepiej, żeby usłyszał ciekawą historię od nas, niż żeby ją sobie sam wymyślał.

Marlena potrzebowała chwili na zastanowienie. Wiele ryzykowali. Policja nadal obserwowała poczynania Roberta mimo braku dowodów jego winy. Z drugiej strony wyjście naprzeciw niebezpieczeństwu mogło im stworzyć szansę obrony przed intrygami przeciwnika.

- Na jak wielką szczerłość, twoim zdaniem, możemy sobie pozwolić?

Wyglądało na to, że Robert wybiegł myślami jeszcze dalej naprzód. Posłał jej słodko-gorzki uśmiech.

- Myślę, że na absolutną.

Awinion

Już po raz trzeci tego ranka w małym biurze lokalnego reportera, Filipa Ohly'ego zadzwonił telefon. Dziennikarz zmarszczył czoło. Nie zdawał sobie sprawy, że aż tak wiele osób wstaje wcześniej od niego. Jeszcze nie minęło wpół do dziewiątej. Kiedy wyrzął przez okno na Rodan, ponad trawami ujrzał welony porannej mgiełki. Pochylił się ze znużeniem nad zawalonym papierami biurkiem i sięgnął po bezprzewodowy aparat.

Jako pierwszy zadzwonił ktoś z redakcji, dokładnie w chwili, gdy wchodził do wąskiego, zagraconego pokoiku na pierwszym piętrze starego domu. Filip wciąż nie był pewien, czy jego artykuł podobał się TYM TAM, czy ich wystraszył. W gruncie rzeczy było mu wszystko jedno, bo przecież wywarli na niego nacisk. Jednakże treść rozmowy telefonicznej mogła zostać użyta przeciwko niemu. W razie wątpliwości ONI zawsze mogli rzucić całą odpowiedzialność na swojego „wolnego” współpracownika.

Wkrótce potem zatelefonowała siostra. Chyba pracowała na pierwszej zmianie, toteż przeczytała gazetę przed co najmniej dwoma godzinami. Ponieważ doskonale znała obyczaje Filipa, dzielnie odczekała, aż przyjdzie o ósmej do biura, włączy ekspres i dwanaście minut później zje śniadanie, złożone z kawy z mlekiem i croissanta. Nie zamierzała mu zajmować wiele czasu. Poinformowała go tylko, że czytała artykuł, który ją bardzo zainteresował. Filip wysoko sobie cenił jej opinie. Nie szafował jednak słowami. Zakończył tę rozmowę tak szybko, jak to było możliwe.

- Halo?

Po drugiej stronie ktoś chrząknął do słuchawki dopiero po kilku sekundach. Później jakiś nieznajomy mężczyzna usiłował się upewnić, czy uzyskał połączenie z właściwym panem Ohlym.

Filip ze zniecierpliwienia mrugał oczami. Nie przepadał za kontaktami z ludźmi. Dlatego pracował właśnie tu, w zaciszu własnego biura.

- Tak, tu Filip Ohly, wolny dziennikarz, zawałony po uszy robotą. Czego pan sobie życzy?

Gdy rozmówca zaczął opowiadać swoją historię, twarz Ohly'ego rozpuściła się. Słuchał opowieści w napięciu, a na czoło wystąpiły mu ze zdenerwowania kropelki potu.

Niecałe trzysta metrów od biura reportera, w małym mieszkanku na starym mieście, mieszkała ciotka Karola, Justyna. Z umęczoną twarzą kasłała w świeżą chusteczkę, którą podał jej cioteczny wnuk.

- Aż tak źle? - dopytywał Karol z troską.

- Każdego dnia gorzej - wykrztusiła pośród ataku kaszlu.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Jego troska głęboko poruszyła starszą panią. Niestety, doskonale zdawała sobie sprawę, że nic jej już nie pomoże. Rak rozprzestrzenił się na całą klatkę piersiową.

- Ach, Karolu! - Staruszka pochwyciła jego dłoń i zamknęła ją w swoich. - Przeżyłam swoje życie. Już pogodziłam się ze śmiercią. Nie najgorzej znoszę ból. Jest jednak jedna ważna rzecz, którą pragnę ci przekazać. To dla mnie bardzo ważna sprawa.

Ponieważ mówienie przychodziło ciotecznej babce z coraz większym trudem, Karol czekał cierpliwie.

- Mój drogi. Nosisz przy sobie bardzo ważny przedmiot, a w sobie wszelkie moje nadzieje. Jak wiesz, jesteś nie tylko moim jedynym krewnym, lecz także ostatnim potomkiem całego rodu. Kiedy mnie zabraknie, jego dalszy los spocznie w twoich rękach. Lecz głęboko wierzę, że będziesz wiedział, jak postępować.

Karol cierpliwie słuchał starszej pani, gdy przypomniła wydarzenia z dalekiej przeszłości. Z każdym zdaniem jej głos brzmiał donośniej i wyraźniej. Karol wyciągnął jeden wniosek: nie wolno mu dopuścić, by Robert, potomek Garnierów, kolejny raz odebrał jemu, ostatniemu potomkowi dumnego rodu Duchontów, moc płynącą z posiadania owej monety.

Remoulins, czasy współczesne

- Naprawdę myśli pan, że to dobry pomysł? - dopytywał się Matthias Leopold, niezadowolony, że Francuz zamierza poinformować prasę.

- Muszę szukać sojuszników. Władze nadal uważają mnie za złodzieja i przypuszczalnego mordercę ojca - odparł Robert spokojnym, opanowanym tonem.

Marlena wyczula, że najwyższa pora udzielić partnerowi wsparcia.

- Podzielam jego zdanie - wtrąciła. - Czy dla was też nie byłoby lepiej wydać oficjalne oświadczenie?

Kardynał Montanelli energicznie pokręcił głową.

- Nie, w żadnym wypadku. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

- No właśnie, w tym sęk! - krzyknął Robert z pewną dozą pogardy. - Właśnie dlatego od stuleci oskarżają was o ukrywanie prawdy i granie na zwłokę.

Matthias Leopold uśmiechnął się pojednawczo.

- Myślę, że możemy nawzajem zaakceptować nasze punkty widzenia. Tak czy inaczej kwestia, z jakich kręgów pochodzi ów bezimienny informator, pozostaje nadal otwarta. Dopóki to źródło nie wyschnie, wszyscy siedzimy na beczce prochu.

- Ale co właściwie możemy na to poradzić? Marlena rozumiała obawy Leopolda, mimo że

nie wyraził ich wprost. Rzeczywiście, owym tajemniczym informatorem mógł być właściwie każdy - nawet ktoś z Watykanu. W takim przypadku oficjalne dementi czy też oświadczenie nic by nie dało, ponieważ strona przeciwna mogłaby na nie zareagować jeszcze przed jego opublikowaniem. Robert bez trudu znalazł odpowiedź:

- Tkwimy na dobre w przysłowiowym gnieździe os i wywołujemy ogromne zamieszanie. To powinno na razie wystarczyć.

Leopold uniósł wskazujący palec prawej ręki i przesunął nim po wargach.

- Jeśli umiejętnie zredagujemy tekst, powinniśmy osiągnąć zamierzony efekt.

Montanelli nadal nie wyglądał na przekonanego.

- Co to ma dokładnie oznaczać?

- Teraz, kiedy pan Garnier zdecydował się na absolutną szczerłość, moglibyśmy coś od siebie dorzucić. Nie musimy wyjawiać wszystkiego. Wystarczy, że damy reporterowi to, czego potrzebuje, aby przedstawić fakty zgodnie z rzeczywistością i nie na naszą niekorzyść.

Montanelli nieznacznie skinął głową.

- A więc wyłożmy karty na stół, zanim przeciwnik zdąży w nie zajrzeć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

- Do diabła! W jaki właściwie sposób doszedł pan do tych swoich wniosków? - zapytał Robert, nie kryjąc zdenerwowania.

Filip Ohly wyruszył w drogę zaraz po rozmowie telefonicznej z Garnierem. Po szybkim dopełnieniu powitalnych formalności zasiadł wygodnie przy stole razem z całą czwórką.

- No cóż, mój informator robił wrażenie szczerego. Posłuchałem głosu intuicji. Poza tym nie ulega wątpliwości, że Watykan nie oczekuje niczego dobrego ze strony Awinionu.

Siedzący po jego lewej stronie człowiek z Rzymu poruszył się gwałtownie. Filip z satysfakcją odnotował jego reakcję. Rzucił obydwu panom wyzywające spojrzenie. Nie potrzebował wielu słów, by pokazać, że nie darzy Watykanu przesadnym szacunkiem. Ponieważ nikt nie odpowiedział na zaczepkę, ciągnął dalej:

- Bądź co bądź pański ojciec został zamordowany bezpośrednio przed papieskim pałacem, a pana oskarżono o włamanie do prywatnej biblioteki. Być może w Rzymie czy Berlinie nikt nie zwrócił na to uwagi, ale ja mieszkam tu, w Awinionie. Nic dziwnego, że różne przypuszczenia przychodzą człowiekowi do głowy.

- Mógłby pan przynajmniej nadmienić, że zwolniono mnie z aresztu śledczego z braku dowodów

winy. Teraz pół Prowansji uważa mnie za mordercę. Nie zdziwi mnie, jeśli policja wkrótce ponownie zapuka do moich drzwi.

Filip Ohly nerwowo przełknął ślinę. Przyznał w duchu rację Robertowi Garnierowi. Rzeczywiście, powinien był zredagować tę część artykułu w nieco łagodniejszym tonie. W swojej niemal dwudziestoletniej karierze zawsze przestrzegał zasady, żeby zbytnio nie naciągać faktów. Jego zdaniem dobry dziennikarz powinien umieć z dostępnych danych skonstruować ciekawą historię bez uciekania się do kłamstwa. Jednak ten przypadek obciążał jego zawodowe sumienie. Robert uświadomił mu, że pozwolił sobie na wyciągnięcie zbyt daleko idących wniosków.

- Przykro mi, jeśli naraziłem pana na kłopoty - zaczął ostrożnie. - Nie miałem takiego zamiaru. Ale może moglibyśmy wykorzystać nasze spotkanie dla sprostowania tego... hm... nieporozumienia. Na czym zatem pana zdaniem ma polegać nasza współpraca?

Właśnie nad tą kwestią Robert, Marlina i ich goście długo debatowali poprzedniego wieczora.

- My, to znaczy ja i kardynał Montanelli, złożymy sprawozdanie. Moja partnerka, pani Schönberg, i zaufany kardynała, pan Leopold, będą nas wspierać, zarówno przy zadawaniu pytań, jak i przy udzielaniu odpowiedzi.

„Dość niezwykła propozycja, ale ciekawa” - pomyślał Ohly. Tyle, że nadal nie do końca rozumiał, do czego zmierza Robert.

- To kto w końcu ma zadawać pytania?

- Pan. My zadamy o to, żeby zadawał pan właściwe - odpowiedziała za Roberta Marlina.

Każdy z obecnych sięgnął po szklanekę z wodą lub filiżankę z kawą. Filip postawił magnetofon na

niskim stoliku. Odetchnął z ulgą, że nikt nie zgłosił obiekcji. Zwykle jego rozmówcy protestowali przeciwko nagrywaniu rozmów. Mało kto pozwalał sobie jasno wyrazić swój punkt widzenia przy włączonym magnetofonie. W tym przypadku Filip doszedł do wniosku, że sprawa jest zbyt skomplikowana, by poprzestać na sporządzeniu notatek.

Wystarczyło mu jednak pięć minut, by stwierdzić, że rzeczywistość przekroczyła jego najśmielsze oczekiwania.

Montpellier

Późnym popołudniem promienie zachodzącego słońca oświetlały złocistym blaskiem szklaną fasadę nowoczesnej siedziby czasopisma „Midi Libre”. Mało kto z kadry kierowniczej pozostał w biurze. Większość wyszła grać w golfa przed zamknięciem klubu golfowego Montpellier Massane. Położony nieco na uboczu, był nowszy i zdecydowanie spokojniejszy niż klub Fontcaude po zachodniej stronie miasta.

Lecz tego dnia torba redaktora naczelnego, Alfonsa Marceau spoczywała w bagażniku jego citroena ku wielkiemu niezadowoleniu właściciela, wysportowanego mężczyzny po pięćdziesiątce. Dwa dni temu po dwukrotnym niedotrzymaniu terminu, dostarczono mu wreszcie zestaw robionych na miarę grafitowych kijów i nowy wózek golfowy. Akurat teraz, kiedy wreszcie mógłby sprawdzić, czy były warte 1500 euro, które na nie wydał, jakiś prowincjonalny reporter zawracał mu głowę. Gdyby decyzja należała do pana Marceau, nie wydrukowałby w gazecie spekulacji Filipa Ohly'ego.

Dwaj mężczyźni usiedli w małym barze w centrum miasta. Około dwunastu studentów przy sąsie-

dnich stolikach tylko czekało na zapadnięcie zmroku, żeby rzucić się w wir nocnego życia. Pozostała część klienteli składała się w równiej liczbie z miejscowych i turystów. Wśród tej różnorodnej mieszaniny nikt nie zwracał na nich uwagi. Młoda kelnerka przyniosła im drugą kolejkę *pastis*. Nie ulegało wątpliwości, że obaj potrzebują czegoś mocniejszego.

- Jak pan myśli? - zagadnął Marceau po wysłuchaniu wyводу okropnie zdenerwowanego reportera. - Kto nas obu zaskarzy do jutrzejszego południa, kiedy to wydrukuję?

- Ja nie widzę przyszłości w tak czarnych barwach - odparł Ohly pospiesznie. - Powołuję się na źródła, które wyraziły gotowość oficjalnego przedstawienia swego stanowiska. Co więcej, to oni zaprosili mnie na rozmowę.

- Być może, ale to nie musi potwierdzać wiarygodności tych... pańskich źródeł. Szczerze mówiąc, wątpię, czy kardynałowi, który przebywa w Remoulins jedynie w charakterze gościa, wolno wydać oficjalne oświadczenie w tej sprawie.

- Kardynał Montanelli telefonicznie poprosił swoją zwierzchność o zezwolenie - odparł Filip z uśmiechem. - To mi wystarczy, bo teraz w razie wątpliwości polecą jego głowa.

Marceau sprawiał wrażenie, jakby ostatni argument go przekonał. Ohly wykorzystał jego milczenie, żeby jeszcze coś dodać:

- Poza tym szkoda zmarnować tak rzadką okazję - argumentował wytrwale. - Zostałem poproszony o zarejestrowanie czyjegoś stanowiska. Każde wypowiedziane zdanie zostało zapisane na taśmie magnetofonowej. Moim zdaniem kardynałowi bardzo zależy na tym, żeby złożyć wyjaśnienia, zanim tak zwani katarzy wydadzą własne oświadczenie. Dla

nas nie widzę tu żadnego zagrożenia, bo co właściwie miałyby nie pójść po naszej myśli?

- No dobrze, wygrał pan - odburknął Marceau. - Tylko proszę nie zapominać, że kiedy kardynał Montanelli zrobi swoje, spakuje walizki i wróci do Watykanu, a my zostaniemy na miejscu. Ohly z uśmiechem skinął głową. Ale panu Marceau jeszcze coś leżało na sercu. Całkiem spokojnie złożył ręce i zacisnął powieki.

- A tak między nami, co pan o tym wszystkim myśli? To brzmi dość... mało prawdopodobnie.

Filip Ohly przez całą drogę rozważał tę kwestię. A Marceau nie wiedział jeszcze wszystkiego.

Remoulins

Marlenie i Robertowi nie pozostało nic innego, jak tylko czekać, co dziennikarz zrobi z usłyszaną historią. Z braku innego zajęcia wyszli na spacer nad Gardon. Szli ręka w rękę wzdłuż meandrów rzeki, która toczyła swe wody w cieniu starych drzew. Przeciwległy brzeg był zamulony i stromy. Marlena chętnie przeszłaby pieszo na drugą stronę. Nie chciała wierzyć Robertowi, gdy poinformował ją, że spokojny z pozoru nurt wyłobił na środku koryto o głębokości prawie trzech metrów. Przed laty Robert podczas pływania dostał skurczu w obu łydkach. Uratował życie tylko dlatego, że nadludzkim wysiłkiem wy dostał się na stromy brzeg.

Nagle z daleka dobiegło ich wołanie:

- *Signor Garnier? Signora Schönberg?* Marlena i Robert przypuszczali, że woła ich któryś

z księży, prawdopodobnie młody Leopold. Rzeczywiście, wkrótce wysunął się z zarośli, rozgarniając gałęzie rękami.

- Proszę mi wybaczyć to najście - wydyszał, jakby biegł przez całą drogę.

Marlena wyszła przed Roberta.

- Co się stało? - spytała.

- Pewnie trudno wam uwierzyć... ale wpadliśmy na nowy trop.

Montaillou

- Złapałeś go wreszcie?

Bertrand wymamrotał coś niezrozumiale przez trzydniowy zarost. Zamiast docenić jego wysiłki, Claude w ciągu minionych dni wiecznie znajdował jakieś powody do narzekania. „Niechby tak sam musiał odwalić całą tę brudną robotę” - myślał szofer z goryczą.

- Tak - odpowiedział głośno i wyraźnie. Przekazałem informacje. Wszystko idzie zgodnie z planem.

- Pożyjemy, zobaczymy - westchnął Claude.

Bertranda ogarnęło współczucie dla szefa. Mocodawcy zaimponowali mu poziomem przygotowań na górze. Mimo że wszystko zaplanowali w najdrobniejszych szczegółach, nadal nie mieli pewności, czy zrealizują swoje zamiary. Zbudowali scenografię jak do przedstawienia teatralnego. Reżyserię widowiska można porównać do perfekcyjnej choreografii. Niemniej najdrobniejsze zajście mogło obrócić wniwecz wszystkie ich wysiłki. Choć Bertrand również doskonale zdawał sobie sprawę z zagrożenia, sumiennie wykonał wszystkie swoje zadania. Prócz jednego.

Ból w łydce przypominał o tym jednym, decydującym przypadku, gdy zawiódł. Ale jeśli wszystko pójdzie gładko, to naprawi swój błąd.

Awinion

- Znowu gdzieś wychodzisz? - spytała Karola Justyna zachrypniętym głosem.

Leżała pod ciepłą letnią kołdrą. Karol skinął głową pielęgniarce, która przychodziła do niej codziennie na kilka godzin. Obowiązki zawodowe nie pozwalały mu osobiście opiekować się jedyną krewną, choć bardzo by tego chciał. Zamiast tego bronił morderców i gwałcicieli, żeby opłacić pielęgniarkę i dobrych lekarzy. Justyna nigdy nie robiła mu wyrzutów, że za rzadko go widuje. Doceniała jego poświęcenie. Wolałaby raczej jak najszybciej umrzeć, niż przysporzyć ciotecznemu wnukowi strapiień.

- Tak, ciociu Justyno - odpowiedział z czułością. Mam klienta w Langwedocji. Jego sprawa zajmie mi dwa lub trzy dni.

- Cześć, mój chłopcze. Uważaj na siebie - wydy-szała pomiędzy atakami kaszlu.

- Obiecuję. Cześć!

Karol opuścił pokój z uśmiechem na ustach. Nie wątpił, że pielęgniarka zadba o wszystko. Nie musiał się martwić o ciocię, ale na siebie rzeczywiście powinien uważać. Wprawdzie Justyna od czterech dziesięcioleci zegnała go tą samą przestrogą, lecz dziś miał więcej powodów, niż przypuszczała, żeby wziąć ją sobie do serca.

Gdy Karol pakował swoje rzeczy do bagażnika samochodu, myślał o Robercie. Swojego czasu czysty przypadek zetknął go z synem najpotężniejszego w regionie hodowcy winorośli. W dniu rozpoczęcia nauki w szkole, podczas ustawiania się do zbiorowego zdjęcia, potknął się na schodach i wpadł na Roberta. Ich pudełka na kanapki potoczyły się

z brzękiem po stopniach, za co obydwaj dostali burę. Mimo że różnili się od siebie jak dzień od nocy i niewiele o sobie nawzajem wiedzieli, zostali najlepszymi przyjaciółmi.

Robert Wiktor Garnier i Karol Albert Delahaye.

Ciotka Justyna dała mu panięńskie nazwisko matki.

Karol odpędził wspomnienia. Od lat wiedział o wzajemnej wrogości obu rodów. Nie znał jednak jej przyczyny ani przedmiotu sporu. Póki Robert nie przybliżył mu historii rzekomo wymarłego klanu Duchontów, nie widział powodu do zerwania przyjaźni. Wyszedł z założenia, że nigdy nie wiadomo, czy kiedyś mu się ona nie przyda. I mógłby spokojnie dożyć później starości, nie zmieniając swego nastawienia do Roberta, gdyby nagle nie nadszedł przełomowy moment.

Na ziemi przesiąkniętej krwią jego rodzzonego pradziadka leżała w trawie moneta. W chwili, gdy na nią upadła, urosła w jego oczach do symbolu wrogości trwającej od pokoleń pomiędzy obiema rodzinami. Już w chwili rozpoczęcia poszukiwań, Karol zobaczył swą jedyną szansę i przygotował się do ostatecznego rozliczenia z potomkiem odwiecznego wroga. Kiedy zaś ujrzał tę złotą blaszkę, ogarnęła go żądza zemsty i swoista nienawiść klasowa. Oto on, zrodzony w hańbie, pozbawiony rodziców, stał twarzą w twarz z dziedzicem, posiadaczem ziemskim, właścicielem rodzinnego przedsiębiorstwa. Czyż wszystkie te przywileje nie powinny w równym stopniu przysługiwać jego rodzinie i jemu samemu?

Rozmowa z ciotką Justyną rozproszyła resztki wątpliwości.

Remoulins

- Montailou? - powtórzył Robert. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek wcześniej słyszał tę nazwę. Leopold również sprawiał wrażenie, jakby nic mu nie mówiła. Wrócili więc do domu. Z konieczności musieli polegać na tym, co oznajmił kardynał:

- Widzicie państwo, moje oficjalne zadanie polega na nawiązaniu kontaktu z przedstawicielami grupki katarów. Chodzi o różne kwestie prawne, których treści jeszcze nie podano mi do wiadomości. Czas i miejsce spotkania miałem poznać tuż przed wyznaczonym terminem, co właśnie nastąpiło.

Montanelli nie wymienił wprawdzie żadnej nazwy, lecz uwagę Roberta przykuł o wiele ważniejszy szczegół.

„Znowu ci katarzy” - pomyślał.

- Inkwizycja w tamtych czasach nie uznawała półśrodków. Kilka dziesiątków lat po wielkiej rzezi, odkrycie w tej samej miejscowości kilku rodzin, które przeżyły eksterminację, wprowadziło wszystkich w zdumienie. Nikt nie powinien pozostać przy życiu. Katarzy byli szczególnie niebezpieczną, wywrotową sektą, zyskującą coraz liczniejszych zwolenników. Podobno przeżyli nawet ludzie z Montsegur, najbardziej fanatyczni wyznawcy. Stosy płonęły przez pełne dwa dni. Później wszelki śluch o nich zaginął. To nie był chlubny rozdział naszej historii. Dziś doskonale zdajemy sobie z tego sprawę - dodał Montanelli.

- Nas nie musicie o tym zapewniać. Oświadczyć to publicznie - wtrąciła Marlena. Prawie natychmiast pożałowała tych słów. Najchętniej ugryzłaby się w język. Montanelli nie ponosił przecież od-

powiedzialności za zbrodnie poprzedników. Nie on podpałał stosi. Z drugiej strony, nic dziwnego, że nie powstrzymała się od kąśliwej uwagi. Podczas swoich badań natrafiła na wiele mrocznych rozdziałów historii Kościoła.

- Leno, daj mu wreszcie dokończyć - upomniał ją Robert szeptem.

Kardynał również go usłyszał. Skwitował uwagę pospiesznym machnięciem ręki.

- Proszę się na nią nie gniewać. Ma rację. Dawniej niechętnie przyznawaliśmy się do błędów. Lecz od czasów wojny małymi kroczkami zmierzamy we właściwym kierunku. Może nawet szybciej i skuteczniej, niż postronny obserwator mógłby przypuszczać.

Marlena z przyjemnością wysłuchiwała wyznania kardynała. Mile ją zaskoczyło, że mimo podeszłego wieku zachował otwarty umysł i potrafi krytycznie ocenić macierzystą instytucję.

- Co eminencja ma na myśli? - spytała.

- Jesteśmy gotowi na pewne... porozumienie, łącznie ze zwrotem niektórych... obiektów, w których posiadanie weszliśmy na przestrzeni wieków w dość wątpliwy sposób.

Marlena nie wierzyła własnym uszom. Odebrało jej mowę ze zdumienia. Czyżby zamierzali wypłacić odszkodowania potomkom pokrzywdzonych? Zanim zdołała otworzyć usta, żeby zadać to pytanie, Leopold zabrał głos:

- Chwileczkę. Wszystko po kolei. Jeszcze nie opracowaliśmy szczegółowych planów. W końcu mamy do wypełnienia jeszcze drugą misję.

Chodziło o monetę. Robert nie spuszczał oka z Montanellego. Wyczuł, że chciał jeszcze coś dodać, ale zrezygnował.

- W każdym razie zostaliśmy zaproszeni do Montailou, na spotkanie z grupą ludzi, którzy określają się mianem „prawdziwych katarów”. Teraz do nas należy zadanie sprawdzenia na miejscu, jak rzeczywiście sprawy stoją.

Robert wstał.

- Skoro jedziecie do Montailou, dotrzymamy wam towarzystwa! - zdecydował.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Najpotrzebniejsze bagaże zostały w mgnieniu oka załadowane do samochodu. Maria przyniosła im jeszcze cztery bagietki z wędliną i dwa termosy kawy. Ponieważ duchowni nie zdołali wyperswadować Marlenie i Robertowi udziału w podróży, postanowili jechać dwoma samochodami. W gruncie rzeczy wybrano najbardziej sensowne rozwiązanie. Wynajęte przez Roberta auto zaprojektowano tylko na dwie osoby. Marlena przeczuwała, że jej partnerem powodowały jeszcze inne motywy. Dlatego powróciła do domu w ślad za nim.

Szybkimi krokami pokonała trzy schodki, wiodące ku drzwiom wejściowym. Dawne pokolenia klas posiadających stawiały sobie za punkt honoru mieszkać ponad poziomem gruntu. Bogato zdobiony kamienny murek, otaczający wąskie tarasy po prawej i lewej stronie dworu, nadal przypominał o tym, jak wielką wagę przykładano niegdyś do symboli wyróżniających wyższe sfery. Robert ani przez chwilę nie wątpił, że bezsensowna wrogość dwóch sąsiadujących rodów wynikała w gruncie rzeczy z próżności. Przemożna chęć przewagi nad sąsiadami podsyciała ją przez całe pokolenia.

Robert przemierzył gabinet. Przystanął dopiero przy imponującej szafie w ścianie. Do jej najwyższych półek można było sięgnąć, jedynie wchodząc na drabinę. Ale Robert z niej nie skorzystał. Ukląkł na ziemi i wyciągnął małą szufladkę.

- Czego tam szukasz? - spytała Marlena.

- Poczekaj.

Położył szufladę na ziemi, po czym wykręcił tułów do nienaturalnej pozycji, by sięgnąć do odsłoniętego otworu. Wkrótce wsadził tam całą rękę. Z miejsca, w którym stała Marlena, wyglądało to dosyć groteskowo. Potem coś szcęknęło w środku. Robert zawołał:

- Wiedziałem, że schował to tutaj!

Marlena nie wierzyła własnym oczom, gdy wyciągnął kartonowe pudełeczko. Podczas gdy wsuwał szufladkę z powrotem, uklękła obok niego i ostrożnie podniosła wieczko. W środku zobaczyła rewolwer koloru antracytu z czarną kolbą. Na jej wytartej powierzchni widniał napis: „Walther”.

- Do wszystkich diabłów! - zaklęła. - Po co ci to? Robert objął ją ramieniem.

- Uwierz mi, czuję taką samą odrazę do broni jak ty. Ale jeśli w górach trafimy na tych samych ludzi, co w Awinionie, wolę być przygotowany.

- Ale co chcesz zrobić? Wystrzelać ich wszystkich, jak leci? Pragnę ci przypomnieć, że już jesteś podejrzany o zabójstwo.

- Dlatego zachowam jak największą ostrożność. - Robert zamknął pudełko. - Gdyby w Montailou przydarzyło ci się coś złego, tylko dlatego, że nie byłem w stanie cię obronić, moje życie straciłoby sens. Dysponuję tylko jedną zdrową ręką, ale nie pozwolę, by po raz trzeci zaatakowano nas z zaskoczenia.

Autostrada Langwedocjanka na zachód od Remoulins

Marlena pamiętała wjazd na autostradę. Przejeżdżali tędy już dwukrotnie - raz w drodze do Awinionu, drugi raz, gdy jechali do Hiszpanii.

Robert nie pozwolił sobie odebrać przywileju prowadzenia auta. Zamienił temblak na dwa solidne opatrunki. Jeden chronił ranę na piersi, drugi - na ramieniu. Marlena zrezygnowała z walki z francuskim uparciuchem. W gruncie rzeczy cieszyło ją, że Robert czuł się pewnie za kierownicą. Ponieważ miał obie ręce zajęte, trudniej byłoby mu sięgnąć po broń, którą naładował sześcioma nabojami i umieścił w schowku na rękawiczki.

Robert skierował małego peugeota ku żółto-czarnej barierze przejazdu. Z blaszanej, zielonej budki wysokości człowieka wystawała mała karteczka. Przy opuszczaniu autostrady lub zmianie trasy na inną, służyła jako podstawa wyliczenia odległości w celu uiszczenia odpowiedniej opłaty za przejechaną trasę.

Przewidywali, że dotrą do celu podróży mniej więcej za trzy godziny. Przynajmniej połowę trzystukilometrowej trasy stanowiły boczne drogi.

Dwa miejsca przed nimi otworzył się szlaban dla samochodu kardynała Montanellego. Za kierownicą siedział Matthias Leopold. Podejrzewali, że ciemny renault znacznie szybciej dotrze do celu, co im bynajmniej nie przeszkadzało. Ponieważ nie wiedzieli dokładnie, kto i co ich czeka w górskiej wiosce, ustalili z przedstawicielami Watykanu, że przyjadą tam osobno.

Gdy szlaban otworzył się również dla nich i ruszyli po przerwie w dalszą drogę, w jedną z zato-

czek wjechało kolejne auto. Automat bezszelestnie wypuł kolejny kwitek. Gdy kierowca go odebrał, barierka znowu się podniosła. Karol rozpoczął własną podróż szosą numer A-9 na południe.

Montaillou

Zapadły już prawie całkowite ciemności. Kontury zabudowań stały na wprost przed nimi, oświetlone ciepłym, czerwono-złotym blaskiem. Gdy Matthias Leopold wysiadł, uderzył go w nozdrza zapach palonego drewna. Przy drodze dojazdowej spostrzegł dwóch ubranych na czarno mężczyzn, przypuszczalnie strażników. Obszedł limuzynę dookoła, żeby otworzyć drzwi dla kardynała. Również on zwrócił uwagę na mocny zapach i ujrzał kłęby dymu, unoszące się nad dachami.

- Eminencjo?

Z ciemności wyszedł jakiś nieznajomy.

- Kardynał Montanelli, specjalny wysłannik Watykanu - przedstawił się dostojnik.

Leopold odruchowo zasłonił sobą staruszką, lecz obcy uśmiechnął się tylko i wyciągnął przed siebie prawą rękę.

- Bardzo mi miło. Czekaliśmy na eminencję. Pozwolą panowie, że się przedstawię: brat Henry.

Kardynał stanął obok Leopolda i zmierzył owego brata badawczym spojrzeniem. Nie nosił habitu. Zdecydowanie sprawiał wrażenie osoby świeckiej. W dodatku zaraz powitał go ciepłym, serdecznym uściskiem ręki.

- Powiedział pan „brat“?. Jeśli wolno spytać, do jakiego zakonu pan należy?

Henry odpowiedział szerokim uśmiechem.

- Zebraliśmy się dziś tu wszyscy właśnie po to, żeby to ustalić, nieprawdaż?

Karol z rosnącą niechęcią pokonywał coraz bardziej strome i ostre serpentyny. Z całego serca nienawidził jazdy w ciemnościach przez pustkowia po źle utrzymanych drogach. Ku jego zaskoczeniu nawet wśród górskich bezdroży przyjazny głos automatycznej nawigacji go nie zawiódł. Ekran GPS-a pokazywał mu ponad wszelką wątpliwość, że obrał właściwy kierunek.

Nagle ujrzał przed sobą, na środku szosy, dwóch ludzi w ciemnych ubraniach. Najgorsze, że najwyraźniej nie zamierzali zejść z drogi. Na domiar złego u każdego wisiała na ramieniu automatyczna broń.

Ledwie Karol zdążył zaryglować drzwi od wewnątrz, jeden z nich podszedł do okna i nakazał gestem, żeby je otworzył. Widząc wylot lufy na wysokości swoich oczu, Karol zdecydował się spełnić polecenie. Z ociąganiem opuścił szybę o piętnaście centymetrów.

- Dobry wieczór panu - zagadnął nieznajomy. - Dokumenty proszę.

„Czyżby kontrola drogowa?” - myślał gorączkowo Karol.

- Acha, dobrze... chwileczkę - mamrotał Karol, niepewnie wyciągając portfel.

Wyjął dokument i wcisnął w rękę nieznajomemu. Zanim wygrzebał prawo jazdy z tylnej kieszonki, tamten powiedział:

- Dziękuję, panie Delahaye. Może pan jechać dalej. Przepraszam za kłopot.

Karol skinął głową i zamknął z powrotem okno. A więc rzeczywiście oczekiwano go tutaj, jak zapowiedział Bertrand. Znow ten Bertrand!

- Zgaś światło. Szybko!

Robert równocześnie nacisnął na hamulec i wyłączył reflektory swojego samochodu. Za łagodnym zakrętem w lewo świeciło czerwone światło. Robert ostrożnie podjechał nieco do przodu, tak, żeby Marlina zdążyła szybko wystawić głowę przez otwarte okno i rozejrzeć się dookoła.

- Stop. Wystarczy.

Marlena zacisnęła powieki. Wyglądało na to, że samochód stanął. W każdym razie zapaliły się światła hamulcowe. Pojazd wydał jej się znajomy, podobnie jak sylwetka kierowcy, którego zobaczyła w blasku świateł. Wokół auta biegali mężczyźni z latarkami. Marlena nie była pewna, ale wydawało jej się, że widzi broń zawieszoną na ramieniu jednego z nich.

- Szybko, zawracaj! - wyszeptała.

Robert przestawił przekładnię, zerknął do tyłu i łagodnie dodał gazu. Kilka metrów dalej ponownie się zatrzymał.

- Co zobaczyłaś?

- Ludzi... z bronią. Poza tym dałabym głowę, że rozpoznałam renaulta Karola.

Robert przez chwilę rozważał jej słowa. Brał pod uwagę możliwość, że w Montailou ponownie spotka człowieka, którego od lat uważał za najbliższego przyjaciela. Tylko czego szukali uzbrojeni ludzie na górskich bezdrożach, gdzie diabeł mówi dobranoc? Poglądził Marlenę po policzku.

- Bez obawy. Nie zamierzam ryzykować - usiłował ją uspokoić. - Podałabyś mi mapę?

Marlena po omacku przeszukała boczną kieszeń w drzwiach samochodu. W końcu wyciągnęła zniszczoną mapę. Robert poprosił, żeby ją tam wsadziła, kiedy chował broń do skrytki na rękawiczki. Robert

patrzył na nią przez chwilę. Potem zacisnął usta i uniósł brwi. Marlena przeczuwała, co ją czeka.

- Masz ochotę na wędrowkę? - spytał niebawem zgodnie z jej przewidywaniami.

Podjechali jeszcze mniej więcej trzysta metrów pod górę. Tam skręcili w kamienistą polną drogę, żeby przynajmniej na pierwszy rzut oka nie można ich było dostrzec z szosy. Po zaparkowaniu samochodu, rozpoczęli stamtąd swoją nocną wędrowkę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Marlena zaczęła marznąć w chłodnym, nocnym powietrzu. Przepocone ubranie nieprzyjemnie przylegało do ciała. Od pół godziny brnęli w mokrej trawie, pokonywali zdradliwe groble, sękaty korzenie i płoty o zaostrzonych sztachetach. Księżyc, jak na zawołanie, skrył się za mleczny welon chmur. Tylko niewielki krążek światła latarki Roberta oświetlał skrawek drogi przed nimi, ale nie wydobywał z ciemności rozlicznych nierówności gruntu.

Robert wziął na siebie torowanie drogi. Niespecjalnie mu szło. Cud, że nie padł jak długi co najmniej pół tuzina razy.

Wreszcie dotarli na zaokrąglony wierzchołek wzgórza. Liczne niskie ogrodzenia świadczyły o tym, że wypasano tu owce czy kozy.

Jeszcze dziesięć kroków... pięć, cztery, trzy...".

Lecz zamiast oczekiwanej ścieżki, prowadzącej z powrotem do drogi po dotarciu na szczyt, ujrzeli kolejne połacie trawy na przeciwległym zboczu. Dalej leżała dolina, a za nią kolejny pagórek.

- Cholera! - zaklął Robert. - Dałbym głowę, że tylko okrążyliśmy strażników. Według mojej rachuby powinniśmy znaleźć jakąś dróżkę, która zaprowadzi nas z powrotem do szosy.

- I co teraz?

- Za tym szczytem musi leżeć wioska, dokładnie przed nami. Widzisz tę łunę? W polu widzenia nie ma żadnych innych świateł, więc na pewno jej nie zgubimy. - Robert wręczył Marlenie latarkę. - Trzymaj ją tuż przy sobie i osłaniaj prawą ręką od góry. Nikt pod żadnym pozorem nie może odkryć naszej obecności.

Zaczęli schodzić w dół, co okazało się trudniejsze od podejścia. Jednak po kilku minutach trafili na coś w rodzaju wydeptanej ścieżki.

- Trzeba nią iść, dopóki można - pouczył ją szeptem Robert zza pleców. - Przy odrobinie szczęścia doprowadzi nas do celu.

Rzeczywiście, wyglądało na to, że metrowej szerokości kręta dróżka wiedzie na wzgórze. Jednak w końcu wyprowadziła ich na most ułożony z trzech grubo ciosanych bali, przerzuconych nad górskim strumykiem. Zaraz za nim leżał przydrożny kamień.

Marlena ostrożnie oświetliła go latarką. Z grubsza obrobiony kawał skały porastał mech. Od góry ociosano go dość dokładnie. Cztery regularne naroża nadawały mu formę prostopadłościanu. U szczytu wyżłobiono w nim starannie wzór, złożony z prostych linii, wychodzących z jednego poprzecznego odcinka. Marlena widziała ten wzór już wcześniej. Na pierwszy rzut oka przypominał dłoń z rozczapierzonymi palcami, lecz symbolizował muszlę świętego Jakuba - znak pielgrzymów.

- Spójrz no tutaj, Robercie! - zawołała. Zaciekawiony mężczyzna zajrzał jej przez ramię.

Następnie powiódł palcem po chłodnej powierzchni. Pocałował Marlenę czule w policzek i ujął jej dłoń.

- Chodźmy dalej. Weszliśmy na jeden z bocznych szlaków Camino de Santiago. Doprowadzi nas wprost do Montailou.

Karol nie wierzył własnym oczom. Ledwie odstawił swój samochód, od razu go powitano. Jakiś brat Marc - nie wiadomo z jakiej wspólnoty - pospiesznie przeprowadził go przez imponujące kulisy starej wioski. Blask niezliczonych pochodni i dyskretnie rozmieszczonych reflektorów oświetlał fasady kilkusetletnich domów niesamowitym blaskiem. W środku wsi wzniesiono trzy przerażające stosy. Przy środkowym zbudowano podest. Ustawiono na nim stół i pięć prymitywnych siedzisk.

Gdyby Karol nie wiedział, w jakim celu zaaranżowano tę niesamowitą scenerię, uznałby, że powołano go przed sąd kapturowy. W późnym średniowieczu procesy przed owym straszliwym trybunałem rzadko kończyły się dla oskarżonego uniewinnieniem. Lecz na razie na drewnianych krzesłach jeszcze nikt nie siedział. Karol rozejrzał się dookoła. Nie licząc bogatej dekoracji kwiatowej i masztów na flagi, plac był pusty. Przy fasadzie domu, stojącego naprzeciwko stosu, umieszczono dwie platformy z kamerami, mikrofonami oraz całym oprzyrządowaniem, począwszy od kabli i anten radiowych, a skończywszy na przekaźniku satelitarnym. Cokolwiek miało się tu wydarzyć w ciągu najbliższych godzin, organizatorzy zadbali o to, żeby usłyszał i zobaczył ten spektakl cały świat.

- Proszę zająć miejsce - szepnął uniżenie ów brat, o istnieniu którego Karol niemal zapomniał. Tamten gestem wskazał mu ławkę. - Później pana wezwiemy.

Kardynał Montanelli był zmęczony. Nic dziwnego, że w ostatnich latach bardzo rzadko wyruszał w dalekie podróże - jesienią tego roku kończył siedemdziesiąt lat. Za jego życia panowało siedmiu

papieży. Od dnia wstąpienia do szkoły klasztornej wiernie służył pięciu z nich. Teraz, gdy osiągnął niemal najwyższy szczyt kariery i zbliżał się do końca swej drogi, Ojciec Święty znów potrzebował jego wsparcia. Być może po raz ostatni.

- Proszę spojrzeć!

Matthias Leopold energicznie pociągnął za ramię Montanellego. Wyrwany z zadumy kardynał odwrócił się twarzą do młodego towarzysza.

- Co się dzieje?

- Tam naprzeciwko siedzi ten adwokat - Karol.

- Czy chodzi o...

- Tak. To on zabrał monetę.

Zza wzgórze ukazały się dachy wioski. Robert, który ponownie objął przewodnictwo, zwolnił kroku. Wreszcie przystanął za kępą ciemnych zarośli i przyciągnął Marlenę ku sobie.

- Musimy teraz zachować wielką ostrożność. Kto wie, ile tych ciemnych postaci kręci się koło wsi?

Dotknął swojej cienkiej kurtki; wyczuł pod palcami wypukłość ciężkiego, masywnego rewolweru. Mimo ciemności czuł na sobie znaczące spojrzenie Marleny.

- Przyrzekam, że użyję go tylko w razie absolutnej konieczności. - Szanowni zebrani!

Dokładnie w chwili, gdy Robert ruszał z miejsca, ktoś ze zgromadzonych na nieodległym placu ludzi rozpoczął przemówienie. Mimo że wzmacniacz zniekształcał głos, obydwójgu wydał się znajomy. Zamarli w bezruchu pod osłoną krzaków.

Nienaturalny pogłos i szybki potok słów sprawiły, że trudno było im cokolwiek zrozumieć. Początek przypominał mowę powitalną, jakie wygłaszano na

początku letnich przedstawień teatralnych pod gołym niebem. Być może to tłumaczyło niezwykle jasną lunę światła nad wioską. Słowa powitania... Marlena nie nadążała za mówcą. Nawet Robert nie wszystko rozumiał.

- Podejźmy bliżej!

Robert ujął dłoń Marleny. Pospieszyli coraz szerszą drogą w dół, aż do pierwszego budynku. Rozpadająca się szopa z desek prawdopodobnie służyła kiedyś za stajnię, a może magazyn żywności lub skład maszyn rolniczych.

Ostrożnie omijali pokrzywy i wybujałe osty. Następnie po omacku, wzdłuż niskiego muru dotarli do domu mieszkalnego. Z masywnych niegdyś drzwi zostały zaledwie zwisające zawiasy i kilka drzazg w ramach. Robert włączył na kilka sekund latarkę i oświetlił wnętrze przyćmionym światłem.

- Wszystko w porządku. Nie widzę żadnego niebezpieczeństwa .

Na końcu zabudowania popchnął lepiej zachowane drzwi. Przez szpary przenikały smugi światła. Marlena przypuszczała, że szuka okna czy innego otworu, który pozwoliłby im obejrzeć widowisko.

Niedaleko od nich coś stuknęło. Marlena zadrżała. Nie ulegało wątpliwości, że Robert również usłyszał hałas. Zastygli w bezruchu i nadstawili uszu, ale nic więcej nie usłyszeli.

- Może to tylko pies - szepnął Robert i wskazał gestem towarzysze, żeby powoli podążała za nim.

Marlena, która zdążyła zrobić zaledwie dwa kroki wewnątrz domu, skinęła głową i ostrożnie ruszyła dalej. Na szczęście podłogę stanowiła gliniana polepa, a nie trzeszczące deski.

Dźwięczny głos nadal rozbrzmiewał. Jeszcze zanim dotarli do okna, Marlena dostrzegła grę cieni na

zewnątrz. Rozejrzała się dookoła. Przypuszczała, że weszli do dawnej kuchni lub jadalni. Stary, żelazny piec leżał przewrócony w kącie przy drzwiach. Obok wały się potłuczone talerze i miski. Po chwili stanęła przy oknie.

Z bezgranicznym zdumieniem obserwowali przedstawienie. Scenografia nasuwała skojarzenia ze średniowieczem. Plac ozdobiono jak na ówczesne wielkie święta. Wszędzie płonęły pochodnie. Wyglądało na to, że zostali świadkami inscenizacji historycznej z czasów Joanny d'Arc lub wypraw krzyżowców. Marlena już jako młoda dziewczyna przekonała się, że Francuzi uwielbiają tego rodzaju spektakle. Różne stowarzyszenia kulturalne i historyczne często oferowały widzom atmosferę dawnych stuleci. Co roku w całym kraju, w imponujących ruinach o równie imponującej historii, z wielkim pietyzmem odtwarzano najważniejsze wydarzenia sprzed wieków.

Marlena przed laty oglądała zabójstwo Juliusza Cezara w amfiteatrze w Orange. Budowla w centrum miasta liczyła sobie dwa tysiące lat. Przedstawienie na dwie godziny przeniosło widzów w czasy starożytne. Zawładnęło ich wyobraźnią do tego stopnia, że wielu z nich po wyjściu na ulicę przeraził widok ulicznego oświetlenia i klaksony samochodów.

Nagle jednak Marlena z przerażeniem uświadomiła sobie, że tym razem odtworzono dawne realia aż nazbyt dokładnie. Mimo że większą część sceny zasłaniał mur kościoła, bez cienia wątpliwości rozpoznała autentyczny stos. Dostała dreszczy. Szturchnęła Roberta.

- Czy widzisz to, co ja?
- Tak. Powinniśmy podejść bliżej.

Robert wychylił głowę. Usiłował objąć wzrokiem tak duży kawałek przyległej ulicy, jak to było możliwe, a która omijała łukiem kościół i dochodziła do rynku.

- Chodź! Przemkniemy za kościołem. W ten sposób nadal pozostaniemy w ukryciu, a więcej zobaczymy.

Opuścili na palcach zrujnowane domostwo. Idąc wzdłuż ściany, obeszlili budynek dookoła. Wędrówka po kocich łbach, przez ciemny zaułek, przedstawiała podobne trudności jak marsz po wybojach przez wzgórze. Mimo że blask świateł z rynku oświetlał uliczkę, nierówny mur stojących przy tej budowli dawał dość cienia, żeby mogli się ukryć.

Marlena puściła Roberta przodem. Podążała za nim, przyciśnięta do chłodnego muru kościoła, od jednego występu do drugiego. A dzieliło je pięć długich kroków. W momencie, gdy Robert zniknął za kolejną omszałą przyporą, ktoś od tyłu przycisnął Marlenie wielką dłoń do ust. Równocześnie druga ręka objęła ją poniżej biustu. Ponieważ nie mogła ani zawołać o pomoc, ani się wyrwać, uznała wszelkie próby oporu za bezcelowe.

- Ani słowa! - szepnął jej do ucha nieznajomy głos. Marlena oceniła posturę napastnika jako solidną.

Ani na chwilę nie zwolnił uścisku. Kompletnie bezsilna, musiała pozwolić, żeby pociągnął ją z powrotem tą ulicą, którą przyszli.

Trzeszczenie drewna przypomniało Robertowi koszmarną ucieczkę po skrzypiących deskach podłogi tamtego wieczora, gdy dokonał włamania.

- Idziesz za mną, Leno? - wyszeptał. Kiedy nie otrzymał odpowiedzi, zawołał nieco głośniej: - Leno! Leno!

Lecz Marlena nie odpowiadała. Robert wyszedł na krok z załomu muru. Ogarnęło go przerażenie. Ulica wyglądała na wymarłą. Marlena znikła bez śladu.

Wielkim wysiłkiem opanował strach. Metr po metrze wrócił z powrotem tą samą drogą. Przypomniawszy sobie, że przed kilkoma minutami mijali boczny portal. Tylko po co Marlena miałaby chodzić gdzieś na własną rękę?

Tak powoli i cicho jak mógł, pociągnął prastare drewniane drzwi. Wnętrze świątyni było pogrążone w ciemnościach. Robert omal nie potknął się o jedną z niskich ławek. Na szczęście w porę złapał równowagę. Od strony głównego portalu przez wysokie, szklane okna wpadał do środka złoty poblask łuny z rynku. Robert nie odważył się ponownie zawołać Marleny. Zamiast tego, zaczął szukać drogi do ołtarza czy ambony, żeby zapewnić sobie lepszy widok.

Mimo że jego oczy zdążyły przywyknąć do ciemności, nie dostrzegł ciemnej postaci, która nagle wyszła z za kolumny. Gdy jakiś osiłek zatkał mu nos i usta chustką, sięgnął przytomnie pod kurtkę. „Gdzie ten rewolwer? - myślał gorączkowo.

- Nic z tego - mruknął napastnik.

Jakaś ręka zabrała mu broń i odrzuciła daleko pod ławki.

Mimo zawrotów głowy, Robert na podstawie sposobu mówienia zorientował się, że zaatakował go rodak. Zaskoczył go dźwięk ojczystej mowy. Odkąd poznał Marlenę, przeszedł na angielski. „Leno, gdzie jesteś?!” - zawołał już tylko w myślach.

Robert był odurzony, ale nie stracił przytomności. Nie pozwolił na to kłujący ból zranionych części

ciała. Jeden mężczyzna trzymał go mocno za ramiona, drugi chwycił go za łydki i umieścił je sobie pod pachami. Podejrzewał, że nasączyli szmatę chloroformem, bo ręce i nogi ciążyły mu, jakby były z ołowiu. Dwaj prześladowcy zanieśli go do jakiegoś budynku. W pewnym momencie ktoś ukłuł go w kark.

- Zakładamy, że zechcesz z nami współpracować. Złapaliśmy twoją przyjaciółkę - oznajmił ten sam głos, co poprzednio.

- Tylko od ciebie zależy, czy przeżyje najbliższe godziny - zawtórował mu drugi.

Robert rozejrzał się dookoła. Prawdopodobnie z powrotem przeniesiono go na drugą stronę kościoła, tą samą uliczką, którą przyszedł, a potem skręcili gdzieś za domami. W każdym razie obecnie znajdowali się pomiędzy dwoma wejściami do domu i patrzyli wprost na imponującą scenerię. Z głośnika ponownie rozległ się donośny głos. Nagle Robert spostrzegł, że wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Mówca z pośrodku podestu po raz trzeci wymienił jego imię i nazwisko: Robert Garnier.

- Niech nam pan uczyni ten zaszczyt, *monsieur* Garnier i podejdzie tutaj.

- Tak, o ciebie chodzi! - potwierdził jeden z porywaczy.

- Tylko nie próbuj uciekać. Pomyśl o swojej przyjaciółce - dodał drugi.

Mężczyźni odstąpili do tyłu, w cień domów. Zostawili Roberta samego. Oślepiiony światłem reflektorów, nadal po narkozie niepewnie stał na nogach. Krok za krokiem chwiejnie podszedł do stosu. Choć unikał wzroku widzów po prawej i lewej stronie, dostrzegł czarno-czerwoną sutannę kardynała Mon-

tanellego i obok niego Matthiasa Leopolda. Rozpoznał też jeszcze jednego człowieka, mimo że tamten pospiesznie, lecz nie dość szybko, spuścił głowę. To był Karol.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Marlena pisała o soborze w Konstancji. Następnie prowadziła badania na temat soborów w Pizie, Bazylei, Lyonie i Florencji. Wielokrotnie musiała w tym celu zgłębiać zawartość tajnych archiwów kościelnych. Niektóre notatki sporządzono z zadziwiająco precyzją. Zawierały jadłospisy, szczegóły garderoby i dobytku uczestników. Niejednokrotnie - pośród zakurzonych regałów - tak dalece zagłębiała się w realia dawno przebrzmiałych wydarzeń, jakby sama w nich uczestniczyła.

Ale dziś doświadczała czegoś zupełnie innego. Nigdy nawet nie przemknęło jej przez myśl, że kiedyś sama będzie - w realnym świecie - uczestniczyć w posiedzeniu jakiegoś archaicznego trybunału, w dodatku nie wiedząc, jaką rolę jej w nim wyznaczono. Porywacz związał jej ręce na plecach i wcisnął knebel w usta. Oznajmił przy tym, że czyni to dla jej dobra. Gdyby bowiem krzyknęła, musiałby ją zastrzelić, a jeszcze na razie była tu potrzebna.

Oglądała niesamowite widowisko z okna pierwszego piętra. Kilka minut wcześniej Robert wyszedł z cienia tego właśnie domu, do którego teraz przyprowadzono ją związaną.

Na środkowym krześle na podeście zasiadł Henry. Był bez wątpienia głównym aktorem tego wie-

czoru. To jego głos rozbrzmiewał wcześniej z głośników. Do zwyczajnego ubrania przymocował sobie mały mikrofon, żeby mieć wolne ręce. Przed nim leżały na blacie stołu zwoje papierów i księgi przygotowane wcześniej przez Luca, który ciężko zachorował i nie mógł uczestniczyć w tym historycznym spektaklu. Po jego obu stronach zajęli miejsca: Claude i nieznany Marlenie starszy mężczyzna. Ten ostatni sprawiał wrażenie zmęczonego i spiętego.

Obydwa wolne krzesła pomiędzy siedzącymi najwyraźniej zarezerwowano dla gości. Jedno z nich wskazano Robertowi. Wybrał miejsce pomiędzy Henrym i Lucienem. Nie chciał siedzieć obok Claude[^], szefa Bertranda i najprawdopodobniej organizatora porwania. Henry również obrzucił Roberta lodowatym spojrzeniem.

- Szanowni zebrani! - zagaił ponownie. - Pragnę wam przedstawić człowieka, którego nazwisko powinniście dobrze wbić sobie w pamięć. - Wstał i położył Robertowi rękę na ramieniu. - Oto Robert Wiktor Garnier, potomek w pierwszej linii Bernarda Garniera - bardziej znanego pod swoim papieskim imieniem Benedykta XIV.

Nieliczni niewtajemniczeni, jak kamerzysta czy operator dźwięku, nastawili uszu.

- Papież Benedykt?

- Potomek papieża?

Nadajnik przekazywał obraz i dźwięk do małej, prywatnej stacji telewizyjnej.

- Na wstępie przedstawiłem państwu los moich przodków - naszych przodków. Ich potomkowie od stuleci żyją w cieniu ich grobów bez żadnego gestu zadośćuczynienia czy słowa przeprosin. Również nasz honorowy gość, pan Garnier, dzieli z nimi

podobny los. - Henry pochylił się ku Robertowi i szepnął mu do ucha: - Czy zechce pan opowiedzieć o monecie, czy mam to zrobić za pana?

Robert energicznie pokręcił głową. Wolał wykorzystać chwilę bezczynności, żeby dojść do siebie. Henry skinął głową. Obdarzył publiczność niezobowiązującym uśmiechem.

- *Monsieur* Garnier ma za sobą wyczerpującą podróż. Lecz gdy usłyszycie niektóre szczegóły z jego biografii, zrozumiecie, po co ją przedsięwziął. Jego pradziadek zginął niegdyś w pojedynku. Niedawno zamordowano ojca pana Garniera. Zrzucano na niego podejrzenia, żeby przeszkodzić mu w poszukiwaniu rodzinnego dziedzictwa. Lecz nasz gość przechytrzył przeciwników. Sprowadził sobie pomoc i odnalazł skarb, który należał do jego rodziny od pokoleń. Z grobu przodka, którego nikt wcześniej nie odkrył, wyjął złotą monetę. Niegdyś należała ona do samego Szymona Piotra - apostoła i przywódcy chrześcijan. Jak wiecie, zarówno on, jak i inni apostołowie, także zginęli męczeńską śmiercią. Ale to właśnie on został wybrany, by przewodzić Kościołowi chrześcijan w początkach jego istnienia. Jego znak rozpoznawczy - wyjątkowa złota moneta - była później przekazywana sobie przez kolejnych papieży. Jednak w Awinionie ta tradycja zamarła. Właściwie nie zamarła, ale została zlikwidowana przez nowych władców z Rzymu. Awinion przestał być siedzibą papieży w 1433 roku, wraz ze śmiercią ostatniego prawowitego właściciela monety, Bernarda Garniera.

- Chciałbym coś dodać - wtrącił nagle Robert. Podczas słuchania tej opowieści zakiełkowała mu w głowie pewna myśl. Skoro już ma występować

na scenie przed okazałym audytorium, to czemu nie wykorzystać okazji? Nie dostrzegł w oczach Henry'ego gniewu czy dezaprobaty. Katar spokojnie podał mu mikrofon. Robert spostrzegł, że jego oczy rozbłysły dziwnym blaskiem.

- Proszę bardzo. Tylko proszę nie zapominać o swojej przyjaciółce.

Nie musiał mu przypominać o Marlenie. Robert zmrużył oczy. Raziło go światło reflektorów.

- Dobry wieczór - powitał zebranych. - Skoro już zostałem przedstawiony, przejdę bez wstępów do rzeczy. Wszystko, co zostało powiedziane, w pełni odpowiada prawdzie. Chciałbym tylko uzupełnić przedmówcę o dwa punkty, moim zdaniem warte wzmianki. Po pierwsze wielokrotnie usiłowano nam przeszkodzić w poszukiwaniach i w końcu zrabowano nam tę wyjątkową monetę.

Henry zachował kamienną twarz. Również on zamierzał o tym wspomnieć.

- Po drugie, co mi szczególnie leży na sercu, bez pomocy niemieckiej historyczki, Marleny Schönberg, nigdy nie odnalazłbym monety.

Henry nieco nerwowo poprawił się na siedzeniu.

- Ona również się tutaj znajduje - ciągnął dalej Robert donośnym głosem. - Odnalezienie monety to wyłącznie jej zasługa. Powinniśmy ją koniecznie tu zaprosić.

Henry i Claude wymienili pospieszne spojrzenia. Wkalkulowali wprawdzie takie ryzyko w scenariusz spektaklu, lecz pojawienie się Niemki niosło za sobą pewne komplikacje. W końcu Claude skinął głową na znak zgody.

- Dobrze! - mruknął w końcu Henry, po czym rozkazał głośno:
- Proszę przyprowadzić do nas *madame* Schönberg.

Robert uśmiechnął się z satysfakcją. Wyglądało na to, że jego plan się powiódł. Nagle jednak Henry wydał kolejne polecenie:

- Zanim pani Schönberg tu dotrze, chciałbym zaprosić do nas kolejnego gościa.

Po plecach Roberta przeszedł zimny dreszcz, gdy padło nazwisko Karola.

Karol niespiesznie wstał z drewnianej ławy i wdrapał się na podium.

- Dobry wieczór panu.

- Dobry wieczór.

Robert unikał wzroku byłego już przyjaciela. Ostatnie wolne miejsce zarezerwowano więc dla zdrajcy! Karolowi również zadano pytanie, czy chce zabrać głos. Ponieważ odmówił, ponownie przemówił Henry:

- Karol Delahaye urodził się jako potomek starego francuskiego rodu. Jego matka zmarła w młodym wieku. Po jej śmierci opiekę nad nim sprawowała cioteczna babka. To, że przyjął jej nazwisko, w niczym nie zmienia jego pochodzenia. Nadal pozostaje potomkiem rodziny Duchontów.

Po usłyszeniu tych słów Robert pobladł.

- W przeciwieństwie do swojego najlepszego przyjaciela, pana Garniera, pan Karol Delahaye od dawna wiedział o wzajemnej wrogości pomiędzy dwoma rodami. Wszystko zaczęło się w piętnastym wieku. Fryderyk Duchont na potajemny rozkaz króla miał dostarczyć monetę na dwór królewski. Jak zwykle chodziło o to, by przeciwstawić się papieżowi z Rzymu. Lecz Duchont zmarł, zanim zdążył wykonać to zadanie. Przed śmiercią zdążył jednak przekazać je swemu synowi. Ale Bernard Garnier również zmarł, a monety nie odnaleziono. Duchontowie przez te wszystkie lata nie zostawili Gar-

nierów w spokoju. Byli bowiem przekonani, że moneta nadal znajduje się w ich posiadaniu. Wreszcie znowu ujrzała światło dzienne. Obecnie posiada ją nie kto inny, jak Karol Delahaye, a raczej Du-chont. - Henry przerwał, położył Karolowi rękę na ramieniu. - A teraz proszę pokazać nam relikwię.

Karol wstał. Powoli wyciągnął monetę z kieszeni. Unosił rękę coraz wyżej, jak ksiądz hostię przemienioną w ciało Chrystusa podczas mszy. Wkrótce złoty krążek rozblił się nad jego głową w świetle reflektorów.

Kardynał Montanelli i Matthias Leopold patrzyli na monetę z odległości kilku metrów z nabożną czcią.

- Co my właściwie tu robimy? - spytał młody duchowny swego zwierzchnika.

- Poczekajmy - odpowiedział kardynał. - Zaraz się tego dowiemy.

W pewnej odległości stał również Filip Ohly. Jedyne reporter, któremu pozwolono obejrzeć spektakl, patrzył jak urzeczony. Nie wolno mu było robić notatek czy fotografować. To zadanie należało do operatorów kamer. Mimo ograniczeń, Filip święcił swój triumf. Sam tytuł artykułu zrobi furorę. Poza tym, tak czy inaczej, to wyłącznie jego słowa ludzie na całym świecie będą czytać z wypiekami na twarzach.

Watykan

Mała stacja telewizyjna w Ax-les-Thermes przekazała otrzymane z satelity sygnały wszędzie tam, gdzie je odbierano. Zaczęło się od lokalnego nadawcy. Zaledwie kilka minut później zgłosił się pierwszy znaczący serwis informacyjny.

Ojciec Święty nalał sobie drugą filiżankę herbaty. W swoich komnatach prawie nigdy nie włączał telewizora. Jednak tego dnia telefon z południa Francji skłonił go do obejrzenia przebiegu wydarzeń na żywo. Bezgranicznie ufał swemu długoletniemu współpracownikowi, kardynałowi Montanellemu. Traktował go jak współbrata; może nawet jak przyjaciela. Gdy jednak papież opowiedział mu niedawno o monecie i o swojej ewentualnej podróży do Langwedocji, obudził czujność w kardynale. Wszystko, co się później miało wydarzyć, mogło być arcydelikatną sprawą.

Kardynał stanowczo odradził papieżowi osobisty wyjazd do Langwedocji. Taka bowiem podróż niosła ze sobą wielkie niebezpieczeństwa. Nikt nie znał powiązań, motywów ani zamiarów tajemniczego bractwa, określającego się mianem katarów. Sam papież wiedział tylko tyle, że szykują potajemne spotkanie w górskiej wiosce nad Ax-les-Thermes.

Montaillou

- Nasze żądania wyglądają na pierwszy rzut oka na zupełnie odmienne, lecz po dokładniejszej analizie wykazują zbieżności, które pragnę teraz sformułować... - chrypiał głośnik.

Piętro wyżej nad rozgrywającą się sceną, Marlena zaprzestała prób oswobodzenia się z więzów. Nie zdołała też wypluć knebla. Mimo że stała przy oknie, niewiele usłyszała z tego, co wypowiedano poniżej przez głośniki. Podwójne szyby tłumiły głos znacznie skuteczniej niż cienkie szkło w zrujnowanej kuchni. Nie dotarła więc do niej treść przemówienia Henry'ego na temat awiniońskich papieży, ich łupieżczej wyprawy przeciwko resztkom kata-

rów i zakupu miasta Awinionu za zrabowane przez nich złoto. Nie słyszała też prośby Roberta, by zaprosić ją na scenę.

Henry rozwinął jeden z pożółkłych zwojów pergaminu.

- Pan Duchont dokonał pewnego odkrycia w archiwum diecezji Aix-en-Provence. Pragnie je państwu w krótkich słowach przedstawić.

Karol skinął głową, wstał, sięgnął po przygotowane karty i odchrząknął.

- Dokument należy do znaczącego zbioru zapisów z procesów i pozasądowej wymiany korespondencji. Najbardziej zwraca uwagę fakt, że nie wymieniono żadnego oskarżonego z nazwiska. Autorzy posługują się zaimkami: „ona” lub „on”. Mimo to nietrudno się domyślić, o kogo chodzi. „On” to sam Ojciec Święty, we własnej osobie. „Ona” - to matka nasza - Kościół.

Henry bacznie obserwował zgromadzonych. Kardynał siedział wpatrzony przed siebie niewidzącym wzrokiem.

- Jako adresatów podano przeważnie duchownych - ciągnął Karol. - Większość z nich wymieniono z nazwiska. Żadne z ich przestępstw, począwszy od uprowadzenia i morderstwa, a skończywszy na pospolitym zaborze mienia, nie zostało należycie czy choćby jawnie osądzone. Pomiedzy 1537 a 1576 rokiem we wszystkich dwudziestu sześciu przypadkach osiągnięto tak zwane ugodowe porozumienie. Skorzystały z niego tylko rodziny, które ucierpiały wskutek prześladowań hugenotów.

W tym momencie Henry ponownie zabrał głos:

- Jak państwo widzicie, tylko raz w całej historii Kościół katolicki wynagrodził poszkodowanym krzywdy. Mając do dyspozycji w pełni zachowaną dokumentację przestępstw przeciwko naszej wspól-

nocie, zebraliśmy się tu po to, by zażądać zadośćuczynienia. To żądanie ponownie łączy nas z panem Garnierem, który również wysuwa roszczenia wobec Watykanu.

Robert najchętniej zapadłby się pod ziemię. Nie był jeszcze gotowy stawić czoła Rzymowi. Na razie nie potrafił powiedzieć, czy w ogóle tego chce. Ale nie śmiał zaprotestować. Musiał zachować ostrożność. Nadal nigdzie w polu widzenia nie dostrzegął Marleny.

Zamierzał właśnie wstać, gdy Lucien, który dotychczas w milczeniu obserwował przebieg wydarzeń, położył mu rękę na ramieniu.

- Proszę się nie martwić - usiłował go uspokoić. - Pańska przyjaciółka jest wprawdzie w naszych rękach, ale damy panu słowo, że obydwójce możecie wyjść stąd bez szwanku. Wystarczy przełamać opory. Proszę się zmobilizować. Potrzebujemy pańskiego wstawiennictwa jako potomka i spadkobiercy papieża Benedykta XIV. W zamian zrehabilitujemy pana i oczyścimy z oskarżeń.

Robert potrzebował chwili na przetrwanie jego wypowiedzi. Poddał się jednak niemal natychmiast. W tej chwili nie pragnął niczego prócz bezpieczeństwa i spokoju - dla siebie i dla Marleny.

- Zgoda. Idę na współpracę - wyszeptał.

Nagle pośród nocy zahuczał wystrzał.

- Wynocha! Wynoście się stąd wszyscy!

Przerażona publiczność zwróciła głowy ku spoconemu mężczyźnie, który stał z zaczerwienioną twarzą przed zebranymi wokół podestu.

- Stać. Pan nie, Montanelli! I nie wyłączać kamer! Kardynał zastygł w bezruchu, jakby skamieniał.

Również Matthias Leopold znieruchomiał u jego

boku. Jeden z dwóch operatorów stojących na podestach dla kamer umknął w mgnieniu oka. Drugi, który pozostał, czuwał nad tym, żeby obydwa urządzenia nadal rejestrowały obraz. Dołączył do niego Filip Ohly.

Marlena również usłyszała wystrzał. Przesunęła się bliżej ku oknu wraz z krzesłem, do którego przywiązał ją strażnik. Jej prześladowca - po sprawdzeniu, czy węzły dobrze trzymają - zszedł schodami na dół i ślad po nim zaginął.

Karol stał na podeście. W rękach trzymał dwa naładowane rewolwery, którymi terroryzował wszystkich obecnych.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

- Założyć to, bez gadania!

Karol wręczył Claude'owi trzy pary kajdanek, połączonych ze sobą krótkim łańcuchem, i patrzył, jak Lucien, Robert i Henry po kolei wsuwają ręce w metalowe obręcze. Musieli w tym celu przysunąć się bardzo blisko do siebie.

- I odwołajcie waszych strażników - dodał, gdy skończyli.

Henry bez ociągania przekazał polecenie przez mikrofon:

- Nie atakujcie! To rozkaz. Nie może dojść do rozlewu krwi.

Następnie Claude chwycił kajdanki, z których jedną bransoletkę zapiął na swoim przegubie Henry. Teraz przyszła kolej na niego. Ale zamiast zakuć się sam, przeciągnął ją za plecami trzech skutych osób i zapiął ją na prawej ręce Luciena.

- Claude... ty?

Szyderczy śmiech Claude'a przeraził Henry'ego. Oni wszyscy zaaranżowali tę koszmarną scenerię, żeby przypomniała zebranym o mrocznych czasach w historii Kościoła i o jego przewinach, ale nie po to, by teraz kogokolwiek skrzywdzić. Jeszcze większy strach ogarnął Henry'ego, gdy Claude wyrwał mu mikrofon i oświadczył:

- Od tej chwili przejmuję dowodzenie. Zresztą ci ludzie tutaj i tak słuchają wyłącznie moich rozkazów - dodał ze śmiechem.

Karol zdążył już opuścić podest. Podszedł do kardynała Montanellego, nie spuszczać z niego nienawistnego spojrzenia.

- Do mnie, eminencjo!

Zaszczytny tytuł brzmiał w jego ustach zimno i lekceważąco jak obelga.

Montanelli podszedł do niego powoli. Nie wypowiedział ani słowa, gdy Karol popchnął go w stronę stosu na prawo od podestu. Za pomocą kolejnych kajdanek przykuł drżącego kardynała do pala na środku, po czym zeskoczył na dół.

- Płoń, morderco! - wykrzyknął.

- *Pater noster qui in caelis es... sanctificetur nomen tuum...* - zaczął się modlić stary kardynał.

Wtem Matthias Leopold stanął Karolowi na drodze.

- Co wam przyjdzie z jego śmierci? - spytał odważnie.

Lecz Karol tylko się roześmiał. Pchnął słabszego od siebie duchownego tak mocno, że tamten zatoczył się i o mało nie upadł na ziemię. Następnie podszedł do ściany najbliższego domu i wyjął z przymocowanego do ściany żelaznego uchwytu płonąca pochodnię. W chwili, gdy zamachnął się, żeby rzucić ją na stos, Matthias Leopold wymierzył mu cios pięścią w twarz. Karol stęknął, upuścił pochodnię i padł do tyłu. Uderzył mocno plecami w ścianę. Potrzebował chwili, żeby dojść do siebie. Ta chwila wystarczyła Leopoldowi na wymierzenie mu solidnego kopniaka.

Potem dwie mocne ręce odciągnęły młodego księdza do tyłu i złamały mu kark. Matthias Leopold padł na ziemię, skręcony w nienaturalnej pozycji.

Claude wyciągnął prawicę do Karola.

- Chodź, mamy jeszcze sporo do zrobienia.

Karol jęknął. Z trudem utrzymywał się na nogach.

Trzech skutych ze sobą mężczyzn bezradnie obserwowało rozgrywające się wydarzenie. Podczas gdy Claude pomagał poturbowanemu Karolowi, pierwsze płomienie objęły polana stosu. Ale ponieważ pochodnia poleciała nieregularnym łukiem, to nie trafiła w stos kardynała. Dosięła jednak środkowego - i zapaliła go.

- Musimy za wszelką cenę zejść z podestu. Szybko!

Na chwilę zastygli w bezruchu. Stali plecami do siebie, w ciasnym kręgu, skrępowani kajdanami. Ucieczkę należało starannie przemyśleć i dobrze skoordynować. Ze względu na krótkie łańcuchy nie mogli wszyscy iść przodem. Jedna osoba musiała poruszać się do tyłu. Robert objął dowodzenie:

- Wy dwaj do przodu! - rozkazał.

Jednak wszyscy potknęli się już o pierwszą przeszkodę w postaci wywróconego krzesła.

- Stać! Zaczekajcie!

Dym gryzł ich w oczy. Ogień objął już dolną część podestu, znacznie szybciej, niż można się było spodziewać.

- Musimy skoczyć razem. Inaczej nie zejdziemy z podestu.

Lucien dyszał. Oddychanie przychodziło mu z trudem. Nie zostało mu wiele czasu.

Karol wstał, jęcząc. Wkrótce otrzyma zadośćuczynienie. Krzyki starca wynagrodzą mu krzywdy. Kardynał płonący na stosie! Zanim Karol w pełni się wyprostował, spostrzegł, że zajął się niewłaściwy

stos. „Nie szkodzi - pomyślał z gorzkim uśmiechem. - To tylko chwilowa zwłoka”.

- Ściśnijcie się, bliżej! Wszyscy razem! Teraz!

Robert stał w chmurach dymu, Henry, przyciśnięty do niego ramieniem, po jego lewej stronie. Mimo że zmniejszyli odległość, jak tylko można, krótkie łańcuchy ściągały uchwyty kajdanek, co dodatkowo powodowało ból ich powykręcanych ramion.

- Lucien, żyjesz jeszcze?

Henry zdawał sobie sprawę, że jego towarzyszowi starczy sił tylko na jedną, jedyną próbę. Staruszek zakaszłał.

- Dobra. Teraz!

Starannie odmierzywszy siły, odskoczyli wszyscy trzej równocześnie od płonącego stosu. W tym samym momencie płomienie objęły górne deski podestu.

„Dlaczego płonie środkowy stos?” - myślał gorączkowo Karol. Mimo ostrego bólu w skroniach usiłował uporządkować myśli. Zataczając się, podszedł do osłabionego kardynała.

- No, eminencjo, czy już czujesz żar? Kardynał podniósł na niego zmęczone oczy.

- Proszę mnie zabić, jeżeli uważa pan, że ma do tego jakiś powód. Jestem już stary. Pogodziłem się z losem. Lecz moja śmierć nie zapewni panu spokoju duszy.

- Prawdopodobnie nie wiesz, dlaczego się tu znalazłeś?

Głos Karola niemal przeszedł w falset, ledwie słyszalny wśród trzasku płonących polan. Ogień zdążył już objąć dwa zewnętrzne stosy. Karol przeznaczył drugi pal w rzeczywistości dla kogoś in-

nego. Lecz teraz wszystko wskazywało na to, że nie będzie go więcej potrzebował.

Robert podniósł się pierwszy. I jego dopadło osłabienie. Poza tym poczuł, że rana pod ramieniem znów zaczęła krwawić. Postawienie się na nogi stwarzało im pewne trudności. Wszyscy trzech stosunkowo dobrze znieśli skok. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami wylądowali w pozycji kucznej. Lecz później stracili równowagę i padli razem w bezwładnej plątaniu na spadzisty plac przed kościołem.

Kamienna ławka posłużyła im za oparcie przy wstawaniu. Z ulgą stwierdzili, że poza drobnymi zadrażnieniami nie odnieśli poważniejszych obrażeń. Ale gdy Lucien spróbował zrobić pierwszy krok, upadł na kolana z twarzą wykrzywioną bólem.

- Cholera! - zaklął Henry. - Złamałeś nogę? Nagle Robert doznał olśnienia.

- Do kościoła! - zarządził. - To już niedaleko. Musimy tylko tam dotrzeć.

Podobnie jak wielokrotnie przedtem na sali sądowej, Karol rozpoczął swoją mowę, podczas gdy płomienie powoli obejmowały coraz wyższe części stosu z kardynałem.

- Macie na sumieniu mojego dziadka i do tego jeszcze jego najlepszego przyjaciela. Do diabła! Powiedz coś wreszcie!

Claude rozglądał się nerwowo dookoła. Tymczasem Karol skupił całą uwagę na kardynale. Choć sytuacja wymknęła się pod kontroli, skrupulatnie udowadniał kardynałowi jego winę. Natomiast trojgu skutym kajdanami mężczyznom udało się uciec

z podium. Claude nie dostrzegł w polu widzenia ciemno ubranych mężczyzn, których zatrudnił jego pomocnik, Bertrand. Zdenerwowany, wydobyl z kieszeni maleńki nadajnik i włączył go.

- Bertrand, Maurice, Gilbert. Zgłoscie się. W aparacie rozległy się szумы i trzaski.

- Tak. Tu Maurice. Już podchodzę.

Maurice, najpotężniejszy z trzech drabów, ukrył się w sieni domu. Drugi z kamerzystów zdążył tymczasem umknąć, ustawivszy kamerę w taki sposób, by rejestrowała cały przebieg wydarzeń. Przekazywanie więc relacji z miejsca wydarzeń do wozu transmisyjnego i dalej do satelity przebiegało bez zakłóceń. Ponieważ Maurice również o tym wiedział, polecił ten wóz przyciągnąć. A kamery potrafi w razie potrzeby sam unieszkodliwić!

Maurice pospieszył do Claude'a.

- Bertrand poszedł do kościoła. Gilbert przeszukuje ulice - zameldował.

- Dobrze. Przyrowadź tę kobietę. Być może będziemy jej potrzebować.

- Moja babcia, Aurelia, urodziła córkę. Spłodził ją w czasie wojny niemiecki żołnierz. Poza starszą siostrą babci, nie żył już nikt z rodziny. Moja cioteczna babka żyła w Awinionie pod panięńskim nazwiskiem swojej matki. Zajęła się zarówno młodszą siostrą, jak i jej córką, moją matką. Długo nie znałem historii mojej rodziny. Lecz ciocia z biegiem czasu dowiedziała się, że los nieprzypadkowo rzucił tu tego żołnierza. Poszukiwał potomków Duchontów. Opowiedział jej dziwną historię. Zanim jednak mogli się pobrać, został odwołany z powrotem do Niemiec. Nigdy stamtąd nie wrócił. Ten żołnierz, Friedrich, został zamordowany, podobnie jak jeden

z jego kolegów, na rozkaz niejakiego kardynała Abatiego. Jego prawą ręką był w tamtych czasach pewien młody człowiek nazwiskiem Montanelli. Dziś sprawiedliwości stanie się zadość.

Montanelli wreszcie zrozumiał, za co Karol go nienawidzi. Nigdy nie przeboleał, że jego starszy brat Luigi był uwikłany w dwa morderstwa. Usprawiedliwiała go tylko wyższa konieczność. Wybrał mniejsze zło, żeby ochronić Kościół przed największym z możliwych - przed ingerencją Adolfa Hitlera.

- Biorę na siebie winę mojego brata - zawołał. - Niech mnie pan zabije, jeśli pragnie pan zadośćuczynienia. Lecz mój brat popełniłby o wiele cięższe przestępstwo, gdyby wraz z kardynałem Abatim pozwolił nazistom zagarnąć grób świętego Piotra czy nawet monetę. Na jego miejscu w tamtych czasach postąpiłbym dokładnie tak samo.

W tym momencie płomienie dosięgły pala.

Robert słyszał ciężki oddech Luciena, który wymagał natychmiastowej pomocy lekarskiej. Teraz to on szedł przed dwoma pozostałymi i przymrużonymi oczami patrzył w ciemność.

„To chyba gdzieś tutaj” - pomyślał.

Nie mógł wprawdzie oczekiwać jakiegoś błysku w ciemności, lecz jeśli intuicja go nie myliła, to szukał we właściwym kierunku. Na plecach czuł gorący oddech Henry'ego, który wspierał i ciągnął dyszącego Luciena.

- Czy jest pan pewien, że tu go znajdziemy?

Oczywiście, Robert niczego nie był pewny. Zanim oszołomiono go w kościele, nie zdążył zauważyć, że mężczyźni zajęli się jeszcze czymś innym prócz niego.

- Musi tu gdzieś być - odpowiedział.

Nagle stanął czubkiem stopy na jakiś przedmiot. Kilka sekund później z triumfem uniósł w górę rewolwer swego dziadka.

Z konieczności trzech skuci mężczyźni musieli teraz przykucnąć razem. Robert wykorzystał chwilę odpoczynku, by zaplanować następne posunięcie. Zerknął przez ramię na Henry'ego.

- Teraz przyciągnę moje lewe ramię do boku tak blisko, jak to możliwe, a wy napięcie łańcuch. Wtedy spróbuję odstrzelić jedno ze środkowych ogniw.

- Czy pan wie, co pan robi? - mruknął Henry, niezbyt zachwycony pomysłem.

- Nie mamy wyboru. Musimy spróbować. Tylko nikomu nie wolno się poruszyć.

Robert nacelował wylot lufy tak dokładnie, jak tylko mógł, na środkowe ogniwo łańcucha. Jego wnętrze sprawiało wrażenie na tyle małego, że pocisk o średnicy dziewięciu milimetrów mógł spowodować jego rozerwanie.

Robert odmówił akt strzelisty, po czym bez ostrzeżenia nacisnął spust. Rozległ się ogłuszający huk. I zapadła cisza na kilka nieskończenie długich sekund, jakby czas stanął w miejscu. Pocisk odbił się od płytki podłogowej i rozerwał poręcz drewnianej ławki. Iskry i drzazgi poleciały w powietrze. Po chwili Robert poczuł, że może bez przeszkód podnieść rękę.

- Świetnie! Poszło jak z płatka!

Wreszcie mężczyźni mogli ustawić się obok siebie. Należało jeszcze jednak rozbić dwa łańcuchy. Robert chwycił broń wolną lewą ręką. Dopiero w tym momencie poczuł ból. Z grzbietu dłoni leciała ciepła krew. Przestrzelone ogniwo albo drzazga przebiły mu skórę. Szybko przystawił wylot lufy do łańcucha drugiej pary kajdanek.

Tym razem chybił przy pierwszym strzale. Dopiero drugi rozerwał ogniwo. Robert był wolny. Podsunął pistolet Henry'emu.

- Chce pan sam spróbować? Zostały tylko dwa lub trzy naboje, a musimy się spieszyć.

- Nie. Proszę oszczędzać amunicję. Niech pan idzie sam. Ja zostanę przy Lucienie. Proszę tylko nie zapomnieć, by sprowadzić dla nas pomoc.

Robert skinął głową i odwrócił się.

- Życzę szczęścia - mruknął i pospieszył na zewnątrz. Zanim opuścił świątynię, zanurzył prawą rękę w wodzie święconej i przeżegnał się.

Henry odprowadził go wzrokiem.

- Niech Bóg ma go w swojej opiece - mruknął do Luciena.

Maurice wspinał się po drewnianych schodach. Wciąż dziwiło go, jak drobni musieli być ludzie w dawnych czasach. W każdym razie jego szerokie ramiona niemal przy każdym ruchu zawadzały o jakąś przeszkodę.

Popchnął drewnianą klapę, zamykającą wejście na najwyższe piętro czy raczej strych. Umieścił związaną Niemkę w pobliżu okna. Gdy schodził w dół, słyszał, jak przysuwa się do okna wraz z krzesłem. Uśmiechnął się cierpko.

„Tym lepiej dla mnie” - pomyślał. A potem ogarnęła go ciemność.

Marlena w końcu osiągnęła cel. Wstydziła się, że wcześniej nie wpadła na zbawienny pomysł. Wszak cała wieś sprawiała wrażenie arcystarej. Powinno jej wcześniej przyjść do głowy, że krzesło też nadgryzł ząb czasu. Po kilku bolesnych i bezowocnych próbach rozbicia oparcia o kant ściany przy oknie, po prostu przewróciła się na podłogę. Jej barki przeszył

ostry ból, lecz prawa poręcz pękła. Energicznymi ruchami oddzieliła oparcie od reszty starego mebla i zaparła się plecami. Mocny węzeł na lewym ramieniu długo nie ustępował. Wreszcie udało się. Ale wysunięcie zeń lewej ręki kosztowało ją wiele samozaparcia. Omal nie zemdląca przy tym z bólu. W końcu dopięła swego.

Gdy oswobodziła obydwie ręce, mogła wreszcie wyciągnąć knebel z ust. Splunęła z odrazą. Później rozwiązała sznury, krępujące stopy i wreszcie tułów. Na koniec odłamała nogę od krzesła, żeby nie pozostać zupełnie bezbronna.

Pięć minut później wykorzystała ją do powalenia potężnego Maurice'a na podłogę. Pospiesznie rozdzieliła obydwie sznury, którymi ją związał. Owinęła je wokół przegubów i kostek nieprzytomnego oprawcy. Gdy popatrzyła na nieruchomego jeszcze mężczyznę, żeby sprawdzić, czy węzły dobrze trzymają, wpadł jej w oko pas naramienny z wielkim rewolwerem. Po krótkiej, lecz ciężkiej wewnętrznej walce, wzięła w dłoń zimną, czarną stal.

Rzuciła jeszcze raz okiem na solidnie skrupowanego olbrzyma. Gdyby chciała go przesunąć, wymagałoby to od niej nadludzkiego wysiłku. Potem pospieszyła schodami w dół. Gdzieś tam, na dole, Robert potrzebował jej pomocy.

Bertrand otworzył główną bramę. Jasne światło latarki zamigotało we wnętrzu kościoła i oświetliło jego wnętrze. Akurat wtedy, gdy zaczynał poszukiwania, Henry cicho zamknął za sobą i swoim starym przyjacielem drzwi konfesjonału.

Robert opuścił świątynię przez boczne drzwi. Wciśnięty w mur, powoli posuwał się w stronę

placu przed kościołem. Wolał nie ryzykować, by zbyt szybko go nie odkryli. Bolało go lewe ramię. Ponieważ bandaż się poluzował, ubranie boleśnie naciskało na ranę. Prócz tego odczuwał pulsujący ból w lewej dłoni. Na szczęście przestała krwawić. Zdawało mu się, że usłyszał skrzypienie drzwi kościoła, lecz odgłosy pożaru zagłuszały inne dźwięki, uniemożliwiając mu dokładniejszą orientację. Nie tracąc czasu, okrążył trzeci stos, którego samotny pał stał już w płomieniach.

- Stać!

Ledwie rozpoznał ów głos. To był rozkaz Karola. Jeszcze nigdy jego dotychczasowy przyjaciel nie przemawiał do niego w taki sposób. - Ten stos jest przeznaczony dla ciebie - Karol wręcz syczał. I kulejąc, podszedł do Roberta. Oburącz trzymał rewolwer i nie spuszczał zeń oka.

- Rzuć broń! Twoja rodzina odarła moją z godności. Dziś za to zapłacisz. Robert pokręcił głową.

- To stara historia, Karolu. Dlaczego wcześniej nic nie powiedziałaś?

- Dziś nastał dzień zapłaty - krzyknął tamten z wściekłością. - Rzuć broń!

Robert powoli otworzył dłoń. Zdawał sobie sprawę, że nie zdąży odciągnąć i zwolnić spustu. Były przyjaciel trzymał go na muszce. Robertowi przesuwają się przed oczami sceny z trzydziestu lat ich przyjaźni, poczynając od dzielenia się kanapkami w szkole, a skończywszy na ostatniej wizycie Karola w więzieniu. W tym momencie padł pierwszy strzał. Rewolwer Roberta uderzył o bruk.

Obrazy stopniowo rozmywały się Karolowi. Jasne płomienie i oświetlone reflektorami kłęby dymu tworzyły upiorną scenerię. Stał skulony, gdy drugi

strzał rozerwał mu klatkę piersiową. Ostatnie uderzenia serca spryskały małymi fontannami krwi jego twarz i ramiona. Karol Duchont nie żył.

Błada jak ściana z przerażenia Marlena upuściła broń i opadła bezwładnie na kolana.

Robert nie wierzył własnym oczom. Gdy usłyszał huk, nawet nie przemknęło mu przez głowę, że to nie Karol wystrzelił. Lecz wkrótce padł drugi strzał, który zabił jego przeciwnika. Leżał przed nim martwy, w odległości kilku kroków.

Marlena wkroczyła na scenę. Niejako wypłynęła z cienia domu po drugiej stronie placu i uratowała mu życie. Teraz klęczała bez siły przy jednej z ławek. Uszczęśliwiony, że ona żyje, że jej nie skrzywdzono, chciał do niej podbiec, objąć ją i ucałować.

- Uwaga, Za tobą!

Za Robertem stał Claude.

Pierwsza kula zaświstała tak blisko ucha Roberta, że poczuł pęd powietrza. Przewrócił się na ziemię. Ponieważ padł na zraniony lewy bok, przyplącił swój upadek przeszywającym bólem. Niski murek przed wysokim, płonącym stosem praktycznie nie stanowił osłony. Robert na leżąco dosięgnął rewolweru. Ledwie zdążył unieść go do góry i dwukrotnie wystrzelić, kula rozerwała mu szyję i ciepła krew spłynęła w dół na klatkę piersiową. Wkrótce oblała go fala gorąca. Padł u podnóża płonącego stosu.

- Robercie! ROBERCIE!

Marlena popędziła przed siebie. Nie wiedziała, kto jeszcze tu się ukrywa. W tym momencie nie miało to zresztą żadnego znaczenia. Któraś z kul Roberta musiała dosięgnąć Claude'a. Zatoczył się

bowiem do tyłu i więcej nie powstał. Niestety, on również zdołał oddać drugi strzał.

Na rynku umierał jedyny człowiek, który wiele dla niej znaczył. Nie mogła zostawić go samego.

Gdy do niego dobiegła, upadła z łkaniem na kolana i ułożyła jego głowę na swoim łonie. Szyja była mocno uszkodzona. Nie mogła nic więcej zrobić, jak tylko uciskać ranę.

Robert oddychał płytko. Na wargach błąkał się cień uśmiechu. Wyraz jego twarzy wyrażał zadowolenie. Marlena odnosiła wrażenie, że zdaje sobie sprawę z jej obecności.

Miał zamknięte oczy. Nie otworzył ich nawet wtedy, gdy reflektory śmigłowca ratunkowego przeszukiwały plac, ani wtedy, gdy oddziały antyterrorystyczne przemierzały uliczki między domami.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Szpital Sainte-Madeleine, Perpignan.

Dwa dni później

Światło.

Pierwsze, co zobaczył, to dwie jasne smugi. Rozświetlały mgłę, wydobywały płynne kontury. Otaczała go zieleń. Ta barwa dominowała wszędzie dookoła.

Czyżby łąka? Czy leży na łące?

Robert zamrugał powiekami. Dwie świetliste smugi zmaterializowały się w rurki neonówek. W otaczającej zieleni rozpoznał parawany po prawej i lewej stronie oraz cienką pościel.

Język przysechł mu do podniebienia. Robert chciał odkaszlnąć, ale nie mógł. Spróbował odwrócić głowę. Również na próżno. Kątem oka dostrzegł niezliczone rurki i przewody wiszące nad łóżkiem.

- *Monsieur* Garnier?

Pielęgniarka wystawiła głowę zza zasłony.

- Dobrze, że pan nie śpi.

Trzymała w ręku plastikową butelkę z zagiętą rurką do picia. Popatrzyła nań pytająco. Potem skinąwszy głową podeszła do łóżka i ostrożnie wetknęła mu plastikową słomkę do ust.

- Proszę pić powoli - pouczyła. Przełykanie sprawiało mu spore trudności. Robert

podejrzewał, że przeszkadza mu gruba warstwa

bandaży wokół szyi. Uniemożliwiła mu również poruszanie głową. Potem znowu zasnął.

- Cześć, Robercie.

We śnie dręczyły go koszmary, często okrutne i mroczne. Nagle jednak odzyskał spokój. Musiał już tylko otworzyć oczy, lecz powieki ciążyły mu, jakby położono na nich bryły ołowiu. Wreszcie zdołał je uchylić.

To, co zobaczył, ucieszyło go jeszcze bardziej niż łagodny głos, który usłyszał przed chwilą.

- Cześć! - wychrypiał. Potem głos go zawiódł. Musiał odkaszlnąć.

- Już wszystko w porządku. - Marlena z uśmiechem uścisnęła jego prawą dłoń. - Cudownie, że odzyskałeś przytomność. Boli cię?

Nawet gdyby w jego szyi tkwił nóż, Robert w tej chwili nie czułby bólu. Rozciągnął usta w krzywym uśmiechu i nieznacznie pokręcił głową.

- Poproszę... wody - wyszeptał z trudem.

Marlena podała mu naczynie z rurką. Po zwilżeniu ust, mówienie przychodziło mu z nieco mniejszym trudem.

- Co się stało?

- Czy na pewno chcesz teraz wszystko usłyszeć? Robert kiwnął głową. Natychmiast poczuł silny ból pod bandażami.

- Opowiedz, proszę.

Marlena westchnęła. Następnie przedstawiła mu przebieg wydarzeń w Montailou. Zaczęła od przylotu śmigłowca z ekipą ratunkową na pokładzie. Starszkiem o imieniu Henry, którego znaleziono przykutego do drugiego starszego mężczyzny, zaopiekował się lekarz pogotowia. Claude'a wraz z jego szoferem i jeszcze trzecim, nieznanym męż-

czynną, zakuto w ich własne kajdanki i odprowadzono pod eskortą. Ktoś odnalazł kardynała, który bardzo ucierpiał wskutek silnych oparzeń. Odtransportowano go helikopterem do szpitala wraz z Robertem. Robert otrzymał transfuzję krwi. Stary kardynał leżał w śpiączce. Lekarze na razie nie potrafili przewidzieć, czy przeżyje. Robert miał ranę na szyi. Operacja trwała cztery godziny. Przebiegła pomyślnie.

Kto przybył na ratunek? Policja i wojsko. Podczas przebiegu transmisji telewizyjnej nastąpiły zakłócenia łączności, lecz dzięki przekazowi satelitarnemu wydarzenia w Montailou wzbudziły sporą sensację. Oprócz tego jakiś wzburzony człowiek, który przedstawił się jako jedyny zaproszony dziennikarz, wezwał przez telefon komórkowy służby ratunkowe. Był to Filip Ohly z Awinionu.

Gdy Robert ponownie zasnął, już nie nawiedzały go osobliwe wizje.

Wszystko zostało doprowadzone do końca. Prawie wszystko.

Remoidins, 27 sierpnia 1433

Bernard oddychał ciężko i szybko. Serce waliło mu jak młotem, gdy spieszył w górę po kręconych schodach, które przed wieloma wiekami wykuli w skałę rzymscy niewolnicy.

Wreszcie dotarł na zaokrąglony wierzchołek wzgórza, pięćdziesiąt metrów powyżej spokojnego nurtu rzeki, której powierzchnia lśniła w złotych promieniach słońca. Oceniał, że jeśli się pospieszy, da radę przemierzyć rozpadlinę mniej niż dwustu krokami. Później gęste cyprysy i dzikie drzewa oliwne zapewnią mu osłonę.

Gdy Bernard wspiał się na pierwszy podest z wapienia, odwrócił się. Zostawił prześladowców za sobą znacznie dalej, niż przypuszczał w najśmielszych marzeniach. Najpierw zobaczył dwie głowy. Reszta ścigających go ludzi została z tyłu. Nie mógł sobie pozwolić na najdrobniejszy błąd.

Imponujący trzypiętrowy akwedukt, Pont du Gard, złożony z 52 arkad, zbudowano z jasnego wapienia w kolorze piasku. W ciągu wielu pokoleń od wycofania się Rzymian, stracił nieco swój dawny blask. Przykrywały go dwumetrowej długości płyty, które osłaniały rynnę umieszczoną na najwyższej kondygnacji, na podobieństwo sarkofagu. Niegdyś chroniły płynącą wodę przed zabrudzeniami. Obecnie niektórych z nich brakowało. Inne uległy przyniszczeniu.

Bernard myślał o swoim synu. Czteroletni chłopczyk rzadko widywał ojca. Choć Bernard żałował straconych dni, unikał kontaktu dla dobra dziecka. Uznał, że cokolwiek przyniesie przyszłość, mały pozna prawdę, gdy dorośnie i zrozumie jego motywy. Zadba o to jego matka. Przyniesła to Bernardowi. Wiedziała, że uciekł z Aragonii. Gdy przybył do Remoulins jako zwykły podróżny, dobrowolnie i dyskretnie przyjęła go pod dach. W ciągu kilku tygodni jego pobytu nawiązali bliską więź, również intymną. Po dziewięciu miesiącach wydała na świat owoc ich miłości - zdrowego chłopczyka, Alfonsa Garniera.

Bernard często musiał przystawać. Z rozlicznych szczelin w rynnę, wysokości dorosłego mężczyzny, wyrastało zielsko. Jej brzeg był w niektórych miejscach tak wąski, że mężczyzna obawiał się spojrzeć w dół. Najdrobniejszy błąd mógł kosztować go życie. A wtedy siepacze, Duchontowie, odebraliby swoją zapłatę bez większego wysiłku.

Duchontowie.

Bernard Garnier nie wierzył własnym oczom, gdy spostrzegł, co się wydarzyło. Najprawdopodobniej prześladowcy przeszli przez akwedukt na niższej kondygnacji, dlatego ich wcześniej nie spostrzegł. Na ich czele stał nie kto inny, jak jego śmiertelny wróg we własnej osobie.

Wreszcie dotarł do akweduktu. Goniący go podchodzili od tyłu. Bernard trzymał w ręku swe najcenniejsze ziemskie dobro: okrągłą blaszkę, której ponad wszystko pożył zarówn tamten: drugi papież, jego rywal, jak i król. Podobno oferowali za nią Duchontowi niebotyczną sumę, lecz starannie ten fakt ukrywano. Wszelkie pogłoski na ten temat zbywano lekceważącym stwierdzeniem, że to tylko niesprawdzone plotki. Istniał tylko jeden Bóg i jeden papież, od zarania dziejów. I ten jedyny, prawowity, mieszkał w Rzymie.

Bernard Garnier musiał szybko coś wymyślić. Nie mógł tak marnie skończyć. Przysiągł to Pedrowi de Lunie, czyli Benedyktowi XIII, swemu poprzednikowi, zanim tamten przeżył kilka podstępnych prób otrucia.

Teraz Benedyktowi XIV nie pozostało wiele czasu na ostatnią akcję jego pontyfikatu. Bez namysłu skoczył więc w dół, w otwartą rynnę. Krzaki wyrosły prawie do stropu, lecz był w stanie wpełznąć pod płyty i przynajmniej na chwilę zniknąć z oczu prześladowcom.

Benedykt XIV powoli uniósł prawą rękę do ust. Pomodlił się do Stwórcy, poprosił Go o łaskę i wybaczenie. Następnie ucałował monetę, która zapewniła rybakowi znad jeziora Genezaret duchowe przywództwo nad małą, lecz szybko rosnącą wspólnotą braci w wierze. I połknął ją.

Gdy oprawcy ściągnęli go w końcu z drugiej strony rynny, Bernard nie stawiał oporu. W milczeniu przyjął swój los. Nie podniósł ręki również na Duchonta, nawet wtedy, gdy tamten uderzył go i zażądał oddania monety.

Bernard sięgnął do kieszeni. Po długim poszukiwaniu coś z niej wyjął. Nieoczekiwanie gwałtownym ruchem wyrzucił rękę do góry. Złoty gulden błysnął w słońcu i zniknął w wodach Gardonu.

Zbity z tropu Duchont i jego towarzysze, patrzyli bezradnie w dół. W chwili, gdy czerwone słońce opadło ku linii horyzontu, Bernard Garnier wykorzystał ich nieuwagę i wyrwał się z okrążenia. Wolał nie dożyć następnego dnia, niż pozwolić, by torturami wydarto mu najświętszą tajemnicę.

Rzucił się z akweduktu w dół. Spadając, po raz ostatni wciągnął w nozdrza zapach sosen i lawendy. Wyciągnął w górę ramiona, jakby wołał: „Oto idę do Ciebie, mój Stwórco. Przyjmij mnie do swojego Królestwa”.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Maria zapukała trzy razy. Potem pchnęła drzwi i wtoczyła wózek z wiktuałami do sypialni.

Zmęczony Robert usiadł na pościeli i głośno ziewnął. Trzy dni temu powrócił do domu. Gosposia powitała go serdecznie, niemal z macierzyńską czułością. Niebawem jednak zmieniła ton na bardziej swobodny:

- Dzień dobry. Małe śniadanko.

Zwykle Robert lubił jeść śniadanie w łóżku. Okno sypialni wychodziło na rzekę, a drugie na winnice. Dzięki temu mógł ze swojej sypialni, w tylnej części wąskiej przybudówki, oglądać z łóżka zarówno wschody, jak i zachody słońca.

Z każdym dniem wracał do zdrowia.

Tylko Marleny mu brakowało.

Robert okazał jej zrozumienie. Planowała krótką podróż do Francji, a tymczasem przeżyła niebezpieczną przygodę. Gdy jej rodzice czytali relacje prasowe, na pewno odchodzili od zmysłów ze strachu.

- Muszę pojechać do Berlina - oznajmiła. - Wierz mi, niechętnie cię zostawiam.

Robert doskonale to rozumiał. Miała tysiące powodów, by wrócić do rodzinnego miasta. W szpitalu, w okresie rekonwalescencji i nawet później, odgradzony od świata w starej rodowej siedzibie,

był o wiele mniej narażony na atak wścibskich reporterów niż państwo Schönberg w Berlinie.

Robert postanowił nie przysparzać jej dodatkowych strapień. Podczas pożegnania obydwójce mieli łzy w oczach. Od tamtej chwili minęło sześć dni.

Robertowi nie dopisywał apetyt. Zmusił się jednak do przełknięcia dwóch croissantów, które z niechęcią moczył w kawie z mlekiem. Cokolwiek czuła Marlena, on od lat nie był tak pewien swych uczuć. Z nią potrafił sobie wyobrazić wspólną przyszłość.

Maria zabrała telefon z sypialni. Nie przekazywała mu też poczty. Wypełniała ściśle polecenia lekarza. Stanowiły one warunek, pod którym wypuszczono go wcześniej, niż trzeba ze szpitala. Tego dnia jednak z niechęcią poszła na ustępstwa. Pozwoliła młodemu panu odbierać telefony i przejrzeć korespondencję.

- Ten kardynał zadzwoni dzisiaj - wymamrotała pod nosem, gdy przyjęła go w salonie.

- Montanelli?

Robert odetchnął z ulgą, że kardynał najwyraźniej również wraca do zdrowia.

- Od przedwczoraj wydzwania najczęściej ze wszystkich.

Ponieważ nieustannie ktoś telefonował, zmienili numer na nowy - zastrzeżony. Ale już po trzech dniach, ktoś okazał się na tyle sprytny, że go rozszyfrował. W obawie przed atakiem wścibskich dziennikarzy zaryglowano wszystkie drzwi.

- Czego chciał Montanelli?

- Nie mam pojęcia. Mówił o jakimś terminie w Watykanie - odparła Maria, po czym znów zostawiła Roberta samego.

Robert otwierał tylko te listy, które wydały mu się ważne. Przyszła także poczta z Niemiec, lecz Mar-

lena nie dawała znaku życia. Rozczarowany, odsunął papiery na bok i poszedł z powrotem na górę się ubrać. Pilnie potrzebował świeżego powietrza. Ponieważ droga do winnicy wiodła główną ulicą, Robert zdecydował się na spacer w dół, nad rzekę. Gdy przechodził obok synów Marii, powitali go skinieniem głowy. To go trochę uspokoiło. Przynajmniej na własnej ziemi nie niepokoiły go spojrzenia obcych.

- Proszę zatrzymać rozmówców chwilę przy aparacie - polecił Marii, zanim opuścił dwór wyjściem dla służby.

W szczególnych przypadkach pozwolił też gosposi podać numer jego nowego telefonu komórkowego. Te szczególne przypadki dotyczyły wyłącznie dwóch osób: Montanellego... i Marleny.

Zegar na dalekiej wieży kościelnej w Remoulins wybił południe. Robert przystawił sobie rękę do czoła, by osłonić oczy od słońca. Popatrzył na odległe winnice, a potem przeniósł wzrok jeszcze dalej, ku linii horyzontu. Gdyby pogoda się utrzymała, mógłby oczekiwać równie doskonałego winobrania, jak w ubiegłym roku.

Gdy skręcił koło domu, do którego zbliżył się od tyłu, dostrzegł obcy samochód. Nie rozpoznał numerów rejestracyjnych. Przypuszczał jednak, że odwiedził go jakiś dziennikarz lub ktoś z władz. Choć mu to nie odpowiadało, znajdował się obecnie w centrum zainteresowania i musiał odpowiedzieć na wiele pytań. Poza tym w najbliższej przyszłości czekało go złożenie zeznań w sprawie śmierci Karola Duchonta.

Zamiast wejść od frontu, ponownie skorzystał z bocznego wejścia. Zaskoczył Marię, która stała przy piecu z wielką chochlą.

- Boże! - wykrzyknęła. - Ale mnie pan wystraszył! - uśmiechnęła się i wskazała ruchem głowy drzwi do przedpokoju.
- Ma pan gościa.

- Widziałem samochód. Właśnie dlatego obszedłem dom od tyłu. Mimo wszystkich środków ostrożności ktoś nas tu jednak znalazł.

Robert już wychodził z kuchni. W ostatniej chwili przystanął i odwrócił się.

- A właściwie kto do nas przyjechał?

Lecz Maria nie odpowiedziała. Zdążyła już zniknąć za drzwiami spiżarni.

- Robercie!

Gdy ponownie odwrócił głowę i zerknął na ukos przez przedpokój w stronę salonu, serce w nim zamarło. Miał ochotę krzyczeć, śmiać się i płakać z radości. Zamiast tego wszystkiego, wydobył ze ściśniętego gardła zaledwie cichy szept, który stłumiły ściany:

- Lena!

Doskoczyła do niego trzema długimi susami i porwała w objęcia.

Robert pogładził ją po ciemnych włosach i zajrzał głęboko w oczy. Po długim pocałunku wyszeptał:

- Jak dobrze, że tu jesteś. Bardzo mi ciebie brakowało.

Watykan

Wysokie, dwuskrzydłowe drzwi otworzyły się na oścież. Młody pielęgniarz wwiózł kardynała do osobistego gabinetu papieża. Postawił wózek inwalidzki przed majestatycznym biurkiem i opuścił pomieszczenie.

- Dobrze, że cię znowu widzę, kardynale.

Twarz Ojca Świętego promieniała autentyczną radością. Montanelli poczuł ciepło w okolicy serca. W ciągu wielu dziesiątków lat służby przeżył niewiele tak serdecznych powitań.

W porównaniu do człowieka, którego ochrzczono „7/ toro”-bykiem, przedstawiał obecnie żałosny widok: skurczony na zwykłym wózku inwalidzkim i z zapadniętymi policzkami. Amputowano mu prawą nogę poniżej kolana. Ale tym ostatnim posunięciem w czasie pełnienia swego urzędu, kardynał zakończył swą służbę z godnością, jakiej nie wykazał żaden jego poprzednik na tym stanowisku. Niejeden raz w szpitalu zadawał sobie pytanie, czy warto było ponieść tak wielkie ofiary? Odpowiedź przyszła sama. Żałował tylko strat w ludziach, ale nie swojego cierpliwego oczekiwania pod rządami pół tuzina papieży.

Montanelli ucałował pierścień Rybaka. Później wyciągnął z kieszeni kopertę. Wyjął z niej dwa cyfrowe zdjęcia. Przedstawiały monetę z obydwu stron w znacznym powiększeniu.

- Jest przepiękna, na swój sposób - orzekł Ojciec Święty.

Montanelli skinął głową.

- Najważniejsze, że odnalazła do nas drogę. Papież przekrzywił głowę.

- Optymistyczna ocena, nieprawdaż?

- Nie sądzę. Opinia publiczna będzie żądać jasnego postawienia sprawy.

Papież wstał. Powoli przepchnął wózek inwalidzki kardynała dookoła stołu. Po drugiej stronie kardynał zobaczył bogaty wybór wycinków prasowych z minionych dni. Chrześcijanie z całego świata pragnęli dowiedzieć się, jakie znaczenie ma odnalezienie monety.

- Jedni żądają mojej głowy, a dla innych jestem obojętny - podsumował papież. - Dlaczego zdaniem księdza kardynała ten Francuz myśli inaczej?

- Jeżeli nauczyłem się tu czegokolwiek - odparł Montanelli - to tego, że chaos niespokojnych czasów wzmacnia nasze siły. W każdym razie Kościół przetrwał o wiele gorsze dziejowe burze. Ponadto idę o zakład, że pan Garnier jest gotów na rokowania.

Papież podszedł do jednego z wąskich okien i popatrzył na błękitne niebo. W Rzymie panował ponad czterdziestostopniowy upał, lecz nawet wysokie temperatury nie zraziły pielgrzymów.

Ojciec Święty sięgnął po słuchawkę telefonu.

Remoulins

- Monsieur, monsieur

Maria cała w nerwach podbiegła z bezprzewodowym aparatem w rękę do sofy, przy której siedzieli ramię w ramię Robert z Marleną.

Kilka minut wcześniej Robert porządnie wsunął szufladę, którą zostawił otwartą w dniu swego wyjazdu do Montailou. Skorzystał przy tym z okazji, żeby zadać Marlenie pytanie, z którym o wiele za długo zwlekał:

- Co to za historia z tymi rewolwerami? Zwróciłem uwagę na twoją reakcję na widok broni już wtedy, gdy Bertrand wymachiwał nam nią przed nosem w Awinionie.

Marlena przez chwilę wahała się, czy nie zastosować uniku. W końcu zdecydowała się na szczerość. Opowiedziała mu o czasach dzieciństwa, gdy jeszcze mieszkał u nich ojciec matki. Tylko on z dziadków jej pozostał. Zgorzkniały dziwak wciąż

wierzył, że tak zwana Tysiącletnia Rzesza będzie trwać wiecznie. Podczas wojny robił okropne rzeczy. Gdy pewnego dnia otrzymał ważny list, umknął do swego pokoju. Coś tam mamrotał o obozach koncentracyjnych, Wiesenthalu i adwokacie. Marlena wśliznęła się za nim niepostrzeżenie. Nikt jej nie widział. Dokładnie w chwili, gdy otworzyła drzwi, pocisk z ogłuszającym hukiem przebił czaszkę jej dziadka.

Robert przeżył wstrząs. Niemal się wstydział, że ją wypytywał. Bez słowa wziął ją w objęcia.

W tym momencie nadeszła Maria.

- Telefon do pana.

- Kto dzwoni? Maria poczerwieniała.

- Po tamtej stronie... przysięgają... na wszystkie świętości, że to z Watykanu... sam papież, we własnej osobie - wyjąkała.

Robert ze zdumieniem podniósł słuchawkę. Usłyszał obcy głos, który jednakże skądś znał. Marlena wyprostowała się i nastawiła uszu. Jednak nawet przy najlepszej woli, nic nie zdołała zrozumieć - poza odpowiedziami Roberta.

- Tak. Kiedy? Już jutro? Zgoda.

Robert nacisnął czerwony guzik i zakończył rozmowę.

- A teraz powiedz, kto to taki - Marlena wierciła się nerwowo na sofie.

- Rzeczywiście sam papież, a potem jeszcze kardynał Montanelli - odparł z szerokim uśmiechem.

Marlena aż podskoczyła.

- Naprawdę?! Niesłychane! Dwa miliardy ludzi przez całe życie czeka na taką chwilę. Czego chciał?

Robert położył aparat na stole i usiadł z powrotem obok ukochanej.

- Zostałem zaproszony do Rzymu w celu omówienia kwestii dziedzictwa. - Przerwał, ujął jej dłonie, zajrzał jej w oczy i dodał:
- Chciałbym, żebyś mi towarzyszyła.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Watykan

Robert i Marlena byli pod wrażeniem. Dla niemieckiej historyczki wizyta w Watykanie nie stanowiła nowości, ale do tego piętra nigdy wcześniej nie dotarła. Zadawała sobie pytanie, ile kobiet w ogóle tu wpuszczono w minionych dziesięcioleciach.

Roberta oszołomiła już sama jazda przez stare miasto w Rzymie i cały przepych wewnątrz murów Watykanu. A najważniejsze i najciekawsze wciąż mieli przed sobą.

Zajęli miejsca na wyściełanych barokowych krzesłach w przedpokoju - wspaniałej poczekalni przed wejściem do komnat papieskich. Siedzieli tam w milczeniu obok siebie i oglądali dzieła sztuki na ścianach.

- *Signora Schönberg, signor Garnier!* Jak dobrze was widzieć!

Gdy ujrzeli kardynała Montanellego, obydwójce przeżyli wstrząs. Młody człowiek wioził go do nich na wózku inwalidzkim. Brakowało mu większej części prawej nogi, a pełne dotychczas policzki obwisły. Lecz na jego wargach gościł uśmiech.

Uściskał obydwójgu dłonie, najpierw Marlenie, potem Robertowi.

- Wybaczcie, że nie wstanę - zażartował.

- Miło znowu widzieć Waszą Eminencję - odpowiedział Robert. - Potraktowali księdza kardynała jeszcze gorzej niż mnie.

- Opowiedziano mi, że pańska przyjaciółka uratowała mi życie. Sam niestety nic nie pamiętam.

- Może to i lepiej - wtrąciła Marlena. - Sama wolałabym zapomnieć niektóre wydarzenia. Lecz wspomnienia tego, co nas tam spotkało, będą nas jeszcze długo prześladować.

Montanelli ze smutkiem pokiwał głową.

- Nikt nie przewidział, co się stanie. Początki wyglądały niewinnie. Według mojej oceny brutalność owego Claude'a i jego sługi zaszokowała w końcu nawet samych katarów, Henry'ego i Luciena. Takie postępowanie w najmniejszym stopniu nie odpowiada historycznemu wizerunkowi „Czystych”.

- A ja ani przez chwilę nie wierzyłem, że kierują się uczciwymi motywami - odrzekł Robert.

- Reprezentują całkiem rozsądne stanowisko. Mam nadzieję, że wybaczycie mi państwo, że zaprosiliśmy na rozmowę również Henry'ego. Właśnie do nas jedzie.

Zaskoczył ich oboje. Mimo wszystko zdawali sobie sprawę, że Montanelli ma dużo racji. Najwyraźniej istniała w tej sprawie spora doza niepewności. W końcu katarzy mogli okazać bardzo interesujące dokumenty, związane z ich roszczeniami za doznane krzywdy. Watykan nie mógł tych żądań tak po prostu schować pod dywan na oczach opinii publicznej.

Drzwi papieskich komnat otworzyły się.

- Powinniśmy teraz wejść do środka - oznajmił Montanelli. - Ojciec Święty nas oczekuje.

Robert z Marleną z głębokim poważaniem wkroczyli do gabinetu, stremowani i równocześnie zacie-

kawieni, jakie stanowisko zajmie Ojciec Święty w całej tej sprawie.

Aula audiencji papieskich, następnego popołudnia

W papieskiej sali audiencyjnej, jednej z nowszych budowli Watykanu, tłoczyły się tysiące ludzi. Pomieszczenie zaprojektowano na dwanaście tysięcy osób. Wpuszczono jednak tylko dziesięć tysięcy Doradcy papieża do spraw bezpieczeństwa radzili mu, żeby zorganizował ceremonię bez udziału publiczności. On jednak wbrew ich opinii postanowił urządzić uroczystość z udziałem wielu zwykłych pielgrzymów oraz w pośpiechu zaproszonych gości - Najwyższa pora raz na zawsze skończyć z potajemnymi rokowaniami i podstępными knowaniami w walce o władzę - oświadczył tytułem wyjaśnienia Robert z Marleną podzielali jego opinię. Uważali' ze przynajmniej raz prasa powinna złożyć czytelnikom relację z pierwszej ręki. W głębi duszy mieli nadzieję, że także otwarte wystąpienie Jego Świątobliwość, położy kres wszelkim spekulacjom

Punktualnie o trzynastej otwarto wrota holu dla pielgrzymów. Każdego z nich poddano szczegółowej kontroli. Minęły prawie dwie godziny, nim wszyscy widzowie zajęli miejsca. Pół godziny przed rozpoczęciem uroczystości, o piętnastej trzydzieści osobiści opiekunowie zaprowadzili przybyłe osobistości na przeznaczone dla nich miejsca. Pod czujnym okiem gwardii szwajcarskiej pozwolono kamerzystom rozstawić sprzęt poniżej krzeseł, zarezerwowanych dla prominentów. Ochroniarze dokładnie obejrzelik każdy mikrofon i obiektyw Wpuszczono tylko tych reporterów, których nazwiska wid-

niały na sporządzonej przez służby bezpieczeństwa, oficjalnie nieistniejącej, liście osób godnych zaufania. Wielkie agencje informacyjne we własnym interesie regularnie ustalały spis nazwisk z tajnymi służbami Watykanu.

O godzinie szesnastej papież w asyście najważniejszych kardynałów wkroczył na trybunę. Słońce oświetlało pomieszczenie uroczyście złotym blaskiem.

Szepty tysięcy głosów ustały, gdy Ojciec Święty wypowiedział błogosławieństwo. Potem zapadła cisza. Niemal dzwoniła w uszach. Wszyscy w napięciu czekali na to, co nastąpi dalej.

Papież uniósł rękę i przez chwilę milczał.

- Drodzy bracia i siostry! Tak jak ja, każdy z tu obecnych wie, do jakich okropnych wydarzeń doszło tydzień temu we Francji. Pewne kwestie do dziś pozostały nierozstrzygnięte. Dziś chcemy tu - po odpowiednio długich naradach i dokładnych badaniach - udzielić na nie odpowiedzi.

Ojciec Święty zwrócił się na prawo, żeby przywołać do siebie Marlenę, Roberta i Henry'ego. Marlena popychała wózek kardynała Montanellego. Cała czwórka ustawiła się w rzędzie wokół papieża.

- Zgromadzone wokół mnie osoby to główni uczestnicy owych burzliwych wydarzeń. Pragnę zacząć od szczególnej prośby Bractwa Ocalałych Katarów. Reprezentuje ich obecny tu brat Hemy. Kongregacja Nauki Wiary pod przewodnictwem kardynała Montanellego dokładnie zbadała pochodzenie, strukturę i wewnętrzny porządek tej wspólnoty. Dziś jesteśmy gotowi zaproponować jej strukturalne wsparcie i współpracę w różnych dziedzinach. Uznanie jej za oficjalne bractwo Kościoła katolickiego obecnie jeszcze nie wchodzi w rachubę.

Papież przerwał, zostawiając obecnym trochę czasu do namysłu. Większość ludzi wychodziła z założenia, że katarzy nie pozostawili po sobie bezpośrednich następców, a jeśli nawet tak, to dawną wspólnotę religijną dzieliło od Kościoła katolickiego nazbyt wiele fundamentalnych różnic. Dlatego słuchacze nie wierzyli własnym uszom, gdy usłyszeli słowa papieża.

- Zarówno Kościół, jak i wspólnota tych osób które dziś uważają się za następców katarów, z biegiem czasu przeszła znaczącą ewolucję - ciągnął papież. - W związku z tym i w duchu chrześcijańskiego ekumenizmu postanowiliśmy podjąć korzystną dla obu stron współpracę. Niemniej uznaliśmy zarówno żądania finansowego zadośćuczynienia, jak i roszczenia terytorialne tego bractwa za bezzasadne. Przedstawione precedensy pochodzą bowiem z okresu prześladowań hugenotów we Francji. Wszystkie bez wyjątku procesy w tych sprawach były rozpatrywane przez francuskie sądy kościelne. A jak wiadomo już setki lat przed rewolucją francuską poczynaniami tamtejszego duchowieństwa sterowali w znacznym stopniu królowie Francji. Tak zwana wypłata odszkodowań nie była w rzeczywistości aktem zadośćuczynienia ze strony władz kościelnych, lecz jedynie zapłatą za milczenie. Po dokładnym przestudiowaniu aktów prawnych, przedstawiciele bractwa również uznali nasze stanowisko. - Papież odchrząknął - A teraz oddaję głos panu Robertowi Garnierowi.

Robert rozpoczął swoje przemówienie powoli w prostych słowach, po angielsku. Jego głos brzmiał mniej pewnie niż głos papieża, bo też brakowało mu doświadczenia w wystąpieniach publicznych. Nic dziwnego zatem, że czuł się nieswojo w nowej dla niego roli.

- Chyba nie muszę państwu przypominać, kim jestem. W przeciągu ostatnich dwóch tygodni określano mnie najrozmaitszymi imionami: od Judasza po zgoła Piotra. Na początek pragnąłbym państwa o jednym zapewnić: nie robiłem nic innego, jak tylko próbowałem wyjaśnić powody zabójstwa mojego ojca. W poszukiwaniu rozwiązania zagadki morderstwa, odkryłem starą rodzinną tajemnicę. W trakcie moich badań przy pomocy mojej... koleżanki, Marleny Schönberg, natrafiłem na grób Bernarda Garniera. Pośród jego szczątków odnalazłem tę oto monetę.

Po tych słowach wyciągnął złoty krążek i trzymając go pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, uniósł do góry. Część widzów przeżegnała się. Inni wydawali okrzyki zdumienia. Po chwili Robert ponownie zamknął monetę w zaciśniętej dłoni.

- Prasa przedstawiła już oficjalne stanowisko Watykanu. Ta moneta to złota sestercja z czasów cesarza Nerona, a więc z epoki, kiedy działali w Rzymie apostołowie Piotr i Paweł. Piotr pełnił funkcję przywódcy tajnej gminy pierwszych rzymskich chrześcijan, która dała początek naszemu współczesnemu Kościołowi katolickiemu. Ponieważ prześladowania zmusiły ową pierwotną gminę do działania w ukryciu, jej członkowie potrzebowali znaku rozpoznawczego - nierzucającego się w oczy, lecz jednoznacznego. Dlatego wybili właśnie tę monetę. Na pierwszy rzut oka sprawiała ona wrażenie zwykłego środka płatniczego. Jak przekazała nam legenda, aby nie narażać wspólnoty, święty Piotr połknął ją przed swoją egzekucją. W ten sposób znikła z oczu Rzymian. Odnaleziono ją dopiero rok po jego śmierci, pośród jego szczątków.

Robert przerwał na chwilę. Gdy przemówił ponownie, jego głos brzmiał już znacznie donośniej i pewniej:

- Tę samą drogę przeszła ta moneta wiele wieków później, gdy mój przodek, Bernard Garnier, próbował uchronić ją przed zrabowaniem przez wysłanników króla i rzymskiego papieża. Podobnie jak inni antypapieża za czasów Urbana Okrutnego, Bernard zmarł w przekonaniu, że jest jedynym prawowitym następcą świętego Piotra. Od tamtego czasu zdołano wymazać z kart historii wszelkie wzmianki o tej monecie. Dziś stoję tu przed państwem, by pokazać wam właśnie tę monetę.

Robert skinął na Marlenę, żeby oddać jej głos. Obecni jawnie okazywali zaniepokojenie. Świadczyły o nim głośnie szepty. Marlena uniosła obydwie ręce w uspokajającym geście.

- Prosimy jeszcze o chwilę uwagi! - zawołała. - Bardzo dziękuję. Przypuszczam, że niewielu z państwa zna treść mojej rozprawy na temat soboru w Konstancji. Nie zamierzam państwa zanudzać jej szczegółami. Pragnę jedynie zwrócić uwagę na fakt, że biografie papieży wykazują wiele luk na kartach historii. Niemniej wielkoduszność jednego z nich została potwierdzona przez historyków. Nie działał bowiem dla własnych korzyści, lecz dla dobra Kościoła. Chodzi mianowicie o antypapieża, późniejszego biskupa Majorki, Klemensa VIII. Gdy zaczął swój pontyfikat, przedstawiciele rzymskiego Kościoła doszli do wniosku, że można z nim zawrzeć korzystne porozumienie. W rezultacie Klemens wyraził gotowość do zaakceptowania ustaleń soboru w Konstancji. Ustąpił z zajmowanego stanowiska

na rzecz Marcina V. Cały kłopot w tym, że to nie Klemens, lecz Benedykt XIV, czyli Bernard Garnier, był prawowitym właścicielem monety. On jednak zniknął wraz z nią. Ten dramatyczny krąg powinien się wreszcie dzisiaj zamknąć.

Robert podszedł do papieża, który wyciągnął ku niemu rękę, niczym Jezus podczas Ostatniej Wieczerzy. Obrócił dłonie wewnętrzną stroną ku górze w geście zaufania i gotowości do zawarcia pokoju. Robert włożył monetę w prawą rękę papieża, po czym zamknął ją w swojej. Następnie ponownie obrócił się twarzą ku widowni.

- Przekazując monetę świętego Piotra w ręce Ojca Świętego, ja, Robert Garnier, potomek i dziedzic antypapieża Benedykta XIV, zrzekam się do niej wszelkich praw i roszczeń. Zwracam relikwię świętego Szymona Piotra do miejsca ostatniego spoczynku jej pierwszego właściciela. Jako odkrywca i znalazca monety, wyrażam życzenie, by pozostała tu na zawsze.

Po tych słowach Robert natychmiast ukląkł przed papieżem i ucałował pierścień Rybaka. Ojciec Święty nadal mocno trzymał złoty krążek w zaciśniętej ręce.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Corniche de l'Esterel, kilka kilometrów na południowy zachód od Cannes

Marlena i Robert nie uczestniczyli w rozlicznych uroczystościach zorganizowanych po ceremonii przekazania monety. Po krótkim, lecz serdecznym pożegnaniu z kardynałem Montanellim, szybko i dyskretnie wyjechali z Wiecznego Miasta. Zamiast jednak zaczekać na samolot, wynajęli sobie auto. Już późnym wieczorem tego samego dnia dotarli do Genui, gdzie przenocowali w małym hoteliku.

Zjadłszy szybko śniadanie, wyruszyli w dalszą drogę. Dotarli do Cannes bez postojów. Tutaj Robert zjechał z autostrady A-8 i skręcił w wąską drogę krajową, która wiła się niczym wąż wzdłuż linii wybrzeża. Czterdziestokilometrowy odcinek do Saint-Raphael, powszechnie znany jako jedna z najpiękniejszych tras widokowych we Francji, wprowadził Marlenę w absolutny zachwyty.

Robert zjechał w dół ku zatoce Pointe de la Baumette. Otworzył dla Marleny drzwi ciemnoniebieskiego alfa romeo. Nie puścił jej ręki, póki nie okrążyli latarni morskiej.

- Dokąd mnie prowadzisz? - spytała, zaciekawiona.

- Zaufaj mi - poprosił zamiast odpowiedzi. Doszli do pomnika, który Marlena rozpoznała

po chwili obserwacji jako monument ku czci francuskiego pisarza, Antoine'a de Saint-Exupery'ego. Nigdy przedtem nie odwiedziła tego zakątka południowej Francji.

- Jak tu cicho... jak spokojnie - wyszeptwała.

- Exupery kochał spokój - odparł Robert, po czym zamknął ją w objęciach.

- Robercie?

- Słucham, Leno?

- Exupery napisał kiedyś, że to, co najważniejsze, pozostaje niewidoczne dla oczu. Można to zobaczyć jedynie sercem.

- Tak, rzeczywiście. Chyba mniej więcej tak się wyraził. .

- Trochę się boję ci to wyznać, ale gdy zamknę oczy moje serce... widzi nas zawsze razem.

Robert delikatnie obrócił Marlenę twarzą ku sobie i czule pocałował w usta.

- Bez obawy, Leno. Moje serce widzi to samo.

EPILOG

Mont d'Alion, południowe Pireneje

Lucien szedł coraz wolniej. Tutaj, w górach, w Pirenejach, wiele spraw przybrało znacznie spokojniejszy obrót, ale mimo to przytłaczał go wielki ciężar. Dopadło go zmęczenie i przygnębienie. Poszukiwał na pustkowiu pocieszenia i spokoju.

Pochylił się i złożył na świeżo rozkopanej ziemi bukiet polnych kwiatów. Tutaj spoczywał jego syn Bertrand, który właściwie nigdy dobrze nie poznał swego ojca. Już w młodości, gdy uświadomił sobie, że jego ojciec nigdy nie opuści gór, zszedł na dół, do miasta. Tam pracował, a potem na kilka lat ślad po nim zaginął, jakby zniknął z powierzchni ziemi. Wchłonęła go Legia Cudzoziemska...

Wkrótce po spektaklu w Montailou policja szybko pochwyciła ich obu, i to zanim zdążyli się zorientować, co ich spotkało. Bertrand przewidywał, co go czeka, jeśli zostanie aresztowany. Nim zdołano go zakuć w kajdanki, odebrał sobie życie strzałem z własnego rewolweru. Jego ojca zwolniono.

Lucien teraz modlił się w milczeniu. Potem omiótł wzrokiem ośnieżone wierzchołki gór. „Niech Bertrand wreszcie zazna spokoju” - pomyślał.

Zawiódł go nie tylko jako ojciec. Sam zamordował czyjegoś ojca, który mu zaufał. Ten grzech, którego nigdy nie odważy się wyznać Robertowi twarzą w twarz, obciąża jego sumienie. Lucien włożył rękę pod kamizelkę. Wyczuł pod nią kopertę zawierającą krótki list do spadkobiercy rodu Garnierów. Być może pewnego dnia Robert zechce mu wybaczyć. Może nawet sam Bóg odpuści mu kiedyś tę wielką zbrodnię.

Później Lucien przesunął dłoń niżej, do skórzanego pasa. Zabrał broń Roberta, gdy wypadła z ręki postrzelonego Francuza, na kwiatową rabatę na placu przed kościołem. Chyba tylko przypadek lub zrządzenie losu sprawiło, że Lucien siedział teraz na górze, gdzie spoczywali jego przodkowie, a teraz również i syn. W rękę trzymał broń człowieka, którego ojca zamordował.

W swoim liście do Roberta pisał następująco: *...Tak więc twoja broń wreszcie zostanie użyta po to, by sprawiedliwości stało się zadość. Abyś ty sam nie musiał zostać mordercą...*

POSŁOWIE

Za tło mojej powieści posłużyły rzeczywiste miejsca i wydarzenia historyczne, chociaż osoby i przebieg akcji wymyśliłem. Potraktowałem wprawdzie wszystkie historyczne fakty z należnym szacunkiem, ale zinterpretowałem je z pisarską swobodą. Mam nadzieję, że czytelnik nie weźmie mi za złe tę odrobinę literackiej fantazji.

Wyprawa w przeszłość do czasów II wojny światowej to fikcja literacka. W wydarzeniach z tamtego okresu uczestniczą bowiem zmyślane postacie. Natomiast usiłowania Hitlera, by wykorzystać pewne elementy chrześcijaństwa do zbudowania kultu własnej osoby, rzeczywiście należały do jednej z bardziej obłąkańczych idei faszyzmu. Zacytowana notatka jest autentyczna. Faktycznie organizowano też tajne ekspedycje, między innymi do Montsegur oraz do innych europejskich ośrodków kultu, w celu odnalezienia mistycznych mocy i symboli.

Historycy potwierdzają również fakt, że Watykan od 1939 roku prowadził poszukiwania prawdziwego grobu świętego Piotra, choć już od stuleci zakładano, że miejsce pochówku znajduje się pod Bazyliką Świętego Piotra. W kolejnych latach odsłanianie w podziemiach świątyni rozliczne groby starożytnej nekropolii. Jeden spośród nich zi-

dentyfikowano jako miejsce ostatniego spoczynku apostoła Piotra.

Nie mam dowodu na to, że opisana przeze mnie moneta świętego Piotra naprawdę istniała, lecz pierwsi chrześcijanie rzeczywiście używali wielu przemyślnych znaków rozpoznawczych. Należały do nich rysunki - odpowiedniki dzisiejszego graffiti - na Górze Świątynnej w Jerozolimie i, oczywiście, w Rzymie; takie, jak monogram Chrystusa XP (Chi-Ro) czy symbol ryby. Do dziś obydwie te znaki pozostały nierozzerwalnie związane z chrześcijaństwem.

Każdy, kto dziś podróżuje po południowej Francji, napotyka na imponujące pomniki kulturalnej i historycznej przeszłości. Prócz budowli z okresu panowania Rzymian, należą do nich zamki katarów oraz budowle wzniesione za pontyfikatów francuskich papieży i antypapieży. Choć współcześni na ogół uważają czasy rozłamu w Kościele katolickim za przejaw destrukcyjnej walki o władzę, w rzeczywistości wywarły one o wiele większy wpływ na dzieje ludzkości, niż skłonni bylibyśmy przypuszczać. Nie wszyscy ci ludzie byli marionetkami w rękach francuskich możnowładców. Niektórzy z nich charakteryzowali się autentyczną świętością i charyzmatyczną osobowością. Już wówczas istniało obszerne prawo kościelne, w świetle którego - również z perspektywy czasu - nie można uznać roszczeń antypapieży do sprawowania władzy duchowej za całkiem nieuzasadnione.

Napisałem tę powieść między innymi w intencji ukazania, w jaki sposób mogłyby potoczyć się losy Kościoła w mrocznej epoce wielkiej zachodniej schizmy. Poza tym pragnąłem opisać krainę

po między Awinionem i Pirenejami - jeden z najpiękniejszych regionów zachodniej Europy, gdzie na każdym kroku napotyka się sagi i legendy.

* * *

Prócz typowej pracy pisarskiej, autor organizuje sobie sieć pomocników, bez wsparcia których często nie mógłby ukończyć swego dzieła. Dopiero gdy kończy ostatnią jego stronicę, spostrzega - jak aktor teatru lalkowego, który wypuszcza z ręki nici marionetek - że jego otoczenie także odetchnęło z ulgą.

Dziękuję moim przyjaciołom i tym wszystkim, którzy utorowali mi drogę; jak moja koleżanka - pisarka Martina Andre, oraz Dirk Meynecke, którzy pomogli mi zaplanować układ powieści. Pragnę wyrazić im wdzięczność za wyczerpujące informacje, motywację do pracy i nieskończoną cierpliwość.

W Camargue niemal wszędzie można znaleźć symbol kotwicy, której środek ma kształt serca, a koniec krzyża. Za jej pomocą wyrażano trzy paulińskie cnoty: wiarę, nadzieję i miłość.

Dziękuję wszystkim,
Którzy we mnie wierzą,
Którzy napędzają mnie wiarą
I których kocham.

Bez wsparcia mojej rodziny, a przede wszystkim mojej wspaniałej żony Julii, ta książka nigdy by nie powstała.